



JOANNA
OPIAT-BOJARSKA

Gdyby tamtego dnia nie wysiadła z pociągu,
wszystko potoczyłoby się inaczej...

SŁODKICH SNÓW,
ANNO

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Gdy człowiek podejmuje już decyzję, to trochę tak, jakby skoczył w wartki strumień, który porywa go w kierunku, o jakim mu się nawet nie śniło, w chwili gdy ją podejmował.

Paulo Coelho

ROZDZIAŁ I

Gdy weszła do pomieszczenia, czarne skórzane łóżko wydało jej się odrobinę perwersyjne. Miłe skojarzenie jednak odpłynęło z chwilą, gdy się położyła i oślepiło ją rażąco białe światło lampy.

Później było już coraz gorzej. Jej świadomość wędrowała w stronę przerażającego mroku. Obserwowała cienki drut nieuchronnie zbliżający się do skóry. Metalowa pętla zaciskała się na jej ciele. Kościstymi dłońmi ścisnęła odruchowo krawędź łóżka. W tej chwili skórzany mebel był jedynym przyjacielem gotowym bez sprzeciwu przyjąć na siebie małą część jej cierpienia.

– Sssss – syknęła.

Impuls elektryczny przeskoczył z pętli na wystający fragment ciała. Jej zmysły zwariowały. Poczula coś, co uznała za ukłucie. Dopiero sekundę później swąd palonej skóry przypomniał, że ukłucie mogło być jedynie wątpliwie przyjemną uludą, fantomowym złudzeniem, sposobem pojmowania świata przez pryzmat własnych doświadczeń. Nikt nigdy wcześniej nie próbował jej przypalać, za to igły nieraz wbijano w przeróżne części jej ciała.

Nagle ciszę stanowiącą tło śmierzącego tête-à-tête z prądem przerwał dzwonek telefonu komórkowego.

– Halo? – Zimny damski głos obił się o bladoniebieskie ściany obskurnego pomieszczenia.

– Jest kolejna robota!

*

– Tak?

– Niech będzie, pomogę pani.

– Słucham? – spytała automatycznie, nie kojarząc niskiego męskiego głosu.

– Biel. Prosiła mnie pani o pomoc – odpowiedział zdecydowanie.

– Aaa, witam. Cieszę się, że pan dzwoni. – Kiedy dwa dni wcześniej zostawiła lekarzowi swoją wizytówkę, nie liczyła, że z niej skorzysta. Kategorycznie dał jej do zrozumienia, że nie ma ochoty wypowiadać się na temat kolegów po fachu. – Skąd zmiana zdania?

– Nie, to nie. Nie muszę z panią rozmawiać!

– Przepraszam, przepraszam. Niech się pan nie denerwuje. Nie zamierzam atakować. Pytam z ciekawości – odpowiedziała najłagodniej, jak potrafiła.

Mimo że słowa, które usłyszała, mogły sprawiać wrażenie, jakby doktor Biel dzwonił do niej od niechcienia, niemal przypadkiem, głos lekarza zdradzał napięcie. Chwilami zanikał,

by sekundę później przejść w nienaturalnie wysoki, wręcz histeryczny ton.

– Mam dość tego środowiska... – Biel zamilkł, by po chwili niczym karabin maszynowy wyrzucić z siebie serię palących słów. – Jego zakłamania. Etyki, pożał się Boże, lekarskiej. Tego obsesyjnego mycia rąk. Ręka rękę myje. Sterylność odmienia się przez wszystkie przypadki. Przypadki zaniechania, zapomnienia, lekkomyślności, zachłanności...

– A Magiel i Konopielski? – zdecydowała się przerwać. Nie wątpiła, że lekarz z takim stażem jak Adam Biel dobrze wie, w których szpitalnych zakamarkach kryje się kurz. Ją w tej chwili interesowała tylko jedna afera lekarska. – Pamięta ich pan?

– Tak, tak. Jeden kochał pieniądze. Drugi wiedział, jak je zarabiać. Idealny duet.

– A dokładniej?

– Nie! Nie ma mowy. To nie jest rozmowa na telefon.

– Dobrze, przyjadę do pana, porozmawiamy na spokojnie.

– Czekam na panią we wtorek, z samego rana. – Władczy ton dał dziennikarce wyraźnie do zrozumienia, na czyich warunkach dojdzie do spotkania. – Ale tym razem nie w klinice, tylko u mnie w domu.

– Będę – potwierdziła. Zaraz też dodała rzeczowo. – O ósmej. A w domu, czyli gdzie?

– Tam, gdzie psy dupami szczekają. Turzno, dwadzieścia siedem...

*

– To może jeszcze jedną kawusię?

– Czy ja wiem?

Robert Zieliński spojrział kontrolnie na filiżankę stojącą przed nim na szklanym stole. Jej dno przykrywała warstwa ciemnobrązowego napoju. Życiodajnego w jego mniemaniu. Bez niego nie miałyby siły znosić tych wszystkich fałszywych uśmiechów, śliskich uścisków dłoni i zazdrosnych spojrzeń. To on każdego dnia pobudzał go do działania, orzeźwiał i zwiększał sprawność myślenia.

Robert wiele wymagał od siebie, od życia i od kawy. Kawa według niego musi być idealnie zaparzona i podana w eleganckiej porcelanie. Powinna mieć odpowiedni wygląd (bez dodatku mleka czy śmietanki!) oraz kuszący zapach. Na jej powierzchni ma się unosić delikatna crema wytworzona przez ekspres ciśnieniowy. I co najważniejsze: kawa musi być odpowiednio gorąca, by wysoka temperatura przyjemnie drażniła jego przełyk, a jednocześnie na tyle wystudzona, by nie parzyć języka. Resztką napoju, która została w filiżance, była już zimna. Brzydził się taką kawą.

Dyrektor poznańskiego oddziału telewizji Primo TV – Kamil Grabowski – nie czekając na odpowiedź gościa, wezwał do siebie sekretarkę.

– Pani Grażynko, niech pani nam jeszcze zrobi po kawie. Może tym razem espresso? –

Grabowski zwrócił się do siedzącego przy stole czterdziestoosmioletniego blondyna w idealnie skrojonym garniturze. – Pamiętam, że podczas ostatniej wizyty bardzo panu smakowało, panie prezesie.

– Co za pamięć. – Mężczyzna zdziwił się od niechcienia.

– Espresso dwa razy, migiem. – Zarządził Grabowski tonem nieznoszącym sprzeciwu, a młoda sekretarka w jednej sekundzie zniknęła za drzwiami, by po chwili wrócić i obdarować przełożonych kawą i szczerym uśmiechem.

Aromat espresso wprowadził Zielińskiego w zadumę. Lubił bywać w Poznaniu. Obserwował właśnie tętniące życiem centrum Poznania zza szyby klimatyzowanego i nowoczesnego biura, w którym przez wszystkich traktowany był jak król.

Wizyty w Poznaniu kojarzyły mu się z poznańskim Starym Browarem – Centrum Sztuki i Biznesu. On w stolicy Wielkopolski stworzył dla siebie nową jakość. Miejsce łączące przyjemności z biznesem, oczywiście przy kuflu dobrego piwa. Jego prywatne Centrum Seksu i Biznesu. Po spotkaniach zawodowych odwiedzał bowiem Stary Browar, by kupić żonie mały upominek, po czym udawał się do niej.

Stałym punktem wizytacji poznańskiego oddziału telewizji były wieczory spędzane z młodym ciałem, skrywającym intrygujący umysł. Z nią – kobietą idealną: inteligentną, atrakcyjną, emocjonalną, ale nierobiącą scen. Spotkania bez zobowiązań i bez uczuć. Biznes wieczorową porą. Gra w otwarte karty.

*

– Miałeś nie dzwonić!

– Miałem. Ale...

– O co chodzi?!

– Co z dokumentami po jego śmierci? Musisz się o nie zatroszczyć!

– Nie tym tonem! Nie do mnie! Dobrze wiem, co muszę, a czego nie!

– Musisz...

– Kurwa! Próbowałem. Za późno! Byłem w jego domu. Sejf stał pusty. Ktoś mnie ubiegł.

Mężczyzna nie chciał tego słuchać. Bez pożegnania rozłączył się i rzucił telefonem komórkowym. Aparat starego typu upadł na ziemię, a mężczyzna chwilę później z podobnym hukiem opadł na fotel. Jednym ruchem ręki skierował pilota w kierunku wieży CD.

Gabinet wypełniły dźwięki sonaty fortepianowej numer czternaście.

– Spokojnie, spokojnie – tłumaczył sam sobie, chcąc uregulować przyspieszony oddech.

– Pam, pa, pam.

Zamknął oczy i starał się dostosować ciało do muzyki, która przez nie przepływała.

Powolny wdech nosem. Przerwa. Wydech ustami. Powtarzający się trójkowy rytm działał na niego uspokajająco. Uwielbiał Beethovena za ten utwór – *Sonatę Księżycową* – melancholijną opowieść o miłości, w której zaburzona została kolejność typowej sonaty. Kompozytor złamał panujące zasady, zaplanował nieład i jednocześnie niebywale uporządkował dźwięki. Uwielbiał *Adagio sostenuto*. Każda nuta wydawała się niezbędną, by całość opowieści mogła istnieć.

– Pewnie wcale nie było ich w tym sejfie. Nie ma się czym martwić. – Jego oddech uspokoił się.

Mógł z rozkoszą oddawać się przyjemności. Melodia przyspieszyła i przyjęła postać beztrójkowego młodzieńca podskakującego z radości na łące. Rozpalone policzki młodzieńca kontrastowały z zimną i moką ziemią.

Pomarszczone dłonie mężczyzny uniosły się bezwiednie i rozpoczęły w powietrzu taniec, malując abstrakcyjne obrazy. Reszta ciała nieruchomo spoczywała w fotelu.

– A co jeśli dokumenty wpadły w niepowołane ręce? – zapytał, a wzburzenie narastało wraz z kolejnymi taktami muzyki.

Galopujące *Presto agitato* zniszczyło nikły spokój, który udało mu się osiągnąć. Kolejne partytury niosły odważne kolaże i mocno akcentowane nuty. Wysokie dźwięki, narastające i nieokiełznane emocje, przed którymi nie mógł uciec. Widział swoją przyszłość. Dokumenty w rękach wroga. Ucieczkę ostatkiem sił. Był już zbyt stary, by biec tak długo. Przewracał się.

Nerwowo powtarzane akordy oddawały charakter kłótni. Bardzo ostrej wymiany zdań.

Po kilkunastu sekundach sonata jeszcze przyspieszyła. Zbliżała się do końca, ale on nawet nie był w stanie tak szybko przebierać palcami! Pauza. Sekundowa przerwa. Po chwili muzyka wróciła... i te emocje.

– Nie, nie, nie! – zaczął krzyczeć, odganiając myśli.

Gdyby muzyka opowiadała jego historię, w tej chwili musiałby pchnięty paść na ziemię. Na kolana. I błagać... błagać o przebaczenie.

Gdy tylko wybrzmiał ostatni, nadspodziewanie mocny akcent kończący dzieło, mężczyzna odsłuchiwał trzecią część sonaty jeszcze raz. Te ostatnie, prawie siedem minut było dla niego najistotniejszym elementem opowieści. Nie tylko dla niego. Dla Beethovena również.

ROZDZIAŁ II

Pociąg szarpie, a tłuste ciało kołysze się i uderza w niego z taką siłą, że sam aż odchyła się do tyłu, szturchając stojącą za nim kobietę.

Kurwa, a myślałem, że stoję wystarczająco daleko od tego śmierdzącego typu.

Ludzie ustawiający się w wąskim korytarzu wagonu kolejowego nie mogą doczekać się momentu zatrzymania pociągu i dopchnięcia się do drzwi. Stają blisko siebie i gdy maszynista hamuje, pociąg wytraca swoją prędkość, a doznania dźwiękowe nieprzyjemnie wibrują w uszach – przechylają się jak kostki domina. Po kolei. Jeden na drugiego. Do przodu.

– Tu... cja... do... – ogłasza zniekształcony męski głos płynący z peronowych głośników.

Że co? Jaka stacja? Czy naprawdę nie można zatrudniać na dworcach osób, które mówią wyraźnie? Po prostu zwyczajnie zrozumiale?!

Kontrolnie spojrział na białą tablicę na budynku dworca. Tak, to Gniezno. Stacja końcowa jego ojca.

Kto by pomyślał, że wyzionie ducha właśnie tu. W miejscu, w którym wszystko się zaczęło, w kolebce państwa polskiego, pierwszej stolicy Polski. Też sobie wybrał miejsce na śmierć. Patriota pieprzony. Mógł umierać w Warszawie, Krakowie czy Wrocławiu. Wtedy on wsiadłby do pierwszego lepszego samolotu i może zdążyłby się pożegnać. Powiedziałaby, że wybacza...

Tymczasem tłukł się znieawidzonym pociągiem z poczuciem moralnej zgagi, by odebrać z domu starców osobiste rzeczy zmarłego. Po co mu te szpargały? Szkoda fatygi. Gdyby mu nie wybaczył, pewnie by ich nie odebrał, ale teraz... Nie, nie mogą wyrzucić ich na śmietnik. Osobiste rzeczy Jana Nowaka nie będą leżeć wśród resztek zepsutego jedzenia i obsranych pampersów w rozmiarze XXL.

– Pociąg osobowy do Bydgoszczy przez Inowrocław gotowy do odjazdu z toru drugiego przy peronie pierwszym. Planowy odjazd pociągu godzina trzynasta pięćdziesiąt siedem. Życzymy przyjemnej podróży.

Przyjemnie to mu będzie, jak opuści to cholerne miejsce. Nie może znaleźć schodów. Kurwa, czy te dworce nie mogą być czytelnie oznaczone? Makabra. A podobno jesteśmy w Europie! Świetnie, żadnej ławki na peronie, za to śmieci obok kosza i obsikany murek do kompletu. Jaka piękna Europa... I ten pociąg, z którego wysiadłem; śmierdzący, obdrapany. – Skrzywił się z obrzydzeniem na samo jego wspomnienie.

– O kurwa!

– O Boże, dzwońcie po pogotowie! – Pierwsza krzyczy starsza kobieta, opierająca się o betonowy filar podtrzymujący zadaszenie peronu. – Jezus Maria!

- Skąd ten hałas? – Mężczyzna wychodzący z tunelu, rozgląda się zdezorientowany.
- Coś wjechało w pociąg... – ktoś odpowiada.
- Jak to? Co?

Wzburzeni ludzie mijają go, trącając to z jednej, to z drugiej strony. Krzyczą, płaczą, modlą się. A on stoi i patrzy na pociąg, a właściwie na to, co z niego zostało: rozbite szyby i pogięta stal. Siła uderzenia musiała być duża. Ostatni wagon pociągu osobowego złożył się w harmonijkę, środkowe dwa leżą na torach.

– Pomóżcie, ludzie, pomóżcie, moja żona! – W jednym z rozbitych okien wagonu ukazuje się zakrwawiony mężczyzna.

Odwraca głowę i zamyka oczy. Ludzie krzyczą histerycznie, domagając się pomocy, a on walczy z postępującym paraliżem.

Muszę uciekać. Muszę uciekać! – Tylko jedna myśl kołacze mu w głowie.

Jeśli szybko stąd nie zniknie, przestanie oddychać. Straci siły i umrze. Musi uciekać. Musi stąd zabrać swoje ciało. Musi stąd zabrać swoje myśli.

ROZDZIAŁ III

Renata Rogozińska siedziała podekscytowana przed telewizorem. Na szklanej ławie stały: koszyk z chlebem, talerz ze zwiniętymi w rulony plastrami baleronu, szynki i pokrojonymi kawałkami pomidora oraz dwa kubki z gorącą herbatą.

– Stasiu, wszystko już jest przygotowane! Kolacja na stole – krzyknęła w stronę kuchni, z której dochodziły trzaski. Jej mąż nie potrafił cicho zamykać szafek. Popychał otwarte drzwiczki, czekając, aż uderzą o drewniany korpus. – Chodź już, zaraz się zaczniesz.

– Idę.

– Aaa, Stasiu? – Renata spojrzała na talerz z wędliną i pomidorem.

– Tak?

– Mógłbyś przynieść szczypiorek? Zostawiłam go na kuchennym blacie. Przy czajniku.

– Nie.

– Nie? Nie widzisz?

– Widzę, ale skoro mówisz, że wszystko przygotowałam, to szczypiorek możesz przynieść sobie sama. – Stanisław stanął w drzwiach wejściowych do salonu z obrażoną miną.

Kobieta spojrzała na męża. Od ponad dwunastu tysięcy dni budziła się przy nim i zasypiała, słuchając jego chrapania. Nawet nie zauważyła, kiedy jego włosy stały się siwe, a twarz zaczęła przypominać powierzchnię wysuszonych rodzynek. Nie lubiła smaku rodzynek, nie lubiła ich koloru. Uwielbiała za to winogrona; nabrzmiące, jędrne i soczyste.

„Stasiek kiedyś był zupełnie inny” – pomyślała z nostalgią. „Odważny, pełen energii i przytulał mnie... Ale niestety czas robi swoje. Zasuszamy się. Naturalna kolej rzeczy. Rodzynkowatość dopada nie tylko ludzi, ale też emocje i uczucia. Po trzydziestu latach małżeństwa ogromna i soczysta miłość pomarszczyła się, zmniejszając swoją objętość kilkukrotnie. Pozostała tylko skórka. Pomarszczone wspomnienie tamtego smaku...”

– Siadaj. – Machnęła ręką i zamiast wdawać się w zupełnie niepotrzebne małżeńskie dyskusje, sama pobiegła do kuchni. – Już się skończyły reklamy? – zapytała, gdy wróciła z aromatycznym szczypiorkiem.

– Aha – mruknął Stanisław Rogoziński, nie dzieląc ekscytacji żony tym, co ma nastąpić.

Na ekranie kolorowa animacja oraz irytująca muzyka zwiastowały rozpoczęcie wieczornego programu informacyjnego. Mężczyzna usiadł na sofie i sięgnął po kromkę ulubionego pieczywa oraz plasterek chudej szynki. Z odrazą spojrzał na ociekający tłuszczem baleron.

– Jak ty możesz to jeść? – Wpatrywał się w znieawidzoną wędlinę, czując, jak treść żołądka podchodzi mu do gardła. – Ohydny ten tłuszcz, wejdzie ci w niemałe już biodra, osadzi się na tętnicach. Kobieto...

– Ciii. – Renata chwilami cieszyła się z rodzynkowej miłości. Nie musiała brać do serca uwag męża. Wiedziała, że nie chce sprawić jej przykrości, a jedynie martwi się. Umartwiał się, bo lubił. – Zobacz, zobacz! Jest! Ania, nasza Ania.

Nie czekając na reakcję męża, zrobiła głośniej.

– Dziś o godzinie trzynastej pięćdziesiąt pięć na gnieźnieńskim dworcu pociąg towarowy najechał na tył pociągu osobowego. Dotychczas nie ustalono, z jakiego powodu obydwie pociągi zostały skierowane na jeden tor. Pociąg osobowy czekał na podróżnych, by wyruszyć o trzynastej pięćdziesiąt siedem do Bydgoszczy. – Na ekranie jedyna córka Rogozińskich relacjonowała zdarzenia. Za nią widniał budynek odrapanego dworca.

– Na miejscu już po piętnastu minutach od wypadku zjawiły się karetki pogotowia oraz straż pożarna. Do szpitali dowieziono piętnastu rannych, w tym dwie osoby w stanie ciężkim. Akcja została przeprowadzona sprawnie... – tłumaczył rzecznik kolei.

– Wysiadłem z tego pociągu jakieś dwie minuty przed wypadkiem. Najpierw usłyszałem bardzo głośny pisk, a potem hałas uderzenia... przeraźliwy hałas. Na peronie zapanował chaos. Boże, gdyby ten pociąg... gdyby wjechał dwie minuty wcześniej... nie rozmawiałbym teraz z panią... – Relacja wstrząśniętego świadka wydarzenia została przerwana, a na ekranie ponownie pojawiła się córka Rogozińskich.

– Jak widać, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia – podsumowała reporterka. – Władze kolei nie ujawniają, dlaczego doszło do takiej tragicznej omyłki. Omyłki, która dla kilku osób może zakończyć się śmiercią. Dla wiadomości z Gniezna mówiła Anna Rogozińska.

Renata ściszyła telewizor i pełna dumy spojrzała na męża. Siedział na fotelu, rytmicznie gryząc kanapkę i udając, że jest zajęty czytaniem gazety.

– Anna Rogozińska, pięknie to brzmi, prawda?

– Mhm. – Stanisław nawet nie uniósł wzroku.

– Stanisław! – krzyknęła zniecierpliwiona. – Dlaczego ignorujesz i mnie, i Anię?

– Anię? – Mężczyzna zdziwiony odłożył gazetę.

Rozejrzał się wokoło, jakby chcąc dać do zrozumienia, że nie pojmuje problemu i wzburzenia żony. Córki nie było ani w salonie, ani w kuchni, ani w innych pomieszczeniach ich domu.

– No przecież była tu przed chwilą. – Kobieta wskazała ręką w stronę telewizora.

– Renatko, nie pamiętam, kiedy Ania była u nas po raz ostatni. Nie rozumiem, dlaczego tak się podniecasz.

– Podniecam? Nasze dziecko ciężko pracuje! Osiąga sukcesy. Przecież wiesz, jak musi się starać... „Dla wiadomości mówiła Anna Rogozińska”. Pięknie to brzmi, prawda? Jestem z niej taka dumna, a ty nie? – zapytała z wyrzutem.

– Dumny z czego? Ja ciebie przepraszam, ale co to za wielka filozofia opowiedzieć o wypadku na dworcu kolejowym?

– W ogólnopolskiej telewizji? Wielka filozofia! – zaprotestowała głośno.

– Ta... – przytaknął, nie chcąc po raz kolejny dyskutować z żoną na ten sam temat. Od kilku lat przekonywali siebie nawzajem do zmiany zdania – bezskutecznie.

– Zamiast ekscytować się, że miliony ludzi w tej chwili patrzyły na TWOJĄ córkę, że miliony usłyszały TWOJE nazwisko, ty przeglądasz głupkowatą gazetę. – Renata nie mogła opanować złości.

– A kto je w ogóle zdążył zauważyć? To moje nazwisko? Przecież relacja nie trwała dłużej niż czterdzieści sekund.

Renata odłożyła przygotowaną kanapkę na talerz. Odechciało jej się jeść. Dyskusja z mężem zmierzała w znanym jej od dawna kierunku. Anna, córka Stanisława Rogozińskiego noszącego głowę wysoko, powinna pracować na prestiżowym stanowisku. Ludzie powinni zwracać się do niej z należnym rodzinie Rogozińskich szacunkiem. Co najmniej pani sędzino, pani notariusz, w najgorszym wypadku – pani dyrektor. Powinna cieszyć się zaufaniem publicznym, a nie szukać taniej sensacji i prezentować swoje wdzięki przed kamerą.

– Halo? Kochanie? – Oddaliła się od denerwującego ją w tej chwili męża, wyjęła z kieszeni fartucha telefon i zadzwoniła do córki.

– Cześć mammo.

– Witaj, cudownie było. Jestem zachwycona, wiesz?

– Mhm.

– Mówiłaś takim zdecydowanym głosem, cudownie.

– Mhm.

– I bardzo ładnie wyglądałaś. To była nowa bluzka, prawda? Ładna, z taką falbaną. Pięknie!

– Mhm, nowa.

– Kochanie – i to podsumowanie na koniec. Bardzo dobrze wyszło. Dobrze zmontowali, prawda?

– Mhm.

– Jesteś zadowolona? Bo my z tatą jesteśmy zachwyceni. Jesteśmy z ciebie dumni.

– Mhm.

– Mhm? – Dopiero teraz zauważyła, że rozmowa z córką niewiele odbiega od rozmów

z jej ojcem. – A ty czemu nic nie mówisz?

– Bo trochę jestem zajęta... – bąknęła nieśmiało córka.

– Aha, zajęta? Pracujesz jeszcze? – Renata spojrzała na zegar ścienny. – Przecież za chwilę będzie dwudziesta pierwsza.

– Tak jakby...

– Ojej, o tej porze – zdziwiła się, ale zaraz przypomniała sobie, że czas pracy w mediach jest nieograniczony. – Dobrze, to ja nie przeszkadzam. Tylko nie przemęczaj się, proszę. Pamiętaj. Kochamy cię, jesteś świetna, córuś.

– Dobrze, paa!

– Pa, pa, kochanie. Jestem z ciebie taka dumna. Nie pracuj zbyt długo. Wyśpij się.

*

– Przepraszam. Musiałam odebrać. Matka się podnieca. – Anka próbowała ukryć zawstyżenie.

Jej matka miała wystarczająco dużo czasu na oswojenie się z tym, że córka jest dorosła, jednak jakoś jej to nie wyszło. Była w stosunku do niej zbyt opiekuńcza, zbyt gadatliwa, zbyt przyjazna, zbyt pomocna i brakowało jej przy tym wyczucia czasu. Dzwoniła zazwyczaj wtedy, gdy Ania przebywała w towarzystwie innych osób. To nie był najlepszy moment na opowiadanie matce o swoich odczuciach. Owszem, bywały chwile, gdy była Anią, małą dziewczynką, która chciała wesprzeć się na ramieniu opiekuńczej mamy, wypłakać wszystkie łzy, naładować akumulatory miłością i bezwarunkową akceptacją. Przy obcych ludziach starała się jednak zachować pozory silnej, dorosłej kobiety. Poza domem była Anną. Odbieranie telefonów od mamy psuło jej misternie budowany wizerunek. A już zwłaszcza wtedy, gdy była z NIM.

– Nie szkodzi. – Mężczyzna po czterdziestce roześmiał się, nie kryjąc zadowolenia. – Ja też się podniecam, gdy o tobie myślę.

– Spróbowałbyś się nie podniecać – prowokowała.

– Fakt, nie mam wyjścia. Zawsze kręciły mnie młode, ambitne i inteligentne dziewczyny. Wiesz, że nie mogę ci się oprzeć? Tobie i kolumbijskiej kawie.

– Tak? Nie zauważyłam. – Uśmiechnęła się figlarnie, obserwując, jak mężczyzna ubiera śnieżnobiałą koszulę, markową marynarkę i krawat.

Wyglądał imponująco. Krótko przycięte włosy, dwudniowy zarost na twarzy, umięśniona klatka piersiowa. Zdecydowanymi ruchami narzucał kolejne warstwy służbowego uniformu. Takiego go poznała. Sztynnego, wyprasowanego, odpychająco oficjalnego, w spodniach wyprasowanych na kant i koszuli bielszej od najbielszej bieli. Budzącego szacunek i lęk. Dopiero później zauważyła duże brązowe oczy, otoczone firanami długich rzęs i uśmiech mężczyzny, który dokładnie wie, na co ma ochotę. Ona

również nie potrafiła się mu oprzeć.

– Zatem, Anno, dziękuję za przemiły wieczór. – Mężczyzna stał już w przedpokoju, gotowy do wyjścia. Jego ton z minuty na minutę stawał się coraz bardziej oficjalny. – Do zobaczenia.

– Ja również dziękuję. Powiedziałabym, że cała przyjemność po mojej stronie, ale to nie byłoby chyba zgodne z prawdą. – Ruch, który wykonała biodrami, sprawił, że mężczyzna przywarł do jej ust.

– Hmm – zamruczał na wspomnienie ich wieczoru. – Przyjemność była również po mojej stronie. Ale czas wrócić do brutalnej rzeczywistości. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia – powtórzyła, studząc emocje chłodnym profesjonalizmem.

Chciała zasypać go pytaniami. Czy zadzwoni? Kiedy znowu przyjedzie? Czy kiedyś powie, że ją kocha? Nie mogła. Złamałaby ich niepisana umowę. Zachowałaby się jak pierwsza lepsza słaba kobietka, a on cenił w niej siłę i niezależność. Nie mogła więc tego zepsuć. Zbyt dużo by straciła.

– Wiesz... – Stał już w otwartych drzwiach, gdy nagle się odwrócił. – Gdyby nie ty, nie przyjeżdżałbym do Poznania...

Nie czekając na jej reakcję, zamknął drzwi. Ania zakluczyła je i wróciła do sypialni. Na łóżku stłamszona atłasowa pościel przypominała o tym, że kilka chwil wcześniej odwiedził ją mężczyzna aspirujący do miana idealnego. Zdjęła seksowny bordowy peniuar, który zwykła na siebie narzucać podczas jego wizyt i schowała do szuflady. Zamiast niego założyła ulubioną pidżamę.

– Auuuu! – krzyknęła, gdy przez głowę wciągała górę od pidżamy. Podbiegła do lustra i spojrzała na bolącą szyję. – Cholera, zapomniałam! Muszę uważać – strofowała samą siebie. – Lekarz mówił, że może mnie to boleć jeszcze kilka dni. Boże, co za dzień!

Zamknęła oczy i wciągnęła nosem duży haust powietrza. Poczowała nikłą nutkę zapachu Roberta. *Le Male* zmieszany z jego potem. „Kurcze, mógłby być mężczyzną idealnym! Czy zawsze coś musi nie grać?” – pomyślała rozżalona. „Albo facet jest głupi, albo brzydki, albo biedny jak mysz kościelna... albo... cholera!”

Usiadła na fotelu i spojrzała na komórkę. Odbierając telefon od mamy, widziała na wyświetlaczu informację o dwóch nieodebranych połączeniach.

– To Łukasz. – Machnęła ręką i odłożyła komórkę. – Wybacz Łukaszku, nie jestem w nastroju. Nie oddzwonię. Wiem, że zadzwonisz później, prawda? Zawsze dzwonisz.

Poczowała zmęczenie, nie chciała jednak sama wracać do łóżka, w którym kilka chwil wcześniej leżała z NIM. Potrzebowała paru minut na złapanie dystansu. Odwrócenia uwagi od emocji. Spojrzała przez okno. Na dworze panowała już ciemność. Z kilku otwartych okien dochodziły dźwięki ostatniego wieczornego wydania wiadomości. Na rogu

jej balkoniu, między posadzką a balustradą, zauważyła niewielką kupkę śmieci. Wyraźnie widziała, że większość to niewielkie patyki leżące jeden na drugim.

– Muszę to sprzątnąć – westchnęła i już miała podnieść się z fotela, gdy usłyszała dzwonek swojej komórki. Spojrzała więc na wyświetlacz i zanim odebrała, uspokoila sumienie, dodając: „jutro”. – Sprzątnę to jutro.

– Halo? – Usłyszała głos kobiety, która była głównym źródłem informacji w dziennikarskim śledztwie, nad którym pracowała od kilku dni.

– Tak, pani Żaneto?

– Pani redaktor, ja przepraszam, bo już późno, no. Obudziłam panią? Pewnie przeszkadzam, ale taka podekscytowana jestem, dlatego dzwonię, no. Muszę pani o tym powiedzieć. – Informatorka nie mogła opanować słowotoku. – Dzwoniła do mnie kolejna kobieta. Też trafiła do tych doktorów. Kono... jak mu było? No i do Magła.

– Leczył ją? – Ania skorzystała z sekundy ciszy, kiedy rozmówczyni zamilkła, by przełknąć ślinę, i przeszła do ustalania faktów.

Wiedziała już, że Żaneta Cieplak była prostą kobietą, która mogła ciągnąć swoją opowieść bez końca. Unikając faktów jak ognia, nie szczędząc swoich mało odkrywczych przemyśleń, domysłów i hipotez, dodając za to milion szczegółów ze swojego życia.

– Leczył.

– Wystąpi przed kamerą?

– No, ale z zakrytą twarzą. Straciła przez niego wszystko, co miała. Chce go udupić. Znaczą się, no wie pani, chce, żeby jej za to zapłacił. No!

– A wyniki badań ma? Dokumentację?

– Ma. Ma. Coś ma.

– Coś?

– No wie pani, ja się nie orientuję w tych nazwach. Pytałam, czy ma papiery. Mówiła, że ma.

– Dobrze, porozmawiam z nią. Umówi mnie pani?

– No. Mam jej adres. Już jej gadałam, że pani jest taka kochana i że pani nam pomoże. No i że ten kutas nie może tak oszukiwać kobiet! No! Sprawiedliwości musi się stać... – Rozmówczyni przez chwilę szukała odpowiedniego słowa. – Dość.

– Pani Żaneto. – Ania przerwała ostro. – Już późno. Proszę powiedzieć, gdzie mam być i kiedy?

ROZDZIAŁ IV

– Jestem gotowy. – Oparty o ścianę Artur wpatrywał się w ekran kamery.

– Dobrze, zacznijmy od początku. Pani Marleno, proszę opowiedzieć, w jakich okolicznościach poznała pani doktora Konopielskiego. – Ania zbliżyła mikrofon do siedzącej naprzeciwko niej zmęczonej kobiety.

Twarz pokrzywdzonej idealnie pasowała do wnętrza domu, którego adres podała Ance Żaneta. Zrazim osiem. Pożółkłe ściany niczym malarskie płótno przyjmowały kolejne warstwy naturalnych farb – brudu, potu i tłuszczu. W niektórych miejscach odchodził tynk, w innych przyklejone do niego szare smarki tworzyły wymyślny wzór. Dom przesiąknięty był zapachem strawionego i wypoconego alkoholu wlewanego do przełyku bez większych ograniczeń i bez preferencji smakowych. Rozgrzewającego i ważniejszego dla domowników niż tlen. Cieczy, która w zaskakująco szybkim tempie uwalnia endorfiny i dopaminę, niszcząc komórki wątroby i mózgu oraz zmniejszając aktywność leukocytów, a później wydostaje się wraz z wydychanym powietrzem i potem osadzającym się na powierzchni skóry.

– W jakich okolicznościach? – powtórzyła część pytania bezmyślnie.

– Tak. – Ania potwierdziła. – Gdzie się spotkaliście po raz pierwszy?

– Przecież mówiłam przed chwilą... – Zmęczona kobieta przyglądała się dziennikarce takim wzrokiem, jakby ta oczekiwała, że wyrecytuje jej całego *Pana Tadeusza*.

– Pani Marleno... – Ania siliła się na uśmiech, by nie zdenerwować rozmówczyni. – Spokojnie.

Studia dziennikarskie dały jej teoretyczne podstawy, które w ciągu kilku lat praktyki zmodyfikowała. Na swoje potrzeby podzieliła ludzi na heliofitów i skiofitów. Heliofici, jak rośliny światłoządne, rozglądali się za światłem kamery i dopiero przy dużym jego natężeniu czuli się dobrze. Zrobiliby i powiedzieli wszystko, byle tylko obiektyw był jak najdłużej skierowany w ich stronę. Skiofici wręcz przeciwnie. Zamierali przy kamerze, gubili wątki, tracili głos i chęć rozmowy.

– Proszę w ogóle nie patrzeć na kamerę, tak jakby jej nie było, dobrze? – Dziennikarka starała się oswoić skiofitkę. – My będziemy sobie rozmawiały, będę zadawała pytania, a pani niech opowiada, wszystko swoimi słowami, dobrze?

– No dobrze. Tylko to światło daje po oczach, myśleć nie mogę! – Kobieta wykrzywiła się i zasłoniła zmrużone oczy ręką.

– Rozumiem. – Ania ledwo powstrzymała się od komentarza. Wiedziała, że praca przed kamerą na kacu jest wybitnie drażniąca. Gdy jej się przydarzał, najchętniej nie zdejmowałaby okularów przeciwsłonecznych. – Niestety światło jest potrzebne. Chce pani

ładnie wyglądać?

– Ja? – Kobieta spuściła głowę i przyjrzała się dzinsowej spódnicy, wygrzebanej z dna szafy, specjalnie na dzisiejszą okazję. Pogładziła materiał ręką. – Chcem.

– Dobrze, pani Marleno, proszę powiedzieć, w jakich okolicznościach poznała pani doktora Konopielskiego?

– No więc tak. – Marlena przygryzła wargi i zaczęła wypowiedź, naśladowując ton dziennikarki. – Doktora Konopielskiego poznałam w okolicznościach... – Zamilkła, podrapała się po głowie i wróciła do swojego niskiego głosu: – takich normalnych, no wie pani. No co mam powiedzieć? Poznałam go i od razu rozłożyłam przed nim nogi, ha, ha, ha – Nerwowy śmiech odbił się od ścian obskurnego pokoju. – Koleżanka mi mówiła, że powinnam sobie zrobić cytologię. Wie pani, ja nawet nie pamiętałam, kiedy robiłam ją sobie przedtem. Pewnie jeszcze przed pierwszą ciążą. Po co mam łązić do ginekologa, skoro nic mi nie jest? Żeby łapy swoje wtykał...

– Czyli poszła pani do niego na wizytę, tak?

– Tak. Poszłam. I on mi tam pogmerał. Potem kazał przyjść po wyniki.

– Ale to była prywatna wizyta?

– Pani, jaka prywatna? Zwyczajna, w ośrodku zdrowia na państwową kasę. Kogo stać na prywatne? Czy pani płaciłaby kilkadziesiąt złotych tylko po to, by jakiś obcy dziad zajrzał pani w tyłek?

– Pani Marleno, yyy... – Anię zaskoczyła bezpośredniość rozmówczyni. – Dobrze. – Skapitulowała, pocieszając się w myśli, że ten fragment rozmowy się wytnie. – I jaki był wynik cytologii?

– Zły.

– Zły?

– Tak. Doktor powiedział, że jest bardzo źle.

– Źle, czyli jak?

– No, że rak. – Kobieta wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do kamery, odsłaniając żółte, niepełne uzębienie.

– Co rak? – Dziennikarka gimnastykowała się, by wydusić z kobiety odpowiedź, która nie będzie zlepkiem wyrazów. Potrzebowała zdania. Pełnego. Z orzeczeniem i podmiotem. Takiego, które wykorzysta w materiale.

– No, że to rak.

– Czyli postawił diagnozę, że ma pani raka, tak?

– Tak. Postawił tą, no tego, diagnozę. Rak szyjki.

– Macicy?

– No tak, przecież nie czego innego.

– Dobrze. I co pani wtedy czuła?

– A co miałam czuć? Pani kochana, wszystko spadło mi na głowę. Rak to wyrok. Rak to śmierć. Poryczałam się. A pan doktor złapał mnie za rękę i powiedział, że jeszcze nie wszystko stracone.

– Doktor Konopielski, tak?

– Rany, tak, Konopielski. Skurwiel jeden. Złapał za rękę i poczułam się tak, jakby mnie rozumiał, jakby się przejął moim losem. Czuje to pani? Taki doktor, pachnący i wyuczony, pochylał się nade mną. Całe życie pracowałam fizycznie. Nie jestem ładna. Nawet mój stary już na mnie nie patrzy tak, jak kiedyś. A ten doktor się przejął. I już wiedziałam, że umieram i dlatego jest dla mnie miły. Przedtem, przed rakiem, to nawet oczu znad papierów nie unosił.

– I co dalej? Dał pani jakieś leki? Pokazał wynik badania?

– Pani, nawet jeśli by mi pokazał, to co bym z tego zrozumiała? Powiedział, że to jest dość zaawansowane stadium...

– Stadium – Ania skorygowała błąd.

– Co?

– Zaawansowane stadium. Przejęczyła się pani. Proszę powtórzyć, to w montażu dokleimy – poinstruowała. – Zaawansowane stadium.

– No, za-a-wansowane sta-dium, ale jeszcze się kwalifikuje do leczenia. Tak powiedział. Ale, że to już ostatni dzwonek. Że zna taki ośrodek, w którym z tym, no, kurcze, uciekł mi ten wyraz... że tam ludzi leczą z dobrym skutkiem.

– Podał nazwę?

– Dał mi nazwisko innego doktorka i jego telefon.

– Poszła pani do niego?

– Nie od razu. Bo Konopielski zaznaczył, że ten facet to lekarz prywatny. Że na darmową wizytę u niego musiałabym czekać przynajmniej dwa lata, bo on właściwie nowych nie przyjmuje, a za dwa lata to ja już mogę być trupem.

– Czyli z wizytą refinansowaną przez fundusz trzeba by czekać. I tak trafiła pani do doktora Krzysztofa Magła?

– No. Brał siedemdziesiąt złotych za wizytę. Ale dawał leki. Jakieś superleki, sprowadzane z Niemiec. Miały zatrzymać raka i spowodować jego zniszczenie.

– Nie bała się pani przyjmować leków zza granicy? Bez polskiej ulotki?

– Ulotki, pani? Kto czyta to gównno? Maczkiem zadrukowane małe karteczki. Doktor mówił, że te tabletki są właśnie w trakcie badań, takich, co po nich będą w polskich aptekach, i że dawno by już były, ale tam jakieś polityczne kłótnie to opóźniały. Pani, ja mam politykę w dupie. Ja chcę żyć.

– Tabletki kupowała pani u Magła? – Dziennikarka zadawała kolejne pytania, układając sobie w myślach ostateczny wygląd nagrywanego właśnie reportażu.

– Tak. Chodziłam do niego co dwa miesiące, na kontrolę i po zapas leków.

– I jak się pani po nich czuła?

– Dobrze, bardzo dobrze. Nawet prawie przestałam pić, ha, ha, ha. Prawie, bo wie pani, są takie okazje, gdzie nie można odmówić. Ale między okazjami nie piłam.

– I co się stało? – Ania starała się maksymalnie skracać wypowiedzi kobiety. Potrzebowała konkretnych zarzutów, a nie jej prywatnych opowieści.

– Po jakiejś okazji bolała mnie głowa, wypijałam parę piw i poszłam do doktora. Wkurzył się, że jestem pijana i wykreślił mnie z listy swoich pacjentów, zjechał z góry do dołu, że albo się leczę, albo chlam. Skurwiel jeden, przecież od czasu do czasu trzeba wypić, jak jest okazja.

– I?

– I nic. Wkurwiłam się, ale dobrze wyszło. I tak już się zapożyczałam. Skąd miałam brać kasę na te wizyty? I jeszcze za leki mu płacić? No skąd? Niech mi pani powie?

– Kiedy skończyły się lekarstwa, to jak pani się czuła?

– Na początku źle. Jakoś słabo. I brzuch mnie bolał. Tak mi się wydawało. Dzieciakami zajmować mi się nie chciało. Obiadu staremu ugotować też nie. Ale szybko przeszło.

– Jak długo nie bierze pani tych specyfików?

– Od roku. I żyję. I mam się dobrze. Jak pani widzi.

– Leczy się pani u innego lekarza?

– Nie. Jak nie myślę o tym raku, to czuję się lepiej. Jestem zdrowa. Czuję to.

– Dobra, Artur, wyłącz kamerę. – Ania zniecierpliwiona kiwnęła na kolegę. – Pani Marleno, czy ma pani jakiegokolwiek dokumenty potwierdzające to, co pani mówi? Wynik cytologii? Innych badań? Robiono pani dodatkowe badania?

– Coś tam robili, ale nie dawali do rąk, tylko chowali do akt.

– „Coś tam”, czyli co na przykład?

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Pani Marleno, ja muszę mieć jakiś dowód. A może ma pani te lekarstwa? Albo receptę?

Rogozińska nie odpuszczała, chociaż powoli traciła nadzieję. Nie tak wyobrażała sobie rozmowę z kobietą, która miałaby posunąć do przodu jej dziennikarskie śledztwo.

– Nie. Mówiłam, że on nie dawał recept. Dawał tabletki.

– Rozumiem. Może ma pani chociaż opakowanie po tabletkach?

– Nie, nie zbieram śmieci.

Operator, korzystając z chwili przerwy, zmienił ustawienie kamery i zaczął filmować stary fotel stojący w kącie. Przykrywała go sterta ubrań, siatek foliowych i gazet.

– To jak mam uwiarygodnić pani wersję wydarzeń? Może z mężem porozmawiam? Chodził z panią na wizyty?

– Żartuje pani, a po co miałabym go brać?

Rogosińska nie odpowiedziała.

– To jak to sobie pani wyobraża?

– Zwyczajnie. Da mi pani kasę, za wywiad i na badania. Zrobię komplet badań i zobaczy pani, że nie mam raka. Jestem zdrowa i że okłamali mnie dokładnie tak samo, jak tą kobietę z Gniezna, co o niej było w telewizorze. Tą, co umarła.

– To byłby dobry pomysł, gdyby miała pani dokument potwierdzający, że wcześniej postawiono taką a nie inną diagnozę. Bez tego...

– Co się dzieje, kurwa, co to za ludzie? – W sieni domu pojawił się pijany mężczyzna.

Wszedł do pokoju, zdjął czapkę z daszkiem, rzucił ją w kierunku starego fotela. Czapka upadła dwadzieścia centymetrów przed meblem. Mężczyzna starał się złapać równowagę, trzymając framugę drzwi. Intensywnie mrugał, jakby próbując ustawić odpowiednią ostrość widzenia.

– Niech pani już idzie, to zły czas. – Spłoszona kobieta poderwała się z krzesła, popchnęła Anię w kierunku drzwi wyjściowych i pobiegła do męża. – Nic stary, kładź się do łóżka. Pomogę ci.

Ania mrugnęła porozumiewawczo na Artura. Ten kiwnął głową. Rozumieli się bez słów. Zabrali sprzęt i opuścili dom, nie zegnając się z kobietą.

– Ja pierdzielę, ale tu klimat... – Artur nie mógł opanować śmiechu, gdy znaleźli się już na podwórku.

– Co chcesz? Zrazim to się nazywa.

– Mam nadzieję, że niczym się tu nie zarazim – zażartował.

– Dobra, nakręć jeszcze to podwórko. – Wskazała ręką na zniszczoną budę, do której przypięty był łańcuchem wychudzony pies. – To błoto, rozwaloną stodołę. Może się przyda.

– Myślisz?

– Jeszcze nie wiem, spodziewałam się konkretów. Nie wiemy, czy baba mówi prawdę. Może jest głupia, ale nie kłamie. A może jest cwaniarą i powie wszystko, by dostać kilkanaście złotych na jabola. Myślę, że nie ma sensu rezygnować z tego tematu. Może coś z tego da się wydusić? Jak tu się wytnie, tam się skróci? Zobacz, jak tu filmowo. – Dziennikarka rozłożyła ręce. – Może materiał nie nada się na główny wątek... ale to taki bonus. Smaczek.

– Zajebicie śmierdzący bonus!

– No kurcze, Artek, nie ma się co dziwić. Wiadomo, że takich prostych ludzi najłatwiej naciągnąć.

– Czy ja wiem, czy prostych w tym wypadku nie jest nadużyciem? To są zwyczajni alkoholicy. Z wypalonymi mózgami...

– I brudnymi dziećmi. – Ania zauważyła dwóch małych chłopców.

Wybiegli zza stodoły. Jeden miał nie więcej niż cztery lata. Drugi przewyższał brata o głowę. Byli umorusani błotem, potargani, w rękach trzymali patyki.

– Dziećmi, którymi nikt się nie interesuje. Bo są ważniejsze rzeczy. Na przykład ojciec nawalony w trupa, mimo że jeszcze nie ma południa. – Ania westchnęła ciężko. – Wiesz co, może pojedziemy do sklepu i kupimy trochę słodyczy? Jakies czekolady, batony, chipsy? Sprawię tym maluchom choć odrobinę przyjemności.

Artur wzruszył obojętnie ramionami, jednak widząc, jakim wzrokiem koleżanka przygląda się dzieciakom, zamyślił się.

– Zdziwiasz mnie, wiesz?

– Wiem. – Spojrzała mu prosto w oczy.

Gdy Ania pojawiła się w firmie, świeżo po studiach, przy Arturze nabywała pierwszych szlifów. To on opowiadał jej o relacjach panujących w tym biznesie – o tym, z kim musi się liczyć, a na kogo nie zwracać uwagi. Zaprzyjaźniła się z nim wyłącznie zawodowo. Ceniła jego zdanie, on liczył się z jej spojrzeniem. Prywatnie żył jednak w zupełnie innym świecie. Artur Lipiec wkrótce miał skończyć czterdzieści lat, był mężem i ojcem. Po pracy zakładał na siebie dres, wełniane kapcie i starał się nie odbierać nieznanym połączeń, by nikt nie kradł mu czasu spędzanego z rodziną. Ania była jego przeciwieństwem. Żyła pracą, nawet gdy z niej wychodziła.

– Dobra, wsiadaj – zarządził, gdy w jej oczach zobaczył łzy. – Widziałem sklep po drodze. Pojedziemy. Nie wiedziałem, że widok zaniedbanego dziecka może poruszyć twoje serce.

– Jak to, chcesz powiedzieć, że nie mam serca? – Wzruszenie próbowała przykryć żartem.

– A masz? – spytał, nie spodziewając się odpowiedzi.

Przekreślił kluczyk w stacyjce. Samochód opuścił brudne podwórko.

– W sprawach zawodowych... nie. – Roześmiała się szczerze. – Każdy człowiek jest kowalem swojego losu. Jak się podkłada, to można to wykorzystać. Ale takie dzieci? Mają przesrane.

– No mają. Wiesz, Anka, odzyskuję nadzieję w to, że gdzieś głęboko w tobie siedzi ukryta wrażliwa kobieta, która kiedyś będzie dobrą matką.

– Wkurwiasz mnie, wiesz? – Wyjęła błyszczący z torebki, odchyliła osłonę

przeciwsłoneczną i pomalowała usta.

– A jak się sprawuje twoje autko? – zmienił temat.

– Nawet mi o nim nie wspominaj, stoi u mechanika. – Ania ze złością wrzuciła błyszczący do torebki. – Odmówił posłuszeństwa. Coś mu się zepsuło, ale nie pytaj mnie co. Nie zapamiętuję niepotrzebnych nazw. Coś, co trzeba sprowadzić. Mechanik już się tym zajął. A ja... tęskniąc za moją „cytrynką”, jeżdżę komunikacją miejską albo samochodem firmowym mojego upierdliwego kamerzysty.

– Upierdliwego, tak? – Zahamował, udając, że chce się zatrzymać i zostawić ją na poboczu.

– Tak, ale za to przystojnego i z rewelacyjnym wyczuciem, jeśli chodzi o zamykanie emocji na filmie. A właśnie, skoro o emocjach mowa, jak się sprawuje twoja żona?

– Dobrze, nie narzekam. Nie psuje się.

– Kurcze, liczę na to, że ten Biel nam coś powie. – Ania zamyśliła się. – Może wskaże, gdzie szukać dowodów, bo na razie nie mam ich zbyt wiele. Moje śledztwo stoi w miejscu. Póki co mam hipotezę i źródło, a muszę mieć jeszcze dowody potwierdzające wersję Żanety Cieplak. Nie mam dojścia do kartotek pacjentów doktora Magła, chociaż nawet gdybym miała, to pewnie niczego bym tam nie znalazła. Założę się, że kart oszukiwanych pacjentek tam nie ma.

– Dziwne, że ten Biel jednak do ciebie zadzwonił. Środowisko medyczne trzyma się razem. Na początku kategorycznie odmówił. Co się stało, że zmienił zdanie?

– Widzisz. – Wzruszyła obojętnie ramionami. – Może pomyślał, że nie ma nic do stracenia. Jest zbyt stary. Cieszę się, że pojedziesz tam ze mną.

ROZDZIAŁ V

Człowiek jest istotą niezwykle szybko przystosowującą się do panujących warunków. W takim pociągu na przykład. Wchodzi do wagonu, szuka miejsca siedzącego, przepycha się, niechętnie spoglądając na innych, rozkłada bagaże. Siada, jeśli tylko uda mu się upolować wolne miejsce. Pociąg odjeżdża ze stacji. Rozpoczyna się hipnotyzujący koncert. Stukot, szum, pisk, uderzenia, łoskot, szelesty, gwizdy. Natężenie hałasu rośnie. Człowiek zaczyna mówić do sąsiadów albo przez telefon. Nagle zapomina o hałasie, starając się go zagłuszyć. Myśli, że jego słowa giną przykryte pociągową melodią i szumem rozmów innych, że nie trafią do niepowołanych uszu.

Kobieta siedząca naprzeciw niego wyciąga z siatki grubą parówkę i zagryza ją, bezmyślnie zawieszając wzrok za oknem. Mruga, ale nie porusza źrenicami. Obrazy wyświetlane przez szklaną ramkę migają z zawrotną prędkością. Trudno jest zwrócić uwagę na jakieś szczegóły. Jedno drzewo, gospodarstwo, ooo i trzy krowy. Kobieta przeżuwa parówkę, szeroko otwierając usta. On chcąc nie chcąc widzi, jak duże kęsy jedzenia miażdżone przez zęby współpasażerki zmieniają się w miękką masę.

– Dzień dobry państwu. Proszę przygotować bilety do kontroli. Bileciki! – powtarza konduktor i trąca mężczyznę drzemiącego obok parówkowej kobiety.

Monotonia usypia. Odbiera energię i radość życia. Osłabia czujność. Jak można spać w pociągu wśród tylu obcych ludzi? W gównianym wynalazku naszych czasów – wagonie piętrowym. Jak można na tak małej przestrzeni zamykać setki osób? I jeszcze sadzać ich twarzami do siebie? To poważny błąd. Może i konstrukcja wagonu pozwala na zwiększenie jego ładowności bez zwiększania długości, ale do kurwy nędzy! Ludzie są tu poupychani jak świnie w transporcie do rzeźni. Piętrowo. Bez ładunku i składu. W smrodzie i hałasie. No brakuje tylko słomy na podłodze i rażenia prądem.

– Pana bilet? – Konduktor dociera do mężczyzny, z powodu którego on musi męczyć się w tym pociągu.

Doktor, znany powszechnie w środowisku lekarskim jako lekarz nieomylny, klepie kieszenie swojej marynarki. On obserwuje go uważnie. Wie o mężczyźnie na tyle dużo, na ile udało mu się dowiedzieć przez cztery dni intensywnego śledztwa.

Facet kiedyś był na szczycie, potem się stoczył. Ale żeby aż tak, że próbuje jeździć na gapę? Kurwa, tylko nie to! To zepsułoby jego plan.

– Tak, już, chwileczkę. – Po chwili nerwowych poszukiwań doktor znajduje zniszczony młodzieżowy portfel i wyjmuje z niego bilet. – O, mam! – Dziękuję. – Konduktor odchodzi, a on może odetchnąć z ulgą.

Doktorek ma takie ostre rysy. Dobrze wyglądałby na zdjęciu w delikatnym HDR-ze.

Duża rozpiętość tonalna podkreśliłaby wyraz jego twarzy. Globalny kontrast foty uległby kompresji, ale zachowane byłyby lokalne zmiany jasności. Półcień na twarzy budziłby zainteresowanie, ale i lęk przed mroczną stroną życia. I do tego rozmazane tło śmierdzącego wagonu kolejowego.

– Przepraszam, to moja stacja. – Kobieta jedząca parówkę uderza go torebką, przepychając się do wyjścia.

Posyła jej karcące spojrzenie. Stacja stacją, ale mogłaby uważać. Zawsze twierdził, że kobiety noszą ze sobą torebki tylko po to, by zawsze mieć pod ręką narzędzie do maltretowania mężczyzn.

– Kurwa – wrywa mu się, gdy miejsce, które zajmował doktorek, okazuje się puste. Obiekt obserwacji zniknął. – To już Turzno?

Nie czekając na odpowiedź, podbiega do drzwi. Na szczęście peron jest prawie pusty, od razu spostrzega postać lekarza idącego w kierunku wsi. Wyskakuje z pociągu i idzie za nim, zachowując bezpieczną odległość. O tej godzinie zaczyna się szarówka.

Oprócz doktorka i kobiety śmierdzącej parówką pociąg opuszcza jeszcze młody chłopak. Dama wsiada na rower przypięty do barierki przy budynku imitującym dworzec. Bo co to za dworzec, na którym nie ma kas? Chłopak znika w toyocie zaparkowanej przy peronie. Zostali sami. Nieświadomy i podążający w stronę oddalonych zabudowań doktorka i on – polujący i cichy drapieżnik. Dawno nie był tak skupiony.

Ma tylko jedną szansę na atak i musi ją wykorzystać. Gdy tylko dojdzie do linii lasu, ogłuszy faceta, a potem uderzy prosto w punkt vitalny. Rach-ciach i po wszystkim.

Nie, nie zamierzał myśleć o obrażeniach, jakie spowoduje ani o pieprzonych konsekwencjach. Uwolni w sobie instynkt. Jego przodkowie milion lat walczyli o partnerki i terytorium, on na pewno też to potrafi. Udawanie, że ludzie z natury nie są agresywni, jest chore. On był zdrowy i właśnie uwalniał genetycznie zaprogramowane pokłady agresji.

– Halo? – Docierając do linii lasu, upewnia się, że nikogo nie ma na horyzoncie i podbiega do doktorka.

– Tak? – Zdziwiony lekarz spogląda prosto w jego oczy.

– Adam Biel?

– Tak, o co chodzi? – Mężczyzna kuli się i robi jeden krok w tył, oddalając się, jakby czuł zbliżające się zagrożenie.

– Miło mi.

On wyciąga rękę i uśmiecha się szeroko. Tak, chce zmylić doktorka. Oszukać, zaskoczyć, przestraszyć. Chce, by ofiara przez kilka sekund żyła ze świadomością, że zaraz umrze. By nudne, lekarskie życie zdążyło przemknąć przed oczami. Wszystkie

dobre i złe uczynki.

– A właściwie nie – dodaje szybko, tkwiąc w uścisku. – Nie jest mi miło.

Przyciąga rękę Biela mocno do siebie i uderza zdziwioną twarzą ofiary o swoje kolano. Nie posądzał siebie o taką brutalność. Cios przychodzi mu z łatwością. Wraz z wybuchem pierwotnych instynktów pojawia się ekscytacja. Stara się zapanować nad oddechem. Po raz ostatni spogląda w oczy ofiary. Są zimne. Puste. Krew wypływa nosem.

Nic nie czuje. Nic nowego. Nawet obrzydzenia... Tak jakby wrzucał zużyty papier toaletowy do kibla. Trzeba jeszcze tylko spuścić wodę i zakończyć to, co się zaczęło.

*

Gdy Renata usłyszała charakterystyczne trzaśnięcie drzwiami, wyjrzała z kuchni, by zlustrować męża. Całe popołudnie spędził w ogrodzie. Odżywiał drzewa, przycinał rośliny, kosił trawę. Wypielęgnowana zieleń otaczająca ich dom była efektem wielu godzin pracy Stanisława. Odkąd przeszedł na emeryturę, całą swoją uwagę skupiał na karmieniu trawy, by miała odpowiednio nasycony odcień zieleni, pojeniu choinek, kwiatów i ratowaniu wszystkich roślin przed szkodnikami.

– Stasiu, tyle razy cię prosiłam! – zawołała karcąco, gdy zobaczyła, że kroczy przez hol w skarpetkach, z których przy każdym ruchu stóp odpadają kolejne źdźbła trawy.

– O co ci znowu chodzi, kobieto? – spytał lekceważąco, nic sobie nie robiąc z tonu głosu żony i jak gdyby nigdy nic wszedł do kuchni.

Wyjął z lodówki butelkę schłodzonego schweppesa. Wlał do szklanki i dodał kilka kostek lodu. Pił zachłannie, podczas gdy żona chodziła po kuchni jak zdenerwowana lwica.

– O co mi chodzi? Cholera jasna, czy ja jestem twoją służącą? – Nie czekając na odpowiedź męża, kontynuowała, dając upust emocjom. – Sprzątam przez cały dzień. Latam ze ścierą, odkurzam, myję podłogi, a ty w ogóle nie szanujesz mojej pracy!

– Ja? – zdziwił się.

– A kto naniósł tę trawę? Spójrz na swoje skarpetki! Całe zielone. Jak ty to robisz? Przecież kosiarka wciąga to, co skosi! Skąd to się bierze na twoich skarpetach? Przyznaj się, tarzasz się w tym specjalnie, by mnie wkurzyć? Za każdym razem powtarzam, żebyś po koszeniu porządnie się otrzepał na dworze. A ty masz to gdzieś! I wnosisz słomę do domu!

– Chcesz trochę toniku? – zapytał obojętnie, gdy złapał za butelkę, by uzupełnić opróżnioną szklanę.

– Czy ty mnie słuchasz, czy gadam sama do siebie? – Usiadła zdenerwowana na krześle.

– Wiesz, zawsze cenilem cię za błyskotliwość i inteligencję. – Uśmiechnął się do żony.

Nie mógł przecież przyznać się do tego, że wszystkie wypowiedzi wyrzucane przez nią

właśnie z takiej prędkości i takim tonie puszczał mimo uszu. Zbyt długo był jej mężem, by przejmować się nic nieznaczącym marudzeniem.

– Stanisławie, chcesz mnie jeszcze bardziej zdenerwować? Zmęczona jestem, zobacz, zrobiłam buraczki. Specjalnie dla Ani. – Pokazała ręką na dziesięć słoików wypełnionych czerwoną masą. – Nie mam siły sprzątać naniesionych przez ciebie brudów.

– Jakich brudów? Ja niczego nie widzę.

– To może powinieneś używać okularów nie tylko do czytania? Bola mnie nogi i plecy, pomógłbyś? – Nagle jej ton zmienił się diametralnie. – Zamieciesz to? – Przymiliła się.

– Później – oznajmił tonem, z którym nikt nie śmiałby dyskutować. – Idę się zrelaksować do gabinetu. Wkurzyłem się. W rogu działki pojawił się kret. Polowałem na niego. Bezskutecznie. I przez to zmrok mnie zaskoczył i nie zdążyłem skosić wszystkiego!

– No nie, czyli jutro znowu będziesz kosił i wnosił trawę do domu? – spytała zrezygnowana.

– O, widzisz. To lepiej dziś tego nie sprzątaj. Zrobisz to jutro. Po wszystkim.

Cmoknął żonę w policzek i zniknął za drzwiami swojego pokoju, w jednym ręku trzymając szklankę, a w drugiej butelkę schweppesa.

W gabinecie panował perfekcyjny porządek. Każda rzecz miała w nim swoje stałe określone miejsce. Nie można było niczego przestawiać. Nawet na regale z ogromną kolekcją nagrań muzyki klasycznej płyty ustawione były równo według przemyślanego klucza. Pierwszym kryterium był alfabetyczny podział według nazwisk kompozytorów, następnym rok wydania płyty oraz nazwa wykonawcy.

Przez chwilę stał przy regale z płytami CD, poszukując odpowiedniej muzyki. W końcu sięgnął po niebiesko-białe opakowanie, wyjął z niego błyszczący krążek i umieścił go w sprzęcie grającym.

– *Bolero*. Misterna tkanina symfoniczna. – Tak zwykł za Ravelem nazywać jego dzieło. – Idealny wybór na dziś. Życie, samo życie. – Kiwał się w jednostajnym rytmie podawanym przez werbel.

Odłożył puste opakowanie dokładnie w to samo miejsce, z którego je wyciągnął – pomiędzy płyty z innymi wykonaniami dzieł Ravela. Sam usiadł na fotelu i zamknął oczy. Prawą ręką sięgnął po pilota, który zawsze leżał w tym samym miejscu. Na oślep wduślił przycisk, zwiększając głośność muzyki.

Uwielbiał szokującą prostotę tego utworu, która dla publiczności w 1928 roku była nie do przyjęcia. Powtarzanie rozwijającego się osiemnastotaktowego tematu melodyczno-rytmicznego uspokajało go. Monotonie przerywały pojawiające się instrumenty. Każdy z nich odgrywał temat solo, a później, jak to bywa w prawdziwym życiu, odchodził na bok, do akompaniamentu. Pojawiał się nowy solista. Siła wtóru i dynamika rosły spokojnie, ale

zauważalnie.

– Taak... kiedyś też odgrywałem pierwsze skrzypce. – Pokiwał głową. – Oo, teraz Puzon! – Rozpoznawał dźwięki, a jego ręce poruszały się w rytm muzyki, jakby dyrygował orkiestrą. – Tuba i te skrzypce w tle.

Oczyrna wyobraźnia widział krótkie ruchy, jakimi smyczki ocierały się o dźwięczne struny. Dostojne uderzenia w kotły i miękką główkę pałki zbliżającej się do gongu. Rytmiczne i monotonne dźwięki.

– Mistrzostwo świata! Energia i precyzja godne podziwu – zachwycił się. – Współbrzmienie tych dwudziestu sześciu instrumentów jest pełne emocji. I to finałowe załamanie! – Podsumował zakończony utwór i po raz kolejny włączył odtwarzanie ulubionego wykonania *Bolera* Ravela pod batutą Sergiu Celibidache'a. – Załamanie... zupełnie jak w osiemdziesiątym piątym roku. Jak on się nazywał? Andrzej... Andrzej...

Stanisław przymknął oczy, by przypomnieć sobie sytuację sprzed lat. „To był chyba najmroźniejszy luty w historii”. – Niemalże poczuł ten chłód. – „Miałem na sobie grube kalesony, ale i tak trząsałem się z zimna na sali sądowej”.

– Przepraszam, wysoki Sądzie, mój klient chciałby coś powiedzieć. – Adwokat przerwał mowę Rogozińskiego.

– Teraz? – Sędzia wyglądał na niezadowolonego. – Właśnie teraz, kiedy głos ma prokurator?

– Teraz. To bardzo istotne informacje. Jeśli więc oskarżyciel Rogoziński pozwoli...

– Panie prokuratorze? – Sędzia popatrzył na Stanisława pytająco.

– Jeśli to coś niezwykle istotnego... – Ten uważnie spojrzał na oskarżonego.

Przesłuchiwał go kilkakrotnie. Andrzej Budzyński zatrzymany został pod zarzutem zabicia koleżanki z pracy. Rogoziński chciał, by przyznał się do zarzucanego mu czynu. Próbował wszystkich metod. Bezskutecznie. Mężczyzna uparcie twierdził, że jest niewinny. Nie miał jednak alibi. Prokurator był zdeterminowany. Musiał wyrobić założony przez „górną” plan. Liczba złapanych złoczyńców musiała się zgadzać. Nie miał jednak wystarczających dowodów. Im dłużej badał sprawę, tym bardziej był skłonny uwierzyć w wersję zdarzeń opowiedaną przez Budzyńskiego. Aż do tej mroźnej rozprawy sądowej. Adwokat błagalnie spoglądał to na prokuratora, to na sędziego. Budzyński siedział na ławce i kiwał się. Przód – tył, przód – tył. Po policzkach ciekły mu łzy.

– Tak, to ważne – potwierdził adwokat.

– W takim razie słuchamy. – Sędzia skinął głową, a adwokat trącił swojego klienta.

– Yyy, proszę pana, znaczy się wysoki sędzie. Chcę się przyznać. Mam dość tej sprawy, tego wyciągania brudów, niszczenia mnie i mojej rodziny. – Mężczyzna nie przestawał się kiwać, jakby był w transie. – Nie jest ważne, czy zrobiłem to, czy nie. Ważny jest spokój

mojej żony i dzieci.

– Chce się pan przyznać? – powtórzył sędzia.

– Tak, przyznaję się. To ja ją zabiłem – wyrzucił z siebie te słowa, a potem rozplakał się. Jak dwuletnie dziecko.

ROZDZIAŁ VI

Ania siedziała na miejscu pasażera w służbowym samochodzie swojego operatora i po raz ostatni przeglądała zanotowane pytania, które chciała zadać doktorowi Bielowi. Jej lista zawierała ponad trzydzieści punktów. Wiedziała, że prawdopodobnie nie dostanie drugiej szansy, więc dokładnie przygotowała się do spotkania. Musiała wyciągnąć z Biela wszystko, co wiedział i była gotowa zastosować wszelkie sprawdzone sztuczki, by osiągnąć cel. Nie mogła się więc doczekać, aż usłyszy odpowiedzi, przekonana, że dzięki nim rozpracowywana przez nią afera w końcu ruszy z miejsca. Już się cieszyła na tę myśl.

Artur prowadził samochód i podśpiewywał pod nosem przebój ostatniego tygodnia. Lubił pracować z Anną Rogozińską. Z przyjemnością obserwował, jak rzucona na głęboką medialną wodę nie tylko utrzymywała się na powierzchni, ale omijała przeszkody i płynęła przed siebie z uśmiechem na twarzy.

– Za siedemset metrów skręć w lewo – rozkazał ciepły damski głos.

– To już Turzno? – Dziennikarka podniosła głowę i przerażona spojrzała na kolegę. – Za szybko! Nie zdążyłam wszystkiego powtórzyć...

– Jeszcze nie było tablicy, ale Grażyna mówi, że powinniśmy być na miejscu za pięć minut. – Artur skinął w stronę niewielkiego ekranu nawigacji samochodowej marki Garmin.

– Grażyna? Wierzysz jej?

– Anka, no coś ty? – udał oburzenie. – Komu jak komu, ale Grażynie? Z nią jeżdżę na oślep. Jest skuteczniejsza niż moja żona. – Patrząc przed siebie, wyjaśnił: – Przynajmniej nie wyciąga lewej ręki, gdy każe mi skręcać w prawo.

– I możesz ją ściszyć... i wyłączyć, gdy cię wkurzy – rozbawiona dziewczyna wyliczała zalety. – Same plusy.

– Chyba zaraz zaczyna się wiocha. Widać jakieś zabudowania.

– Czekaaj, zwolnij! – krzyknęła, bo jej uwagę zwrócił zaparkowany na poboczu policyjny radiowóz. – Coś się tu dzieje? Cholera jasna. Czarny worek. Trup? Stój! Zatrzymaj się! Słyszysz?

– Gdzie? – Zahamował.

– Gdziekolwiek. Nie pytaj mnie, to ty jesteś kierowcą. Łap kamerę i kręć. Chodź. – Nie czekając na odpowiedź, złapała za klamkę.

– Czekaaj, nie wyskakuj w biegu, już parkuję. – Artur zatrzymał się, wrzucił wsteczny bieg, podjechał do radiowozu i zaparkował niedbale na poboczu.

– Złap mi tego trupa na zbliżeniu – zarządziła i sama podbiegła do policjantów.

W rowie oddzielającym drogę od lasu leżał duży czarny worek. Dwóch miejscowych funkcjonariuszy badało miejsce zdarzenia. Jeden z twarzą okrągłą jak księżyc w pełni obfotografowywał najbliższe otoczenie rowu. Drugi, młodszy, rozmawiał z mężczyzną w dresie.

– Dzień dobry – zagaiła.

– Dobry? Nie powiedziałbym. – Właściciel dresu zmierzył Anię dokładnie i wypiął dumnie pierś.

„Typowy samiec” – pomyślała i uśmiechnęła się zalotnie w jego stronę. Ostrożnie pokonywała stromą krawędź rowu. „Nie wyglądałoby to zbyt dobrze, gdybym poślizgnęła się i zjechała na tyłku w dół. Chociaż – zastanowiła się – może to mogłoby pomóc? Zrobiłoby im się mnie żal...”

– Proszę tu nie podchodzić! – Policjant zareagował nerwowo, spoglądając to na nadchodzącą kobietę, to na trupa, to na starszego policjanta. – Tu nie ma nic do oglądania. Proszę się rozejść.

– Przepraszam. – Zatrzymała się. – Nie ma rozwieszanej taśmy, więc pomyślałam, że mogę. – Uznała, że strategia „na blondynkę” może okazać się najbardziej skuteczna.

– A pani to chyba nietutejsza? – Mężczyzna w dresie zrobił kilka kroków w jej stronę. Nie przejmował się nerwowością policjanta.

„Muszą się znać. Pewnie wszyscy w tej wiosce się znają” – analizowała.

– A po co mam rozwieszać taśmę? – Policjant wzruszył ramionami. – Przecież o tej godzinie nikt tędy nie chodzi. A co ten facet z kamerą tam robi? Widzisz, Irek? – zwrócił się do dresa.

Chciała odpowiedzieć, że ona jednak tędy przejeżdżała i nie jest nikim, ale zrezygnowała. Zamiast tego skorzystała z okazji i podeszła do policjanta, wyciągając rękę.

– To mój kolega z pracy. Przepraszam, nie przedstawiłam się. Anna Rogozińska. Primo TV.

– Primo TV? – Na twarzy policjanta wymalowało się zdziwienie. – Cholera – dodał szeptem, odwracając głowę.

– Primo TV? Ogólnopolska telewizja? – Irek napuszył się jeszcze bardziej. Musiała zrobić na nim wrażenie. Skrzyżował ręce, napinając mięśnie i wysunął głowę. – Witam koleżankę po fachu. Ireneusz Grajewski. „Głos Aleksandrowa”. Gazeta. Z Warszawy przyjechaliście?

– Witaj. – Uśmiechnęła się ciepło. – I z Warszawy, i z Poznania – odpowiedziała wymijająco. Nie chciała ujmować sobie splendoru. Wiedziała, że hasło Primo TV, podobnie jak „stolica” lub „Warszawa”, otwiera wiele drzwi. Zwłaszcza w małych miejscowościach. – Co się stało?

Policjant otworzył usta, ale zamknął je momentalnie, gdy tylko zobaczył zbliżającą się do nich kamerę opartą na ramieniu Artura. Lipiec już dawno przyzwyczał się, że gdy tylko chwycił w ręce narzędzie swojej pracy, następował magiczny transfer wizerunku. On, prawie czterdziestoletni, niemały mężczyzna tracił nagle osobowość i ludzkie jestestwo, a stawał się jedynie stojakiem niezbędnym do trzymania kamery. To ona zaczynała żyć, na nią ludzie patrzyli, do niej mówili, przed nią uciekali, zupełnie nie zauważając jego – mężczyzny, bez którego kamera leżałaby w kącie zupełnie bezużyteczna.

– Po wszelkie informacje może pani zwrócić się do rzecznika policji – policjant wyrecytował automatycznie wyuczoną formułkę i odwrócił się do Ani bokiem.

– Ale, panie władzo. Bardzo proszę... – przymilała się.

– Nie, nie ma mowy. – Kręcił głową z taką siłą, że sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała mu odpaść. – Nie! Proszę złożyć oficjalny wniosek i wtedy otrzyma pani oficjalny komunikat. Ja nie jestem upoważniony do udzielania jakichkolwiek informacji.

– Rozumiem. Oczywiście – przytaknęła i mrugnęła dwa razy lewym okiem, dając Arturowi znać, żeby ewakuował się z kamerą. – Czyli z wypowiedzi przed kamerą nici. Żałuję, bo pokazujemy w telewizji same grube ryby, ludzi zajmujących w policji wysokie stołki, zamiast tych, którzy na to zasługują. Prawdziwych mężczyzn, profesjonalnych policjantów, pracujących w terenie, wiedzących, czym jest ta praca... przesłuchujących podejrzanych, oglądających krew, a nie tylko tych wpatrujących się w dokumenty. Szkoda...

– Ja naprawdę nie mogę... – Gdy kamera zniknęła w samochodzie, policjant rozluźnił mięśnie twarzy i cicho jęknął: – Oficjalnie nie mogę.

– A nieoficjalnie? – Ania uśmiechnęła się najbardziej słodko, jak potrafiła.

– Nieoficjalnie? – Policjant odpowiedział uśmiechem i odszedł na bok.

Ania podeszła do niego. Stanęli na skraju lasu. Mimo wczesnej pory słońce świeciło im w plecy, miło informując, że sprawdzą się prognozy pogody i dzisiejszy dzień będzie upalny. Mężczyzna w dresie podszedł do Artura opierającego się na masce swojego samochodu. Poczęstował go papierosem.

– Proszę pytać. – Funkcjonariusz policji unikał spojrzenia dziennikarki. – Ale jakby co, to nie wie pani tego ode mnie.

– Tak jest. Wiecie, czyje to zwłoki?

– Wiemy. To mieszkaniec pobliskiego Turzna.

– Znaleźliście go leżącego w rowie? Już nie żył? – dopytywała.

– Tak. Znalazło go kilku młodzieniaszków idących do szkoły. Chwilę przed siódmą.

– Ktoś go zabił?

– Zabił... – Policjant głośno pociągnął nosem i splunął na bok. – Trochę za wcześnie na takie pytania... i odpowiedzi. Okaze się jak...

– No tak. Ale czy na ciele są jakieś ślady, widać coś podejrzanego? A może to była śmierć przypadkowa? Zawał serca?

– Nie sędzę, żeby sama ofiara tak się urządziła. Według mnie został uderzony.

– Został? To mężczyzna?

– Nie, nie. Nie potwierdzam, nie zaprzeczam. Ofiara została pobita, ale celnie i zawodowo. Wie pani, nie na oślep... tylko tak, by wywołać największe obrażenia.

– Tak? Skąd pan wie?

– Wiem. Takie rzeczy widzę.

– Lata praktyki? – Spojrzała na niego, udając fascynację.

– Tak. Człowieka można zabić jednym ciosem. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie uderzać. Na przykład jest taki punkt między trzecim i czwartym kręgiem szyjnym.

– Wystarczy jeden cios?

– Uderzenie w ten punkt może spowodować utratę przytomności wskutek ciężkiego szoku mózgu, nerwów czaszkowych oraz uszkodzenie kręgów kręgosłupa szyjnego i jego rdzenia, powodując śmierć lub w najlepszym wypadku paraliż kończyn.

– I w tym przypadku spowodował śmierć – próbowała pociągnąć go za język.

„Nie wspominałby o tym punkcie, gdyby o nim dziś nie pomyślał” – wydedukowała, uważnie obserwując jego mimikę.

– W tym? A kto powiedział, że w tym? – Policjant zmieszał się.

– Pan?

– Ja? Nie – zaprzeczył i założył rękę na rękę. Jego ciało wyraźnie pokazywało, że nic więcej nie powie.

– Aha. Dobrze, to pięknie dziękuję za pomoc. – Wycofała się.

– Pomoc? – powtórzył.

– Yyy, to znaczy przykro mi, że nie chciał powiedzieć pan chociażby kilku słów do kamery. Ale dziękuję za garstkę informacji nieoficjalnych.

– Proszę bardzo, ale niech pani teraz zabierze kolegę z kamerą i opuści miejsce zdarzenia.

– Już się robi, panie władzo, tylko pożegnaj się z kolegą z branży.

Ania chciała uścisnąć dłoń policjanta, ale ten odwrócił się i odszedł bez słowa. Wróciła więc do samochodu, przy którym stali Artur i Irek.

– Dobra, zbieramy się – powiedziała na tyle głośno, by jej głos dotarł do policjanta i uspokoił go.

– To na razie. – Artur uścisnął dłoń Irka i wskoczył do samochodu.

– Narka, pozdrówcie ode mnie wielki świat mediów!

– Irek. – Rogozińska zatrzymała się, gdy miała pewność, że została sam na sam z chłopakiem z lokalnej gazety. – Masz coś? Fakty, konkrety, nazwiska, motyw?

– Nie – odpowiedział krótko, ale wydawało się, że szczerze.

– Gdybyś jednak wpadł na coś specjalnego, medialnego, no wiesz...

– No wiem. – Kiwnął głową.

– To zadzwoń do mnie. – Podała mu swoją wizytówkę. – Wiesz, że ja mam możliwości...

– Domyślam się. – Dotknął jej dłoni. – Telewizja ma zupełnie inną siłę rażenia niż taka gazetka, w której pracuję, ale wiesz, ja dopiero zaczynam. Też kiedyś chciałbym pracować w tv, a zwłaszcza w Primo TV. Dobra, podpytam kuzyna, bo ten policjant to mój kuzyn – dodał dumnie – jak coś do mnie dotrze, to będziesz wiedziała. Możesz na mnie liczyć.

– Świetnie. Będę bardzo wdzięczna. – Zabrała dłoń i wsiadła do samochodu.

Wiedziała, że Irek, dziennikarz z lokalnej gazety, postara się dowiedzieć czegoś ciekawego, by jej zaimponować. Nie, nie dlatego, że była oszałamiająco piękną kobietą. Jej kobiecość pozostawiała wiele do życzenia. Nie była szczególnie ładna ani szczupła. Zwyczajnie przyjemna dla oka. Z tłuszczkiem tu i ówdzie. Z tym, że „tu”, czyli w okolicach piersi, było go zbyt mało, za to „ówdzie”, czyli w okolicach bioder – trochę więcej.

Jej niebieskie oczy nabierały szczególnego wyrazu, gdy się uśmiechała. Wygładzony koński ogon, który był częścią służbowego uniformu wraz z białym T-shirtem i zarzuconą na niego marynarką kontrastował z wytartymi džinsami i płaskimi butami.

Ania Rogozińska mimo pospolitego wyglądu posiadała magiczną broń – specyficzną i rzadko spotykaną kombinację cech osobowościowych. Potrafiła słuchać, odczytywać mowę ciała, była empatyczna, wrażliwa, ale i pewna siebie. Rozmawiając z ludźmi, błyskawicznie ustalała, kim jest rozmówca, jak reaguje na bodźce, jakie może mieć obawy. Wiedząc, co chce osiągnąć, Anka stawiała się na jego miejscu i dzięki temu wiedziała, jak poprowadzić rozmowę, by dojść do interesującego ją wątku. Jej magiczna broń pozwalała na niezauważalne manipulowanie rozmówcami. Nie potrzebowała wysilać się, by wiedzieć, czego wymagają od niej ludzie. Dawała im to, czego oczekiwali, by otrzymać garść interesujących ją informacji.

– Będziesz wdzięczna... – Irek powtórzył jak zahipnotyzowany.

– Hmm. – Obserwując chłopaka wiedziała, że ma na myśli zupełnie inny rodzaj wdzięczności niż ona, ale nie zamierzała odzierać go z marzeń. – Jak to jest w prawdziwej telewizji? Może zadzwonię i umówimy się kiedyś na kawę? Opowiesz mi.

– Zobaczymy – odparła wymijająco. – Jeśli trafisz do Primo TV, na pewno będziemy

widywać się częściej. Powodzenia, Irku. Uciekam, bo robota czeka. – Zatrzasnęła drzwi.

Mężczyzna stał i zafascynowany przyglądał się namiastce życia, o którym marzył; zapakowanej w metalową, białą puszkę z oknami, kołami i reflektorami. Niczym tuńczykowi pływającemu kiedyś w tropikalnych akwenach Atlantyku, dziś zamkniętemu w konserwie i będącemu w tym momencie na wyciągnięcie ręki.

– Aa, sorry! – Artur Lipiec otworzył okno od strony pasażera i zawołał: – Do Turzna teraz skręcam w lewo, tak?

– Tak.

– A dwadzieścia siedem to gdzie będzie?

– Dwadzieścia siedem? To trzeci dom za kościołem. Zaraz! Dwadzieścia siedem? – Irek podrapał się po głowie.

– Tak.

– Jedziecie do doktora Biela?

– Tak, na wywiad. – Ania ożywiła się. – Znasz go?

– Yyy, znam. Znałem, znaczy się... – Mężczyzna przeżegnał się. – Nieważne, ważne jest to, że raczej z nim nie pogadacie.

– Bo?

– Bo leży w tamtym czarnym worku...

*

– Mieliśmy dziś spotkać się z doktorem Adamem Bielem, który jest kluczowym świadkiem w aferze. Pan doktor był ordynatorem w wojewódzkim szpitalu w Toruniu. Dokładnie w tym samym, w którym staż odbywali lekarze Konopielski i Magiel. Niestety dom Biela jest pusty, brama zamknięta, jego telefon komórkowy nie działa, a ciało leży w czarnym worku nieopodal domu. Prawdopodobnie został zamordowany. Czy to zbieg okoliczności? Czy ktoś bał się tego, co powie? Z Turzna Kujawskiego dla Primo TV mówiła Anna Rogozińska. – Dziewczyna wypowiedziała cały tekst, patrząc prosto w obiektyw kamery. – Koniec. I co? Masz to? – Wychyliła się, by zobaczyć twarz operatora.

– No mam, ale coś mi nie pasuje. Poczekaj, zobaczę, jak wyszło. – Artur spojrział na ekran kamery, a Ania wspięła się na bramę, by zobaczyć, czy ktoś nie kręci się na podwórku.

Podwórze było opustoszałe, jakby ludzie zamieszkujący gospodarstwo uciekli w popłochu. Drzwi od drewnianej stodoły poruszały się razem z powiewami wiatru. Przy budzie stał wyliniały i wychudzony pies niewiadomej maści. Poszczekiwał, anemicznie i bez przekonania.

– Wiesz co? Zróbmy to jeszcze raz, ale w innym ujęciu. – Artur odstawił kamerę i zaczął szukać odpowiedniego miejsca. Rozglądał się jednocześnie drapiąc zaokrąglony

brzuch. – Muszę mieć cię delikatnie z lewego półprofilu.

– Bo?

– Bo, kurczę, nakleiłaś sobie jakiś wielki plaster z postaciami z kreskówek na szyję i wyglądasz jak...

– Dobra, nie kończ. Wiem, wiem. Lekarz kazał mi chronić to miejsce przed urazami i przed słońcem przez kilka dni.

– Chronić? Takim wielkim kolorowym badziewiem?

– Tylko taki miałam – jęknęła zawstydzona. – Mama mi go dała, razem z całą reklamówką leków na wszystko.

Większość wyposażenia swojego mieszkania przywiozła z domu rodzinnego. Sztuce, talerze, garnki, ręczniki i apteczkę. Wszystko to kupiła dla niej mama. Kobieta, która nie mogła pogodzić się z tym, że jej mała córeczka parę lat temu skończyła trzydzieści lat.

– To właśnie po tej stronie masz tę charakterystyczną brodawkę? Coś się stało?

– Charakterystyczną? – Roześmiała się szyderczo. – No wiesz, ale jesteś dobrze wychowany. Nie charakterystyczną, lecz wielką. Obleşną, blee... Nie brodawkę, tylko włókniaka... I nie masz, tylko miałaś.

– Miałaś? Usunęłaś? Weź przestań! – oburzył się.

Odstawił kamerę na ziemię i podszedł do Ani.

– Tak, wkurzała mnie już... Wielka ohydna purchawa... jak u wiedźmy, i to w takim miejscu, że prawie zawsze ją łapałeś kamerą. Wypaliłam ją...

– Nie wiedziałem, że tak bardzo przejmujesz się swoim wyglądem.

– Nie przejmuję. Uznałam tylko, że taki włókniak nie wygląda profesjonalnie u dziennikarki telewizyjnej.

Oczywiście, że się przejmowała swoim wyglądem. Nie mówiła jednak o tym głośno, hołdując zasadzie, że gdyby kobiety nie użalały się nad sobą i nie pokazały mężczyznom, co to jest cellulit, to płęć męska żyłaby w błogiej nieświadomości do dnia dzisiejszego.

– Ach, wy kobiety... Nigdy was nie zrozumiem. To jest Scooby-Doo? Dobra, nieważne, stań tutaj. – Wskazał ręką furtkę. – Tu będzie dobrze. Zacznę od zbliżenia furtki. Potrząśnij ją parę razy, żeby pokazać, że jest zamknięta. Nagram to, a potem dam znak i zaczniesz mówić.

– Dobrze. – Ania pomalowała usta błyszczkiem i wykonała polecenia kolegi. – Mieliśmy dziś spotkać się z doktorem Adamem Bielem, który jest kluczowym świadkiem w aferze. Pan doktor był ordynatorem w wojewódzkim szpitalu w Toruniu. Dokładnie w tym samym, w którym staż odbywali doktor Konopielski i doktor Magiel. Niestety dom Biela jest pusty, brama zamknięta, jego telefon komórkowy nie działa, a ciało lekarza znajduje się w czarnym worku nieopodal domu. Prawdopodobnie został zamordowany.

Czy to zbieg okoliczności? Czy ktoś bał się tego, co powie? Z Turzyna Kujawskiego dla Primo TV mówiła Anna Rogozińska.

Z gospodarstwa sąsiadującego z posesją numer dwadzieścia siedem wychyliła się zgarbiona kobieta. Najpierw spojrzała na zaparkowany przy bramie samochód, a później na obcych ludzi. Zobaczyła dziewczynę z mikrofonem i mężczyznę z kamerą.

– Zara, zara, a czego wy tu szukacie? – zawołała piskliwym głosem i podeszła do furtki sąsiada, wchodząc w kadr i uniemożliwiając dalsze nagrywanie materiału. – Co to jest? Poszli won!

– Dzień dobry. – Ania odłożyła mikrofon i uśmiechnęła się do kobiety. – Bardzo się cieszę, że panią widzę, pani jest sąsiadką doktora, prawda? Wspominał mi, że ma bardzo czujnych sąsiadów. Pani... – Udała, że szuka w pamięci imienia kobiety.

– Adamczykowa. – Starsza kobieta w kwiecistym fartuchu i siwych włosach zerkała na przyjezdnych spode łba. – Czego tu chcecie? Chłopcze, won mi stąd z tą kamerą! – Zaczęła machać rękoma w kierunku Artura.

Ten, zdziwiony atakiem wysuszonej staruszki, wyłączył kamerę i przeprosił.

– No właśnie, pani Adamczykowa. Cieszę się. Anna Rogozińska. – Dziennikarka wyciągnęła dłoń w stronę kobiety, chcąc się przywitać. Staruszka patrzyła podejrzliwie na rękę, na Anię i na kamerę. Rogozińska cofnęła dłoń i wskazała na mężczyznę. – A to mój kolega Artur Lipiec. My jesteśmy z telewizji, pan doktor umówił się dzisiaj z nami na wywiad.

– Biel na wywiad? On nie gadał z obcymi. Idźcie stąd. Niech on stąd idzie, sio! – Kobieta próbowała odstraszyć przybyłych. Podobnie jak pies poszczekujący na podwórku – anemicznie i bez przekonania.

– Dobrze, Artur, poczekaj na mnie w samochodzie, proszę. Wie pani, ale ja nie jestem obca. – Ania próbowała uspokoić staruszkę. – Doktor sam do mnie zadzwonił i chciał mi powiedzieć coś bardzo ważnego. Pani go znała?

– Znała? – Staruszka w grymasie odsłoniła bezzębne dziąsła. Szybko zwróciła uwagę na to, że wzrok dziennikarki skupił się na nich i zasłoniła usta ręką. – Tak mnie zaskoczyliście, że nawet zębów nie zdążyłam założyć!

– Nie szkodzi. Znała pani Biela?

– Ło Boże. Znałam? Pieluchy mu zmieniałam, obsrany tyłek myłam. On się urodził w pięćdziesiątym drugim, ja miałam wtedy piętnaście lat. Matka przysyłała mnie tu do pomocy, bo Bielowa chorowita była. Ciągle w łóżku leżała, dzieciakiem się nie zajmowała.

– Co pani mówi?

– Bóg mi świadkiem. Ojciec pracował w polu, matka chorowała, a Adamiątko biegało samopas. Aż dziw, że doszedł tak daleko. Wyuczył się na lekarza... awansował. Najpierw

przecież był zwykłym doktorem w Aleksandrowie Kujawskim, ale po osiemdziesiątym roku dostał awans do Torunia i nawet ordynatorem był. Rodzicie chodzili dumni po wsi, ale ja proszę cię, nieraz myślałam, że on to zrobił specjalnie, by uciec stąd do miasta. – Staruszka przybliżyła się do Ani i złapała ją za rękę. – Zostawić rodziców i o nich zapomnieć. Odciąć się zupełnie.

– A odwiedzał ich?

– Nie, podobno wysyłał im pieniądze, ale proszę cię, kto ich tam wie. Tak ludzie mówili.

– Ale wrócił?

– Tak, wrócił tu sam. Do domu, nie do rodziny.

– Kiedy?

– Jakies piętnaście lat temu, gdy umarł stary Biel. Bo Bielowa, to proszę cię, chorowita była i umarła wcześniej. Chociaż i tak długo żyła. Ale to pewnie przez to, że tak leżała w łóżku, pracą się nie zajmowała.

– Czyli wrócił na ojcowiznę? Sam? A żony nie miał?

– Powiadają, że miał jakąś żonę, paniusią z miasta, ale go zostawiła. A może on ją? Kto nadaży za tymi miastowymi. Na wsi wiadomo, kobita od męża nie odejdzie, bo dzieci, zwierzęta, wspólne gospodarstwo. A miastowi... za mało mają obowiązków i z nudów szukają wrażeń.

Ania kiwała głową, obserwując staruszkę. Spracowane dłonie drżały, a przez rzadkie, siwe włosy prześwitywała łuszcząca się skóra. Kobieta początkowo niezadowolona z ich obecności wydawała się cieszyć, że złapała kogoś, komu może opowiedzieć kilka historii.

– A czy ostatnio nie widziała pani tu jakichś obcych mężczyzn?

– Obcy w tej wiosce to tylko do Biela przyjeżdżali. Wypasionymi samochodami.

– Jakimi?

– A czy ja wiem. Stara jestem, proszę cię, słabo widzę.

– A kiedy ostatnio?

– Nie wiem.

– A wczoraj albo przedwczoraj?

– Tak, chyba tak, ktoś tu był. Jeden samochód i dwie baby w spodniach.

– Baby? – Ania zdziwiła się. Miała nadzieję, że opis przybyłych pasował będzie do Konopielskiego i Magła.

– Tak, co za czasy... Kiedyś chłop to był chłop. Szorstki, śmierdzący potem i piwem na kilometr było czuć, a nie wypacykowany, wyczesany.

– Czyli z auta wysiadło dwóch wypielegnowanych mężczyzn? A jak wyglądali? Jakie mieli włosy? Albo może widziała pani rejestrację samochodu?

– Mówiłam już, że niedowidzę. Nie zwracałam na nich uwagi, bo do Adama często miastowi przyjeżdżali. – Rozejrzała się wokoło, jakby chciała upewnić się, czy nikt jej nie podsłuchuje. Ściszyła głos i dodała: – On miał problemy z pieniędzmi.

Zamilkła, gdy zobaczyła, że drogą jedzie rowerzystka. Tłusta kobieta prowadziła Wigry 3, na kierownicy którego zawieszono były siatki szczelnie wypełnione zakupami.

– Dzień dobry, pani Adamczykowa. Piękny dzień, prawda? – krzyknęła z daleka.

– Piękny? Słońce pali zboża, dychać nie ma czym, a dla pani piękny – oburzyła się staruszka i odwróciła głowę.

Gdy tłusta kobieta mijała furtkę oznaczoną numerem dwadzieścia siedem, uważnie przyglądając się Ani, kiwnęła głową i bezgłośnie powiedziała dzień dobry.

– Problemy? – zapytała dziennikarka, gdy tylko rower zniknął z pola widzenia.

– Podobno grał w karty na pieniądze. – Staruszka ożywiła się. – Od lat. Kiedyś Franczakowa, właśnie ta, co ją pani teraz widziała, gruba żmija, która gniazdko uwiła na plebanii, ona mi mówiła, że słyszała, jak ksiądz mówił wójtowi, że Biel rozwiódł się z żoną i zostawił jej cały majątek w Toruniu; mieszkanie, samochody. Sam wrócił do Turzna, by uwolnić się od nałogu, ale nadal grał i wyprzedawał po kolei ojcowiznę: ziemię, zwierzęta, sprzęt. Teraz nie zostało mu nic oprócz domu. On nawet telewizora w domu nie miał, ale lekarzem był dobrym, proszę ciebie, bardzo dobrym. Mnie zawsze pomagał. Za darmo. Za ciasto albo ciepły obiad. Innych też leczył, całą wioskę, ale ich już za pieniądze.

Zniecierpliwiony Artur nacisnął klakson. Słońce przemieszczało się coraz wyżej, podobnie jak słupek rtęci na termometrze przyklejonym do szyby samochodu. Po czole kierowcy ściekał pot, mimo okien otwartych na przestrzał. Ania pomachała mu, dając znak, że zaraz przyjdzie i wyjęła z torebki wizytówkę.

– Bardzo, bardzo pani dziękuję, pani Adamczykowa. Czyli wczoraj był tu obcy samochód? I dwóch mężczyzn? – starała się podsumować.

– No przecież mówiłam. – Hałas klaksonu zirytował staruszkę.

– Gdyby pani coś jeszcze się przypomniało, to bardzo proszę o telefon. Tutaj jest mój numer. – Wskazała na wizytówkę.

– To numer na komórkę?

– Tak, zawsze mam ją pod ręką. Muszę już iść... – Ania zaczęła oddalać się od rozmówczynie. – Do widzenia. – Podchodząc do samochodu, krzyknęła jeszcze w stronę kobiety: – Miło było panią poznać osobiście!

Operator filmowy siedział za kierownicą i wachlował się teczką na dokumenty formatu A4, z dużym logo stacji telewizyjnej na okładce. Gdy zobaczył idącą w jego kierunku dziennikarkę, zatarł ręce i odpalił samochód.

– Ja na komórki nie dzwonię. To zdzierstwo! – Gdy staruszka zorientowała się, że nie

będzie mogła kontynuować opowieści, wróciła do niezadowolonego tonu. – Won mi stąd! Miastowi do miast! Zostawcie wieś w spokoju! – krzyczała, wracając do swojego domu.

– Ale folklor! – Artur obserwujący zdarzenie z samochodu wydawał się niezwykle rozbawiony. – Babcia mogłaby zrobić furorę w mediach.

– Mogłaby. Boże, jaki upał. – Ania uniosła dół bluzki i zaczęła go o stanik. – Wybacz mi mój goły brzuch, ale płonę.

Najchętniej zdjęłaby z siebie wszystko łącznie z bielizną. Przejęta przepytywaniem staruszki nie czuła rosnącej temperatury powietrza, ale gdy tylko wsiadła do nagrzanego samochodu, zaczęło przesładować ją wrażenie, że siedzi w narciarskim kombinezonie na egipskiej plaży.

– Trzeba było tyle nie gadać na słońcu, tu przecież grama cienia nie ma. – Trafna uwaga Artura rozzłościła ją.

– Ta, trzeba było... Baba była śmieszna, ale i pomocna. Widziała przed domem Biela samochód z dwoma zadbanymi facetami. Wczoraj albo przedwczoraj. To mogli być Magiel i Konopielski. Przyjechali porozmawiać z doktorkiem. Chcieli go uciszyć...

– Wierzysz jej? – Artur włączył silnik.

– No nie wiem. Czekał, zaraz możemy wracać do Poznania. Muszę tylko wykonać jeden telefon.

*

– Kamil Grabowski, słucham.

– Witam panie Kamilu, Anna Rogozińska z tej strony. – Głos szefa działał na nią stresująco zawsze wtedy, gdy chciała go o coś prosić. – Nie przeszkadzam?

– Witam. Słucham?

– Dzwonię, bo jestem właśnie razem z Arturem w Turznie Kujawskim i mamy trupa.

– Trupa? Ale chyba nie w firmowym samochodzie? Albo co gorsza na masce firmowego samochodu?

– Nie. To miejscowy lekarz. Zamordowany. Leżał w rowie. To hot news, może go puścimy? Myślę, że nadałby się do wiadomości.

– Zaraz, zaraz. Kto go zamordował? – Szef jak zwykle domagał się konkretów.

– Jeszcze nie wiadomo. Dopiero rano odkryli zwłoki. Byliśmy jedyną ekipą telewizyjną na miejscu zbrodni...

– A co to za lekarz? – Mężczyzna przerwał jej tonem, który sprawił, że jej poziom stresu przekroczył dozwolone normy.

– Adam Biel. Miałam dzisiaj z nim rozmawiać w sprawie prowadzonego przeze mnie śledztwa dziennikarskiego. – Starła się nie dać po sobie poznać zdenerwowania.

Chwilami dużo kosztowało ją udawanie obojętnej. Owszem, była opanowana.

Wyjątkowo dobrze radziła sobie z ograniczaniem uzewnętrzniania emocji. Ale na miłość boską, urodziła się kobietą. Czuła świat wszystkimi zmysłami. Bała się porażki. Wiedziała jednak, że skoro weszła między wrony, musi krakać jak one. Branżą medialną rządzą mężczyźni. Chcąc osiągnąć sukces, musiała wykreślić z katalogu emocji: stres, ekscytację i histerię.

– Biel? Nie znam. A jak ja nie znam, to inni też nie. To co mam puszczać? Jaki to hot news? Zamordowano jakiegoś dziadka i tyle.

– Ale ja... on miał mi pomóc, jego zeznania miały obciążyć pewnych kolesi. Może to oni chcieli go uciszyć...

– Aha, a niby skąd ci kolesie mieli wiedzieć, że denat będzie z panią rozmawiał?

– Jeszcze nie wiem. – Rogozińska zamknęła oczy. Rozmowa potoczyła się w zupełnie niechcianym przez nią kierunku. – Ale się dowiem.

– Chyba za dużo filmów się pani naoglądała. Nie puszczam.

– Ale... może to ważne... – Momentalnie zganiła siebie za użycie słowa „może”. Chciała przekonać szefa do swojej racji, a nie obdarzać go wątpliwościami.

– Nie, nie ma mowy. Jak będzie miała pani coś naprawdę ważnego, to puszczę. To nie jest sensacja. Nie nadaje się do naszego programu. Kończę.

– Aaa, chwila. Szefie, czy wiadomo coś o tych wakatach w Warszawie? Miało się dziś wyjaśnić?

– Nie. Nie ma nic nowego.

ROZDZIAŁ VII

„Tyle godzin spędzonych w samochodzie po to, by nawet nie zobaczyć zwłok Biela?” – Ania nie mogła opanować złości. „Gdybyśmy to my go znaleźli! Gdybym chociaż mogła przeszukać jego dom! Może coś bym znalazła? A tak zrobiliśmy sobie kilkugodzinną wycieczkę, by porozmawiać z kimś, kto już nie żyje. Złośliwość losu”.

Przechodząc z sypialni do łazienki, przystanęła w miejscu, z którego widać było jej balkon. Przy balustradzie niezmordowana wróblowa mama budowała gniazdo. Machała skrzydełkami, układała znalezione pióra i patyki, by za chwilę znów odfrunąć w poszukiwaniu kolejnych materiałów budowlanych.

– Matka natura planując życie nawet takich małych istot, nie uwzględniła samców... Chyba nawet wiem dlaczego. – Roześmiała się szyderczo. – Chcesz na kogoś liczyć? Licz na siebie. Mała ptaszynka, zaraz będzie wysiadywać jajka, ale najpierw musi być dla siebie projektantem, kierownikiem budowy i firmą deweloperską..., a gdzie jest samiec? Pewnie siedzi na jakichś drutach elektrycznych z innymi ptakami, szukając mocnych wrażeń. Albo z kumplami ogląda się za ptasimi lafiryndami.

Dzisiejszy wieczór wolałaby spędzić w domu, ale już tydzień temu umówiła się na kolację z Łukaszem Zawodnym, nie wiedząc, że akurat ten dzień będzie dla niej wyjątkowo męczący i frustrujący. Miała wrócić z Turzna Kujawskiego zadowolona. Miała pękać z dumy. Jej śledztwo dziennikarskie miało ruszyć jak z kopyta. Niestety Adam Biel zakpił sobie z niej i jej planów. Przynajmniej w jej mniemaniu.

Miała ochotę odwołać spotkanie z Łukaszem, ale limit wymówek wyczerpała w zeszłym tygodniu. Postanowiła więc podejść do najbliższych dwóch godzin zadaniowo. „Krótka kolacja, płytka rozmowa i zwiewam do domu” – zaplanowała. Założyła więc kwiecistą sukienkę i stanęła przed lustrem. Łazienkowe lampy, zamontowane po wszystkich stronach lustra, rzuciły na jej twarz słupy białego i zimnego światła, bezlitośnie odsłaniając zmarszczki i inne niedoskonałości skóry kobiety po trzydziestce.

– Wyraz mojej twarzy mówi sam za siebie. I zupełnie nie pasuje do tej radosnej sukienki – stwierdziła, z uwagą przyglądając się swojemu odbiciu. Nie podobała się sobie, a to zdarzało się bardzo rzadko. Nie dlatego, że była zarozumiała. Renata Rogozińska przekazała córce tajemnicę szczęścia: „Kochaj siebie – powtarzała bardzo często. – Nie ma znaczenia jak wyglądasz, ważne jest tylko to, jak siebie widzisz. Kochaj siebie”. – Chyba żaden makijaż nie jest w stanie go zmienić. Może zasłonię sobie twarz rozpuszczonymi włosami?

O osiemnastej rozległ się dzwonek. Przed drzwiami stał Łukasz, jak zwykle punktualny, uśmiechnięty i dobrze pachnący, z bukietem kolorowych kwiatów w ręku. Pół

godziny zastanawiał się w kwaciarni nad ich wyborem. Już niemal kupił czerwone róże, ale uznał je za zbyt oczywiste. Przypomniawszy sobie, że Ania ceni sobie w ludziach oryginalność, a przecież na jej uznaniu mu zależało.

– Witaj. – Gdy otworzyła drzwi, wszedł do środka i dwukrotnie obejrzał ją z uznaniem. Najpierw od stóp po głowę i z powrotem w dół. – Pięknie wyglądasz. Proszę, to dla ciebie. – Wręczył jej bukiet.

– Dziękuję. Piękne i takie naturalne. – Powąchała kwiaty i wstawiła do wazonu. – Nie trzeba było. Rozgość się, ja jeszcze potrzebuję chwili. – Wróciła do łazienki, nie zamykając za sobą drzwi. – W kuchni na blacie stoi sok, nalej sobie – krzyknęła, rozczesując włosy.

– Mną się nie przejmuj. Poczekam. – Ominął kuchnię i usiadł na sofie w salonie.

Mieszkanie w pełni odzwierciedlało charakter lokatorki. W oczy rzucały się liczne oryginalne rozwiązania i widać było, że Anka podąża za nowymi trendami w urządzeniu wnętrz. W salonie na ścianach i meblach dominował biały kolor. „Zimny – podsumował Łukasz – ale jednocześnie piękny”. Futurystyczne półki wypełnione książkami, czarno-czerwone zasłony zawinięte na karniszach oraz pusty kubek, stojący na ławie, z pozostałością odcisniętej, czerwonej pomadki na brzegu – wszystko to budziło w Łukaszu podziw.

Poznał Anię na pierwszym roku studiów dziennikarskich. Była dziewczyną jego kolegi z akademika. Urocza, zabawna i zawsze szybko podejmująca decyzje. Przyciągała wzrok wielu mężczyzn. Łukasz był jednym z nich. Kilka razy bawili się na tej samej imprezie. Raz nawet, gdy Ania pokłóciła się z chłopakiem, próbował pomóc jej wyjaśnić nieporozumienie. Później ich drogi się rozeszły. Łukasz zmienił kierunek studiów, a Ania rozstała się z chłopakiem. Spotkali się przypadkiem jakiś rok temu. Wtedy zdecydował się do niej zbliżyć.

– Dzwoniłem ostatnio do ciebie... Nie oddzwaniałaś! – krzyknął w stronę łazienki. Najchętniej podszedłby do niej, skoro zostawiła otwarte drzwi. Wyobrażał sobie, jak kobieta jego marzeń stoi przed lustrem i zmysłowo otwiera usta, by pomalować je seksowną pomadką.

– Nie? – Ania wyszła z łazienki i uśmiechnęła się promiennie.

Wyglądała olśniewająco. Rozpuszczone włosy swobodnie opadały na ramiona. Kobięca sukienka opinała jej kształty. Usta podkreśliła delikatnie różową szminką idealnie pasującą do koloru jej paznokci.

– No, nie. – Roześmiał się. – Mówiłem już, że pięknie wyglądasz?

– Mówiłeś. Widzisz? Powtarzasz się. Umknął mi twój telefon, ale na szczęście zadzwoniłeś po raz kolejny – lawirowała między prawdą a tym, co mogło być miłe dla jego uszu. Wiedziała, że sama prawda nie będzie. – Fajnie, że zadzwoniłeś.

– No tak. I chyba tym razem wybrałem idealny moment, bo w końcu dałaś się zaprosić na kolację.

Wiele razy próbował umówić się z nią na spotkanie. Na kawę, kolację czy do kina. Za każdym razem odmawiała. Jeśli już przyjmowała zaproszenie, to chyba tylko po to, by po chwili odwołać spotkanie z powodu nieplanowanych zdarzeń, które stanęły jej na drodze. Łukasz Zawodny dawno stracił nadzieję, ale przy każdej okazji powtarzał pytanie dotyczące spotkania. Tak na wszelki wypadek i z przyzwyczajenia, zupełnie nie wierząc w powodzenie misji pod tytułem „randka z Anną Rogozińską”.

– Jesteś gotowa? Idziemy? – Uniósł się z sofy.

– Zamiast pytać, lepiej mi się przyjrzyj i sam odpowiedz na pytanie, czy jestem gotowa.

Ania zaprezentowała się przed nim zupełnie nieskrępowana. Obrót w lewo. Prawy półprofil, lewy półprofil. Obrót w prawo. Nie mógł oderwać oczu od zaokrąglonej strefy jej bioder. Przestała się okręcać i stanęła w korytarzu, czekając na jego opinię. Pochlebiali mu to.

– Hm. – Wykorzystał okazję, by jeszcze raz, dokładnie obejrzeć kobietę swoich marzeń. Podeszedł do niej, spojrzał na dekolt i fryzurę. – Wyglądasz oszałamiająco. Nie widziałem cię jeszcze takiej... w wydaniu wieczornym.

– Raczej wieczorowym – poprawiła go. – W wieczornym wydaniu chodzę w pidżamie w misie i z kubkiem kakao w ręku.

– Ooo. – Nie mógł oprzeć się docierającym do niego sygnałom.

Nie dość, że po tygodniach prób w końcu dała się zaprosić na kolację, zaczęła z nim jawnie flirtować. Łukasz chciał to wykorzystać. „To moja szansa – powtarzał sobie – muszę zaprezentować się w najlepszym świetle. Muszę jej zaimponować”. Wizja kobiety ubranej tylko w pidżamę, którą szybko można by zdjąć, zdawała się kusząca. Wizualizował sobie ciało Ani i pidżamę, celowo unikając misiów. „Misie nie są sexy” – pomyślał i zwilżył wargi.

– Ooo? – powtórzyła, usuwając jednak z jego wcześniejszego „ooo” ładunek emocjonalny będący jednocześnie pytaniem, wezwaniem i rykiem godowym. – Tylko nie traktuj tego jak zaproszenia. Chodź, głodna jestem.

Opuścili mieszkanie, rozmawiając o pogodzie. W taksówce nie zamienili ani słowa. Obecność kierowcy onieśmieliła Łukasza. Nie wiedział, jak interpretować sprzeczne sygnały wysyłane mu przez Anię. Ona z kolei zastanawiała się, w którym momencie kolacji będzie wypadało jej wrócić do domu. Tak by nie urazić kolegi, jednocześnie dając mu do zrozumienia, że ich spotkanie nie jest randką.

– Podoba ci się tu? – spytała, gdy dotarli do restauracji.

– To moja ulubiona knajpa.

– Ulubiona? – Rozejrzała się z niedowierzaniem dookoła.

Lokal wyglądał, jakby został żywcem przeniesiony z Dzikiego Zachodu. Drewno było wszechobecne: na podłodze, ścianach, suficie. Nawet na słupach podtrzymujących sklepienie. Drewniane krzesła stały przy kwadratowych stołach, na środku których znajdowały się puste butelki – jedyna rzecz w zasięgu wzroku Ani wykonana z innego surowca niż drewno.

– Aha – przytaknęła. – Brakuje tu kobiet... Ciekawe czemu? – prowokowała.

– Kobiet?

– Tak, takich w uniesionych długich sukniach, z podwiązkami na udach, tańczących kankana na tym drewnianym barze.

– Klimatycznie, prawda? – Pokiwał głową dumny z wyboru.

– Prawda... – zająknęła się – klimacik jest...

„Gorzej wybrać nie mogłeś” – dodała w myślach. „Konie, kowboje, wielki płat surowego mięcha. Dla mnie wielka masakra. Piłą teksańską”.

– To na co masz ochotę? – Łukasz postanowił stać się przewodnikiem Ani w krainie smaków.

Specjalnie zabrał ją w tylko sobie znane miejsce, by zabłysnąć i pokazać się z najbardziej męskiej strony. Chciał, by na chwilę straciła pewność siebie i dała się sobą zaopiekować.

– Hm. – Ania kontrolnie zerknęła na zegarek i wzięła do ręki menu.

– Ja zawsze jem tu steki. Najlepszy jest półkrwisty z pieprzem, znajdziesz go na czwartej stronie.

– Nie cierpię steków. Zwłaszcza gdy leje się z nich krew.

– To może sałatka? Kobiety chwalą sobie grecką, tu podają z prawdziwą fetą.

– Nie, dziękuję. – Włosy zjeżyły jej się na głowie.

Przyjrzała się koledze uważnie. Jakoś dziwnie się zachowywał. Zupełnie inaczej niż zwykle. Co to za teksty o innych kobietach? – Oburzyła się, starając się jednak nie pokazać tego Łukaszowi. Zaczęła odliczać czas, który powinien upłynąć do końca spotkania, tak by nie sprawić koledze zbyt dużej przykrości, ale jednocześnie opuścić to miejsce jak najszybciej.

– Skoro prowadzasz się z anorektyczkami, to niech wpieprzają sobie zieleniznę. – Nie mogła jednak powstrzymać złości. – Ja, jak widać... – Wskazała na swoje biodra i brzuch. – Lubię zjeść konkretnie.

– To nie wiem, może kotlet szwajcarski?

– Łukasz? – szepnęła.

– Tak? – Ton jej głosu speszył go.

Mógłby przysiąc, że usłyszał w nim odrobinę pożądania. „Gdyby życie było filmem – rozmarzył się – to w tej chwili Ania nieśmiało szepnęłabym mi do ucha... Łukasz? Darujmy sobie te steki! Chodźmy do ciebie. Jestem spragniona”.

– A może pozwolisz mi samej przeczytać menu? – Głos Ani zabrzmiał prawie tak samo, jak sobie wyobrażał Łukasz. Tylko wypowiedziane słowa niosły ze sobą zupełnie inny komunikat.

– Słucham? Yyy... – Zganił siebie w myślach, zdając sobie sprawę z tego, jak się zachowuje. – Chciałem tylko pomóc, coś polecić.

– Dziękuję serdecznie, wybiorę sama. Jeśli będę miała pytania, to nie myśl, że ich nie zadam. Umieję czytać. Jakoś udało mi się skończyć studia.

Zapanowała niezręczna cisza. Ania wybrała szybko danie i wpatrywała się w kartę potraw, unikając wzroku Łukasza, a ten starał się przypomnieć sobie jakikolwiek żart, który byłby odpowiedni na tę chwilę. Na szczęście do stolika podszedł kelner i przyjął zamówienie.

– Zapracowana jesteś ostatnio? – spytał ostrożnie, widząc minę Ani.

Nie wyglądała na zadowoloną. Na jej czole pojawiła się zmarszczka. Duża i widoczna z każdej odległości, jak znak informujący na autostradzie o robotach drogowych.

– Tak, okrutnie – bąknęła od niechcienia.

– Coś ciekawego czy rutyna? – Nie chciał, by jedli kolację w ciszy. Postanowił zabić ją pospolitą rozmową. Był przekonany, że ich dzisiejsze spotkanie jest jedną wielką klapą. Na bieżąco szacował straty. Chciał jakoś dotrzeć do końca, a potem zapaść się pod ziemię.

Dlatego więc zdecydował się kontynuować temat, którego wcześniej obiecał sobie nie poruszać. Praca. Potrafił odmienić ją przez wszystkie przypadki. Kto i co jest dla ciebie ważne? Praca. Kogo i czego nie wyobrażasz sobie stracić? Pracy. Komu i czemu poświęcasz się w całości? Pracy. Z kim i z czym wyjeżdżasz na wakacje? Z pracą. O kim i o czym myślisz najczęściej? O seksie. Yyy, wróc. O pracy. Częściej o pracy – stać go było na szczerść z samym sobą. Do zakończenia odmiany przez przypadki brakowało jeszcze biernika. Bierność, jego bierność była zarzutem zamykającym mowę końcową każdej odchodzącej od niego kobiety. Każdej kolejnej. Wtedy używał wołacza: „Ooo!... OK, skoro tego chcesz!”.

– Pracuję już tyle lat, ale nie narzekam na rutynę. – Ania ożywiła się. – Każdy materiał to nowi ludzie... a wiesz, jak to jest. Nowi ludzie, nowa energia...

– I nieprzewidziane problemy – dokończył zdziwiony.

– Dokładnie. – Pokiwała głową. – Czasem żałuję, że nie studiowałam psychologii. Ludzie mnie fascynują i zadziwiają. A zwłaszcza źródła ich motywacji. Tylko nie wiem,

czy pięć lat studiów to aby nie za krótko na poznanie tak złożonej nauki.

Słowotok płynący z ust Ani rozluźnił Łukasza. W końcu mógł porozmawiać z kobietą o pracy. Bez ograniczeń, obaw i uników. Widział w jej oczach pasję, którą znał z autopsji.

– Ja byłem na psychologii, pamiętasz? Wytrzymałem tam jeden rok. Okropnie było. Jakoś miałem inne wyobrażenia i oczekiwania. Rzeczywistość była dołująca. Wkuwanie definicji, niepotrzebnych dupereli...

– Zawsze tak jest... – Ania zapomniała o upływającym czasie. Lubiła rozmawiać o pracy. To był jeden z tematów, który potrafił zrelaksować ją w każdej chwili. – Rzeczywiście, coś pamiętam, jakby przez mgłę. Trochę to trwało, zanim znalazłeś odpowiedni kierunek studiów, co? Wiesz, usunęłam tamten okres z pamięci. Ale zrezygnowałeś z psychologii? Czy ona z ciebie? Co w końcu skończyłeś?

– Ja z niej. Na rzecz politologii. Pisałem magisterkę o politycznym PR.

– Coś ty? Zawsze mnie to ciekawiło!

Zmarszczka z czoła Ani zniknęła. Podobnie nuda i poczucie klęski. Na stole pojawiły się talerze z parującymi potrawami, a na twarzach siedzącej przy stole pary – wypieki. Rozmowa płynęła sama, a rozmówcy chłonęli siebie nawzajem, czując ogarniającą ich wspólnotę myśli.

– Prawda? Też tak uważam. Dobry PR jest jak profesjonalny makijaż. Niezbędny dla każdego, kto chce dobrze wyglądać. Ukrywający niedoskonałości, uwypuklający zalety.

– Noo, nooo, imponujesz mi swoją znajomością sztuki makijażu – zażartowała. – PR zmniejszający wielkie nosy, ukrywający podwójne podbródki, powiększający oczy...

– Każdy chce wyglądać lepiej niż w rzeczywistości, być pokazywany w lepszym świetle...

– Wiadomo. No chyba, że jest skiofitem.

– Skiofitem? – powtórzył, bo pojęcie było mu obce.

– No – przytaknęła i uśmiechnęła się ciepło – takim, co nie lubi światła. W sensie kamer. Ale dlaczego nie zostałeś w świecie polityki?

– To długa historia. Opowiem ci przy innej okazji. Powiedz mi lepiej, nad czym ostatnio pracowałaś?

– Ostatnio? – Ania przyjrzała się uważnie koledze, chcąc sprawdzić, czy jest gotowy na przydługą opowieść. – Najczęściej robię krótkie materiały interwencyjne. Wiesz, tak trochę w klimacie problemów społecznych. Brudno, ale nie za mocno, bo jeszcze widz nie będzie chciał oglądać. No i to, co mi zleca danego dnia. Rozmowa z prezydentem, jakimś księdzem itp. Wszystko z naszego regionu. Jestem na drabinie i stopień, na którym stoję, może nie jest wysoki..., ale muszę go pokonać, by wejść wyżej. Z takimi materiałami mam większą szansę być wpuszczona na antenę. Ja jako ja. Chociaż na dwadzieścia sekund. Ja,

a nie tylko mój materiał.

– Wiem, wiem. Podziwiam cię. – Jego oczy pełne były nieudawanego uczucia. – Praca w telewizji to dla mnie masakra. Ciągłe ktoś chce cię wygryźć, ciągły stres... A ty na dodatek marzysz, by wejść jeszcze wyżej, gdzie poziom stresu przekracza wszelkie normy.

– Pamiętałeś? Jak miło. Już na pierwszym roku o tym marzyłam. Ogólnopolska telewizja. Grupa szybkiego reagowania, o wysoce podwyższonym ryzyku straty pracy. Żyję po to, by spełniać swoje marzenia. Będę kiedyś jak Anita Werner!

– Wierzę w ciebie! – Położył dłoń na jej dłoni. – Wiesz, mnie telewizja odpycha. Wolę gazety. W zeszłym roku pracowałem dla miesięcznika...

– Tak pamiętam – potwierdziła. Chciała pokazać mu, że uważnie słucha tego, co do niej mówi. – Wtedy chyba się spotkaliśmy po latach, oboje czekaliśmy na konferencję premiera.

Pamiętała Łukasza ze studiów. Ciepłe spojrzenie. Zaokrąglony brzuch, wyraźnie odznaczający się pod koszulą. Nieodłączne, przybrudzone zamszowe buty, potocznie zwane „mychami”. Zawsze był dla niej miły i pomocny. Wtedy nie zwracała na niego uwagi, boksując się ze swoim ówczesnym ideałem mężczyzny. Zawodny, chował się w jego cieniu, jednocześnie pokazując Ani, że on nigdy jej nie zawiedzie.

Gdy spotkała go po latach, ucieszyła się i jednocześnie przeraziła. Wydorósł. Mysi chłopak stał się mężczyzną. Nie było już śladu po jego brzuchu, zamszowych butach i misiowatej nieśmiałości. Odważnie zestawiał kolory i wzory. Robił to jednak z niesamowitym wyczuciem, świadomie bawiąc się modą. Przyciągał uwagę ofiar, by jak rosiczka zwabić je do siebie. Następnie unieruchamiał je zniewalającym uśmiechem i pewnością siebie, a na koniec zapewne rozpuszczał niewieście serca mieszanką empatii, szczerości i urokiem osobistym.

Radość Anki ze spotkania z Łukaszem związana była z tym, że nie знаła lepszego materiału na przyjaciela. Powiernika tajemnic dającego wsparcie duchowe. Lęk budził się w niej, gdy odnajdywała w jego spojrzeniu drobne ślady mogące świadczyć o jego zainteresowaniu relacją bardziej zaawansowaną niż koleżeństwo. Miała wyrobione zdanie na temat przyjaźni damsko-męskiej – jako taka mogła istnieć jedynie w sytuacji, w której strony byłyby dla siebie całkowicie aseksualne. Uważała, że przyjaciel musi być pozbawiony płci, bo tylko ten warunek zapewniał według niej bezpieczeństwo. Zauważenie u niego chociaż szczypty seksualności jest balansowaniem na linie. Narazaniem się na wypadek przy pracy.

– Dokładnie. Jak cię zobaczyłem, to myślałem, że śnię. Niesamowity zbieg okoliczności. – Zamilkł i szybko wrócił do tematu głównego. – Ja od trzech miesięcy pracuję w gazecie codziennej. To zupełnie inny job. Nie mam na nic czasu.

– Dlaczego?

– Bo codziennie potrzebne są nowe teksty. Ja odpowiadam za notki interwencyjne.

Staram się, by wszystkie zadymy w Poznaniu były moje. I pobicia, i trupy.

– Ooo, ciekawy zbieg okoliczności.

– Okoliczności?

– Noo, gdybyś był tak uprzejmy i dawał mi cynk, jak jedziesz do jakiegoś trupa, to moglibyśmy się częściej widywać. Pliz, pliz, pliz. – Złożyła ręce i spojrzała na niego błagalnie.

– Prosisz mnie, bym dawał ci cynk? – Zmarszczył czoło, udając srogiego. – Oddawał informacje?

– Jakie oddawał? – Oburzyła się, ledwo powstrzymując śmiech. Wcześniej nie zauważyła, że mają podobne poczucie humoru. Lubią śmiać się z innych, ale i z siebie. – Przecież telewizja i gazeta nie są konkurencją. Wyślesz mi SMS, ja przyjadę, popatrzę, nakręcę materiał. Taki rodzaj symbiozy. Muszę przecież z czegoś żyć.

– I piąć się po drabinie?

– Przeszkadza ci to?

– Nie. – Pokręcił głową zgodnie z prawdą. – Wręcz przeciwnie. Tak jak mówiłem. Podziwiam cię. Wiesz, czego chcesz i jesteś szczerą. To wybuchowa mieszanka, gdy doliczyć do tego jeszcze twój wygląd.

– Uważaj, bo eksplodujesz – zażartowała, chcąc ukryć speszenie.

Gdyby zamiast w westernowskim salonie siedzieli przy stoliku w modnej restauracji, w której panuje całkowita ciemność, chłonęłaby zachłannie jego słowa. Dawno z nikim jej się tak dobrze nie rozmawiało. Znała go od lat. To ułatwiało konwersację. Czowała, że się rozumieją. Jednak przeszkadzała jej jego fizyczność..., a może pomagała? Przyzwyczajona do starego, niegroźnego wizerunku Łukasza otwarcie mówiła o swojej pasji, emocjach i marzeniach. Po chwili jednak spoglądała na jego biceps, a fragment tatuażu intrygująco wyzierającego spod T-shirtu uświadamiał jej, że przez te lata chłopak się zmienił. I..., że zmieniła się też ona sama.

Żałowała, że nie mogła wyłączyć chociaż jednej funkcji mózgu i po prostu poddać się uczuciu. Zawsze coś w jej głowie strajkowało, skutecznie odbierając jej resztki nadziei na przeżycie prawdziwej miłości. Łukaszowi niby nic nie miała do zarzucenia, ale jakoś ciągle postrzegała go jako misiowatego kolegę ze studiów, a w przypadku Roberta protestował zdrowy rozsądek. Wiedziała, że nie mogłaby żyć z żonatym mężczyzną, który był starszy od niej o dwanaście lat. Musiałaby dzielić się nim z obecną panią Zielińską i dwoma byłymi.

– Świetnie, będziesz miała swój wybuchowy materiał. Fajerwerki, trup i awans.

– Tak, a wiesz... – Zdecydowała podzielić się z Łukaszem dziennikarskim śledztwem, o którym nawet pracującemu z nią filmowcowi nie opowiadała zbyt wiele. – Mam już jednego trupa.

– Ale chyba nie w domu, w szafie?

– Nie, nie żartuj. Mówię serio. Pracuję nad aferą lekarską.

– Aferą? – Łukasz zdziwił się.

– Dobra, powiem, ale to tajemnica. Nie pisz o tym w swoim szmatławcu.

– Rozumie się samo przez SIEBĘ – zaakcentował ostatni wyraz, będąc pod wrażeniem zaufania, jakim właśnie został obdarzony. – Przecież jesteśmy na spotkaniu prywatnym. Nie wykorzystuję osobistych znajomości w niecnym zawodowym celu.

– Dotarła do mnie kobieta. – Ania ściszyła głos i zaczęła snuć opowieść. – Jej siostra umarła.

– Na co?

– Podczas operacji, na stole. Miała trzydzieści dwa lata. Źle zareagowała na znieczulenie. Stanęło jej serce.

– Boże, a na co była chora?

– Generalnie na nic. – Dziennikarka machnęła ręką. – To znaczy mieli usunąć jej wyrostek robaczkowy. W szpitalu leżała już na stole. Podali jej znieczulenie i... dupa. Trup na miejscu. Dyrektor placówki złożył doniesienie do prokuratury, bo przecież lekarz zabił pacjentkę. Sprawa toczyła się... Nieważne, to akurat nieważne.

– Aha, a co jest? – Łukasz starał się nie zadawać zbędnych pytań.

– Dyrektor szpitala zapewniał, że nie było przeciwwskazań do wykonania zabiegu, że kobieta była zdrowa. Mąż też to potwierdzał, ale...

– Wiedziałem, że będzie jakieś, ale...

– No właśnie. Ale siostra tej zmarłej dzwoniła do mnie z prośbą o pomoc, bo według niej kobieta chorowała. I to przewlekłe, a stwierdzenie, że była zdrowa, mija się z prawdą.

– Chorowała? Na wyrostek?

– Nie. Nie tylko. Lekarz zdiagnozował u niej raka szyjki macicy.

– Gubię się. To wyrostek czy rak?

– Łukaszku, wyobraź sobie... Lekarz zdiagnozował u kobiety raka. Leczył ją, a potem zaczął boleć ją brzuch i okazało się, że trzeba szybko usunąć wyrostek.

– Jaki lekarz?

– No przecież nie chirurg, który miał jej wyciąć wyrostek. Jakiś ginekolog. To znaczy nie jakiś. Ja znam jego nazwisko.

– Nadal nie rozumiem, o jakiej aferze mówisz. – Łukasz nie był w stanie połączyć faktów.

Dopił piwo, które zamówił do steka, odstawił kufel i kiwnął na kelnera, pokazując, że prosi o dolewkę. Młody chłopak podbiegł błyskawicznie do stolika, zabrał pusty kufel, podszedł do baru i uzupełnił go kolejną porcją złocistego płynu. Gdy skończył nalewać, prawą ręką otarł czoło i zanim osuszył rękę, wytarł też pianę ściekającą po ściance kufła. Gdy piwo pojawiło się przez Łukaszem, ten, nie zważając na względy estetyczne, od razu wziął duży łyk.

– Skup się – rozkazała Ania. – Chodzi o to, że kobieta trafia do ginekologa, który informuje ją, że ma raka. Ona panikuje, ale lekarz uspokaja, że to dopiero wczesne stadium i można to leczyć.

– No, bo można – przytaknął i oblizał pianę, która osiadła mu na ustach.

– No tak, ale sprytny ginekolog wysyła ją do kumpla. Oczywiście do prywatnej przychodni. Kumpel bierze kasę, potwierdza diagnozę i daje leki. Superleki. Takie, których nie kupisz w Polsce.

– Daje? Czyli testuje leki na ludziach bez zezwolenia?

– Nie wiem jeszcze, czy testuje. Wracając do kobiety, znaczy jej siostry. Zadzwoiła do mnie, prosząc o pomoc, bo w szpitalu powiedzieli, że zmarła była zdrowa i tak też wpisano w dokumentację. Pytała o raka, ale ją wyśmiali. Nowotwór znikł tak nagle... jak się pojawił.

– O kurde... – Łukasz chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zamilkł, bo przy stoliku ponownie pojawił się kelner.

Tym razem inny niż ten, który nalewał piwo. Zabrał talerze po posiłku. Zapytał jeszcze, czy para ma ochotę na deser, ale nie doczekał się odpowiedzi i odszedł w stronę kuchni. Łukasz patrzył na Anię jak zaczarowany.

– Ja powiedziałabym więcej – odparła, gdy kelner wystarczająco oddalił się od stolika.

– Kurewsko magiczne wyleczenie. Ile zapłacisz, żeby wyleczyć raka?

– Dużo...

– Właśnie. A jeśli nie jesteś chory, tylko celowo wprowadzono cię w błąd, by wyciągać kasę?

– Ale wyciągając wnioski i dochodząc do takich hipotez śledczych, opierasz się tylko na jednym źródle?

Ania uśmiechnęła się. Umówiła się na kolację z Łukaszem dla świętego spokoju. Tyle razy zawracał jej głowę, tyle razy odmawiała, że w końcu postanowiła mieć to już za sobą. Bała się tego spotkania, sztucznej sytuacji, napięcia. Rozmowy w przelocie były tak miło niezobowiązujące. Bezpieczne. W każdej chwili mogła się ewakuować, wymyślając usprawiedliwienie. Umówione spotkanie zobowiązywało do zupełnie innej konwencji. Zupełnie nie spodziewała się, że odnajdzie w nim tak rzeczowego i zorientowanego

partnera do rozmowy.

– Nie, rozmawiałam telefonicznie z jeszcze jedną kobietą. Ten sam schemat. Pierwszy lekarz zdiagnozował raka szyjki macicy. Skierował do prywatnej kliniki, do drugiego. Niby cudem znalazł się dla niej jakiś bliski termin wizyty. Potem biegła na kolejne pełnopłatne wizyty. Brała tabletki, czuła się dobrze. Zero objawów. Myślała, że zdrowieje, że miała szczęście i trafiła do dobrego doktora. Wszystko szło jak po maśle do czasu, gdy kobieta, z którą rozmawiałam, zmuszona została do przeprowadzki do Berlina, do córki, by opiekować się jej dziećmi. Zapomniała o lekarzu i tabletkach. Nie miała czasu na myślenie o raku. A gdy córka na siłę zaciągnęła ją do lekarza, okazało się, że jest zdrowa, raka nie ma...

– Może to zasługa leku? – zapytał przytomnie.

– Tak, wierzysz w to? Zasługa leku, którego nie można kupić w aptece? Doktor nigdy nie wypisywał jej recepty. Zawsze dawał zapas tabletek. Łukasz, ja myślę, że oni oszukują kobiety. Cwaniaczki w białych kitlach. Zastraszają rakiem, wyciągają ile można kasy, dają witaminę C albo coś podobnego. A gdy kobieta zaczyna być zbyt upierdliwa, przestają ją przyjmować albo mówią, że rak minął.

– Może? Powinnaś porozmawiać z jakimś lekarzem. – Zamyślił się, przeszukując w myślach swoją książkę kontaktów. – Czekał, niech pomyślę, może kogoś znam?

– Nie myśl. Bo w tym momencie wracamy właśnie do mojego trupa.

– Trupa? – Łukasz wyglądał na zaangażowanego i przejętego sprawą.

– Trupa lekarza.

– Z trupem raczej nie porozmawiasz.

– Odkrywcze! – Roześmiała się. – Miałam dziś rozmawiać z informatorem. Lekarzem, który znał tamtych podejrzanych lekarzy. Oczywiście, początkowo zapierał się, że to nie jego sprawa i nie będzie rozmawiał z mediami o środowisku lekarskim. Ale potem zmienił zdanie. Nie wiem dlaczego.

– Ale co? Zmienił zdanie i umarł?

– Nie, zmienił zdanie i umówił się ze mną.

– Gdybyś nalegała, też bym się z tobą umówił – mruknął, nieświadomie wracając do założonego przez siebie punktu wyjścia – flirtu.

– Ale on się umówił – zignorowała jego zaczepkę – i został zabity. Wrzucono go do rowu, kilkadziesiąt metrów od jego domu.

– Mówisz? To masz niezły orzech do zgryzienia.

– Wiem. I go zgryzę, chociaż miałabym połamać sobie zęby – zadeklarowała ochoczo.

– Domyślam się. Wiesz, że jesteś niesamowita?

– Wiem – odpowiedziała najbardziej nieskromnie, jak tylko potrafiła. – Tylko pamiętaj,

że opowiedziałam ci tę historię w zaufaniu.

– Cieszę się, że mnie nim obdarzyłaś. Będę pamiętał. Tajne przez poufne. – Udał, że zamyka swoje usta na kłódkę, a kluczyk wyrzuca za siebie.

Ania spojrzała na zegarek. Zbliżała się dwudziesta trzecia. Na początku spotkania planowała, że pożegna się z towarzyszem najpóźniej o dziewiętnastej trzydzieści.

– Uuu, ale się zasiedzieliśmy. – Rozejrzała się dookoła. – Prawie wszyscy już wyszli. Zbieramy się?

– Tak miło się rozmawia... – zawahał się. – No dobra, zbieramy się. Rano trzeba iść do pracy. Poczekaj, tylko zapłacę.

Łukasz podszedł do kelnera i wyjął portfel. Ania obserwowała go uważnie. Był dobrze ubrany. Granatowe dzinsy wydłużały jego nogi, sportowa marynarka podkreślała sylwetkę, a neutralne buty świadczyły o klasie. Nie można było nie zauważyć, że pod ubiorem skrywa się atrakcyjne i wysportowane ciało.

– Aniu. – Ciepły głos Łukasza zabrzmiał po raz kolejny, gdy opuścili restaurację. – Widzę, że kochasz swoją pracę. Tak jak ja. Rozumiem, podzielam i popieram. Ale chciałem zadać ci bardzo osobiste pytanie, o ile się nie obrazisz?

– Ojej, już się boję, ha, ha, ha. – Znowu roześmiała się, chcąc ukryć zmieszanie. – Pytaj.

– Aniu, myślisz czasem o rodzinie?

– O rodzinie? – Zdziwiła się.

Zupełnie nie spodziewała się takiego pytania. Gotowa była na temat dotyczący seksu, przyjaźni, kolejnego spotkania..., ale nie rodziny. Po raz kolejny tego wieczoru Łukasz Zawodny zaskoczył ją. Nie potrafiła jednoznacznie powiedzieć, czy jej się to podobało.

– Tak, myślisz, żeby założyć kiedyś rodzinę? – Starał się łagodnie sprecyzować swoje myśli. Spędził z Anią kilka godzin, które tylko upewniły go w tym, że to właśnie ona powinna zostać matką jego dzieci. Może nie tak od razu, ale chciał wiedzieć to teraz. – Jesteśmy już oboje po trzydziestce. To znaczy, yyy... – Wyraz jej twarzy zupełnie zbił go z tropu. – Ty oczywiście nie wyglądasz na swój wiek, ale wiesz, jak to jest. Ja czasem myślę... – Chciał ją oswoić i zachęcić swoim wyznaniem.

– A ja nie – odpowiedziała krótko, widząc jak się miota. – Mam rodzinę, nie muszę jej zakładać.

Jedno jego pytanie w odczuciu Ani zepsuło cały wieczór. Nagle przypomniała sobie, jak bardzo się spieszy, jak bardzo jest zmęczona i jak wiele różni ją od Łukasza.

– Masz??? – Zdziwiony uniósł brwi.

– Tak. Mam troskliwą matkę i lodowato męskiego ojca – wyjaśniła i nie czekając na jego reakcję, dodała: – Muszę już lecieć! Pa!

ROZDZIAŁ VIII

Nie cierpi pociągów. Stara się na tym nie skupiać, ale zawsze, gdy siedzi w tej kupie żelastwa, ogarniają go te same złe przeczucia. Dlaczego ludzie masowo korzystają z kolei? Zna lepsze i dużo wygodniejsze sposoby podróżowania. Na przykład latanie! Samolot wzbija się w powietrze, a człowiek staje się wolny jak ptak. Ład i porządek panujące na lotniskach zawsze utwierdzają go w przekonaniu, że ktoś to wszystko kontroluje. Zupełnie inaczej niż na dworcach. Tu wszystkim rządzi przypadek. Pomyłone perony, przyjazdy i odjazdy w godzinach, które tylko czasem zgadzają się z tymi podanymi na wielkich żółto-białych plakatach zawieszonych w holu dworca.

– To może łyknijmy jeszcze raz? Za PKP? Że tak bezpiecznie wozi nas od lat! – proponuje.

Pasażer spogląda na niego mętym wzrokiem, ale wyciąga rękę po butelkę wódki. I bardzo dobrze! W końcu kupił ją specjalnie dla swojej ofiary. Dla Piotra Wolnego.

– Za PKP! – Obserwując ofiarę, udaje, że pociąga wielki łyk i przekazuje butelkę.

Zupełnie niepotrzebnie spinał się, myśląc, że nie uda mu się zaczepić Wolnego. A teraz siedzi rozczarowany, że tak łatwo poszło. Pytanie „czy to miejsce jest wolne?” wraz z płynącym od niego odorem alkoholu i pełną butelką wódki trzymaną w ręku zadziałało na Wolnego skuteczniej niż aksamitnie czarne VIP-owskie zaproszenie. Przyjął go do przedziału z otwartymi rękoma, a dokładniej mówiąc z rozdziawioną gębą prawie czterdziestoletniego mężczyzny. Cóż się dziwić. Duszno było..., a faceta pewnie suszyło.

– I za życie! – pada kolejny toast, Wolny przełyka kolejną porcję alkoholu.

– Za życie, nawet jeśli jest do dupy!

Czerwone policzki i wielki nos mężczyzny niemalże wtapiają się w tło.

Nie wie, co jest bardziej zniszczone: obicie kanapy, które przeżyło niejedno spotkanie z ostrym nożem, czy porowata skóra na twarzy Wolnego pełna ohydnych blizn.

– I za ciebie! Już miałem cię normalnie wypierdolić z mojego przedziału, ale pomyślałem sobie, że równy z ciebie gość!

Facet zadziwia go swoją kreatywnością. Rzuca co chwilę nowymi propozycjami toastów. Ciekawe czy kiedyś mu się skończą? Zresztą mniejsza z tym, gorzej, że druga flaszka jest już prawie pusta. Dobra, koniec tej zabawy, czas działać.

– Kurwa, lać mi się chce, mogę tu z boczku? – Chyba minął się z powołaniem, bo udawanie pijanego przychodzi mu z łatwością.

– Chcesz lać w wagonie mojego ukochanego Pe-Ka-Pe? Ocipiałeś? Pe-Ka-Pe to moje życie, nie szczaj na moje życie! Idź do kibla!

– Nie dojdę, weź mi pomóż... – Facet musi z nim wyjść z tego pieprzonego przedziału,

dodaje więc ostro: – Kurwa, już nie wytrzymam.

Sięga ręką w okolice rozporoka. Wolny, kołysząc się, wstaje i wyprowadza go na korytarz. Śmierdzi. Nawet w pierwszej klasie musi capić; potem, alkoholem, brudem i sam nie wie czym jeszcze. Dworcem? Marginesem społecznym?

– Tu masz kibiel. Lej! – Pokazuje mu palcem WC.

– Cholera, chyba zaciął mi się zamek, weź zlituj się nad człowiekiem i pomóż...

Zwabia ofiarę do środka kibla, bo trudno nazwać to toaletą. To raczej przedsiemek szamba. Zamyka drzwi. Na metalowej muszli klozetowej sterczy kawał gówna. Na ten widok i zapach mimowolnie zbiera mu się na wymioty. Nie chce analizować smrodu, który nieproszony wpycha się do nosa, ale gdyby go zamknąć w ozdobnych buteleczkach, stałby się najbardziej rozpoznawalny na świecie. Bardziej niż jakieś Chanel, Dior czy Kenzo. Fetor pekapeowskiego kibla. *Spécialité de la maison.*

Przy pierwszym ciosie zebra Wolnego wydają głuchy dźwięk, a on traci przytomność.

– Myliłeś się, nawet nie wiesz jak bardzo. To Pe-Ka-Pe zabrało ci życie!

Drugi cios skierowany w głowę ćwiczył wiele razy w domu. To nie problem uderzyć byle jak. Nie problem zabić człowieka. Każdy prawdziwy mężczyzna to potrafi... Ale uderzyć tak, by spowodować jak największe obrażenia i by jednocześnie nie trysnęła krew? To wyższa szkoła jazdy. Dzięki ćwiczeniom cios wychodzi mu po mistrzowsku.

Chciałby zatrzymać ten kadr jak najdłużej. Nieruchomy Wolny leżący na brudnej podłodze. Gwizd mijającego ich pociągu przypomina mu jednak, że czeka go jeszcze jedno zadanie. Wykonuje je automatycznie. Robił to wiele razy w myślach. Sprawdzenie pulsu. Brak. Dobrze. Otwarcie drzwi od wagonu. Wyrzucenie bezwładnego cielska na tory. Powrót do przedziału. Tym razem jednak modyfikuje swój plan. Wraca do śmierdzącego kibla.

– Jest dobrze.

Kontrolny rzut oka w lustro. Wygląda zupełnie normalnie. Zero wzburzenia. Zero wypieków. Zero poczucia winy. Tylko swędzi go nos. Z lewej strony. Zaraz? Jak to było? Jak swędzi na środku, to będzie gość, jak po prawej to złość, a jak po lewej to miłość...

ROZDZIAŁ IX

Tego dnia Ania ledwo podniosła się z łóżka. Bolała ją głowa, a denerwujący dźwięk budzika i promienie słoneczne atakujące twarz nie dawały jej spać. Były obojętne na jej prośby, groźby i tłumaczenia.

– Jeszcze minutkę, jeszcze chwileczkę, zamknę oczy jeszcze na dwie sekundy.

Wiedziała, że wczorajszy wieczór wymknął się spod kontroli. Za dużo wypła i zbyt późno poszła spać.

Zwlekła się z łóżka i zjadła suchą bułkę, popijając sokiem pomarańczowym. Umyła zęby i zmęczona wróciła do łóżka. Była bliska podjęcia decyzji o krótkiej drzemce, gdy dostała SMS od Łukasza. Na chwilę zamarła i odczytała wiadomość. Krótki komunikat na szczęście nie miał nic wspólnego z wczorajszym wieczorem. Skoczyła na równe nogi.

– O której możesz po mnie podjechać? Jestem w domu – zadzwoniła do operatora.

– Jadę właśnie do pracy. Jeśli skrećę zaraz w lewo, to będę u ciebie za pięć minut.

– To skreć.

– A co? Masz ochotę na poranny seks?

– Artur, kurwa, czekam. To ważne.

Nie miała ochoty na żarty. Wrzuciła komórkę do torebki, błyskawicznie ubrała się i stanęła gotowa do wyjścia w korytarzu. W tym samym momencie zadzwoniła komórka. Odebrała ją licząc, że to Artur melduje swoje przybycie pod blok.

– Halo? Kochanie?

W telefonie zabrzmiał jednak głos matki i to tak głośno, jakby stała tuż za drzwiami, które Ania właśnie otwierała. Za późno było jednak na udawanie przerwane połączenia lub pomyłki.

– Halo?

– Kochanie?

– Co?

– Nie dzwonisz do mnie. Żyjesz? – Renata Rogozińska zawiesiła głos.

– Czy gdybym nie żyła, to odebrałabym telefon?

– A mogłabyś nie odpowiadać pytaniem na pytanie?

– Ciekawe po kim to mam?

– Nieważne. Ubrałaś się ciepło? Dzisiaj słońce jest bardzo złudne. Niby świeci, ale wiatr wieje... i jest wyjątkowo zimny.

– Wiatr wieje... odkrywczę, mam.

– Ubrałaś się ciepło?

– Tak.

– A co masz na sobie? Pewnie się rozgogoliłaś?

– Mamo!

– Dobrze, śniadanie jadłaś?

– Mamo!

– Czyli nie jadłaś.

– Jadłam – odpowiedziała zdecydowanie Anka.

– A co?

– Bułkę... – Po chwili zastanowienia, chcąc uniknąć niepotrzebnych komentarzy rodzicielki, dodała: – Z masłem i szynką.

– A co masz dziś na obiad?

– Obiad będę miała za jakieś siedem godzin. Nie wybiegam planami tak daleko. Proszę cię, mamo...

– Co mamo, co mamo? Pewnie znowu nic nie zjesz. Chuda jesteś jak patyk, a faceci lubią kobiety z ciałkiem.

– Mamo!

– Masz jeszcze jakieś słoiczki?

– Chyba nie – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Ostatni słoik z domowym obiadem zjadła cztery dni temu. Na kuchennym blacie stała kolekcja pustych słoików, czekająca na wymianę. Renata Rogozińska zamykała w nich nie tylko domowy smak mający przypominać córce o rodzinie. Przyozdabiała je kolorowymi naklejkami i na każdej kaligrafowała nazwę zamkniętej w słoiku potrawy. Na wieczka nakładała przycięte wielobarwne serwetki i przewiązywała je kolorowymi wstążeczkami. Wszystko po to, by przynajmniej raz dziennie, w porze obiadowej córka mogła przypomnieć sobie o miłości, którą ją obdarzała Renata.

– Chyba?

– No tak mi się wydaje.

– No to musisz do nas przyjechać. Dzisiaj robię dla ciebie zapasy. Twoje ulubione mięsko w sosie...

Ania w tej chwili nie miała czasu myśleć o jedzeniu, ale nie chciała przerywać matce. To znaczy chciała jak najszybciej zakończyć rozmowę i wrócić do tematu, który zerwał ją dziś na równe nogi, ale... Znała matkę od trzydziestu pięciu lat i wiedziała, że próba przerwania takiego słowotoku może albo niebezpiecznie wydłużyć konwersację, powodując niepotrzebną kłótnię, albo urwać ją w sposób wysoce niepożądany z powodu obrazy stanu.

Nie chciała urazić matki. Trzymała więc telefon przy uchu i wyłączając w mózgu funkcję słuchania, zamknęła drzwi do swojego mieszkania, zbiegła na dół i wsiadła do samochodu Artura, który zdążył już zaparkować pod jej blokiem. Językiem migowym

uświadomiła mu, że jedno ucho ma zajęte słuchaniem monologu matki.

– Dokąd jedziemy? – Lipiec ściszył radio.

– Pobiedziska Letnisko, jakiś kilometr za stacją PKP.

– Pobiedziska? Po co?

– Coś mówiłaś? – Matka przerwała relacjonowanie córce spotkania z sąsiadką. – Za jaką stacją?

– Nie mam, nie mówiłam do ciebie, tylko do kolegi, bo ja już w pracy jestem – odpowiedziała ciepło, licząc, że matka zrozumie delikatną aluzję.

– Już w pracy? Co do ciebie zadzwonię, to ty w pracy jesteś, dziecko! Albo już, albo jeszcze. Wiesz, Irenka mówiła, że jej córka też spędzała mnóstwo czasu w pracy, aż pewnego dnia...

Ania po raz kolejny wyłączyła świadomość. Nie brakowało jej asertywności i nigdy nie prowadziła rozmów telefonicznych, na które nie miała ochoty. Jednak tym razem czuła, że mama jest jakaś dziwna.

„Pewnie pokłóciła się z ojcem, bo ani razu o nim dziś nie wspomniała” – pomyślała. „Gdybym miała wolną chwilę, spytałabym wprost, ale dziś... to nie jest dobry moment”.

– Jesteśmy! – po kilkunastu minutach Artur zaparkował samochód przed policyjną taśmą odgradzającą dojazd do torów.

– Mamo, przepraszam cię najmocniej. – Ania spojrzała na wyświetlacz telefonu. Od ponad trzydziestu minut matka przekazywała jej zupełnie nieistotne informacje. – Muszę już kończyć. Zadzwonię jeszcze dziś, dobrze? Powiesz mi, o co tak naprawdę chodzi, ale teraz muszę zająć się pracą!

Renata Rogozińska zdziwiona zmianą tonu córki i ostatnim wypowiedzianym przez nią zdaniem zamilkła i nie zdążyła nawet pożegnać się. Ania wyłączyła telefon i energicznie wyskoczyła z samochodu na ulicę. Chciała nadrobić stracony czas. Niewiele brakowało, by uderzyła torebką w radiowóz odjeżdżający z miejsca zdarzenia. Kątem oka zauważyła siedzącą w nim znajomą postać.

– Bierz kamerę! – Rzuciła torebkę na siedzenie i popędziła Artura.

W tym samym momencie zauważyła Łukasza. Stał przy torach, za policyjną taśmą i rozmawiał z policjantem. Błękitna koszula z długim rękawem zasłaniała miejsce, które wczoraj ją intrygowało. Ucieszyła się. Przynajmniej będzie mogła się skupić na pracy, zamiast zastanawiać się, co przedstawia tatuaż na jego przedramieniu.

U stóp mężczyzn leżał duży czarny worek kryjący zwłoki. Dwóch ratowników stało przy karetkie pogotowia. Ania pomachała w stronę Łukasza. Zauważył ją i od razu ruszył w jej kierunku.

– No nareszcie! Jesteś! Co tak długo? – krzyknął radośnie.

– Jestem. – Z dużą przyjemnością cmoknęła go w policzek. Zaimponował jej. Samo prowadzenie rozmowy z policją w takim momencie, było sukcesem. Przekroczenie policyjnej taśmy graniczyło z cudem. – Pisałeś, że masz dla mnie hot newsa i że mam wziąć ze sobą kamerę, więc wzięłam, ale chwilkę to trwało. – Wskazała na Artura, który stał za jej plecami gotowy do pracy. – Co masz? Czy to jest to, o czym myślę? – spytała, znacząco spoglądając na czarny worek.

– Nie wiem, o czym myślisz... – Łukasz zaśmiał się dwuznacznie i dokładnie przyjrzał mężczyźnie trzymającemu kamerę. – Chciałaś trupa? To masz. Trup, że hej. Specjalnie dla ciebie. Powinnaś być zadowolona.

ROZDZIAŁ X

– Gotowa?

– Tak.

Ania stanęła w bezpiecznej odległości od policyjnej taśmy, zabezpieczającej miejsce zdarzenia. Artur skadrował obraz tak, by w tle widać było policjantów stojących za taśmą.

– Zaczynaj!

– Dzisiaj, kilkanaście minut po godzinie siódmej przy torach odnaleziono zwłoki mężczyzny. Jak udało mi się dowiedzieć, ciało denata zauważyła młoda dziewczyna jadąca pociągiem relacji Poznań–Gniezno, która zawiadomiła konduktora, a ten – odpowiednie służby. Nieoficjalne wiadomo, że mężczyzna leżący przy torach, to mieszkaniec okolicznej wsi – Pobiedziska Letnisko. Musiał opuścić jadący pociąg jakieś półtora kilometra przed stacją. Przyczyny śmierci na razie nie są znane. Okoliczności zdarzenia wyjaśnia policja. Nasuwa się jednak pytanie: czy jesteśmy bezpieczni w polskich pociągach? Dlaczego każdy może otworzyć drzwi w trakcie jazdy? Dlaczego nie ma zabezpieczeń? Z miejsca tragedii mówiła dla państwa Anna Rogozińska, Primo TV.

– Dobra, mamy to. – Artur zdjął kamerę z ramienia, postawił ją na ziemi, a z kieszeni koszuli wyjął paczkę papierosów. – Ten pismak, twój kumpel, mówił, że od faceta jechało alkoholem?

– Tak mówił.

– Czyli nawalił się... i postanowił wysiąść w trakcie jazdy. Nieźle. – Papieros z paczki trafił bezpośrednio do ust mężczyzny, a jego ręce zaczęły poklepywać kieszenie spodni.

Artur podsumował zdarzenie z charakterystycznym dla siebie brakiem wrażliwości.

„Cierpię na specyficzną nadwrażliwość” – próbował czasem tłumaczyć kobietom, na których mu zależało. „Odbieram wszystkie bodźce zbyt intensywnie, cały świat do mnie krzyczy. Ja to widzę. Widzę, czuję i przeżywam. Ale na swój sposób, z kamerą w ręku. To w niej zamykam wszystkie emocje. Te, które obserwuję i nagrywam, i te, które przeżywam. Dlatego jestem dobry w tym, co robię, a moje filmy są prawdziwe. Z tego samego powodu po odstawieniu kamery potrafię żyć i patrzeć z dystansem na otaczający mnie świat”.

Wielokrotnie tłumaczył to swojej żonie, gdy oburzona komentowała jego zachowanie. Wyjaśnił to również Ani. Raz. Na początku ich wspólnej pracy. Ona pokiwała głową i powiedziała: „Rozumiem. Nawet nie wiesz, jak bardzo”.

– Albo wydawało mu się, że to już stacja. – Nie wiadomo, z której strony pojawił się Łukasz, który skończył właśnie robić zdjęcia miejsca zdarzenia. – Ja już mam cały materiał, a wy?

– My też – odpowiedział Artur i wyciągnął w stronę przybyłego palce, pomiędzy którymi trzymał papierosa. – Masz ogień? Cholera, żona musiała mi chyba dziś wyjąć zapalniczkę ze spodni.

– Nie, nie palę. – Łukasz westchnął z ulgą. – Palenie rzuciłem dokładnie rok, dwa miesiące i pięć dni temu – dodał dumny z tego, że wyrwał się ze szponów nałogu i w końcu mógł czuć się wolnym człowiekiem. Wolnym i pachnącym.

Od początku z zainteresowaniem przyglądał się mężczyźnie, z którym przyjechała Rogozińska. Był na pewno starszy od niej, a do tego zadbany, pachnący, uśmiechnięty i pewny siebie. To mogło oznaczać tylko jedno: zagrożenie. Owszem, nosił przed sobą zaokrąglony brzuch, a na palcu widniała obrączka, ale to brzuchacz przywiózł Anię z samego rana na miejsce zdarzenia. Brzuchacz, nie on.

Co więcej! Łukasz i jego misternie wyrzeźbiony kaloryfer wczorajszego wieczoru rozstał się z Anią pod restauracją. Bez szans na prezentację twardych mięśni i miękkiego serca.

Nie odprowadził jej pod dom, nie usłyszał zaproszenia na drinka, nie zrzucił z siebie koszulki.

„Może operator kamery czekał na nią w domu?” – Szukał wytłumaczenia wczorajszego zachowania dziewczyny. „Może dlatego tak się rozstaliśmy? Odwróciła się na pięcie i uciekła, jak Kopciuszek, gdy wybiła dwunasta? Może oni są razem? Ten żonaty spaślak i ona? Nie, to niemożliwe. Anka nie mogłaby mieć romansu z żonatym facetem. Jest zbyt uczciwa”.

Wnioski, do jakich doszedł Zawodny, spowodowały, że poczuł przyjemne ciepło, opływające jego ciało i rozluźniające napięte mięśnie.

– Zapalisz sobie Arturku w firmie. – Ania stanęła między mężczyznami. – Nie wiem, dlaczego zakładacie, że facet wypadł świdomie?

– Jakie świdomie? Mówię przecież, że skoro był nawalony, to mogło mu się coś popierdolić...

– Artur! Ty palisz, pijesz i jakoś jeszcze nie zaliczyłeś tak ogromnej pomyłki.

– Nie licząc mojej żony? To nie... – Zielone oko Artura mrugnęło dwa razy.

– Współczuję. Ale nie zamierzasz się zabić z tego powodu? – Ania wybuchnęła śmiechem.

– Nie. To była ogromna, aczkolwiek miła pomyłka.

– No widzisz. Może ten trup też nie chciał się zabić. Może oparł się o drzwi i wypadł? Albo go ktoś wyrzucił? Co myślicie?

Ania nie mogła przestać myśleć o człowieku, który umarł kilka metrów od miejsca, w którym stała. Oczekiwała burzy mózgów, ale towarzyszący jej mężczyźni wyraźnie nie

byli zainteresowani dyskusją. Jakby nie zauważali zapachu śmierci unoszącego się wokół nich.

– Na mnie nie patrz – Łukasz pokręcił głową. – Ja nie myślę. Ja widzę, opisuję i robię fotki do gazety.

– Ale ty masz Łukaszku niesamowity węch. Skąd wiedziałeś, że tu się coś dzieje? – Postanowiła słodką uprzejmością wynagrodzić fakt, że podzielił się z nią informacją.

– Nie mogę ci powiedzieć. Dostałem cynka.

– Słyszałam, jak policjanci mówili, że miał przy sobie dokumenty. – Ania drażyła temat.

– No i?

– Anka, wracajmy, jarać mi się chce i muszę przed południem jeszcze załatwić pewną sprawę. – Artur zaczął dreptać w miejscu.

– To jedź już! – Widząc zniecierpliwienie kolegi z pracy, zdecydowała bez zastanowienia.

– A ty? – spytał zaskoczony obrotem spraw.

– A ja? Zostanę tu. Łukasz mnie odwiezie, prawda?

Łukasz zdziwiony spojrzał na dziewczynę. Przyjechał do Pobiedzisk, by wykonać swoją pracę, której efektem miała być notka prasowa. Zebrał informacje i zrobił zdjęcia. Teraz powinien wrócić do Poznania, siąść przy biurku i spłodzić tekst, który odda w redakcji. Jednak Ania patrzyła na niego w taki sposób, że nie umiał się jej oprzeć.

– No w sumie... – Jeszcze przez chwilę wahał się.

– W sumie to jeszcze nie zdążyłam ci podziękować za dzisiejsze info. I mam jeszcze jedną sprawę. Bardziej prywatną. – Mrugnęła.

– No, dobra, wezmę ją. – Łukasz zwrócił się do Artura – Możesz wracać.

– Dobra, to ja jadę, a wy tu sobie gruchajcie.

Żart Lipca rozbrzmiewał w uszach Zawodnego jeszcze przez kilka minut. Stał i obserwował, jak auto na poznańskich rejestracjach odjeżdża z piskiem opon.

– Szalony jakiś ten twój kamerzysta. – Gdy zostali sami, silił się na luz.

– Tak, szalony. Ale dobrze mi się z nim współpracuje. Ma do mnie zaufanie, a ja do niego. Tak w ogóle to dziękuję, że o mnie pomyślałeś. – Postanowiła zmienić temat. – I dziękuję za wczoraj. Dobrze się bawiłam. – Po chwili zastanowienia dodała: – Łukasz?

– Tak?

– Ten twój informator... dawca cynków to policjant?

– Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć... nawet jeśli bardzo byś mnie prosiła.

– Wiem, ale ja nie chcę wiedzieć, kto to jest. Mam tylko propozycję. Pójdę teraz do twojego samochodu i poczekam tam na ciebie...

– No i? – Głos Ani tak niesamowicie poruszał wyobraźnię Łukasza, że bał się dalszego ciągu.

– Ja wykonam jeden telefon, a ty w tym czasie podpytasz swoje źródło o dane denata. Gdzie mieszkał i jak się nazywał. Mnie nie chcieli powiedzieć.

– I myślisz, że mi powiedzą?

– Powiedzą. Anonimowo. Jak zdobędziesz jego adres, to pojedziemy tam, popytamy, może dzięki temu nasze materiały zyskają na atrakcyjności. Może facet miał powód, by popełnić samobójstwo? Może to planował? A może osierocił bezrobotną żonę i dziesiątkę dzieci? Chcę to zbadać. Może znajdę coś medialnego.

– Chciałaś powiedzieć znajdziemy... my.

– Tak. Znajdziemy – poprawiła się szybko – dodatkowo spędzimy znowu trochę czasu razem. Wspólnie pracujemy... – Starła się go zachęcić, wiedząc, że igra z ogniem.

– Spróbuję.

– OK. Wierzę w ciebie. – Sięgnęła ręką w kierunku jego dzinsów. – Kluczyki?

– Co robisz? – Speszony zrobił dwa kroki w tył.

– Gdzie masz kluczyki od auta? – dopytywała, dotykając jego kieszeni i nie przejmując się jego reakcją.

– Powoli...

Próbując odczytać z jej oczu prawdziwe intencje, zrobił kolejne dwa kroki do tyłu i wyciągnął je z tylnej kieszeni spodni. Uśmiechnęła się zachęcająco, dotknęła jego dłoni i odeszła w kierunku samochodu. Przez chwilę obserwował apetycznie kołyszące się biodra dziewczyny. Jej bezceremonialna bezpośredniość onieśmiała go.

Ania dotarła do samochodu i wybrała numer swojej ostatniej deski ratunku. Mężczyzny w mundurze, który prawie zawsze był na służbie. To dzięki niemu przeszła swoją inicjację. Inicjację pracoholizmu. On był jej mistrzem. Jego styl życia najpierw ją bawił, później drażnił. Obserwowała go, walczyła z nim, starała się z całych sił zaakceptować, aż w końcu przyznała się do klęski i odeszła, zostawiając za sobą miłość swojego życia i jego – mężczyznę idealnego. Niestety miłość poszła za nią. Nie mogła się od niej uwolnić. Musiała ją zabić. Racjonalnymi argumentami. Dzień po dniu podtruwała samą siebie..., by przeżyć.

Udało się. Po paru miesiącach została sama, za to z małą kielkującą pamiątką – ziarnem pracoholizmu. To ono rosło i nadawało sens jej nowemu, pustemu życiu.

– Cześć Rafał – odezwała się, gdy usłyszała jego służbowy ton. – To ja.

– Ja?

– Czyżbyś mnie już zupełnie wyrzucił z pamięci? – spytała prowokacyjnie, wiedząc, że Rafał Stochaj nie jest mężczyzną, który zapomina o swoich porażkach.

– Czekaj, czekaj, coś kojarzę... – kontynuował beczelnie zabawę w kotka i myszkę.

– To dobrze.

– Niech zgadnę... dzwoniś, bo się stęskniłaś?

– Nie jestem twoją żoną, żeby za tobą tęsknić... – W jej głosie słychać było pretensje, chociaż bardzo starała się je ukryć.

Rafał był pierwszym mężczyzną, wobec którego była zawsze stuprocentowo szczerą. Oswoił ją, nauczył rozmawiać i obchodzić się z mężczyznami. Pokazał, czym jest zaufanie. Powierzyła mu siebie i swoje życie, licząc, że jest dla niego równie ważna. Mieli żyć długo i szczęśliwie. Rafał był też jej ostatnim partnerem. Mężczyzn następujących po nim traktowała przedmiotowo. Katalogowała ich, nadając zakładki „źródło informacji”, „rozrywka”, „superseks”, „tylko przyjaźń”. Uznała, że to bardzo bezpieczne podejście.

„Przynajmniej nie narażam się na ciosy i rozczarowania. Nie zakochuję się – przypominała sobie – ale zaspokajam różnorodne potrzeby. A Rafał dawno temu mnie olał. I już nic do niego nie czuję. Pomaga mi czasem w pracy. To wszystko”.

– Czekaj, niech zgadnę, dzwoniś z biznesem, jak to masz w zwyczaju... Chętnie mnie wykorzystujesz, a ja ciebie wykorzystać nie mogę.

– Chyba już kiedyś mnie wykorzystasteś... – odpowiedziała ostro, ale po chwili złagodniała, skupiając się na tym, że ważniejszy jest cel tej rozmowy. – Ale zawsze możesz o tym pomarzyć...

– Oczywiście. – Roześmiał się głośno w słuchawkę. – Wiesz, sprawdziłem to, o co mnie prosiłaś. Ten doktorek...

– No właśnie, i co? Magiel i Konopielski są zamieszani w śmierć Biela?

– Wręcz przeciwnie. Podrzuciłem trop lokalnym glinom. Ale ci faceci mają alibi; sprawdzone, wiarygodne, niebudzące podejrzeń. Jednym słowem nie do podważenia.

– Cholera. To mi zupełnie nie pasuje do puzzli, które mam. – Myślenie o pracy pozwalało Ani wyłączyć emocje. Ceniła w sobie tę żmudnie wypracowaną umiejętność.

– Nic na to nie poradzę.

Ania odetchnęła głęboko. „Nic na to nie poradzę” – ten zlepek słów często słyszała z jego ust, gdy jeszcze mieszkali razem. Wzruszał przy tym zabawnie ramionami. Zamiast unieść je i opuścić, powtarzał to kilka razy w szybkim tempie. Mogłaby się założyć, że w tej chwili jego ramiona poruszają się jak zwykle.

– Wiesz, widziałam cię dzisiaj. – Jej głos na chwilę złagodniał, stracił służbowo-metaliczny tembr.

– Mnie? – Rafał zdziwił się.

– Co prawda przelotem, ale trudno nie zauważyć twojej zuchwałej miny i czarujących oczu.

– Tak? Mów dalej – prowokował, starając się ustalić, jak daleko była dziewczyna posunęła się, by wydobyć od niego informacje.

– Niewiele by brakowało, a twój kolega przejechałby mnie... radiowozem.

– Radiowozem?

– Tak. Pobiedziska Letnisko – coś ci to mówi?

– Owszem. Byłem tam, hm, jakąś godzinę temu.

– Wiem. Wysiadałam z auta, gdy odjeżdżałeś z miejsca zdarzenia.

– Łeee, minęliśmy się. Jaka szkoda. Gdybyśmy cię puknęli, mógłbym zrobić ci usta-usta. – Udał smutek i w pamięci próbował odszukać obraz sprzed godziny.

Dawno nie widział Anny. Chciał ją zobaczyć. Z trudnej do opanowania ciekawości. Z zamiłowania do wyzwania. Chciał sprawdzić, czy nadal działają na siebie tak samo jak kiedyś.

– Ogromna szkoda. – Roześmiała się.

– Tak?

– Tak. Zwłaszcza, że chciałam spytać cię o...

– O nie! – krzyknął, a w myślach dodał „wiedziałem”. – Żadnych informacji, żadnego ciągnięcia mnie za... język.

– Lubisz brzmieć dwuznacznie, prawda? – Anię zaczynała nudzić gra prowadzona przez Rafała. Takie rozmowy przypominały jej, dlaczego się rozstali.

– Wiesz... – Dałaby głowę, że w tej chwili właśnie uśmiecha się zadowolony z siebie. – Nie lubię cię przez telefon, wolę na żywo... – Teraz zniżył głos i próbował nadać mu kusząco-seksowny ton. – Zjemy razem lunch? Zapytasz, o co tylko będziesz chciała.

– Dobrze – odpowiedziała na odczepnego – ale nie dziś. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

– Spraw?

– Nieważne. Powiedz mi Rafał, potwierdź chociaż, czy mam dobre informacje... Ofiara, którą tu dziś znaleźliście pochodzi z Pobiedzisk, miała przy sobie dokumenty, a nazywa się...

– Przyjmijmy, że Iksiński. Piotr Iksiński.

– A tak na serio?

– Nie powiem. Nie mogę.

– To naprowadź mnie na adres denata, proszę!

– Hm, myślę, że teraz przebywa w Zakładzie Medycyny Sądowej... to jest przy ulicy Świątecznego.

– Oj, przestań się wygłupiać – przerwała mu zniecierpliwiona. – A wiesz, gdzie pracował?

– Wiem.

Był panem sytuacji. Miał informacje, którymi nie zamierzał się dzielić. Na pewno nie za darmo. Nie musiał udawać, że jest pewny siebie. Taki się już urodził – pewny swojej wartości i pozycji.

– Powiesz?

– Nie powiem. Tajemnica.

– No powiedz, proszę, będę milczeć jak grób. Wiesz, że potrafię – Ania chciała podejść go z innej strony, jednocześnie próbując odpowiedzieć sobie na pytanie, czy informacje, którymi może dysponować komisarz Stochaj są warte stresu związanego z osobistym spotkaniem.

– Nie powiem. Nie dziś. Może jutro? Na lunchu?

– Nie pierdol – warknęła.

Bała się tego spotkania, jego spojrzeń, dwuznacznych tekstów, ciepłych uśmiechów i propozycji nie do odrzucenia. Nie chciała o tym myśleć, lękała się nawet swoich obaw.

– I tak się dowiem – dodała po chwili, siląc się na obojętność. – Powiedz.

– Nie. Ile razy mam to jeszcze powtórzyć? Lubisz, gdy mówię „nie”? Przyznaj się.

– Nie. – Widząc zbliżającego się Łukasza, wyłączyła komórkę i wrzuciła ją do torebki.

– I co? Dowiedziałeś się czegoś? – spytała, gdy wsiadał do samochodu.

Wyglądał zupełnie inaczej niż poprzedniego wieczoru w restauracji. Nie chodziło tylko o ubiór. Zachowywał się zupełnie inaczej. Był bardziej pewny siebie, bardziej zdecydowany, jak kocur patrolujący swoje terytorium.

– Niewiele. – Wzruszył ramionami i zaczął bębnić palcami po kierownicy. – Widziałem plaketkę, którą trup miał w kieszeni. P. Wolny, GEMO. To była taka plaketka, którą przyczepia się do fartucha lub munduru w pracy.

– Łukasz, jesteś świetny. To musiał być Piotr Wolny. GEMO to pewnie nazwa firmy, w której pracował. Kto nosi plakietki? Lekarze, pielęgniarze... Nic więcej nie było tam napisane? Jakiś tytuł? Na przykład doktor?

– Skąd wiesz, że Piotr? – Łukasz przytomnie wychwycił nową informację, którą Ania wypowiedziała takim głosem, jakby uznała ją za pewną.

– Wiem, zaufaj mi. – Przez chwilę grzebała w torebce, próbując odnaleźć komórkę, przypominając sobie słowa Rafała: „przyjmijmy, że Iksiński, Piotr Iksiński”. – Zaraz zgoogluję to GEMO. Będziemy wiedzieli, gdzie pracował.

– No dobrze.

Łukasz zobaczył w błyszczących oczach Ani podniecenie. Siedziała w jego samochodzie. Miał ją na wyciągnięcie ręki. Oczyma wyobraźni widział przepiękną scenę rodem z filmu. On sięga do schowka znajdującego się tuż przed nią po coś niezwykle potrzebnego.

Pochylony rzuca jej krótkie, ale uwodzicielskie spojrzenie. Ona odczytuje to jako zachętę. Zaczynają się całować i... projekcja filmu kończy się. Wyobraźnię przytłacza głos rozsądku. To właśnie on każe Łukaszowi oswoić się ze świadomością, że obiektem ekscytacji kobiety jest tajemnica ostatnich minut życia lodowatego denata.

– No dobrze. – Przekreślił kluczyk w stacyjce, uznając, że nawet jeśli ekscytacja nie dotyczy jego, to chce w niej uczestniczyć. – To dokąd jedziemy?

– Pobiedziska Letnisko. Popytamy. Może najpierw znajdziemy tam jakiś sklep spożywczy? Na wioskach sklepy są kopalnią informacji. Sklepowe wiedzą wszystko o wszystkich! Niesamowite, prawda? W mieście, pracownicy wielkich marketów uciekają przed klientami. Nawet jeśli uda ci się na jakiegoś zapolować, złapać i zadać nurtujące pytanie, jaką słyszysz odpowiedź?

– Nie wiem? – Łukasz nie miał ochoty zastanawiać się nad odpowiedzią, wzruszył tylko ramionami.

– No właśnie. „Nie wiem”. Albo: „ja nie jestem z tego działu, musi pan spytać koleżanki”. A w wiejskim sklepie nigdy nie usłyszysz „nie wiem”!

*

– Ma pani coś gazowanego z lodówki?

Łukasz spojrzał na sklepową błagalnym wzrokiem. Korpulentna kobieta w kwiecistym fartuchu znudzona opierała się o ladę wypełnioną po brzegi produktami spożywczymi. Z lewej strony leżały lśniące od lukru pączki i drożdżówki, do których ustawiała się długa kolejka bzycających owadów, kręcących kółka nad słoiki kamiami z różnymi przetworami. Marynowane pieczarki, powidła i miód. Z prawej strony lady stała niewielka, podświetlona lodówka z witryną, przez którą prezentowały się szynki i kielbasy. Na szczycie witryny równy rząd butelek z tworzywa sztucznego wypełnionych płynem, którego zawartość cukru w cukrze przekraczała wszelkie normy, kusił spragnionych kolorami. Intensywny róż, smolista czern i rażący pomarańcz podświetlone promieniami słonecznymi zdawały się lśnić niczym diamenty.

– Z lodówki? Tylko piwo. – Sklepowa wzruszyła ramionami. – Ale wam piwa nie polecam. Nie jesteście stąd, a zaraz za wsią stoi patrol policji, jeszcze was zgarną za jazdę po pijaku.

– Tak, my tylko przejazdem. – Ania uśmiechnęła się szeroko. – A ta kielbaska tu, to wygląda bardzo smakowicie... dobra jest? – Wskazała na tłustą, ale apetyczną laskę wędzonej surowej kielbasy.

– Pewnie, że dobra! – Kobieta ożywiła się. – Nasza, lokalna. Brodnicki ma swoją niewielką masarnię, ale wszystko, co robi, to niebo w gębie!

– Mówi pani? To ja się chyba skuszę. Łukasz, chcesz też?

– Kiełbasę? – powtórzył, wybałuszając oczy.

– No!

– Nie, dziękuję. – Skrzywił się.

– OK, to poczekaj w samochodzie – Ania zrobiła tajemniczą minę.

Łukasz mruknął coś pod nosem i opuścił sklep z radością. Nie czuł się dobrze w małym i zagraconym pomieszczeniu. Zakupy od zawsze robił w hipermarketach. Przestrzeń, anonimowość, brak pośpiechu i konieczności odzywania się do kogokolwiek zapewniały mu maksimum satysfakcji. Nie musiał obawiać się trudnych pytań ekspedientki, a nad wyborem herbaty mógł zastanawiać się tak długo, jak tylko chciał, nie narażając się na niewybredne komentarze.

– Ech, faceci... – Ania udała zniecierpliwienie, chcąc przymilić się sklepowej. – To ja poproszę kawałek tej kiełbaski. Nie oprę się, skoro pani ją tak zachwala.

– Proszę bardzo. – Kobieta odcięła spory kawałek kiełbasy i położyła ją na wadze.

– Niech pani nie pakuje. Na miejscu poproszę. – Ania wyjęła portfel.

– Proszę bardzo. Daleko pani jedzie?

– Nie, raczej nie. Właściwie to ja kogoś szukam. Może pani go zna?

– Jego? – Puszysta kobieta, znudzona życiem, ożywiła się i odruchowo rozejrzała wokoło wzrokiem żądnym sensacji. – Szuka pani faceta? Kochanka? Ojca?

– Szukam Piotra Wolnego. – Ania spuściła głowę. Widząc ekscytację kobiety, nie mogła wyprowadzać jej z błędu. Nie w tej chwili. Najpierw chciała uzyskać potrzebne informacje. Udała więc, że pytanie zadane przez ekspedientkę zmieszało ją. – Zna go pani?

– Tak piąte przez dziesiąte. – Kobieta otarła dłonią pot spływający z czoła, obciągnęła fartuch i wyszła z za lady. – To zależy o co chodzi. Do sklepu nie przychodził. Raczej żona tu zaglądała. Bo on ma żonę, wie pani? Dziwna baba, gadać nigdy nie chciała. Ona była obca, sprowadziła się tu dla niego. Mówiono na wsi, że Piotruś lubił miastowe. Może dlatego, że matka urodziła go w mieście. A ta żona miastowa była, z miasteczka zabitego dechami. Paniusia wielka, królowa Wolna na włościach. Zadzierała nosa. Moja matka mówiła, że i tak się poprawiła, bo kiedyś nawet dzień dobry starszym nie mówiła.

– A on? Jakim był człowiekiem? – Ania połknęła ostatni kęs kiełbasy. – Przepyszna.

– Prawda? A nie mówiłam? A dlaczego BYŁ?

– Bo dzisiaj znaleziono go martwego, na torach, niedaleko dworca – wytłumaczyła bez ogródek, domyślając się, że przekazując miejscowej plotkarce tak cenną informację, będzie mogła liczyć na rewanż.

– Na torach kolejowych? Martwy? Ło Boże, jak ja Kryśce powiem... – Sklepową sięgnęła do kieszeni fartucha i wyjęła telefon komórkowy.

– Tak. Piotr Wolny nie żyje.

– Serio? – Żadna sensacji mieszkanka Pobiedzisk odłożyła komórkę. – To chyba jakiś żart albo chichot losu.

– Żart? – Ania nie spodziewała się takiej reakcji.

Kobieta najpierw uśmiechała się pod nosem. Gdy uśmiech zniknął, jej twarz wydawała się bez wyrazu. Dopiero po chwili ciszy złapała się za głowę, podniosła oczy ku górze i przeżegnała się. Jakby dopiero teraz dotarło do niej, że umarł ktoś, kogo znała.

– Ojca, syna, ducha... Ja pierdolę. Ale się zadziało. – Złożonymi dłońmi podtrzymywała trzęsącą się brodę. – Piotr szczyił się tym, że pochodzi z rodziny z tradycjami kolejowymi. Ojciec był kolejjarzem, matka konduktorką. Ludzie gadali, że Wolni spłodzili go w pociągu. Prawie urodził się podczas służby matki, pociąg dojeżdżał do Gniezna, jak odeszły jej wody, a teraz umarł też na PKP? Ja pierdolę. Na PKP powstałeś, na PKP walniesz w kalendarz.

– A pracował gdzieś? – dopytywała Rogozińska, uważnie obserwując miotającą się kobietę.

– Taa, ciągle był w pracy. Wyrwał się do miasta. Do tych miastowych. Mówiło się, że on tam ochroniarzem był. Ale ja nie wiem, co i jak. Nie miał klaty jak Schwarzenegger... nie wiem, co miałby ochraniać. Chyba że swoim brzuchem. Ale podobno miał broń i dlatego nikt stąd nie wdawał się z nim w pyskówki. Chociaż kto go tam wie. Może to jakaś atrapa była, nie prawdziwy pistolet. Tfu, tfu... Boże wybaczyć, nie powinno się źle o zmarłych myśleć, a tym bardziej mówić. Zdenerwowałam się!

– Ja panią rozumiem. Jednego dnia człowiek jest, a za chwilę go nie ma. Okropne. A do jakiego miasta go tak ciągnęło? Do Poznania?

– Gdzie? Nie. – Pokręciła głową. – Do Gniezna. Wolni mają małe gospodarstwo, ta żona często bierze towary na zeszyt. Ledwo wiążą koniec z końcem. Ale zawsze wszystko spłaca w terminie. Ja mogę zaświadczyć. To znaczy do dziesiątego spłacała. On zarabiał i dawał jej, jak przystało na dobrego męża, a ona spłacała...

– Przywoził? Nie mieszkał z żoną?

– Ale mnie pani łapie za słówka. Ja tam plotek nie rozpowiadam.

– Nawet tak bym nie pomyślała. Jakich plotek? Tylko pytam, bo pomyślałam...

– Dzień dobry, Teresko! – Do sklepu weszło dwóch starszych mężczyzn.

Ich przeпооны, roboczy ubiór nie pozostawiał wątpliwości. Gumiaki ubrudzone tym, co można znaleźć w chlewie, koszulki, które dawno temu straciły swój fabryczny kolor. Musieli przed chwilą przerwać pracę i przyszedli na lunch do sklepu, jedyne go rozpustnego przybytku w okolicy.

– Dobry, nie dobry, znowu mi się tu w gumiakach ładujecie, i będę musiała gówna po

was sprzątać! – warknęła sklepowa.

– Zakupy my przyszli zrobić, a nie słuchać kazania. – Chudszy mężczyzna wypiął wątlą pierś do przodu, i uniósł głowę jak kogut gotowy do walki.

– No! Kazanie, to stara w domu mi daje – dodał drugi. – Nie gadaj Tereska, tylko daj lepiej dwa piwa.

– Na kreskę.

– Macie i niech was nie widzę – krzyknęła ostro, stawiając na ladzie dwie puszki wyjęte z lodówki. – Won mi stąd. Zajęta jestem.

– Dobra, dobra. Pamintaj, że złość pikności szkodzi – rzucił na odchodne chudszy.

Gdy drzwi swobodnie puszczzone przez jednego z nich uderzyły o futrynę, a mężczyźni zniknęli z pola widzenia, twarz Tereski złagodniała.

– Hmm, na czym to ja skończyłam? – spytała.

– Yyy... – Ania nie spodziewała się dalszego ciągu.

– Już wiem. Ja tam im pod kołdrę nie zaglądałam. Ale mogę pani w zaufaniu powiedzieć, że on w domu nie spędzał więcej niż jednego dnia w tygodniu. Nowakowa pociągnęła kiedyś Wolną za język i dowiedziała się, że niby męża, w sensie Wolnego, tak cenią w pracy, że dostał kawalerkę. I ta Wolna się cieszyła, ale jakoś trudno mi w to uwierzyć. Pani by się cieszyła z tego, że chłop sześć dni w tygodniu robi, co chce? Bez nadzoru? Co on po pracy robił? Nie zajmował się ani dziećmi, ani żoną. Ta robota to niby w dziwnych godzinach była. Ja nie wiem. Może on w seksagencji robił? Wasilewski jak wyjechał do Szkopów na zarobek, to przysyłał kupę kasy..., a oni ledwo koniec z końcem...

– Dobrze, dziękuję pani. – Ania przerwała kobiecie. Uznała, że nie uzyska od niej więcej informacji. Nie chciała marnować czasu na powtórne wysłuchiwanie tych samych historii. – Wpadnę tu jeszcze kiedyś na tą kiełbasę. Przepyszna była.

– Niech pani wpada! Dzwonię do Kryśki.

Ania zakryła oczy dużymi okularami przeciwsłonecznymi i wyszła ze sklepu. Od siedzącego w samochodzie Łukasza dzielił ją niewielki dystans. Kilkanaście kroków, pełne słońce i swojski zapach. Przed sklepem w cieniu wyblakłego parasola reklamującego napój wysokosłodzony, nieopodal niedbale rzuconych rowerów, dwóch mężczyzn kontestowało świat, zapijając wrażenia piwem. Chłodnym i wziętym na kreskę.

– Tej, jadąc, tu widziałeś wóz policyjny? – Jeden z nich podejrzliwie przyglądał się Ani i pojazdowi, w którego stronę zmierzała.

– No. – Drugi zdawał się nie zauważać niczego, poza jęczmienną zawartością puszki.

– Ja też. Podjechał pod dom Wolnych.

– No.

– Ciekawe czemu?

Ania podeszła do samochodu. Łukasz rytmicznie poruszał głową i słuchał muzyki. Tak głośno, jakby chciał zagłuszyć pukającą do szyb jego samochodu tutejszą codzienność. Co jakiś czas uderzał wewnętrzną stroną dłoni w kierownicę, mającą chyba w tej chwili zastąpić werbel. Gdy dziewczyna otworzyła drzwi, fala akustyczna rozlała się niczym fala powodziowa, niszcząc wszystkie tutejsze odgłosy życia. Śpiew ptaków, muczenie krowy, leniwe rozmowy mężczyzn.

– To co dalej, Swojska Kielbasko? – Gdy Zawodny zauważył pasażerkę, ściszył radio. – Założę się, że zabijesz za chwilę aromat mojego supermęskiego odświeżacza samochodowego. – Wskazał na czarną choinkę wiszącą przy dźwigni biegów.

Zanim wsiadła do samochodu, westchnęła głośno. Po raz kolejny walczyła z ogarniającym ją poczuciem zagubienia. Dysonans między Łukaszem z czasów studiów a tym obecnym był ogromny. Kiedyś niepozorny i nieatrakcyjny, dziś pełen uroku uśmiechał się do niej, odsłaniając równe zęby i ukrywając oczy za okularami przeciwsłonecznymi. Popularne awiatory dodawały mu męskości. Nie było w tym nic dziwnego, w końcu ten model zaprojektowany został dla prawdziwych mężczyzn – pilotów armii amerykańskiej. Nosili go też filmowi twardziele: Tom Cruise i Val Kilmer w *Top Gun*, Sylvester Stallone w *Cobrze*.

– Ojej, musiałam poświęcić się... Mogę nie zamykać okna, jeśli mój zapach ma ci przeszkadzać.

– Jakoś przeżyję. – Zsunął okulary na czubek nosa i puścił oczko. – To co dalej? Wracamy do Poznania?

– Tak myślę. Chciałam podjechać jeszcze do żony denata, ale właśnie słyszałam, że jest u niej policja. Możemy wracać, chociaż... – Zawahała się i zanurzyła dłoń w torebce. – Poczekaj! Czułam, tam w sklepie, że coś mi wibrowało. – Spojrzała na wyświetlacz odnalezioną dość szybko komórki. – Tylko oddzwonię, dobrze?

– Dzwon. Pić mi się chce. Wrócę do tej przemilej wiejskiej babeczki... – Łukasz wykrzywił twarz, parodiując wyraz twarzy ekspedientki. – I zapytam, może zlituje się nad biednym mieszczuchem... może gdzieś skrywa butelkę wody mineralnej..., choćby letniej. A jak nie, to kupię tę z lady, ugotowaną w promieniach słonecznych.

– Nie musisz się spieszyć, spróbuj wszystkich swoich sposobów na kobiety. – Ania ucieszyła się.

Prowadzenie rozmowy, która ją czekała, w obecności kolegi byłoby dość krępujące. Nie chciałyby, aby ją słyszał. Najchętniej sama by jej nie słuchała. Wybrała jednak ostatni numer wyświetlany na liście połączeń nieodebranych.

– Byłaś dla mnie niemiła, wiesz? – Usłyszała ciepły, ale mrozący krew w jej żyłach, głos byłego chłopaka.

– Wiem – odpowiedziała lodowato.

– To masz drugą szansę. Może tym razem się postarasz?

– Rafał, nie mam czasu ani ochoty na takie rozmowy. Muszę kończyć.

– Poczekaj. Sprawdziłem tego porannego trupa w bazie. Był karany, wiesz?

– Tak, Piotra Wolnego?

– Tak. Widzę, że ustaliłaś już, jak się nazywał. Gratuluję. Ale pewnie nie wiesz, że siedział w więzieniu, w lipcu 1980 roku.

– Ooo, długo? Wrócił tam jeszcze? Recydywista? Mafia?

– Nie, nie. Potem był czysty. Siedział za kradzież. Szybko wyszedł, ale akurat nie to mnie zainteresowało. Wiesz, kto go oskarżał?

– Nie i raczej mnie to nie interesuje.

– Nie interesuje? A powinno. Spytaj kto!

– Kto – powtórzyła od niechcienia, bardziej oznajmiając niż pytając.

– Staś, mój niedoszły teściu – zawiesił głos, by dodać dramaturgii. Uwielbiał reżyserować małe dramaty. – Stanisław Rogoziński.

– Ooo...

– Tak samo zareagowałem. Lunch jutro? Potwierdzasz? O szesnastej?

– Dobra, może być. Szesnasta. Krótka kawa. Dzięki za info, muszę kończyć.

Ania ponownie wrzuciła telefon do torebki. Czuła, że pieką ją policzki. Nie tylko z powodu zbliżającego się wielkimi krokami spotkania z „byłym”. Jej rodzony ojciec wsadził za kratki Piotra Wolnego, którego zwłoki znaleziono dziś przy torach. Musiała porozmawiać z tatą i uzupełnić brakujące informacje.

– To co? Poznań? – Łukasz wrócił już i położył częściowo opróżnioną butelkę wody na boku.

– Tak, yyy, to znaczy, ty wracasz do Poznania, a mnie zostaw, proszę, na dworcu.

Moja mama dzwoniła, pilnie muszę się z nią spotkać.

– Ale to może odwiozę cię do domu? – zaproponował.

– Nie, no coś ty. I tak wystarczająco dużo czasu ci zajęłam.

– Zajmuj, ile chcesz...

– Dworzec, ok? – Udała, że nie słyszała jego ostatnich słów.

ROZDZIAŁ XI

Zbliża się południe, a ludzie siedzący obok niego drzemią. To go dziwi. Zrozumiałby, gdyby był środek nocy. Ale w środku dnia? Pociąg jest jak wytrawny i doświadczony recydywista. Jego łagodne kołysanie wprowadza w stan lekko hipnotyczny. Fiksacja wzroku, zaburzenia czasu, trans. Monotonny tętent usypia.

Spięci i zestresowani na co dzień ludzie zasypiają niczym naiwne owieczki, zostawiając swoją czujność na peronach. Zupełnie nie zdają sobie sprawy z tego, że pozorny relaks jest w istocie stanem zagrożenia. Zamknięci w stalowych puszkach taszczą ze sobą cenny bagaż: dokumenty, pieniądze i życie. Wszystko to mogą stracić w jednej chwili bez uprzedzenia, bez świadomości, bezmyślnie.

Nawet Żydzi zagazowywani w łaźniach mieli szansę zorientować się, że coś jest nie tak. Jadący z nim ludzie drzemią, rozgrzani do czerwoności, jak truskawki leżące na taśmie produkcyjnej. Truskawki, które za chwilę zmieniają się w dzem.

Kolejna stacja. Nowa porcja ludzi wypełnia przedziały. Szukają miejsc, kręcą się, by po chwili zapaść w letarg i bujać się jak bezwładne worki tłuszczu oraz mięśni, w rytm nadany przez lokomotywę.

*

Ania przez chwilę mocowała się z ciężkimi drzwiami. W końcu udało jej się je przesunąć.

– Cześć, można? – wtargnęła do bezprzedziałowego wagonu i nie czekając na odpowiedź trzech młodych mężczyzn, zajęła wolne miejsce obok nich, zaraz przy wejściu, po prawej stronie.

Chłopak, koło którego usiadła, niechętnie przesunął w swoją stronę plecak zajmujący drugą połowę siedziska. Pozostała dwójka nieskrępowanie dyskutowała na temat rozneglizowanych zdjęć pewnej aktorki.

Rogozińska dotknęła ekranu komórki i po raz kolejny tego dnia wpisała w wyszukiwarkę internetową hasło „GEMO”.

Musiała w spokoju i ciszy zebrać myśli. Bez spojrzeń i pytań Łukasza.

„GEMO zajmuje się głównie ochroną fizyczną obiektów” – odczytywała pojawiające się informacje. „Podstawą prowadzenia działalności z zakresu ochrony osób i mienia na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej jest koncesja, bla, bla, bla. Jesteśmy firmą dynamicznie rozwijającą się. Naszą zaletą jest doświadczenie ludzi, tworzących GEMO na różnych szczeblach organizacyjnych. Dobra – przesunęła palcem widok strony w górę – jakieś konkrety? Stawiamy na uczciwość, rzetelność i fachowość świadczonych usług. Tak, marketingowy bełkot. Tylko co oni ochraniali w Gnieźnie? Gdzie mógł pracować ten

Wolny? Ooo, jest zakładka – nasze obiekty”.

Po kliknięciu na napis ukazała się mapa Wielkopolski. Ania odnalazła Gniezno. Kliknęła. Po czterech sekundach oczekiwania na ekranie komórki wyświetliła się lista kilkunastu gnieźnieńskich obiektów, którym firma GEMO zapewniała bezpieczeństwo.

Centrum handlowe – poszukiwała łąpczywie informacji, przy kolejnych nazwach, które same w sobie nic jej nie mówiły: osiedle domów jednorodzinnych, zakład pracy chronionej i klinika zdrowia Magnat. „Magnat?” – zatrzymała się.

*

Przy drzwiach usiadła blondynka. Znał jej twarz. Widział te niebieskie oczy, nos i usta. Twarz z idealnymi proporcjami. Gdyby przeciąć ją na pół, a później przyłożyć do każdej z połówek lustro, powstałyby dwie identyczne fizys. To niespotykane. U większości ludzi prawa i lewa strona twarzy różnią się, czasem nawet znacznie.

Czytał gdzieś, że właśnie w tej asymetrii można znaleźć piękno, że twarz złożona z dwóch idealnych połówek byłaby nijaka, nie podlegałaby dzisiejszym kanonom piękna. Zgadzał się z tym.

Dziewczyna nie jest ładna. Nie, nie jest też brzydka. Jej urodę można określić jako coś zwyczajnie przeciętnego, przeciętnie przyjemnego, przyjemnie pospolitego. Typ piękna, którego można nie zauważyć na ulicy, minąć, wlepiając wzrok w kosz na śmieci. Ale ma w sobie coś niesamowitego. Bijącą wewnętrzną poświatę. Jest pewna siebie, zdeterminowana, nastawiona na odbiór świata wszystkimi zmysłami. Widać to w każdym geście, który wykonuje. Jak rzuca na boki włosami zebranymi w kitę, jak kiwa lewą stopą, swobodnie przewieszoną na prawej.

Jest prawie pewien, że dziewczyna robi to świadomie. Krótkie, zdecydowane ruchy nie są automatyczne. Widzi w nich jej ukrywane podekscytowanie.

Chciałby ją uwiecznić. Taką podnieconą tym, co zdarzy się za chwilę. Zabrać choćby mały kawałek dziewczyny ze sobą do domu, na pamiątkę. Włożyć do albumu zatytułowanego *Katalog wymierających okazów* albo *Ludzie zaangażowani – gatunek wymarły*.

Przecież ona kręci się jak mała dziewczynka. Nigdy nie widział jej nóg. To dziwne.

Wydawałoby się, że zna ją dobrze. Rozpozna twarz po każdym, nawet najmniejszym szczególe. Rozpozna dziewczynę po głosie, po tym jak artykułuje samogłoski, chcąc nadać dramaturgii swojej wypowiedzi. Zna sprawy, którymi się zajmuje i wręcz czuje jej ekscytację, gdy dziennikarka kończy relację słowami: „dla Primo TV mówiła Anna Rogozińska”.

A ona nawet nie wie o jego istnieniu. To fascynujące i wkurwiające jednocześnie.

*

Dziennikarka odłożyła komórkę i rzuciła okiem na ludzi tłoczących się w wagonie. Szukała bezpiecznego miejsca, na którym będzie mogła zawiesić wzrok. Maksymalnie oddalonego, niebędącego cudzą twarzą, ręką, nogą czy teczką. Pociąg wypełniony był po brzegi. Skupiła się na drzwiach, położonych na drugim końcu wagonu. Poczula, że ktoś się w nią wpatruje. Mężczyzna. Nie widziała go, nie chciała nawet na niego spoglądać. Czula, że jest obserwowana, jak zwierzyna przez myśliwego. Uważnie, z zaciekawieniem i ekscytacją, z jaką pięknej kobiecie może przyglądać się wyposzczony mężczyzna.

„Pewnie to kolejny stary dziad, który widział mnie w telewizji” – skomentowała w duchu swoje odczucia i wróciła do rozmyślań na temat afery lekarskiej. Właścicielem kliniki Magnat jest doktor Magiel, ten sam, który był przedmiotem jej dziennikarskiego śledztwa. „To nie może być prawda. Taki zbieg okoliczności? Ochroniarz z kliniki ginie w dziwnych okolicznościach, podobnie profesor Biel, z którym miałam rozmawiać o Maglu... Cholera jasna, to musi mieć ze sobą związek. Może ta afera lekarska jest większa, niż początkowo zakładałam. Cholera jasna! Ktoś zabił Wolnego – faceta ochraniającego Magła. Dlaczego mam wrażenie, że Magiel maczał w tym palce? Wszystko składa się w jedną całość”.

Hamulce ocierające się o koło pociągu zaczęły piszczeć, a pociąg wytracać prędkość. Zbliżali się do stacji. Ania wrzuciła komórkę do torebki, jak zwykle niedbale, omijając podłużną kieszonkę, idealnie pasującą do jej aparatu telefonicznego.

*

Nie, nie może za nią pójść, ale jednocześnie nie może za nią nie iść. Fascynująca go istota zaraz wysiadzie, a on nie chce stracić jej z oczu. Spogląda w kierunku wyjścia jeszcze przez chwilę, podejmując decyzję.

– Przepraszam, czy teraz będzie Lednogóra?

Jakaś starsza kobieta chwyta go za rękę w chwili, gdy przepycha się do wyjścia. Tak, odpowiada sam sobie. Kobietę lekceważy, nie chcąc stracić Anny z oczu.

– Tak. Lednogóra – potwierdza ktoś uprzejmy.

Dobrze, że na świecie są jeszcze tacy ludzie. Uczynni i uprzejmi. Jemu z wszystkich cech na „u” pozostała jedynie upierdliwość.

– Wysiada pan? – Chuderlawy chłopak trąca go swoją wielką torbą.

Co on w niej wiezie? Pół roweru?

– Przepraszam – dodaje, gdy spotykają się ich oczy.

– Nie!

Nie ma czasu na dłuższe wypowiedzi. Zaraz w tłumie zginie Anna Rogozińska z Primo TV.

Jest! Widzi ją przez okno. Na chwilę traci ją z oczu, ale zaraz odnajduje. Dziennikarka

nagle staje i odchyła głowę, jakby zobaczyła ducha. Siwy mężczyzna poruszający ustami rzeczywiście wygląda jak zjawą.

Kurwa, że też aparat zostawiłem na siedzeniu. Ale walnąłbym fotę!

Ten siwy facet to człowiek rzeźba. Nie cofnie się jednak po lustrzaną, bo straci Rogozińską z oczu. Ale co to za twarz! Widać, że czas z łatwością ciosał na niej kolejne pamiątki po ciężkim życiu. Ten człowiek nie mógł być szczęśliwy. Ani kiedyś, ani teraz.

– Przepraszam!

Kurwa, ktoś znowu mnie uderzył.

Skoro już tak przepraszają, to nie mogliby przeprosić, zanim uderzą? Uprzejmie, by się przesunął. Co mu po ich głupich przeprosinach, kiedy potem ma siniaka.

Gdyby chciał, mógłby wychylić się z okna, wyciągnąć rękę i dotknąć Anny. Konduktor gwizdże głośno. Pociąg ruszy za kilka sekund. Przed oczyma zostanie mu tylko to, co zdoła zapamiętać. Odsłonięta szyja Anny z kolorowym plastrem i twarz siwego mężczyzny.

Czuje, że gdzieś już widział tę gębę. Tak, zdecydowanie ma rację. Jego bezbłędna fotograficzna pamięć daje o sobie znać. Nie uspokoi się, dopóki nie odnajdzie w szufladach pamięci odpowiedzi na pytanie „gdzie?”.

Nagle nieokreślone „coś” na szyi śpiącej dziewczynki wyskoczyło z najbardziej zakurzonej części jego mózgu. Przyglądał się temu czemuś zdziwiony. Niby wyglądało jak pieprzyk, ale było większe i bardziej wypukłe. Dziwne. Dziewczynka była mała. Bardzo mała. Miała najwyżej półtora roku. Spała. Jej mała głowa wyglądała komicznie na kolanach potężnego mężczyzny.

– Kochanie, wstajemy, już jesteśmy w Toruniu, wsiadamy! – Kolana wyprostowały się i wraz z dziewczynką opuściły przedział.

– Co się będziemy tak tłoczyć? – Jego ojciec przesiadł się na zwolnione miejsce.

Matka usiadła przy ojcu, a dla niego zostało całe czteroosobowe siedzenie. Pamięta, że uśmiechała się wtedy tak ciepło i słodko. Ile miał lat? Niewiele. Był taki zadowolony, że w końcu może ułożyć się wygodnie. Po chwili łagodne kołysanie pociągu i monotonny tętent uspiły go na dobre.

*

– Tato??? – Widok ojca stojącego na peronie zdziwił i zdenerwował Annę.

– Cóрко. – Głos Rogozińskiego był tak wyniosły, jakby przemawiał sam król Stanisław August Poniatowski, przed którego oblicze doprowadzono właśnie marnotrawną latorośl.

– Co ty tu robisz? Przecież ty...

Ania nie wiedziała, czy najpierw powinna wyjaśnić i spróbować zrozumieć to, co widzi, a później przywitać się z ojcem, czy odwrotnie. Stanisław Rogoziński rzadko opuszczał

wypieszczone gniazdo rodzinne. Jeśli jednak wychodził z domu, to nigdy, przenigdy nie trafiał na dworzec PKP. Unikał go jak ognia z niewiadomych przyczyn. Z tych samych powodów nakazał unikać kolei reszcie członków klanu Rogozińskich.

Mniej więcej w drugiej klasie liceum Ania doszła do wniosku, że dziwactw ojca nie jest w stanie zrozumieć. Nie dlatego, że była ograniczona umysłowo. Nigdy nie otrzymała ani jednego logicznego argumentu. Uznała więc, że wyjściem z sytuacji jest kompromis – udawana akceptacja przy jednoczesnym wewnętrznym lekceważeniu fobii ojca.

– To ja się pytam, co ty tu robisz! – Rogoziński wybuchł, a jego twarz stała się czerwona.

– Tato, nie rób mi wstydu... – jęknęła.

– Dobrze, porozmawiamy sobie w domu, moja panno! Miałaś nie jeździć pociągami!

– Miałam...

„Miałam nie mówić wam o tym, że jadę pociągiem” – dopowiedziała w myślach. Cmoknęła ojca w policzek i skierowała się do wyjścia. Chciała jak najszybciej opuścić peron i wrócić do domu.

– Mama powiedziała, że przysłałaś jej SMS z informacją, że będziesz za chwilę na dworcu! Nie miałem wyjścia! Musiałem po ciebie przyjechać!

– Przepraszam, tato, zaaferowana jestem pewną sprawą, nie pomyślałam... – Jej skrucha nie dotyczyła co prawda jazdy pociągiem, a zawiadomienia matki o fakcie podróżowania PKP. – Nie krzycz na mnie, nie mam pięciu lat.

– Nie masz? A zachowujesz się, jakbyś miała! Wiesz, na jakie niebezpieczeństwo się naraziłaś?

ROZDZIAŁ XII

Matka krzątała się w kuchni, jak gdyby nic się nie stało. Ojciec trzasnął drzwiami wejściowymi, padł na fotel w salonie i całym sobą starał się informować otoczenie, jak bardzo jest oburzony. Wzdychał głośno, mamrotał coś pod nosem. Ania wolała na niego nie patrzeć. Postanowiła przeczekać w kuchni.

– Przyznaj się, nie jadłaś wczoraj obiadu? – Renata Rogozińska przemieszczała się mechanicznie jak automat: lodówka, szafka z reklamówkami, szuflada z drugiej strony zlewozmywaka. – Przyjechałaś, bo skończyły się zapasy? Za mało ci ostatnio dałam?

– Oj, mamuś, nawet jeśli się skończyły, to mam dwie ręce i umiem ugotować sobie spaghetti. Jeśli nie jem obiadu, to nie z twojej winy. Możesz być spokojna.

– Gdybyś mieszkała z nami, nie chodziłabyś głodna. To moja wina. Mogliśmy zostać w Poznaniu, też się nam zachciało spędzać starość pod miastem. To było egoistyczne z naszej strony. Zostawiliśmy cię samą!

– Mamo, przestań. Dobrze wiesz, że nie masz racji.

– Nie musisz mnie usprawiedliwiać.

– No pewnie, powiedz jeszcze, że to twoja wina... to twoja wina, że dorosłam. Mogłaś mnie tak dobrze nie karmić – zażartowała, próbując rozluźnić atmosferę.

Renata Rogozińska nie słuchała jednak córki. Nerwowo wpychała do bawełnianej siatki kolejne słoiki, wypełnione obiadową zawartością i miłością macierzyńską. Nie potrafiła cieszyć się z niezapowiedzianej wizyty córki. Czula się winna. Instynktownie podzieliła się z mężem radosną informacją o jej przyjeździe i sekundę później, obserwując jego oblicze, wiedziała już, że oddałaby wszystko, by cofnąć czas. Stanisław najpierw znieruchomiał, później jego twarz zrobiła się czerwona i zaczął krzyczeć. Dopiero gdy zobaczył jej łzy, ściszył głos.

– Mamo, dlaczego mu powiedziałaś? – Ania stanęła blisko matki i szepnęła: – Niepotrzebnie się zdenerwował.

– Aneczko. – Kobieta odłożyła siatkę na kuchenny blat. – Sama nie wiem...

Rozpatrywanie zachowania mężczyzny w kategoriach zdenerwowania było dużym nadużyciem. Pierwszą złość wyładował na żonie i stojącym obok niej mopie. Kobieta zeszywniała i zamarła, bojąc się poruszyć. Mop wręcz przeciwnie, uderzony z hukiem opadł na podłogę. Później pojawiło się zaawansowane stadium agresji. Stanisław zabrał leżące na komodzie kluczyki od samochodu i mamrocząc coś pod nosem, wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Renata wstrzymywała oddech, nasłuchując dalszych poczynań męża. Po kilku chwilach wysłużone volvo zaryczało w garażu i z całych sił wyjął o pomoc, szybko opuściło posesję Rogozińskich.

– Tak mnie zaskoczył twój SMS, tak się ucieszyłam. Powiedziałam. A dopiero sekundę później pomyślałam. Przepraszam.

Ania wtuliła się w mamę. Docierało do niej, że nie powinna wysyłać SMS-a. Mogła domyśleć się, że matka nie zatrzyma tej informacji dla siebie. Zawsze o wszystkim mówiła mężowi. Nawet jeśli wcześniej sama proponowała: „nie mówmy tego tacie”. Była kobietą jedyną w swoim rodzaju. Zasłużyła na tytuł żony idealnej. Zawsze dopasowującej się do męża z uśmiechem i bez słowa komentarza, będącej na każde jego skinienie.

– Mamuś, nie przepraszaj. Przecież ja za chwilę wyjadę, a ty będziesz musiała znosić jego humory.

– Wiesz, dzwoniła do mnie ciocia Krysia. – Renata machnęła ręką, uniosła głos i wyciągnęła głowę w stronę salonu. – Zaprosiła mnie i ojca na wesele. Ewelina, ta jej średnia córka, w końcu wychodzi za mąż.

– Ooo??? – Ania czuła się zdezorientowana. – Ooo! – Po chwili obserwacji min, które zaczęła robić jej mama, zrozumiała, że zależy jej na zmianie tematu i wciągnięciu ojca w rozmowę, by zmniejszyć jego napięcie. – Wiesz już, w co się ubierzesz?

– Nie wiem. – Kobieta odłożyła siatkę wypełnioną przetworami. – Tu masz wałówkę, wystarczy ci na dwa tygodnie. – Po czym wzięła talerz z owocami i przeszła do salonu, kontynuując temat ślubu. – Chyba musiałabym kupić sobie nową garsonkę, taką kremową, pasującą do koszuli ojca.

– A ty tato, co ubierzesz do tej kremowej koszuli? – zagadnęła Ania, wchodząc do salonu.

– Słucham?

Stanisław wydawał się nieobecny. Siedział na fotelu i z ogromną siłą naciskał na pilot, wycelowany prosto w dekodery. Ekran telewizora co chwilę ściemniał się, by zaraz rozbliśnieć nowymi obrazami. Wyścigi samochodowe. Biegające żyrafy. Roztapiające się na patelni masło. Blondynka w bikini siedząca przy barze i śpiewająca „goodbye, my love”.

– Pytam, co ubierzesz na ślub Eweliny? – Ania stanęła między pilotem a telewizorem.

Stanisław nie zaprotestował. Wpatrywał się cały czas w jeden punkt, zawieszony w zaginionej czasoprzestrzeni, gdzieś w okolicach szarej szafki RTV.

– Jak to co? – odpowiedział w końcu obrażony. – Garnitur.

– Ale który? Ten granatowy w prążki? Czy grafitowy? – Starła się lekceważyć miny ojca.

– Czarny w prążki.

– Masz czarny w prążki?

– Tak, tylko, że to jest ten grafitowy. – Matka kiwnęła głową i zrobiła lekceważącą minę. – Ojciec uważa, że on jest czarny.

– Aha.

– Słucham? – spytał.

– Nie, nic. To będziecie pięknie wyglądać. A kiedy ten ślub? – Ania starała się ocieplić klimat. Przyjechała do domu po to, by rzeczowo porozmawiać z ojcem, a nie oglądać jego fochy.

– O zobacz! – krzyknęła matka, wyciągając rękę przed siebie. – To nasza Ania, zrób głośniej!

Córka wraz z ojcem automatycznie spojrzeli na wskazywany przez Renatę telewizor. Połowę ekranu wypełniała postać Ani. W tle majaczyło miejsce, w którym znaleziono zwłoki Wolnego.

– ...mężczyzna leżący przy torach to mieszkaniec okolicznej wsi – Pobiedziska Letnisko... – Z głośników telewizyjnych płynął głos Ani.

– O Boże, córuś – jęknęła Renata – co to za facet?

– Piotr Wolny – odpowiedziała Ania, przyglądając się reakcji ojca.

Twarz Stanisława Rogozińskiego nie wyrażała żadnych emocji. Nagle znikły charakterystyczne miny, informujące o fazie oczekiwania na soczyste przeprosiny. Nie czekając na koniec relacji telewizyjnej, mężczyzna uniósł się z fotela i wyszedł, unikając kontaktu wzrokowego z córką.

– Pięknie wyglądałaś. – Gdy na ekranie pojawiła się kolejna informacja, matka nie omieszkała skomentować jej wyglądu. – Tylko następnym razem zrób sobie mocniejszy makijaż ust – dodała i szybko zmieniła temat. – Myślisz, że kiedyś będę mogła sobie kupić coś na twój ślub?

W ciągu ostatnich miesięcy konikiem jej matki były związki małżeńskie. Mówiła o nich bez przerwy. Z powodzeniem mogłaby prowadzić punkt telefonicznej informacji ślubnej. Kto z kim, gdzie, za ile, kogo zaprosił. Ania, chcąc nie chcąc, informowana była nie tylko o wszelkich ślubach odbywających się w Lednogórze i dalszej okolicy, ale również o ślubach aktorów, piosenkarzy i celebrytów.

– No, nie wiem, nie wiem.

– Anuś, nie żartuj, to bardzo ważny temat.

– Ważny? Mam wrażenie, że maltretujesz mnie nim od pół roku.

– Ja? Ja tylko martwię się o ciebie. Rozstałaś się z Rafałem tak zniechęca. Nie był może superidealny, ale córuś, idealnych facetów nie ma.

– Wiem, mam – przytaknęła smutno, myśląc, że akurat Rafałowi do ideału najmniej brakowało. – Nie martw się. Jakoś sobie radzę. Ale do podjęcia decyzji o ślubie potrzebny jest facet...

– No właśnie, o to pytam, spotykasz się z kimś?

– O to pytasz? – Ania z trudnością powstrzymała wybuch śmiechu. – Następnym razem zapytaj wprost o chłopaka, a nie o ślub, ilość dzieci i plany na najbliższe dwadzieścia lat.

– Masz kogoś? Może przywieziesz go do nas, zrobię obiad, porozmawiamy, poznam go i będę spokojniejsza.

– Mam was... – Dziewczyna, starając się zachować spokój, wskazała na matkę i wchodzącego akurat do salonu ojca. Po chwili dodała: – I kilku kolegów. Mam przywieźć wszystkich naraz? Głodna jestem. Rozumiem, że nie dostanę nic do jedzenia, bo przyjechałam sama, bez oczekiwanego przez ciebie faceta? Obcego nakarmisz, ale córkę zagłodzisz?

– Głodna? Chwilka, wszystko mam już gotowe! – Matka wybiegła do kuchni, a Ania przysiadła na boku fotela ojca.

– Tato?

– Słucham.

– Jeszcze jesteś na mnie zły?

– Nie.

Lakoniczna odpowiedź nie przekonała Ani, ale musiała odważyć się i rozpocząć rozmowę o Piotrze Wolnym.

– To dobrze. Obiecałam przecież, że to się nie powtórzy, zadzwonię zaraz do kolegi, przyjedzie po mnie.

– A czemu nie jeździsz samochodem? Po to ci go daliśmy...

– Bo w warsztacie jest akurat. Jakiejś części nie mieli i sprowadzają ją teraz.

– Aha. Odwiozę cię sam – poinformował ją tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jutro rano. Będę jechał do Poznania.

– Dobrze. – Poczuli się, jakby miała pięć lat. – Tato? Ten facet... dzisiejszy denat, Piotr Wolny, znałeś go?

– Nie, nie, nie. Skąd taki pomysł? – Ojciec się oburzył.

– Wsadziłeś go do więzienia.

– Ja?

– Prokurator Stanisław Rogoziński. To ty. Tato, potrzebuję informacji.

– A ja spokoju, jestem już stary. – Mężczyzna się zdenerwował. – Nie pamiętam faceta.

– Za kradzież. Niczego nie kojarzysz? Może miał jakichś wrogów? Co on w ogóle ukradł?

– Wybacz, miałem tysiące spraw, nie mogę pamiętać wszystkich degeneratów.

– Rozumiem, ale to było dawno temu, w lipcu osiemdziesiątego roku. Jeszcze

w Toruniu, przed awansem. Pamięta się swoje początki w zawodzie.

– Ja nie pamiętam. Jeśli ukradł, to poszedł do więzienia. To sędzia decyduje o wymiarze kary. Proste? To stara sprawa i zamknięta. Jakie ma znaczenie, co ukradł?

– Tato, to dla mnie ważne. Przypomnij sobie, proszę? Może Wolny był członkiem jakiejś zorganizowanej grupy przestępczej? Nie słyszałeś o nim później?

– Nie, to było ponad trzydzieści lat temu. Gdybym pamiętał wszystkie swoje sprawy, to miałbym ogromną, kwadratową głowę. – Wzburzony Stanisław po raz kolejny uniósł się z fotela, złapał leżącą na ławie paczkę papierosów i wyszedł na dwór, trzaskając drzwiami.

*

Nie tak miał spędzać dzisiejszy dzień, ale przecież czasem dobrze jest dać się ponieść chwili.

Teraz albo nigdy. To była dobra myśl.

Facet na dworcu zainspirował go. Poddał się impulsowi i dobrze, że zdążył jednak wyskoczyć z pociągu.

Ładnie tu. Wypasione rezydencje, kwiatowe nazwy ulic, wybrukowane uliczki; ą, ę, bułkę przez bibułkę. Kto by pomyślał, że tak będzie wyglądać życie faceta z tamtego przedziału.

Minęło tyle czasu, ale on ciągle słyszy to pytanie.

– Co się będziemy tak tłoczyć? – Jego ojciec był zadowolony, jakby złapał Pana Boga za udo.

Rodzic zadał je i przesiadł się na wolne miejsce. Matka siadła przy ojcu. Uśmiechała się. Ciepło i słodko. Tylko ona tak potrafiła.

Dla niego została cała kanapa.

Wyciągnął nogi. Pamiętał to zaraźliwe uczucie zadowolenia, łagodne kołysanie pociągu i monotony tętent. Szybko usnął.

Obudził go kurewski huk i krzyk zarzynanego bydła. Usiadł nieprzytomny. Oczy mu się kleiły. Nie przecierał ich. Bał się, że to, co widzi, dzieje się na jawie, że to nie sen. Zakrwawiona matka w dziwnej pozie leżała na podłodze. Kanapa, na której siedziała, przygnieciona była... nie wiedział nawet czym. Głowa ojca utkwiała w szybie dzielącej przedział od korytarza.

Chciał krzyczeć, ale nie mógł. Nie chciał się obudzić. Nie wtedy. Wolał poczekać na lepszy moment, kiedy nierealny koszmar okaże się tylko złym snem. Gdy matka usiadła na kanapie, ojciec roześmieje się zadowolony, że nabrał go na swoje makabryczne żarty.

Słyszając jęki i krzyki dochodzące z różnych miejsc, w końcu sam zaczął krzyczeć.

– Maaamooo! Taaatooo! Aaaaaa!!!!!!!

Nie zareagowali. Jego część przedziału pozostała niewzruszona.

Gdyby ten skurwiel nie wysiadł w Toruniu, gdyby nadal zajmował swoje miejsce, moja mama trzymałaby mnie wtedy za rękę. Ta śmierć przyszła po niego. To była jego miejscówka. Oszukał przeznaczenie kosztem moich rodziców.

– Neeeeee!!!

Chce mu się krzyczeć. Teraz. Wtedy też chciał krzyczeć i tak mu zostało. Nieświadomość, niepamięć i niewiedza pozwalały mu żyć. Do dziś. Przypadkowo spotkany mężczyzna otworzył puszkę Pandory. Rozwalił ją bezczelnie, nie pytając o zgodę.

Rozpierzdził jego świat, który przez wiele lat próbował budować na zgłiszczach.

Facet stoi kilka metrów od niego dumny jak jakiś głupi paw. Dupek, niczego nieświadomy. W dodatku dorobił się niezłego domu...

Nie sądzi, żeby pamiętał, że cudem uniknął śmierci. Pali papierosa i skraca swoje beznadziejne życie, zamiast je cenić i celebrować każdy dzień... Dupek.

Przygląda się temu smutnemu obrazkowi. Piękny dom, duży ogród, automatyczna brama, masywne kolumny podtrzymujące balkon, podwójny garaż, zadbane tuje, przystrzyżony trawnik i człowiek. Pełen bóleści, nieszczęścia, wyrzutów sumienia. Potwierdzają je kamery monitoringu zainstalowane na domu. Nie może podejść bliżej. Na pierwszym planie obrazu jest jednak dym nikotynowy – kłębiący się i śmierdzący.

Nie może nie wykorzystać tego niesamowitego zbiegu okoliczności. Kim jest ten facet? Na czym tak się dorobił? Na pewno nie pracował w Biedronce. Głowę nosi zbyt wysoko. Zapyta wszechwiedzącego przyjaciela Googla.

– Googlu, Googlu, powiedz przecie, kim może być facet, który odebrał Annę Rogozińską z dworca?

Ekran smartfona błyskawicznie wyświetlił odpowiedź. Anna Rogozińska. Trzydziestopięcioletnia dziennikarka telewizji Primo TV.

To wiedział.

– Zaskocz mnie Googlu. Ooo, jest!

W krótkiej notce znalazł wszystko, czego potrzebował: nazwisko ojca dziennikarki oraz fotkę.

Bingo. Wszystko zaczyna pasować. Jesteś jej ojcem, skurwielu? Szukałem cię. I znalazłem. Teraz poobserwuję ciebie i tę twoją córcię.

*

Gdy Stanisław Rogoziński zamknął za sobą drzwi gabinetu, poczuł się bezpieczniej. Założył na uszy bezprzewodowe słuchawki i podszedł do półki szczelnie wypełnionej płytami CD. Na chybił trafił wybrał jedną z nich, włożył do odtwarzacza i wdusił niewielkie przyciski „random” oraz „play”. Czekaając na pierwsze takty losowo wybranego

utworu, opadł na fotel i zamknął oczy. Chciał się odprężyć. Chciał przestać myśleć o Wolnym.

– Grieg, Edvard Hagerup Grieg! – krzyknął, słysząc pierwsze nuty.

Nie można było ich pomylić z czymś innym. Grieg, norweski kompozytor i pianista, w niezwykle malarski sposób poradził sobie ze zleceniem udźwiękowania wierszowanego dramatu *Peer Gynt*. Suita napisane przez niego na zamówienie miały ozdobić wybrane literackie sceny i stworzyć jedną całość, która zafascynuje widzów teatru. I zafascynowała, nawet bardziej niż dramat, do którego powstała.

– Nawet najgorszy ignorant bez problemu odgadnie tytuł tego utworu! – Stanisław przyciskał słuchawki do uszu, nie chcąc zgubić ani jednej nuty. – Nie sposób nie zauważyć budzącego się życia... o poranku.

Wysłuchiwał się z pasją we wschód słońca malowany wiodącymi fletami i towarzyszącymi im obojami, podbijany niskimi tonami kontrabasów, wypełniany skrzypcami. Widział oczyma wyobraźni siedzących na krzesłach skrzypków, którzy rytmicznie pocierają końskim włosiem o wrażliwe struny. Czubki smyczków niczym stado pszczoł podnoszą się nerwowo do góry, by po chwili zawieszenia opaść spokojnie na dół, na letnie kwiaty oczekujące wizyty. Magia instrumentów dętych; idealna harmonia między blaszanymi i drewnianymi. Wręcz czuje się ciepło wstającego słońca, rosę na ustach, widzi się tę mgłę. Mgłę... przysłaniającą widok, chowającą tajemnice, zwiastującą nowe życie albo będącą początkiem końca.

Rogoziński słuchał tego utworu wiele razy, ale dopiero dzisiaj, po wizycie na dworcu PKP, po tym, gdy z ust córki padło nazwisko Wolny, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że mgła jest niepokojąca. Dokładnie taka sama jak ta, którą zapamiętał...

ROZDZIAŁ XIII

Od: B.K.

Do: Anna Rogozińska

Temat: Wypij mnie

Wybacz. Zapukałby, ale... nie ma najmniejszego sensu pukać. Z dwóch powodów. Jestem (a właściwie mój e-mail jest) po tej samej stronie ekranu co ty, a po drugiej oni tam wszyscy robią taki straszny hałas, że i tak mnie z pewnością nie usłyszysz. A szkoda..., bo chcę pomóc, Tobie – Aniu.

Nie wszystko widzisz takim, jakie jest...

Ostatnio zdarzyło się tyle niezwykłych rzeczy. Czy zaczynasz wierzyć, że rzeczy naprawdę niemożliwych jest w rzeczywistości bardzo niewiele?

B.K.

PS Adam umarł w drodze do domu. Facet z fotki leżącej na środku mojego biurka uwielbiał kobiety.

ROZDZIAŁ XIV

Kawiarniany gwar nasilał się. Z każdym kolejnym kwadransiem przybywało ludzi, którzy ustawiali się w długiej kolejce. Trzech pracowników sieciówki uwijało się, ustawiając na barze kolejne kubki wypełnione napojami – przeróżnej wielkości i zawartości, parujące lub pokryte bitą śmietaną. Część klientów opuszczała lokal, dumnie dzierżąc w ręku papierowy kubek z charakterystycznym zielonkawym i okrągłym logo. Inni, stojąc jeszcze w kolejce, wyciągali szyje jak żyrafy, by znaleźć dla siebie miejsce siedzące.

– Stary, kupę lat, fajnie, że się odezwałeś. Skąd miałeś mój numer telefonu?

Łukasz Zawodny nie przestawał mieszać stojącej przed nim mrożonej kawy. Kostki lodu uderzały o szklane ścianki, szybko się roztapiając. Specjalnie wybrał to miejsce, bo nie mógł poświęcić na spotkanie z dawno niewidzianym kolegą więcej niż pół godziny. Hałas, wysokie, bardziej barowe niż kawiarniane stoliki i także same krzesła powodowały, że miejsce to było idealne na szybkie kawy, wymiany uprzejmości czy informacji.

– Łuki, w dzisiejszych czasach można znaleźć wszystko, nie ruszając się z domu. A z numerem twojej komórki poszło mi wybitnie łatwo – opowiadał przystojniak. – Zadzwoń do redakcji gazety, w której pracujesz.

– No tak... – Uśmiech nie schodził z twarzy Łukasza. Przyglądał się koledze i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wyglądał nadzwyczaj dobrze. – Super, bardzo się cieszę, że zadzwoniłeś, sorry, że dziś mam czas tylko na małą kawę... W pracy mam sajgon, ale może w weekend nadrobimy zaległości? Pójdziemy na piwo? Musisz opowiedzieć mi, co robiłeś, gdy cię nie było!

– E tam. – Mężczyzna machnął ręką. – To ty musisz opowiedzieć mi, jak stałeś się pismakiem. Kiedyś przez przypadek zobaczyłem twoje nazwisko pod krótkim artykułem...

– To długa historia, która uświadamia mi, jak dawno się nie widzieliśmy... Brachu, obiecaj, że tym razem nie zerwiemy kontaktu. Te wszystkie nasze wspólne numery z akademika...

– Spoko, masz to jak w banku. Zwłaszcza, że pomyślałem o tobie. Nie masz dość pisania krótkich notek? Mam cynk, że szykuje się superroboty.

– Pytanie! – zachnął się Łukasz.

Od dawna cierpiał na syndrom FOMO. Lęk przed wykluczeniem sprawiał, że nie potrafił opanować ciągłej potrzeby sprawdzania poczty mailowej i wiadomości pojawiających się w Internecie. W jego sytuacji obawy nie dotyczyły jednak, jak u większości ludzi, portali społecznościowych. On bał się utraty pracy. Tego, że ktoś go

ubiegnie, że stanie się bezużyteczny dla redakcji. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w codziennej gazecie nie ma miejsca na żółwie tempo, odgrzewane kotlety czy wczorajszy chleb.

– Czyli reflektujesz?

– Szczerze? Bardzo! Mam dość pracy w dzienniku. Ciągłe muszę być w gotowości. A co to za robota? Mam nadzieję, że nie kolejny dziennik?

– Nie! Powstaje pismo dla mężczyzn. Prawdziwych twardzieli. Luksusowy miesięcznik traktujący o tym, co nas bawi – ekstremalnych podróżach, samochodach i innych gadżetach. Ja będę dla nich robił foty. Naczelną ostatnio wspomniała, że szukają doświadczonego redaktora. Od razu pomyślałem o tobie. Masz dobre pióro. Marnujesz się w gazecie z szarymi stronami, którą można palić w kominku.

– Ha, ha, ha. Dzięki, chętnie skorzystam. A propos marnowania, jak życie po nagrodzie?

– Życie nie umierać. Podróżowałem trochę, poznawałem świat i kobiety.

– Kobiety? Nie kobietę? – Zawodny roześmiał się. – Czyli nadal jesteś wolnym strzelcem?

– A co? Wolny się urodziłem, wolny umrę. A ty? Masz kogoś?

– Tak jakby. – Łukasz przestał się uśmiechać.

Nie bardzo wiedział, co może powiedzieć o swojej relacji z Anką. Wydawało mu się, że zna kierunek, w którym zmierzają. Dziś był pewien bardziej niż kiedykolwiek, że spełnią się jego marzenia i Anna będzie jego dziewczyną. Nie chciał jednak opowiadać o swoich uczuciach koledze, który zawsze bezproblemowo podrywał wszystkie dziewczyny.

– Słucham? Gadaj mi tu szczerze, jak na spowiedzi, a nie mruczysz coś pod nosem, jak czternastolatek.

– Mam, nie mam, jakie to ma znaczenie? Kurcze, ale tu hałas.

Łukasz odwrócił twarz od rozmówcy i spojrzał na dziewczynę przygotowującą kawę. Z zaciętością uderzała metalowym zbiornikiem w plastikowy kosz.

– Ołać hałas! Nie mów, że w twojej redakcji nie ma fajnych dup?

– W mojej nie, ale znam taką jedną. – Zawodny postanowił uchylić rąbka tajemnicy, żeby nie wyjść w oczach kolegi na słabeusza. – Już od dawna, ale teraz pracuję nad dogłębniejszym jej poznaniem.

– Dogłębniejszym, ha, ha, ha. Co to za lala?

– Boska. Cholernie ambitna, zdeterminowana, inteligentna, piękna i pracuje w telewizji. Ogólnopolskiej. Co prawda chwilowo siedzi w oddziale regionalnym, ale myślę, że najpóźniej za rok będzie w Warszawie. Mówię ci, mieszanka wybuchowa. Bierz to, co chce.

– Ooo, a ty pewnie marzysz, żeby chciała ciebie? Ale pokazują ją czy pracuje w cieniu?

– To Anka Rogozińska, na pewno ją widziałeś. W wiadomościach albo w programie...

– Nie. – Mężczyzna przerwał mu i pokręcił głową. – Nie oglądam telewizji.

– To taka blondynka z niebieskimi oczami, apetycznie zaokrąglona.

– Bardzo zaokrąglona?

– Tam, gdzie trzeba – odpowiedział automatycznie, po czym zazdrośnie dodał: – A ty co? Zainteresowany?

– Ja? Nie! Miłość to nie gadżet dla prawdziwego faceta.

ROZDZIAŁ XV

Ania zmęczona po pracy opadła na głęboki fotel w biało-czerwone pasy. Od kilkunastu godzin marzyła o nim i kojącym nerwy kubku gorącego kakao z pianką. Wczorajsze popołudnie, wieczór, noc i dzisiejszy poranek spędziła, zanurzając się w atmosferze rodzinnego domu. Nie należało to do najprzyjemniejszych doznań. Iskry z domowego ogniska spadały na nią zupełnie niespodziewanie, raniąc niby przypadkiem. Chwilami miała wrażenie, że tonie i chwyci się każdej, niekoniecznie pomocnej ręki, by wydostać się z niebezpiecznego wiru. Po takiej wizycie miała dość rodziców, rodziny jako takiej i jakichkolwiek związków na przynajmniej kilka lat. Świadomość tego, że prędeziej czy później miłość staje się pretekstem do zadawania ran, bolała ją prawie tak bardzo, jak obserwowanie zgaszonej matki i obrażonego ojca.

– Ooo, a co to jest? – Odłożyła kubek z kakao na stojący przy fotelu stolik i podeszła ostrożnie do balkonu.

Kupka śmieci, którą zauważyła kilka dni temu na swoim balkonie pomiędzy balustradą a posadzką, dokładnie ta sama, którą miała sprzątnąć, zmieniła się w jednorodzinny ekologiczny dom ptasiej rodziny. W niewielkim gnieździe zbudowanym z odpadów zamieszkała pani wróblowa i pięć małych, ale głośnych, różowych i właśnie otwierających się dzióbków.

– No pięknie! Czemu one się tak drą? I czemu są takie łyse? I gdzie jest facet wróbel, pytam się?

Zamiast odpowiedzi usłyszała głos dzwonka do drzwi. Spojrzała na zegarek i zdziwiła się. Nie spodziewała się gości, kominiarza, listonosza, sąsiadki. Zbliżała się dwudziesta pierwsza. Zamierzała za chwilę położyć się do łóżka i wyśnić sobie magicznie cudowny świat. Tak dla przeciwwagi do rzeczywistości. Podeszła jednak do drzwi.

– To ty? – Zamarła podczas otwierania.

– Ja! – Rafał Stochaj radośnie przekroczył próg jej mieszkania, nie zwracając uwagi na zdziwioną właścicielkę.

– Co tu robisz? – spytała, pouczając siebie w duchu: „następnym razem zanim otworzysz drzwi, spójrz przez wizjer”.

– Przyszedłem.

– Widzę, ale po co? – Poczowała się zagrożona.

– Wykręciłaś się z naszego lunchu czy kawy, nieważne, SMS-a przysłałaś, nieładnie!

– Nie pytam się, czy usiądziesz – skomentowała fakt, że gość bez zaproszenia wszedł do salonu i usiadł na jej ulubionym fotelu.

– Nie pytaj. Ale napiłbym się wody. Chyba że masz wino?

– Nie mam – warknęła.

– Wody czy wina?

– A tobie nie brak przypadkiem kultury? Wpadasz niezapowiedziany?

– Oj, nie przesadzaj! Muszę się zapowiadać, mając na uwadze nasze stare dobre czasy?

– Dobrze? – Mimo że oddaliła się do kuchni, przez okno łączące część kuchenną

z salonem, obserwowała byłego partnera. Kiwał się na fotelu, rozglądając się ciekawie na

wszystkie strony. – Zawsze miałeś umiejętność zabijania nietrafionymi żartami. Po co

przyszedłeś? – Postawiła przed nim najmniejszą szklankę, jaką znalazła w kuchni

i butelkę wody gazowanej.

– Żeby ciebie zobaczyć? – Patrzył prosto w jej oczy.

– Oczywiście. – Roześmiała się, chcąc ukryć zakłopotanie. – I twoja narzeczona o tym

wie, prawda?

– Oj tam, oj tam. Mieliliśmy spotkać się dzisiaj. Nastawiłem się już, a ty mnie zlałaś

jakąś SMS-ową wymówką, że nie dasz rady, bo boli cię głowa. No proszę cię, umówiliśmy

się na lunch, nie na seks... No chyba, że czytasz w moich myślach.

Rafał odkręcił butelkę. Odgłos wody wypełniającej szklankę, po raz kolejny tej doby

sprawił, że Ania pomyślała: „tonę, znowu tonę”. Podeszła do regału, chwyciła pilota

i włączyła radio. Wybrała najbardziej przegadaną stację. Minimum muzyki. Potrzebowała

bezpiecznej przystani, podczas gdy jej były, ale nadal bardzo atrakcyjny mężczyzna

przeprowadzał słowny, zmasowany atak na jej kobiecość. Zdawała sobie sprawę z jego

manipulacji i prowokacji.

„Znam cię i czytam w twoich myślach – odpowiedziała w duchu – a ty myślisz, że

czytasz w moich. Dopóki tak jest, mam przewagę”.

– Sorry, musiałam zupełnie spontanicznie spędzić noc u rodziców i dziś nadrabiałam

zaległości w pracy.

– A co? Coś u moich ukochanych niedoszłych teściów się stało?

– Nie. Powiedzmy, że stęskniliśmy się za sobą.

– To tak jak MY za sobą.

Nie skomentowała. Obserwowała go, jak się pręży, wypina, próbuje być zabawny

i zastanawiała się, dlaczego kiedyś tak bardzo go kochała. Czy dlatego, że była

nieświadoma jego manipulacji? Czy to zakochanie zmętniło jej soczewki?

– A rozmawiałaś z ojcem? – spytał jak gdyby nigdy nic.

– No raczej.

– A o czym?

– O pogodzie – odpowiedziała automatycznie. Wzruszyła obojętnie ramionami i dodała

– wyniku meczu, zawartości talerza z obiadem i chorobie gruczołu krokowego, a co?

Zawiesiła głos i spokojnie czekała na reakcję mężczyzny. Przez chwilę patrzył w dal i kiwał głową, bardziej dla świętego spokoju niż by wykazać się zrozumieniem. Przez głośniki stereo sączyła się jednostajna rozmowa radiowa.

– A o denacie? Co powiedział o denacie? – W końcu Rafał opuścił fotel i usiadł na sofie, bardzo blisko Anny.

– Właściwie nic – odpowiedziała zgodnie z prawdą, przemilczając jednak niewerbalne bodźce, które nieświadomie wysyłał do niej ojciec.

Przechyliła kubek i wypila ostatni łyk kakao. Nie chcąc siedzieć tak blisko niego, wstała i poszła do kuchni po szklankę dla siebie. Nalała do niej wody, tak by ta była do połowy pełna i zadowolona wróciła na zwolniony przed chwilą fotel. Siedzisko nie wróciło jeszcze do swojego kształtu. Zaokrąglenia, które pamiętały pośladki Rafała, emanowały jeszcze zanikającym ciepłem jego ciała.

– Powiedział, że nie pamięta faceta. Jak dobrze wiesz, on nie lubi mojej pracy. Media budzą u niego odrazę i odruch wymiotny. Dla niego to wszystko jest za głośne, za oczywiste i na pokaz.

– Hm, no tak, w sumie nie musi pamiętać, bo to było dawno. Przepraszam, że nie mogłem wczoraj z tobą wprost rozmawiać przez telefon, ale wiesz... Mam taką, a nie inną pracę. Nie powinienem o niej rozmawiać z nikim. Tylko dla ciebie robię wyjątek, bo... – Zawiesił głos i zaczął przesuwac środkowym palcem prawej dłoni po boku sofy. – Bo ty jesteś wyjątkowa! Wiesz, to twój ojciec wsadził denata do pierdla, za jakąś drobną kradzież. I bardzo szybko wypuścił.

– Jak to wypuścił?

– No, Wolny został zwolniony. Oczyszczony z zarzutów, ale wiesz, jakie to były czasy.

– Jakie? – Wyłączyła wieżę. Radiowa rozmowa ją rozpraszała.

– No jak? Rok osiemdziesiąty, komuna rządziła twardą ręką. Słyszałem o przekrętach z tamtych czasów.

– Ooo, wiesz, że mnie zawodowo interesują przekręty?

– Wiem. A wiesz, Aniu, że ty mnie nadal tak samo interesujesz, jak kiedyś? A może nawet bardziej.

– W to nie wątpię – odpowiedziała z satysfakcją.

Pokój wypełniła specyficzna cisza. Cisza, podczas której należy przeanalizować sytuację, ocenić swoje siły, wybadać przeciwnika i zaatakować lub uciec. Oboje trwali pełni napięcia, oczekując, co przyniosą kolejne minuty. Stali nad przepaścią. Każde z nich mogło zostać przez drugiego zepchnięte... wyśmiane... lub wodzone na pokuszenie. Mogli też skoczyć razem, dać ponieść się wirowi chwili i pofrunąć ku górze, albo zwyczajnie wycofać się i wrócić na równinę.

Po chwili zastanowienia Ania zdecydowała się wykorzystać jego zainteresowanie.

– A słyszałeś może ostatnio o aferze lekarskiej? Przekrętach wśród nich?

– A dokładniej? Co masz na myśli?

Rafał zadawał pytania, ale był zainteresowany zupełnie czym innym. Ostatni raz widział Anię dwa dni po rozstaniu. Siedzieli w tym samym salonie. Ona płakała, a on starał się wytłumaczyć, że mężczyźni już tak mają, że praca jest dla nich ważna, a kobiety muszą to zaakceptować. Ania nie chciała tego zrozumieć.

Wtedy na komodzie, koło dwóch stożkowych świeczek stało ich zdjęcie w granitowej ramce. Uśmiechnięci i szczęśliwi przeskakiwali fale. Dzisiaj stały tylko zakurzone świeczki. Stochaj zastanawiał się, czy mogliby wrócić do czasu z tamtej fotografii.

– No była taka głośna afera, na pewno obilo ci się o uszy. Media relacjonowały sprawę sądową lekarza z Gniezna. Trzydziestodwuletnia pacjentka umarła w szpitalu, chyba podczas usuwania wyrostka robaczkowego?

– Chyba kojarzę. Amanda W. zmarła po podaniu znieczulenia na stole operacyjnym. Dyrektor placówki złożył zawiadomienie do prokuratury i zapewniał, że nie było medycznych przeciwwskazań do podania znieczulenia. Sprawa sądowa jest już zamknięta, lekarz uniewinniony, a co?

– Nie, nic, pomyślałam, że może masz jakieś smaczki na temat tamtego doktora? – Starła skupić się na rozmowie, a nie na dochodzących zza ściany odgłosach kłótni małżeńskiej. – Czeka, jak on się nazywał?

– Ten, co operował i był oskarżony o błąd?

– Noo, czy sprawdzaliście jego powiązania z dziwnymi ludźmi, czy nie wyskoczyło przy okazji nic innego?

– Kochanie – zabrzmiał obraźliwie i lekceważąco – jeśli zapytasz wprost, będę wiedział, o co ci chodzi i może odpowiem, ale jeśli będziesz kluczyć to zbłądzisz, zawsze ci o tym mówiłem. Zapomniałaś? A tak przy okazji: masz nowych sąsiadów? Często tak się kłóć?

– Średnio raz na miesiąc – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Dźwięki docierające zza ściany wydawały się nasilać. Na początku były stłumione. Teraz kłócające się osoby nie przebierały w słowach. Razem z ostrymi epitetami rzucane były mniejsze przedmioty. Kłótnie zawsze miały ten sam przebieg. W pewnym momencie emocje osiągały apogeum. Ania chcąc nie chcąc słyszała każde słowo. Mogłaby bawić się w sędziego przyznającego rację jednej ze stron... lub w psychoterapeutę uczącego pary rozpoznawania kolorów. Bo białe nie zawsze jest tak białe, jak się wydaje kobiecie, a czarne, tak jednoznacznie czarne, przy czym upiera się mężczyzna. U sąsiadów za ścianą zawsze po fazie apogeum następowała chwilowa cisza, a po niej narastający płacz

kobiety. Po kilku kwadransach milkł nawet on i wtedy zaczynała się ostatnia faza arii małżeńskiej. Rytmiczne uderzanie łóżka o ścianę i orgiastyczne okrzyki.

– Mam takich dwóch lekarzy na świeczniku. – Ania poprawiła się na fotelu, podkurczyła nogi i zaczęła bawić się włosami. – Konopielski i Magiel. Podawałam ci już te nazwiska. Oni są w pewien sposób powiązani z ofiarą, znaczy się z tą zmarłą kobietą. Przyglądam się im i jakoś tak... za dużo przy nich martwych ludzi.

– Martwych? No kurcze, Anuś. – Rafał uniósł się z kanapy i zachęcony gestami Ani, podszedł do fotela. Uklęknął przy nim, obie ręce kładąc na jego podłokietnikach. – Lekarze chyba mają do czynienia ze zmarłakami? Taką mają profesję? Zwłaszcza jeśli kiepsko leczą?

– No tak. Masz rację. Ale próbuję ci zasugerować, że może zabijają celowo?

– Celowo?

– No.

– To znaczy? – Rafał zdziwił się na tyle, by na chwilę przestać myśleć o flirtowaniu.

Na jego czole pojawiły się dwie pionowe, mocno zarysowane zmarszczki. Wizualny efekt skupienia. Ślad świadczący o tym, że Rafał Stochaj wrócił do ulubionej życiowej roli – policjanta rządnych sukcesów. Ania przyjęła to z ulgą. Bała się, że jego nachalna bliskość w końcu przygniecie jej dyktowaną przez rozsądek obojętność.

– Chciałam prosić cię, żebyś przyjrzał się im, tak nieoficjalnie. Ten ostatni trup też był z nimi związany.

– To znaczy?

– No, pracował w GEMO, czyli w firmie ochraniającej klinikę Magla. Próbowałam ustalić, kto jest właścicielem GEMO, ale bezskutecznie. Wiesz, umówiłam się kilka dni temu z pewnym facetem, który miał mi opowiedzieć o Maglu i Konopielskim parę ciekawostek i zanim do niego dojechałam, był już zimny!

– Trup?

– Trup.

– I myślisz, że to tych dwóch lekarzy zabiło faceta?

– Tak, tego faceta z Turzna, doktora Adama Biela i Wolnego może też.

– Aaa, to o Biela ostatnio pytałaś. Kobieto, ty nie masz przypadkiem obsesji?

– Nie wiem. – Ania nie chciała dzielić się informacjami z Rafałem bardziej, niż było to niezbędne do zainteresowania go sprawą. – Denaci jakoś mi się łączą z Konopielskim i Maglem.

– Ale dlaczego? – uniósł głos, starając się zagłuszyć odgłosy dochodzące zza ściany.

Sąsiedzka małżeńska kłótnia przeszła do fazy apogeum. Miał wrażenie, że wrzeszczący ludzie znajdują się w mieszkaniu Rogozińskiej i zaraz zażądają od niego

opowiedzenia się po jednej ze stron konfliktu.

– Jeszcze nie mogę ci powiedzieć, ale czy możesz to sprawdzić? Proszę.

– Ale jak to sobie wyobrażasz? Sprawdziłem tego klienta, doktorka Biela, jak mnie prosiłaś. Facet umoczony był w hazard. Grał bez opamiętania od lat. Rozszedł się z żoną w dwutysięcznym roku, gdy zdał sobie sprawę, że nie może przestać przegrywać. Zostawił jej mieszkanie, wyprowadził się i zamieszkał w gospodarstwie odziedziczonym po rodzicach. Staczał się tam. Nasi przesłuchali ludzi z miejsca, w którym grał. Przegrywał regularnie. Od miesięcy grał za pożyczone. Sprytnie brał mniejsze kwoty u dużej liczby osób. Właściwie nie ma nikogo, w kręgu jego sąsiadów i znajomych, kto by mu nie dał raz czy dwa. Nie ma świadków zdarzenia, ani śladów na ciele. Nie ma punktu zaczepienia. Może facet miał pecha i trafił na jakiegoś popaprańca? Może znalazł się w niewłaściwym miejscu o złej porze? A może któryś z jego wierzycieli nie wytrzymał?

– No dobra, ktoś stracił cierpliwość i kazał go zabić, a policja nie jest w stanie ustalić kto?

– Anka, myślisz, że kasę pożyczają hazardzistom zwyczajni ludzie? Nie! Cwaniaki, którzy wiedzą, jak to robić, żeby nie zostawiać śladów.

– A może zabił go Magiel albo Konopielski, żeby nie dopuścić do rozmowy z mediami, czyli ze mną?

– Nie wiem, czy nie popadasz w niebezpieczną manię wielkości. Skąd niby mieliby o tym wiedzieć?

– Nie wiem. Może straszył ich, szantażował? Chciał od nich wyciągnąć kasę na spłatę długów?

– Nawet jeśli, to policja sprawdziła. Ani Magiel, ani ten drugi nie są podejrzani.

– Dobrze sprawdzili?

– Myślę, że dobrze. Podpowiedziałem kumplowi nieoficjalnie, że denat mógł szantażować tych dwóch typów. W domu Biela policja nie znalazła niczego, czym mógł ich zastraszać. Odpuść. W tej sprawie nie ma drugiego dna.

– No, może masz rację.

– Mam rację – przyznał, z jego czoła zniknęły pionowe zmarszczki, a na twarzy pojawił się czarujący uśmiech. – Co zrobimy z tak miło rozpoczętym wieczorem?

– Hmm... – Udała, że myśli nad odpowiedzią. – Ty wrócisz do narzeczonej i wysłuchasz opowieści pod tytułem jak minął jej dzień, a ja pójdę spać.

– A co ty tak ciągle wspominasz o mojej narzeczonej? Masz ochotę na trójkącik? – Próbował ją zawstydzić. – Może ułożę cię do snu?

– Rafałku, mając na uwadze to, co nas kiedyś łączyło, dam ci dobrą radę... Masz narzeczoną, za chwilę będziesz mężem. Nie spieprz tego. Byliśmy razem i miałeś mnóstwo

okazji do układania mnie do snu... wolałeś jednak wracać z pracy wtedy, gdy już smacznie spałam.

Zaatakowała go, mając świadomość, że to ostatni moment na takie zachowanie. Wiedziała, że pretensje go zamkną. Schowa się do swojej skorupy i ucieknie.

W tej chwili Rafał znajdował się zbyt blisko niej, był zbyt miły, by mogła mu się dłużej opierać. Poza tym kobieta za ścianą płakała od dłuższego czasu, co oznaczało, że za chwilę dotrą do nich miłosne jęki godzących się sąsiadów. Nadeszła najwyższa pora na zakończenie tego spotkania.

– Obserwuję cię Rafale, i zaczynam się zastanawiać, czy jak byłeś ze mną, to wieczory spędzałeś w pracy czy u koleżanek, które bajerowałeś tak, jak teraz mnie? A do narzeczonej wrócisz zmęczony i z głową zajęta pracą. Tak jak kiedyś do mnie...

*

Gdy tylko zamknęła drzwi za swoim byłym mężczyzną, usiadła przy biurku w sypialni. Postanowiła usystematyzować informacje dotyczące trupów i obiektywnie odpowiedzieć na pytanie, czy ma obsesję? Zdawała sobie sprawę, że jej opowieść brzmi odrobinę nieprawdopodobnie, ale pamiętała emocje, którymi podzieliła się z nią Żaneta, siostra kobiety zmarłej na stole operacyjnym. Nie mogły być wymyślone.

Na blacie rozłożyła arkusz papieru kancelaryjnego i zaczęła rysować tabelę. Systematyzowanie danych w takiej formie udoskonalała przez lata. Lubiła widzieć swoje myśli podzielone na rubryki.

– Ofiara numer jeden – dyktowała sobie treść. – Nazwisko: Adam Biel, wiek: sześćdziesięcioletek, zawód: lekarz, hazardzista. Miejsce zamieszkania: Turzno. Zabity: nieopodal domu. Sprawca: nieznany. Moja hipoteza: śmierć powiązana z Maglem i Konopielskim, pracowali w jednym szpitalu w Toruniu, mógł wiedzieć coś, co było dla nich niewygodne. Hipoteza policji?

Sięgnęła po telefon i wybrała numer młodego dziennikarza, którego spotkała na miejscu zbrodni. Wymieniła się z nim numerami telefonów, licząc, że zadzwoni do niej ze szczegółową relacją.

– Cześć, tu Anka z Primo TV. Miałeś dzwonić. Sprawa martwego doktora, pamiętasz?

– Witaj, przepraszam, nie dzwoniłem, bo nie dowiedziałem się niczego konkretnego, to znaczy niczego, co mogłoby cię satysfakcjonować. Ciebie i twoją stację.

– Oj, nie przesadzaj, przecież nie jestem taka wymagająca. – Siła się na uprzejmość.

– Powiedz, co wiesz?

– Nic ważnego. Nawet mój naczelny olał temat. Denat zabity jak tysiące innych. Uszkodzone kręgi i rdzeń kręgowy. Bez śladów obcego DNA. Generalnie facet miał swój wiek, nikt po nim nie płakał, więc policja podeszła do tego bardzo szablonowo. Brak

świadców, brak śladów. Udało mi się ustalić nieoficjalnie, że mógł mieć długi nawet na sześćdziesiąt tysięcy złotych u różnych ludzi. Jednak podczas policyjnych przesłuchań nikt już nie mówił o kwotach. Nie wiem dlaczego. Może o zmarłych nie mówi się źle?

– Może. A sprawdzili chociaż ostatnie godziny jego życia?

– Tak, nic nie znaleźli. Wracał z Torunia. Z żoną nie utrzymywał kontaktu od rozwodu, dzieci nie mieli.

– No nic, dzięki. – Nie spodziewała się usłyszeć takiej odpowiedzi, niezadowolona chciała jak najszybciej skończyć rozmowę z nieprzydatnym miejscowym dziennikarzem. – Nie będę dłużej przeszkadzać, przepraszam, dopiero teraz spojrzałam na zegarek, trochę już późno.

– Nic nie szkodzi, miło, że dzwonisz. – Zawieszony ton głosu rozmówcy świadczyć mógł o tym, że zachęcony wykonaniem przez Rogozińską pierwszego kroku, dopiero się towarzysko rozkręcał.

– W takim razie życzę spokojnej nocy. – Lodowato zakończyła konwersację.

Odłożyła komórkę i uzupełniła dane w tabelce.

„Adam umarł w drodze do domu” – powtarzała w myślach zdanie, które udało jej się zapamiętać z dziwnego maila. Odebrała go wczoraj przed zaśnięciem. Nie potrafiła znaleźć sensu całości ani części wypowiedzi. Nie usunęła go jednak ze skrzynki, bo zdanie „Adam umarł w drodze do domu” wydawało jej się logiczne i intrygująco znajome.

– Adam Biel umarł w drodze do domu. To mogłoby się zgadzać. A Piotr Wolny? Też wracał do domu. Czyżby jakiś psychol mordował ludzi wracających do domu? Piotr Wolny, niewiele o nim wiem. Wiek: pięćdziesiąt lat, zawód: ochroniarz w GEMO. Miejsce zamieszkania: Pobiedziska Letnisko, chociaż sklepowa wspominała, że pomieszkiwał też w Gnieźnie. Zabity: nieopodal domu. Sprawca: jeszcze nieznan. Hipoteza policji: był pijany, myślał, że pociąg dojechał do stacji i wyszedł. Moja hipoteza: śmierć powiązana z Maglem i Konopielskim. Tylko dlaczego? Może w jego ręce wpadły jakieś dokumenty z kliniki Magla? Może próbował ich szantażować?

Ania postanowiła przyłożyć się do dokładnego śledztwa, jednak wczorajsza noc spędzona nie w swoim łóżku dawała się we znaki. Odeszła od biurka, skorzystała z łazienki, później zajrzała do salonu, by po raz ostatni wtłoczyć do płuc zapach zostawiony przez jej gościa. Przyjemna woń męskich perfum podszyta nutką potu aktywizowała obszar ukrywanych wspomnień.

Wróciła do sypialni i spojrzała smutno na rozłożoną kanapę przykrytą kapą. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że niepostrzeżenie jej życie się zmienia. Kiedyś łóżko w domu rodzinnym traktowała jak swoje. Wczoraj kręcąc się w nim i poszukując wygodnej pozycji, marzyła o kanapie stojącej w jej ciasnym, ale własnym mieszkaniu na poznańskich

Ratajach. Swoim łóżku. Swoim domu. Swoim życiu.

ROZDZIAŁ XVI

Stanisław wrzucał właśnie wypchany worek do pojemnika na śmieci, gdy zauważył sąsiada, Ireneusza Normana. Starszy pan spacerował wzdłuż posesji Rogozińskiego. Zatrzymywał się co chwilę i kiwał na boki, próbując znaleźć nieszczelności w wypielegnowanym żywopłocie, by zajrzeć na posesję obok. W tym samym czasie pies trzymany przez niego na smyczy obwąchiwał kępy trawy i obsikiwał słupki ogrodzenia.

– Dzień dobry! – Norman ucieszył się, gdy w końcu zauważył Rogozińskiego.

– Dobry – burknął pod nosem Stanisław i z odrazą wypuścił z ręki klapę, która z hałasem upadła na plastikowy kosz.

– Zadowolony pan? – Sąsiad podszedł do bramy i stanął na wprost Rogozińskiego.

– Zadowolony?

– No tak. Z prezentu?

– Z prezentu?

Stanisław nie chciał rozmawiać ze wścibskim Normanem. Jak ognia unikał Ireneusza i jego żony Maryli, którzy wydawali się czatować, by zniecka wyskakiwać zza krzaków, zadawać milion bezsensownych pytań i wpraszać się na kawę. Dziwił się. Wielokrotnie ich lekceważył, wręcz obrażał... Niestety nie przynosiło to oczekiwanego skutku. Najbliżsi sąsiedzi byli nieugięci i nie docierał do nich wielokrotnie wysyłany przez Rogozińskiego komunikat: „nie chce mi się z wami gadać”. Inni, mieszkający w okolicy ludzie w średnim wieku, również spragnieni głośnej wymiany myśli, szybko zrozumieli, że Rogoziński nie ma ochoty na czcze rozmowy o pogodzie, zdrowiu czy polityce.

Osiedle, na którym zamieszkał z żoną, jeszcze kilka lat temu było polem uprawnym. Później przedsiębiorczy rolnik podzielił je na dwadzieścia mniej więcej równych działek i sprzedał deweloperowi. I tak na polu wyrosły, jak grzyby po deszczu, domy jednorodzinne tak atrakcyjne w bryle, lokalizacji i cenie, że nie musiały długo czekać na zasiedlenie.

– Czyżbym przegapił pana urodziny, sąsiedzie?

– Dlaczego pan tak sądzi? – Rogoziński wsparł obie ręce na bramie i uśmiechnął się do swoich myśli: „wiedziałem, że mnie obserwuje, wiedziałem, nawet śledzi to, kiedy mamy urodziny!”.

– A nie, tak pomyślałem, gdy słyszałem, że ta przesyłka to z jakiejś specjalnej okazji! – sąsiad nie ustępował.

Postać Stanisława Rogozińskiego intrygowała Normana. O każdym mieszkańcu osiedla mógł powiedzieć kilkanaście istotnych zdań. Ale rodzina zajmująca sąsiadujący z jego posesją dom mało o sobie mówiła. Rogoziński prawie nie opuszczał swojej działki,

nie wdawał się w dyskusje, potrafił zmrozić wzrokiem. Jego żona wydawała się być sympatyczną kobietą, jednak umiejętnie unikała odpowiedzi na pytania dotyczące ich życia. Nigdy nie skorzystała z sąsiedzkiego zaproszenia na kawę.

– Jaka przesyłka?! – Rogoziński stracił cierpliwość, już miał się odwrócić, gdy usłyszał coś, co go zaniepokoiło.

– Oj, niech się sąsiad nie oburza. Wczoraj szukał pana kurier, z przesyłką, niby niewielką, ale mówił, że specjalną.

– Ku-rier? – Krew gwałtownie odpłynęła z twarzy byłego prokuratora.

– Tak. Nie dotarł do pana?

– A kiedy był, jak wyglądał, o co pytał? – Wieloletnie doświadczenie zawodowe kazało uruchomić mu funkcję „przesłuchanie”.

Rogoziński nie otrzymał żadnej przesyłki. Nikt nie zapukał do drzwi jego domu wczoraj czy dziś. Ani on, ani jego żona w najbliższych tygodniach nie zamierzali świętować urodzin, imienin... Z córką widzieli się raptem kilka dni wcześniej. Nie spodziewali się też przesyłki, wobec czego postać kuriera wypytującego sąsiada wydała się mu wysoce podejrzana.

– No jak to jak? Normalnie. Jak kurier. Zwyczajny mężczyzna z paczką. Zagadnął mnie, bo podobno u was nikogo w domu nie było...

– Jak to?

– Dokładnie takie pytanie sam zadałem – tłumaczył się zaintrygowany reakcją Rogozińskiego. – Przecież pan zawsze jest w domu. Nie wychodzi pan.

„Cholera, co za wścibski dziad”. – Stanisław nie mógł opanować złości. „Gdzie on pracował? W kontrwywiadzie? Nie ma co robić? Tylko siedzi i mnie obserwuje, dupek pieprzony!”.

– A po co mam wychodzić, jak tu mam wszystko, czego mi potrzeba – warknął i przygryzł wargę. – O co pytał? I o której godzinie był?

– Pytał, czy nie wiem, kiedy pan wróci. – W głosie Ireneusza Normana zabrzmiała nuta zmieszania. – O nic innego – zapewnił krótko samego siebie, wiedząc, że niewiele ma to wspólnego z prawdziwym przebiegiem wypadków wczorajszego dnia. – Było tak jakoś po obiedzie, koło trzynastej trzydzieści. Chciałem nawet odebrać przesyłkę, żeby nie musiał się do pana fatygować po raz drugi, ale powiedział, że to przesyłka ze specjalnym priorytetem i musi ją doręczyć do rąk własnych.

– I co pan odpowiedział?

– Jak to co? Że nie wiem. Co będę wdawał się w gadki z obcymi? – Sąsiad zmieszał się. – Pójdę już, żona pewnie czeka na mnie z obiadem. Do widzenia!

Pies przyzwyczajony do temperamentu właściciela spokojnie leżał na ziemi, czekając,

aż jego pan skończy sąsiedzkie pogaduszki. Mężczyzna nie bacząc ani na zwierzę, ani na reakcję Rogozińskiego, pociągnął smycz nerwowo do góry i oddalił się w kierunku swojej furtki. Nie chciał przyznać się do tego, że uciął sobie krótką pogawędkę z przemiłym kurierem na temat życia najbliższego sąsiedztwa i ludzkich dziwactw.

*

Stanisław Rogoziński wpadł do domu jak burza gradowa, trzaskając drzwiami, przetoczył się szybko przez parter, by dotrzeć do swojego gabinetu i po raz kolejny wyładować emocje na niewinnych olchowych drzwiach.

– Halo! – warknął do telefonu komórkowego, gdy po kilku długich sygnałach osoba, do której dzwonił, zdecydowała się odebrać.

– Miałeś nie dzwonić!

– Miałem, ale...

– Co znowu?

– Robi się gęsto, wiesz już, do kogo trafiły te dokumenty? – Stanisław naciskał, wiedząc, że nie powinien tego robić.

Kiedyś jego lęk rósł powoli; z roku na rok, z miesiąca na miesiąc. Od niedawna uczucie zaczęło galopować, tak jak wydarzenia, które obserwował z perspektywy miękkiego fotela. Z dnia na dzień, z minuty na minutę bał się coraz mocniej.

– Nie interesuje mnie to. Po co dzwonisz?

– Ktoś mnie obserwuje! – krzyknął, nie mogąc zapanować nad emocjami.

– Może mu się podobasz.

– Przestań. – Skulił się i ściszył głos. Nie chciał zostać podsłuchany przez żonę albo co gorsza przez sąsiada. – Czuję się zagrożony.

– Nic nowego, od lat tak się czujesz. Jeśli ci się pogorszyło, to dzwoń na sto dwanaście!

– Śmieszne, kurwa, bardzo śmieszne. Zobaczysz, tobie też się dobiorą do dupy.

– Nie dzwoń więcej. Siedzisz w twierdzy, to siedź. Tylu ludziom się naraziłeś, że wcale się nie dziwię twoim lękom. Ja jestem czysty.

– Ty czysty? Do czasu! Tonąc, wywlekę na powierzchnię wszystkie brudy. Będiesz siedział w gównie aż po uszy. W końcu wyjdiesz z cienia. Ciekawe, czy wtedy będziesz zgrywał obojętnego twardziela.

– Tak, tak? Tylko spróbuj... to będzie ostatnia rzecz, którą zrobisz, zanim zdechniesz!

ROZDZIAŁ XVII

Anka Rogozińska wpadła do kawiarni „Kreska” z takim impetem, że pchnięte przez nią szklane drzwi uderzyły o ścianę, wprawiając w drżenie wiszące na niej obrazy. Próbując je zamknąć, zahaczyła torebką o stojący wieszak, a ten niczym pierwsza kostka podczas Dnia Domina delikatnie się zachwiał i opadł na lewo, wprawiając w ruch trzy, wiszące w niewielkiej od siebie odległości, malowidła. Jedno po drugim.

– Przepraszam. – Uśmiechnęła się bezradnie, przechodząc obok kelnerki.

– Nic się nie stało. Na szczęście wystawa *Letni powiew* wisi stabilnie.

Ania kiwnęła głową i usiadła przy pierwszym wolnym stoliku. Czuła się odrobinę niezdarnie. Nigdy, przenigdy nie przychodziła na umówione spotkanie zbyt wcześnie. Zawsze zjawiała się idealnie „w punkt” lub wręcz kilka minut po czasie i zapewniała sobie tym samym dobre wejście. Siedzący przy stoliku gość lub goście czekali na nią. Poza tym, przychodząc jako ostatnia, nie musiała dokonywać wyborów – stolika, miejsca, z którego widok będzie lepszy... no i nie musiała czekać. Bezproduktywna strata czasu zwana oczekiwaniem bolała ją bardziej niż pieniądze wydawane na naprawę samochodu czy opony zimowe.

Tym razem Łukasz nie musiał długo nalegać. Zgodziła spotkać się z nim z ukrywaną przyjemnością, gwarantując sobie jednak prawo wyboru miejsca. O koszarnej drewnianej restauracji, którą ostatnio chciał ją zauroczyć, starała się zapomnieć. Dlatego postanowiła wskazać mu kierunek, w którym powinien podążać, proponując jej kolejne spotkania.

Kawiarnia „Kreska” była wyjątkowym punktem na randkowej mapie Poznania. Nowoczesny lokal kusił przestronnością, witał chłodnymi kolorami ścian, rozgrzewał intymnie pobłyskującym światłem płonących świec i pieścił wszystkie zmysły. Goście cenili miejsce za nienachalną muzykę, zmieniające się regularnie wystawy prac studentów Akademii Sztuk Pięknych oraz intrygujące i niespotykane połączenia smaków.

– Co podać? – Pyzata twarz kelnerki pojawiła się nie wiadomo skąd.

– Jeszcze chwilę, dobrze? Czekam na kogoś. – Onieśmielona spojrzała na kelnerkę i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jej nader okrągła twarz nie pasuje do kościstej postury.

Ania skończyła przeglądać menu. I tak nie mogła skupić się na jego czytaniu. Siedziała nieruchomo przy stoliku, czując, że w jej ciele biega stado niecierpliwych dzikich dziewczynek. Głuchych na wszelkie dobre obyczaje i zasady *savoir-vivre*. Dziewczynek nerwowo przeskakujących z nogi na nogę. Objających się o ściany w jej wnętrzu. Przeszkadzających w skupieniu. Uparcie żądających uwagi, zabawy i rozmowy.

Dziennikarka po wczorajszej rozmowie z Rafałem, nocnych przemyśleniach i porannym wywiadzie, nie mogła się doczekać wymiany myśli z Łukaszem, którego wtajemniczyła w sprawę „afery lekarskiej”. Tylko z nim mogła w miarę otwarcie o niej rozmawiać. Wszelkie szczere rozmowy z Rafałem Stochajem uważała za wysoce niestosowne, stosunkowo niebezpieczne i niepożądane. Z naciskiem na stosunek i pożądanie. Oczywiście męczyła się własną ambiwalencją. Musiała usunąć jej obiekt na możliwie najdalszy plan.

Właśnie uniosła się, by z gazetnika wyjąć pierwsze lepsze kolorowe pismo (z zamiarem zajęcia palców i chociaż jednego oka), gdy do lokalu wszedł Łukasz. Od razu ją zauważył, uśmiechnął się ciepło, podszedł i cmoknął w policzek.

– Ojej, myślałem, że będę pierwszy. Przepraszam, długo czekasz? – dopytywał, lokując swoje ciało w głębokim fotelu.

– Nie, nie długo, dopiero co przyszedłam – wypowiedziała bez zastanowienia tekst, który słyszała od wielu osób i uświadomiła sobie, że nawet jeśli nominalna wartość czasu była niewielka, to subiektywne wrażenie oczekiwania na mężczyznę wynosiło dużo ponad akademicki, podobno możliwy do zaakceptowania kwadrans.

– Fajny lokal. – Łukasz zaczął się rozglądać po zajęciu wygodnej pozycji.

– Cieszę się, że ci się podoba.

– Ojej, a ty co taka uśmiechnięta jesteś?

– Uśmiechnięta? – spytała, kątem oka obserwując jego rękę.

Wydawał się skupiony na niej, patrzył prosto w oczy, uśmiechał się, a jego ręce, jakby bez jego wiedzy, porządkowały stół. Przesunął wazon z kwiatami ze środka blatu w jego lewy róg. Cukierniczkę dostawił do wazonu.

– Jak mała dziewczynka, którą za chwilę złapię za rękę i pójdziemy razem na karuzelę... albo do cyrku!

Dziennikarka zachichotała.

– Czy jesteście państwo już w komplecie? – Piskliwy głos kelnerki przerwał śmiech Anki.

– Tak.

– W takim razie może przyjmę zamówienie?

Z zadziwiającą szybkością Łukasz przeanalizował menu i wybrał zieloną herbatę podawaną w fikuśnym połączeniu owocowych smaków i sałatkę z kurczakiem. Ania poprosiła o stały zestaw – herbatę jaśminową i sałatkę bałkańską. Kelnerka spisała zamówienie i odeszła.

– Wiesz, tak w ogóle to chciałem cię przeprosić, że tak szybko przyszedłem. – Łukasz był w wyśmienitym humorze. – Gdybym się nie pojawił, mogłabyś przeczytać te wszystkie

gazety. Widziałem, że właśnie sięgałaś po... – W mgnieniu oka na stole pojawił się egzemplarz kolorowego dwutygodnika dla kobiet. – Po... „Imprezkę”? – odczytał tytuł na głos.

– O dzięki ci panie, bez ciebie mogłabym nie dać sobie rady – zażartowała.

– Proszę bardzo. Ja mogę chwilę pomilczeć, a ty sobie poczytaj.

– To się TO czyta? – Wskazała ręką na kolorową okładkę. – Myślałam, że wyłącznie ogląda.

– Ogląda? No chyba żartujesz. Zobacz! – Mężczyzna zaczął wertować czasopismo. – Ooo, ikona polskiego filmu, seksbomba wszech czasów pręży się przed obiektywem, poszukując następcy bijącego ją męża.

– No tak. – Ania rzuciła okiem na zdjęcie aktorki. – Nie wygląda na nieszczęśliwą..., a chyba powinna, skoro mąż ją bił i musiała się z nim rozstać... Wręcz przeciwnie. Promienieje!

– Może lubiła to, co od niego dostawała?

– Może. – Ania wzruszyła ramionami.

– A może jest świetną aktorką? Udaje, że ją to nie bolało, że było bez znaczenia, że jest silna.

– Może. Odkąd zaczęłam pracę w mediach, przestałam tracić czas na czytanie takich bzdur. Wiesz, uwielbiam swoją pracę, ale to całe błyszczące środowisko mnie wkurza i dołuje jednocześnie. Przecież to ściema. Manipulacja. Gruba kasa idzie na taką sesję zdjęciową. Superciuchy, dobre zdjęcia, udawane uśmiechy, Photoshop, autoryzowane wywiady. Wszyscy manipulują. Słowami, wyglądem, swoim życiem, przyjaciółmi, dziećmi.

– Ale ludzie to kupują...

– No, kupują i wierzą w to.

– Wiara, to idealne słowo w tym kontekście. Ludzie wyłączają logiczne myślenie, czytają śmieciowe gazety, oglądają fotki i chcą, bardzo chcą wierzyć..., że ktoś jest tak idealnie piękny, idealnie szczęśliwy i prowadzi idealnie bezproblemowe życie. Wierzą i emanują zawiścią.

Filozoficzne rozważania Ani i Łukasza przerwało równoczesne pojawienie się dwóch osób. Jedną z nich była kelnerka, która z gracją ustawiła przed nimi zamówione sałatki i herbaty, po czym odwróciła się i odeszła, odsłaniając tym samym stojącego za nią młodego mężczyznę. Ten uśmiechał się szeroko i przyglądając się Łukaszowi, czekał na zaproszenie.

– Marcin? – Zawodny uniósł się. – Witaj! Poznaj proszę Anię. Aniu, to jest Marcin.

– Cześć. Anna Rogozińska.

– Cześć. – Mężczyzna wyciągnął rękę na powitanie.

– Siadaj! – zachęcił Łukasz, jednak widząc zdziwioną minę towarzyszki, dodał: – Aniu, mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko temu? Marcin zadzwonił do mnie, gdy szedłem na spotkanie z tobą. Pilnie potrzebował próbki mojego tekstu, więc powiedziałem mu, gdzie będę.

– Dokładnie, za... – Marcin spojrzał na zegarek. – Za chwilę mam spotkanie z naszym, mam nadzieję, przyszłym szefostwem i muszę przekazać im teksty Łukasza. Ja tylko na chwilę – potwierdził i usiadł na brzegu wolnego krzesła.

– Bo Marcin chce wkręcić mnie do nowego projektu. Pismo dla mężczyzn.

– Luksusowy miesięcznik – uzupełnił tamten.

Ania przyglądała się mężczyznom. Musieli dobrze się znać, bo swobodnie czuli się w swoim towarzystwie. Żartowali, śmiali się, trącając od czasu do czasu i zdawali się jej nie zauważać. Rogozińska skupiła się więc na jedzeniu sałatki i rozmyślaniu.

Obaj wyglądali jak wyjęci z żurnala. Jeden był przystojniejszy od drugiego. Czyżby pomyliła się co do Łukasza? Może ta zmiana wyglądu i zachowania nie wynikała z doświadczenia życiowego, zwykłego wyrobienia się, czy ukończenia kursu podrywu? Może on gustował w płci męskiej? Takie nagromadzenie przystojnych i zadbanych facetów zawsze dawało jej do myślenia.

– Dobra, stary, tu masz teczkę, najlepsze moje teksty z ostatnich kilku miesięcy. Wierzę, że dobrze mnie sprzedasz!

– No pewnie.

– A wiesz Aniu, Marcin też jest z branży. – Łukasz, widząc obojętność dziewczyny, chciał zainteresować ją rozmową.

– O. – Rogozińska właśnie gryzła duży kawałek pomidora, więc wydobyla z siebie grzecznościowo krótką samogłoskę.

– Tak, idealnie się uzupełniamy. Moglibyśmy być jak Aniołki Charliego. – Łukasz gimnastykował się, by rozbawić towarzystwo. – Ania pracuje przed obiektywem, pięknie relacjonuje zdarzenia na gorąco, ja zdaję konkretne i pełne emocji relacje pisemne, a Marcin strzela profesjonalne foty.

– Przecież ty też robisz zdjęcia. – Dziewczyna prowokacyjnie spojrzała na Łukasza.

– Ech, porównywać moje przy jego... to jakby bigos z przydrożnego baru położyć przy bigosie mojej babci. Marcin zdobył kilka prestiżowych nagród. Prawda?

– E tam. – Mężczyzna machnął ręką.

– Nagrody? Jakie? – Zainteresowanie Ani rosło wprost proporcjonalnie do wypowiedzianych przez Łukasza słów.

– Nieważne, długa historia...

– Opowiedz – nie odpuszczała.

– Nie dzisiaj, następnym razem, dobrze? – Spojrzał na nią ciepło.

Pomyślała, że albo się starzeje i traci zmysły, albo da sobie odciąć kończynę. To, co zobaczyła w oczach nagradzanego fotografa, nie było zwyczajną uprzejmością. Czuła jego zaniepokojenie, ekscytację i pożądanie. Błyskawicznie pozbyła się myśli o jego obojętności w stosunku do kobiet.

– Anka uwielbia długie historie, wiesz? – Łukasz również zauważył zainteresowanie w oczach kolegi. – I jestem pewien, że prędzej czy później zdobędzie nagrodę za dziennikarstwo śledcze.

– Kręci cię to? – Marcin skierował całą uwagę na dziennikarkę.

– Kręci – odpowiedziała równie dwuznacznie, jak zabrzmiało pytanie. Był zbyt przystojny, by go zignorować. I grał w grę, którą bardzo lubiła. – Bardzo. Gratuluję nagrody. Młody jesteś i już cię docenili. Ja nadal ciężko haruję, ale się nie poddaję.

– I zdobędziesz wszystko, czego chcesz, bo podstawą sukcesu jest wiedzieć, czego się chce, prawda? – Łukasz poczuł, że jego wysiłki, mające na celu nawiązanie rozmowy między Marcinem a Anką, przyniosły rezultat, o który powoli stawał się zazdrosny.

Marcin zawsze wygrywał każdą rywalizację o dziewczyny. Czasem zostawiał Łukaszowi „okruchy” w postaci dziewczyn ze złamanym sercem, zawiedzionym zaufaniem, zaniżonym poczuciem własnej wartości, co teoretycznie ułatwiało mu złapanie ich w swoje sidła, jednak nie przynosiło satysfakcji. Chwila triumfu mijała równie szybko, jak szybko udawało mu się taką zdobycz zaciągnąć do łóżka.

– A ty? Czego chcesz? – Marcin nie odrywał oczu od Anki.

– Wystarczy mi program na żywo w ogólnopolskiej telewizji – odpowiedziała zgodnie z prawdą, uśmiechając się jednak dwuznacznie.

– A ty, o której masz to spotkanie z szefostwem? – Łukasz po przyjacielsku klepnął kolegę w ramię.

– O właśnie, lecę już, przepraszam, że przeszkodziłem wam w randce. – Marcin wstał, głośno odsuwając krzesło, na którym siedział. – Miło było cię poznać. – Uścisnął rękę Ani.

– Mnie również – odpowiedziała lakonicznie, gryząc się w język, by nie zacząć tłumaczyć, że przecież spotkanie z Łukaszem nie jest randką, tylko posiłkiem dwojga znajomych. Znajomych, a być może przyjaciół.

„Na randkę to ty mógłbyś mnie zaprosić” – przemknęła jej kusząca myśl.

– To na razie stary, będziemy w kontakcie.

– Nara.

*

Chwilę po tym, jak Łukasz został sam na sam z Anią, zaczął opowiadać skondensowaną historię swojej przyjaźni z Marcinem – największym casanovą

w akademiku. Widząc jednak, że Ania nie zadaje pytań dotyczących Marcina, wręcz zaczyna ziewać, zakończył opowieść i ze spokojem zabrał się za pałaszowanie sałatki.

Po kolejnej godzinie spontanicznej i niewymuszonej rozmowy Ania spojrzała na zegarek.

– Kurcze, późno już, muszę się zbierać.

– Odprowadzę cię – zaproponował śmiało, pamiętając, że Rogozińska nie protestowała, gdy Marcin nazwał ich spotkanie randką. A po randce mężczyzna powinien odprowadzić kobietę co najmniej do drzwi jej mieszkania.

– Trafie sama.

– Wiem, ale razem będzie nam... – zagalopował się, więc dodał: – tak miło się rozmawia...

– Hm... – Udała, że się zastanawia. – No dobrze.

W rzeczywistości nie rozważała tego, czy Łukasz może odprowadzić ją do domu, tylko to, czy może mu zaufać. Cały czas analizowała jego zachowanie, próbując odpowiedzieć sobie na to pytanie. Łukasz Zawodny słuchał uważnie tego, co miała do powiedzenia. Zadawał pytania, opowiadał o sobie, żartował.

– Wiesz, długo się zastanawiałam... – Gdy stanęli już przed klatką, zdecydowała się zaryzykować. – Czy dać ci szansę... – zaczęła nieporadnie.

– Tak? – Zamarł.

– Zdecydowałam się zaufać ci. Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz, Łukaszu Zawodny.

– Aneczko, no coś ty? Nie mógłbym cię zawieść, wiesz przecież, że ja od dawna...

– Cicho. – Położyła palec na jego usta. – Chciałam ci coś zaproponować. Zastanów się jednak, zanim odpowiesz, bo to nie jest rzecz akceptowana przez prawo.

Zamilkła. Otworzyły się drzwi wejściowe do bloku i ze środka wybiegł pies. Odpowiedź na pytanie, ilu i jakich ras był mieszańcem, mogłaby być nagrodzona wysoką kwotą pieniężną. Pies miał w kłębie nie więcej niż pięćdziesiąt centymetrów i każda część jego ciała wydawała się nie pasować do kolejnej. Zaraz za zwierzakiem podążył starszy mężczyzna. W jednej ręce trzymał smycz, a w drugiej papierosa. Przyjrzał się Ani, zmierzył Łukasza i zaczął się rozglądać, by ustalić, w którą stronę pobiegł jego pupil.

– A o co dokładnie chodzi? – Łukasz poczekał, aż mężczyzna odejdzie na bezpieczną odległość.

– Udało mi się porozmawiać z żoną Wolnego. Krótko, bo krótko, ale jednak. Ona niczego nie wie. Niby byli małżeństwem, ale... No, w każdym razie podała mi adres.

– Adres? – Łukasz nie mógł nadażyć.

– Tak, tego służbowego mieszkania Wolnego, no wiesz, tego w Gnieźnie. To podobno

jakaś nora. Żona tam nie bywała.

– No i?

– No i muszę je zobaczyć. A ponieważ mój samochód jest nadal w warsztacie – odpowiedziała zgodnie z prawdą – no i przy tobie czuję się o wiele bezpieczniej – dodała po chwili, gdy uznała, że pierwsza część zdania zabrzmiała zbyt szczerze i zamiast zachęcić Łukasza, może wywołać odwrotny skutek – chciałam spytać, czy nie pojechałbyś ze mną do Gniezna. Dziś w nocy. Włamiemy się.

– Włamiemy?

Łukasz powtórzył jej słowa na tyle głośno, że sam się przeraził i zamilkł. Przez kilkanaście sekund patrzył na swoje buty, a później delikatnie rozejrzał się wokoło. Myśl o tym, że ktoś mógł usłyszeć słowo na „w”, paraliżowała go. Na szczęście stali pod klatką sami, a mężczyzna z psem zniknął z pola widzenia.

– Dobra, tylko ja się włamię. – Ania starała się ratować sytuację, widząc zachowanie kolegi. – Może coś znajdzie. Łukasz? Pojedziesz? Proszę.

– Aniu...

– Oferuję ci wyłączną współpracę. Ty opiszesz sprawę, ja ją sfilmuję. Normalnie nie działałam w duetach, ale z tobą... jest inaczej.

– Aniu... to absolutny wyraz zaufania. – Złapał ją za rękę. – Dziękuję.

– Odmawiasz? – Chciała zapaść się pod ziemię.

– Ależ skąd! Jadę.

– Jedziesz? Super, cieszę się! – Odruchowo przytuliła go i szybko się odsunęła.

– Ja również. Jadę i wchodzę z tobą.

– No dobrze. To dziękuję za miłe popołudnie i część wieczoru...

– Ja dziękuję, że dałaś się zaprosić...

– Nie ma sprawy.

– Może wejde? – zapytał bez skrępowania.

Postanowił zaryzykować i wykorzystać panujący nastrój. Dziewczyna była dla niego nie tylko bardzo miła, ale wyglądała tak, jakby na chwilę zdjęła z siebie ochronny pancerz. Stała przed nim i uśmiechała się. Nie pamiętał już, kiedy widział ją właśnie taką. Kobieta z krwi i kości – pełną emocji, ale też strachu przed odrzuceniem. Piękną, delikatną i wrażliwą. Taka była podczas studiów. Później zmieniła się w dziennikarkę Annę Rogozińską – kobietę bez serca, która niczym lodołamacz brnie do obranego celu.

– Ale już późno. – Udała, że nie rozumie jego intencji.

– Wiem, ale skoro mamy jechać za kilka godzin do Gniezna... to może... nie warto, żebym wracał do domu?

– Nie możesz wchodzić, skoro mamy jechać. Powinniśmy wypocząć. Łukasz, nie dziś,

dobrze?

Ania zawiesiła głos, żeby nadać wypowiedzi charakter pytający, po czym pocałowała go w usta, odwróciła się na pięcie i uciekła, zatrzaskując za sobą drzwi do klatki.

ROZDZIAŁ XVIII

Łukasz Zawodny nie radził sobie z rejestrowaniem rzeczywistości. Nieporadnie obserwował, jak Anka pochyła się przy drzwiach z numerem cztery, wkłada coś do zamka i próbuje sforsować drzwi. Niejednoznaczność emocji przerażała go. Chciał widzieć, jak Rogozińska otwiera drzwi prowadzące do mieszkania Wolnego i jednocześnie pragnął opuścić śmierdzące i obdrapane wnętrza nieprzyjaznej kamienicy.

Po chwili poczuł na ramieniu zimną dłoń Ani. Druga, zapewne równie zimna, nacisnęła na klamkę, otwierając cicho drzwi wejściowe do mieszkania. Sam nie wiedział, czy został za nie wciągnięty, czy zrobił te kilka kroków z własnej inicjatywy.

Gdy drzwi zamknęły się, oboje zamarli w bezruchu. Znajdowali się w obcym mieszkaniu. Zupełnie nieproszeni. Łukasz był zdziwiony, zaskoczony, zdenerwowany. Zgodził się na włamanie, nie będąc świadomym tego, że będzie musiał podjąć heroiczny wysiłek, by je przeżyć. Musiał opanować wulkan emocji rozrywających jego wnętrze. Kolonię wulkanów gotowych do erupcji jeden po drugim. Obecnie walczył z uczuciami, które balansowały na granicy strachu i fobii. Nyktofobii.

Tymczasem stał w pomieszczeniu przykrytym całkowitą ciemnością, trzymając kurczowo za rękę dziewczynę, która go fascynowała i nie potrafił skupić się nawet na myślach o niej. Miał wrażenie, że mrok atakuje, wdziera się pod powieki i próbuje zawładnąć jego mózgiem. Tak jakby w nocy, z dala od światła, powietrze przestawało być przezroczyste. Jakby nabierało koloru smolistej czerni i wypełniało szczelnie każdy centymetr sześcienny powierzchni.

Nagle przypomniał sobie ojca. Brak czegoś, co się posiadało, boli tysiącokrotnie mocniej niż brak czegoś, co tylko moglibyśmy lub powinniśmy posiadać. Brak uporządkowania nie bolał go nigdy. Brak ojca – owszem. Czasami tak mocno, że żałował, że w ogóle go miał.

„Może wynika to z tego, że człowiek wie co traci...” – pomyślał i starał się wyostrzyć inne zmysły, by chociaż na chwilę zapomnieć o nieprzydatnych w tej chwili oczach. To go przerastało.

– Jak ty to zrobiłaś? – szepnął. – Jak otworzyłaś te drzwi?

– Nauczył mnie tego i jeszcze paru innych rzeczy, kolega mojego ojca. Ciiii.

Anna poruszała głową, wolno przekręcając ją z prawej strony na lewą. Jej wzrok przyzwyczajał się do ciemności. Powoli zaczynała widzieć coś więcej niż wszechogarniającą czerń – ściany małego przedpokoju i wejście do kolejnego pomieszczenia. Nasłuchiwała, chcąc się upewnić, że w tej chwili w mieszkaniu Wolnego nie ma nikogo innego. Ta sytuacja ją ekscytowała. Od brawurowego przeszukania mieszkania powstrzymywała ją świadomość, że oboje z Łukaszem mogą nie być jedynymi

osobami poszukującymi u Wolnego dokumentów. „Jeśli jest tak, jak myślę, to Magiel i Konopielski na pewno planują zrobić to samo..., o ile już tego nie zrobili” – kombinowała.

– Dobra, idziemy dalej – zarządziła stłumionym głosem.

– Masz latarkę? – Nie pozwolił jej odejść, trzymając kurczowo dłoń dziewczyny.

– Mam. – Włączyła niewielkie źródło światła.

– Kurwa, większej nie miałaś? – Łukasz oddychał głęboko, czując nadchodzący atak paniki. – To zabawka, nie latarka.

– Wyobraź sobie, że miałam. Ale nie o to chodzi, żeby ktoś z zewnątrz mógł zobaczyć, że omiatasz tu wszystko światłem, co nie?

Ania przeczytała wystarczająco dużo książek kryminalnych, by wiedzieć, że podczas włamania zbyt duży strumień światła jest łatwym sposobem na zdekonspirowanie włamywaczy. Dlatego też zabrała ze sobą miniaturową latarkę, pełniącą bardziej funkcję taktycznego szperacza. Dostała ją w prezencie od ojca, który darując ją córce „na wszelki wypadek”, na pewno nie miał na myśli włamania do mieszkania podejrzanego mężczyzny, zwłaszcza całkowicie martwego.

– Czyli włączyć światła normalnie też nie możemy? – zapytał, dopowiadając w myślach: „choć na chwilę, by oswoić się z wnętrzem, zobaczyć, gdzie co stoi”.

– A jak myślisz? – Ani trudno było wyrazić zniecierpliwienie i oburzenie szeptem.

– Myślę...

– To nie myśl, tylko chodź!

Nie czekając na niego, wykręciła swoją rękę z uścisku i weszła do pomieszczenia, które okazało się pokojem z niewielkim aneksem kuchennym. Metodycznie zaczęła przeszukiwać szuflady i regały, mając nadzieję, że znajdzie dokładnie to, po co przyjechała: dokumenty obciążające Magla i Konopielskiego.

Mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze starej kamienicy, w dzielnicy niecieszącej się dobrą opinią. Świadomość tego, że w takim miejscu ludzie nie chcą widzieć niewygodnych rzeczy, że nie ma tu czujnych sąsiadów, działała na Anię uspokajająco. Mimo tego starała się nie kierować strumienia światła na okna, nawet przypadkiem. Oświetlała sobie z bliskiej odległości kolejne szuflady, w napięciu poszukując dokumentów z podpisami podejrzanych lekarzy.

Łukasz zrobił kilka kroków i oparł się o ścianę jedyne go pokoju. Bił się z myślami. Nie miał pewności, czy znajdowali się w odpowiednim mieszkaniu.

„Przecież żona Wolnego mogła pomylić adres, skoro tu nie bywała, Ania mogła źle zapisać” – zamartwiał się. „Jak zareagujemy, jeśli zaraz w drzwiach stanie lokator? Co powiemy, gdy przyjdzie policja? Albo gdy chwilę po nas włamie się tu zabójca Wolnego?”.

– Cicho! – Coś, co wyrwało mu się z ust, można by nazwać szepczącym krzykiem.

– Co jest? – Ania odwróciła się w stronę Łukasza i automatycznie zgasła latarkę.

– Ktoś tu jest. Słyszałem.

Zamarli. Kilka sekund nasłuchiwania zdawało się trwać całą wieczność. Jakby czas się zatrzymał, zapomniał o nich. Oboje usłyszeli stłumiony odgłos kaszlu. Najpierw jedna seria, potem trzy soczyste, gruzlicze odkaszlnięcia, następnie chwila przerwy i bolesny dźwięk przesuwania taboretu po podłodze.

– To za ścianą – szepnęła. – Musimy się spieszyć, pomóż mi. Poświeć sobie komórką i sprawdź kuchnię. Szukamy dokumentów, papierów, kart pacjentów, no wiesz.

– Wiem.

Łukasz zrobił po omacku dwa kroki i znalazł się na wysokości aneksu kuchennego. Bał się tego miejsca. Niewielka kawalerka, w której przebywali, mogła mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć metrów kwadratowych. Wyjął z kieszeni telefon i wyłączył głos. Nie spodziewał się, że o godzinie trzeciej nad ranem ktoś może do niego zadzwonić, ale skoro oni słyszeli kaszel sąsiada, to równie dobrze ktoś mógł usłyszeć jego dzwoniącą komórkę.

Ania najdelikatniej jak potrafiła otwierała kolejne szuflady, zajrzała za regał i pod łóżko.

„Albo mieszkanie to zostało już uprzątnięte – dedukowała – albo Piotr Wolny miał alergię na czytanie”. Przejrzała wszystko i nie znalazła żadnych papierów, gazet, książek ani dokumentów. Nawet świerszczyków.

– Nic tu nie ma. Zmykamy? – zameldował Łukasz po zakończeniu bezowocnych poszukiwań w trzech kuchennych szafkach.

– Zobacz jeszcze w łazience!

Rogozińska sprawdzała właśnie ostatnią szufladę, która znajdowała się przy stoliku nocnym. Otworzyła ją delikatnie, ale i tak wydobył się z niej hałas, który niebezpiecznie przerwał ciszę. Wstrzymała oddech i zgasła latarkę. Dopiero po chwili włączyła ją, by rzucić okiem na zawartość szuflady. Na dnie leżała drewniana ramka ze zdjęciem, na którym Piotr Wolny obejmował kobietę. Oboje się uśmiechali, ona trzymała rękę na jego udzie.

– Facet z fotki leżącej na środku mojego biurka uwielbiał kobiety – powtórzyła zdanie, które nagle wyskoczyło z podświadomości. – Wolny uwielbiał kobiety? Uwielbiał. Czas przeszedł.

Wyjęła telefon i zrobiła zdjęcie. Chciała mieć dowód, że się nie przewidziała. Już wcześniej ją widziała. Nawet z nią rozmawiała. I nie była to żona Wolnego, tylko Żaneta, siostra Amandy Wąs, której serce stanęło podczas operacji w gnieźnieńskim szpitalu. Kobieta uśmiechała się radośnie, promieniejąc szczęściem w objęciach Piotra Wolnego.

Strumień przednich reflektorów bezboleśnie rozdzierał ciemność. Światła drogowe wysłużonego, ale niezawodnego srebrnego kadetta Łukasza Zawodnego, symetrycznie oświetlały prawą i lewą stronę ekspresowej trasy łączącej Gniezno z Poznaniem. Droga była całkiem pusta. Samochód mknął z zawrotną, jak na swoje możliwości, prędkością ponad stu kilometrów na godzinę.

– Ja pierdziele... – Łukasz był szczęśliwy, że siedzi w swoim samochodzie.

Przebywanie w ciemnym nieprzyjaznym pomieszczeniu z piękną dziewczyną i potężną dawką stresu, zupełnie niezwiązaną z obecnością Ani, pchnęło go na granicę obłądu. Sprawdzenie mikroskopijnej łazienki zajęło mu nie więcej niż trzydzieści sekund. Następnie wybiegł z mieszkania Wolnego, nie czekając na towarzyszkę. Wątła latarnia stojąca kilka metrów od wejścia do kamienicy wydawała się świecić tysiącokrotnie mocniej niż wtedy, gdy przyjechali.

– Nooo... – Ania wierciła się na miejscu pasażera. – Trzeba przyznać, że to było ekscytujące przeżycie.

– Przyznaj się, to nie był twój pierwszy raz? Wyglądałaś raczej na osobę, która dokładnie wie, co robi.

– Łukaszkule! – Zaśmiała się głośno, usuwając pozostałości stresu. – Możesz być pewny, że to był mój pierwszy raz. Tak już mam, że jeśli za coś się zabieram, to wiem, co robię...

– Pierwszy raz ze mną... – powtórzył, a uśmiech rozjaśnił skupioną przez całą akcję twarz. – Jestem zaszczycony i zadowolony. Muszę zapisać tę datę w kalendarzu!

– Ani mi się waż! Co tam wpiszesz? Anka i ja włamujemy się do Wolnego?

– No coś ty. Zastosuję szyfr. Pierwszy raz z Anną R. Jestem w siódmym niebie...

– Oj tam, zaraz w niebie. Łuki, niewiele ci trzeba.

– To fakt. Ty... noc...

– I odrobina światła, bo w ciemności sztywniejesz!

– To chyba dobrze, co nie? – Dwuznaczność dyskusji wyraźnie go bawiła.

– Kurcze, nie wiem. – W głowie Rogozińskiej myśli kłębiły się wokół mieszkania zmarłego mężczyzny. – A ja nie jestem w siódmym niebie, cholera jasna – zmieniła temat.

– Naprawdę myślałam, że coś tam znajdziemy...

Łukasz nie odezwał się. Pokiwał jedynie głową. Obawiał się rozmowy na temat tego, co miało miejsce przed chwilą. Nie chciał tłumaczyć swojego mało męskiego, w jego mniemaniu, zachowania.

„Powinienem być bardziej odważny niż ona, powinienem opanować lęk, nie powinienem zostawiać jej samej” – skupiając wzrok na rozświetlającej się drodze, wymyślał kolejne zarzuty wobec samego siebie.

– Dam sobie głowę odciąć – kontynuowała, nie przejmując się jego milczeniem – że

Wolny jest powiązany z Maglem i Konopielskim. Czuję to... – ucięła, chcąc przemilczeć fakt pojawienia się zdjęcia w szufladzie. – Pytanie, czy taki prosty facet ze wsi mógł ukryć dokumenty w innym miejscu? Nie zawoziłby ich do żony... Żony bywają wredne. Grzebią w szufladach, bo niby prania szukają. Nie zawióźłby do domu, bo gdyby wpadły w ręce żonki, to musiałyby się tłumaczyć. Najwygodniej przecież jest schować cokolwiek w swoim mieszkaniu, bo codziennie ma się na to baczenie.

Pojawienie się zdjęcia objętej pary – Piotra Wolnego i Żanety Cieplak – potwierdzało teorię Anki. Przeszukanie mieszkania nie przyniosło oczekiwanych przez nią rezultatów, ale dostarczyło pewności, że trafiła na aferę, a prowadzone przez nią śledztwo może zakończyć się sukcesem.

„Tylko nieszczęścia chodzą parami...” – wyciągnięcie wniosków przyszło jej bez problemu. – „Zbieg okoliczności jest jeden. Jeśli powtarza się kilka razy pod rząd, przestaje być zbiegiem, a staje się celowym zabiegiem. Wszyscy mieli kontakt ze śmiertelnościami lekarzami. Magiel i Konopielski są umoczeni”.

– Hm, to myślisz, że co? – Łukasz przerwał ciszę.

– Że miał je, te dokumenty, i ktoś o tym wiedział. Szantażował lekarzy, ale oni się nie dali. Zabrali mu dokumenty i zabili go.

– Ale jak zabrali?

– Albo po jego śmierci, podobnie jak my włamali się do domu...

– Albo?

– Albo umówili się z nim na spotkanie. Wolny miał przywieźć haki na Magla i Konopielskiego, a lekarze kasę. Mieli zrobić wymianę. I zamiast kasy dali mu kosę. Zabrali dokumenty i wypchnęli z pociągu. Oni albo ktoś przez nich wynajęty.

– No, nie wiem, Aniu – zająknął się, nie wiedząc, czy kontynuować. Uznał jednak, że powinien odwzajemnić zaufanie, którym go obdarzyła. – Wiesz, ja dziś rano już byłem w Gnieźnie.

– Słucham?

Rogozińska wręcz podskoczyła na fotelu pasażera. Zdziwiona przyglądała się profilowi jego twarzy. Siedział nieruchomo i wpatrywał się przed siebie. Rękoma kurczowo trzymał kierownicę, jak uczeń, który po raz pierwszy siada na miejscu kierowcy. Czuł na sobie wierzące dziurę spojrzenie dziewczyny, jednak nie zamierzał odwrócić się do niej. Wystarczyło mu to, że słyszy jej nerwowe i głębokie westchnięcia.

– Słucham! – powtórzyła, zmieniając pytanie w niecierpiące zwłoki żądanie.

– Pojechałem do GEMO podpytać o Wolnego.

Nie wierzyła własnym uszom. Zaniemówiła. Oprócz miliona pretensji nic nie przychodziło jej do głowy.

– Sam? – wydusiła z siebie.

– Sam. Chciałem zrobić ci niespodziankę. Chciałem zdobyć coś, co cię zainteresuje. No, dobra – zwiesił głos – przyznaję, chciałem ci zaimponować.

Opel kadett opuścił właśnie drogę ekspresową i bez migacza włączył się do ruchu na pustej o tej godzinie trasie katowickiej, prowadzącej prosto na osiedle Orła Białego.

– No i?! – Ania oddychała głęboko, chcąc ochłodzić gotującą się w jej wnętrzu złość wymieszaną z rozczarowaniem i brakiem zrozumienia.

– Rozmawiałem pobieżnie z kilkoma osobami. – Łukasz wydawał się nie zwracać uwagi na jej zachowanie. Ani na sekundę nie odrywał spojrzenia od drogi. Jednak odpowiadał na pytania, powoli dobierając słowa. – Nikt z nich nie potwierdzał, by Piotr Wolny miał jakikolwiek konflikt z tymi twoimi lekarzami. Podobno nawet nie mieli wielu okazji do bezpośredniego kontaktu.

– To chyba logiczne, jeśli kogoś szantażujesz to po cichu, bez rozgłosu! – zachnęła się.

– Do dokumentów kliniki mają dostęp jedynie lekarze i szefowa pielęgniarek – kontynuował. – Ta szefowa jest niczego sobie. I w dodatku stara panna. Co prawda niekoniecznie stara. Zwyczajna singielka będzie lepszym określeniem.

Rogozińska przyjmowała informacje, jakby były strzałami pełnymi trucizny. Rejestrowała je jednym uchem, drugim wypuszczała, przygotowując się do ataku. Nie mogła dłużej biernie siedzieć i pozwalać się ranić. Była zła na siebie za to, że zaryzykowała i obdarzyła go zaufaniem. Zaskoczył ją. Nie wiedziała, co myśleć o jego zachowaniu.

Czy miał złe zamiary, chciał ukraść jej temat, a teraz tłumaczy się, zmyślając na poczekaniu? Nie była w stanie jednoznacznie ocenić sytuacji. Czy rzeczywiście przemilczał fakty, bo chciał przygotować dla niej dużą niespodziankę? Doświadczenie życiowe kazało jej jednak interpretować wszelkie wątpliwości na niekorzyść ocenianego.

– No i? – warknęła.

– I łaskawie na mnie patrzyła – dopowiedział dumny z siebie. – Mogę ją rozpracować i przez nią dotrzeć do dokumentów tych oszukanych kobiet.

Zawodny wreszcie odważył się spojrzeć na Annę. W końcu powiedział jej już wszystko, czego udało mu się dowiedzieć. Nie ukrywał tego długo.

„Po prostu wcześniej nie było okazji” – usprawiedliwiał się przed sobą. Czekał, aż ucieszy się, pochwali jego poświęcenie, zachęci do zdobywania kolejnych informacji, może nawet nagrodzi krótkim i pobudzającym wyobraźnię pocałunkiem.

Ania siedziała jednak wpatrzona w wyblakły kokpit. Czuła na sobie jego wzrok. Długo się nie odwracał, więc z obawy o swoje bezpieczeństwo spojrzała na niego i syknęła.

– Patrz lepiej na drogę. – Gdy już odwrócił głowę, dodała głosem pełnym pretensji. –

Rozpracować? Czyli będziesz ją z poświęceniem uwodził, tak? I powiedz jeszcze, że specjalnie dla mnie?

– Bardziej pasowałoby „zdobywał jej zaufanie”.

– Wiesz, że to może potrwać wieki – oznajmiła chłodno.

Sekundę później żałowała tego, co powiedziała. Zachowała się jak zranione zwierzę. Widziała przecież, jak wyglądał, jak się ubierał. Czuła jego testosteron. Była pewna, że poderwanie kobiety nie zajmie mu więcej niż kilka dni. Obawiała się jednak tego, jak daleko może się przy tym posunąć. Najbardziej jednak bała się tego lęku. Przecież miała świadomość, że Łukasz Zawodny nie należał do niej.

– Niekoniecznie. – Niespodziewana reakcja Ani była jak uderzenie w gładką tafłę wody. Spokój Łukasza gdzieś zniknął, a fale złości nabierały mocy. Nie po to walczył z takim poświęceniem z paralizującą go nyktofobią, by wysłuchiwać chwilę później bezzasadnych pretensji. – Nie wszystkie kobiety są tak oziębłe jak ty. Widziałem, że jestem w jej typie. Przy odrobinie ściemy i dwuznaczności poda mi wszystkie informacje jak na tacy.

Dojechali właśnie pod blok, w którym mieszkała Anna Rogozińska. Powoli zaczynało widnieć. Parkingi pełne były samochodów oczekujących, aż pojawią się ich właściciele, uruchomią silniki i przemieszczą się w różnych kierunkach, by dotrzeć do pracy i zarobić na benzynę.

– Nie mam gdzie zaparkować.

– Nie rób sobie kłopotu. – Rozpięła pas, odwróciła się i sięgnęła po swoją torebkę leżącą na tylnym siedzeniu. – Stań tu.

– Tu? – zapytał z powątpiewaniem, bo znajdował się na środku osiedlowej jezdni.

– Tu! – krzyknęła.

Ton krótkiej i jakże wymownej wypowiedzi nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Zabrzmiał jak ostatni, ostrzegawczy ryk drapieżnika zapędzonego w kozi róg. Taki, po którym nastąpić może jedynie wściekły atak. Łukasz zatrzymał samochód.

– Na razie! – Trzasnęła drzwiami tak mocno, jakby chciała ukarać przynajmniej jego auto.

W ten gest włożyła wszystkie odczucia, z którymi w tej chwili nie potrafiła sobie poradzić.

„Jak on mógł za moimi plecami...” – Zamiast uspokoić emocje, niebezpiecznie się nakręcała. „I jeszcze będzie miodzić jakąś babkę pod pozorem otrzymania dostępu do kartotek. Co za kretyn! I to dokładnie w chwili, gdy zdecydowałam się mu zaufać. Do dupy to wszystko!”

ROZDZIAŁ XIX

Ciemnobrązowy proszek rozpuszczał się w gorącym mleku, barwiąc je smakowicie. Ania mieszała kakao w swoim ulubionym kubku, głośno uderzając łyżeczką o jego ścianki. Elektroniczny wyświetlacz nad piekarnikiem wskazywał czwartą dwadzieścia pięć. Już dawno powinna spać. Możliwe, że nawet powoli mogłaby się już budzić. Jednak była tak przepełniona emocjami, jak naelektryzowane włosy prądem. Z tą różnicą, że Ankę wypełniały nie tylko jednoimienne ładunki.

Skończyła mieszanie i na wierzch kakao nałożyła białą puchową kołderkę. Białko ubite z cukrem na sztywno stanowiło idealny dodatek do napoju, czyniąc go luksusowym, wysublimowanym i bardziej słodkim. Od jej najmłodszych lat, w domu Rogozińskich, kakao z pianką było lekiem na całe zło. Na stłuczone kolano, złamaną ekierkę, zepsuta lalkę, niesprawiedliwą ocenę. Nawet na bóle menstruacyjne czy zespół napięcia nie tylko przedmiesiączkowego.

Mimo że Ania skończyła trzydzieści pięć lat, smak gorącego napoju z dzieciństwa, pitego łąpczywie małymi łykami, był dla niej synonimem uspokojenia. Działał na nią lepiej niż ziołowe specyfiki z apteki czy hydroksyzyna, którą łykała po rozstaniu z Rafałem.

– Dlaczego ze współpracy z ludźmi wynikają zawsze same kłopoty? – Musiała głośno wyartykułować swoje żale. – Dlaczego straty zawsze przewyższają zyski? Gdzie kooperacja? Efekt synergii? W moim życiu dwa plus dwa nigdy nie równa się pięć. A ja, jak taka pierwsza naiwna, co chwilę zapominam o tym i znowu boleśnie muszę dostać po łapach.

Jej zły nastrój skorelowany był z zawartością kubka. Odwrotnie proporcjonalny. Im więcej napoju znajdowało się w jej żołądku, tym mniej czuła się przygnębiona. Gdy z kubka zginęła płynna zawartość, sięgnęła po łyżeczkę, by wydrapać z niego resztki pianki i przestała myśleć o Łukaszu. Ponownie skupiła się na Piotrze Wolnym.

Zdjęcie, które znalazła w jego nocnej szafce, przedstawiało mężczyznę obejmującego Żanetę Cieplak.

– On miał żonę, ona męża. Musieli mieć też regularny romans. Może nawet się kochali, inaczej facet w tym wieku nie trzymałby jej zdjęcia w ramce. Tylko dlaczego trzymał je w szufladzie, nie na półce? Może bał się niezapowiedzianego nalotu żony? A może się pokłócili? Dlatego schował zdjęcie. Mieli romans, to pewne. A skoro tak, to Wolny musiał wiedzieć o dolegliwościach Amandy. Taka gaduła jak Żaneta na pewno o kłopotach siostry opowiadała mu na bieżąco. O diagnozie postawionej przez Konopielskiego, o rzekomo superskutecznym leczeniu doktora Magła i o bezsensownej śmierci Amandy. Tylko czy pracował już w GEMO? Czy ochraniał klinikę? Czy może

zatrudnił się tam, by pomścić siostrę kochanki? Znaleźć dowody?

Ania postanowiła, że gdy tylko nastanie rano akceptowane przez wszystkich ludzi, a nie tylko tych pracujących na poranną zmianę czy opuszczających rozgrzane łóżka, by na piątą dotrzeć do pracy, zadzwoni do Żanety Cieplak. Tylko ona mogła udzielić odpowiedzi na większość pytań zajmujących obecnie myśli Rogozińskiej.

– Dochodzi piąta. O dziesiątej muszę być w firmie. Zdrzemnę się krótko, zregeneruję ciało i umysł – powiedziała do siebie, ale zanim położyła się do łóżka, nastawiła budzik i włączyła laptopa, by sprawdzić pocztę.

Zdanie: „Facet z fotki leżącej na środku mojego biurka uwielbiał kobiety” nie dawało jej spokoju. Mogło dotyczyć Wolnego. Skojarzenie nasuwało się samo. Normalnie cieszyłaby się, że podczas przeszukania mieszkania wpadło w jej ręce zdjęcie denata z kochanką. Tym razem jednak dokonanie takiego odkrycia wydawało się jej zupełnie nieważne. Otoczone niewielką warstwą saprofitycznych grzybów.

Fakt posiadania kochanki nie mógł zostać uznany za odkrycie.

„Gdybym wcześniej nie zlekceważyła tajemniczego maila...” – zarzucała sobie brak czujności. „Gdybym zastanowiła się nad jego ukrytym sensem, nad tym, co oznaczać może zdanie »Facet z fotki leżącej na środku mojego biurka uwielbiał kobiety«, wiedziałabym, że Wolny miał więcej niż jedną babeczkę. Może to nie świr wysłał do mnie wiadomość, tylko ktoś, kto wie więcej niż ja?”.

Rozmyślenia przerwał dźwięk pojawiającej się nowej wiadomości.

Od: B.K.

Do: Anna Rogozińska

Temat: Zjedz mnie

Po chwili jej wzrok padł na leżące pod stołem szklane pudełeczko. Otworzyła je i znalazła w środku maleńkie ciasteczko, na którym widniały pięknie ułożone z rodzynek słowa: „ZJEDZ MNIE”...

I co Aniu, jaka jest twoja decyzja? Zjesz, Aniu? A może się boisz? Jeśli zjesz, to dostaniesz to, co chcesz, a potem już mi będzie wszystko jedno.

Kobietko, która już tak zdążyłaś przywyknąć do zdarzeń niecodziennych, że życie toczące się zwyczajnym trybem wydaje Ci się nudne i głupie...

Potrzebujesz sensacji? Dostarczę Ci ją na złotej tacy. Jeśli będziesz wystarczająco bystra, będziesz wiedziała, jak ją wykorzystać.

Zaczynamy.

Wolny raczej nie był kochającym mężem. Zdradzał żonę regularnie. Kto mógł go zabić: żona czy kochanka?

Aha, Wolnego łączy coś z Bielem. Ale nie jest to ani kobieta, ani biały kitel.

B.K.

PS Piotr urodził się w Gnieźnie. Życie ochroniarza skończyło się na torach.

Na twarzy dziennikarki pojawiły się rumieńce. Tajemniczy B.K. napisał do niej kolejny e-mail, mimo że na pierwszego nie odpowiedziała. Tym razem postanowiła nie popełniać grzechu zaniechania. Chciała wykorzystać sytuację i sprawdzić, czy tajemniczy nadawca rzeczywiście ma informacje, czy tylko udaje. Zgasiła światło w pokoju i razem z laptopem przeniosła się na łóżko, unosząc i krzyżując nogi, by po chwili z pasją stukać w klawiaturę komputera.

Od: Anna Rogozińska

Do: B.K.

Temat: Re: Zjedz mnie

Drogi B.K.

Piszesz, że Wolny zdradzał żonę regularnie. W regularność stosunków obcych ludzi nie wnikiem. Ale to nie zmienia faktu, że zdradzał. Żonę z kochanką, a kochankę z żoną. Ale czy to była jego wina? Może po prostu na świecie obowiązują pewne zasady? Mężczyzna nie jest stworzony do życia w związku. Jeśli chce, by jego geny przetrwały, musi przekazywać swój materiał genetyczny jak największej liczbie samic. A że chętnych samic nie brakuje... Cóż, takie życie.

Nie sądzę, żeby zabiła go żona. To drobna i zniszczona kobieta. Z dzieckiem mającym oczy, usta i nos tatusia. Nie dałaby rady wypchnąć męża z pociągu.

Myślisz, że zdrada jest wystarczającym powodem, by komuś odebrać życie? Ba, nie tylko komuś, ale i sobie... Zabijając Wolnego, ryzykowałyby utratę wolności i pozostawienie dziecka pod opieką obcych ludzi... podczas gdy ona gniłaby w więzieniu.

Czy zabiła go kochanka? Tego jeszcze nie wiem. Pewnie miała niejeden powód do niezadowolenia. Niejeden motyw (choćby podwójne życie i zapewne puste obietnice wspólnej sielanki). Ale żeby aż zabić?

A może to nie powinien być wybór binarny? Może jest trzecie wyjście, trzeci podejrzany... Ktoś, kto zadbał, by nie padał na niego cień podejrzania?

Ty znasz odpowiedź na to pytanie, prawda?

Kim jesteś? Dlaczego chcesz mi pomóc?

Pozdrawiam

Anka

ROZDZIAŁ XX

Pierwsze tony łagodnej i delikatnej melodii budzika w telefonie komórkowym zerwały Annę Rogozińską na równe nogi. Jej bose stopy błyskawicznie zetknęły się z puszystym niebieskim dywanem. Stała przy łóżku, walcząc z tajemniczą siłą, która utrudniała jej uniesienie powiek.

Zazwyczaj oswajanie się z poranną rzeczywistością zajmowało jej dużo czasu. Niechętnie opuszczała objęcia Morfeusza. Budzenie było czynnością, którą musiała wykonywać, pomimo tego, że jej nienawidziła. We wszystkie dni powszednie komórka leżąca przy jej łóżku rozbrzmiewała na trzydzieści minut przed planowanym czasem pobudki. Ania wyłączała ją odruchowo i przekręcała się na bok, by zdrzemnąć się jeszcze przez kilka minut – do ponownego alarmu. Kolejny atak dźwiękowy znów był automatycznie zduszony. Następny również. Dopiero po kilku próbach powrotu na jawę błękitną jaskinię snu rozrywał wulgarny dźwięk budzika. Ostry i drażniący głos tradycyjnego budzika mechanicznego dochodzący z oddalonego od łóżka regału. Można było go wyłączyć, jedynie wstając z łóżka.

Tego dnia Ania w trybie awaryjnym walczyła z sennością i nadwrażliwością na wszelkie bodźce. Słońce wydawało się zbyt jasne. Odgłosy dochodzące z mieszkania sąsiadów – za głośne. Mimo że poprzedniego dnia nie wypila ani kropli alkoholu, czuła się jak na wielkim kacu. Gdy powieki przestały się same zamykać, usiadła z powrotem na łóżku i sięgnęła po laptopa. Kładąc się spać, położyła go włączonego przy łóżku. Chciała po przebudzeniu, bez zbędnej zwłoki, sprawdzić pocztę.

Niestety w skrzynce odbiorczej pojawiły się tylko dwie wiadomości, które powinny trafić bezpośrednio do folderu SPAM. Zamknęła komputer, umyła zęby, zarzuciła na siebie dzinsy i białą koszulkę, pod rękę wzięła marynarkę, w razie gdyby tego dnia występowała przed kamerą i z pustym żołądkiem pobiegła do pracy.

*

– Oj, Aneczko, jakoś dzisiaj nie wyglądasz!

– A ty jakoś niemiły jesteś. – Oburzona Rogozińska zmierzyła wzrokiem Artura i odwróciła głowę w stronę komputera.

Po kolegium szef opuścił gabinet, zapowiadając, że jedzie do centrali firmy. Spowodowało to ogólne rozprężenie załogi. Centrala Primo TV mieściła się na obrzeżach Warszawy, co, ku uciesze wszystkich pracowników poznańskiego oddziału, oznaczało nieobecność Kamila Grabowskiego do końca dnia. Zamiast więc wejść w rytm pracy, jak co dzień, czynności pozorne, wykonywane dla markowania zbyt częstych przerw od pracy, wszyscy bez skrupowania zajęli się rozmowami. Grzechem byłoby nie zaszaleć i nie

wykorzystać chwili wolności od upierdliwego oka pańskiego.

Dla Ani spokojny dzień pracy zamiast ukojeniem okazał się torturą. Minuty dłużyły się okropnie, a panujący wkoło harmider utrudniał skupienie. Kobiety dyskutowały o ciuchach, dzieciach, kosmetykach i zakupach. Mężczyźni głośno ekscytowali się wczorajszym meczem piłki nożnej. Tylko Artur Lipiec krążył wokół wszystkich jak sęp, próbując wypatrzeć ofiarę swoich żartów. Pech chciał, że wybór padł na zmęczoną Anię.

– Ja? Ależ skąd, przecież nie powiedziałem, że wyglądasz źle, brzydko czy staro. Powiedz lepiej, kochana, jak spędziłaś wczorajszy wieczór? Na imprezie czy na randce?

– A skąd pewność, że w ogóle go spędzałam? Może sam przeleciał, nawet nie wiem kiedy? A może ciągnął się niemiłosiernie, a ja nie mogłam zasnąć?

Zazwyczaj przekomarzania z Arturem bawiły ją, ale dzisiaj była na skraju wyczerpania. Najchętniej wzięłaby kilka dni urlopu i skupiła się tylko na prowadzonym w tajemnicy śledztwie. Siedzenie na kolegium oraz słuchanie wypowiedzi kolegów i koleżanek o sprawach w tej chwili tak mało ważnych dla niej potęgowały uczucie straty czasu. Co ją obchodziły: kryzys na rynku budowlanym, ślub znanej aktorki czy dziury na nowo otwartym odcinku autostrady? Była blisko sensacyjnego odkrycia, miała dwa morderstwa, których nikt nie łączył ze sobą. Oczywiście oprócz niej samej i tajemniczego nadawcy maili.

– Aha. Przeleciał, ciągnął... – Artur wyrwał słowa z jej poprzedniej wypowiedzi, zupełnie zmieniając kontekst. – Nie mogłaś spać. Byłaś na randce!

– Dobra, nie mam siły dzisiaj się z tobą kłócić. Nadrobię jutro.

– Znam go? – Usiadł na jej biurku.

– Kogo?

– Tego, z którym spędziłaś wczorajszą noc?

– Artur! Mógłbyś skupić się na pracy?

– Ale po co? – Konwersacja najwyraźniej go bawiła.

– Bo cię potrzebuję. Szef wcisnął mi na kolegium zadanie specjalne, pojedziesz ze mną?

– Kiedy?

– Halo? Byliśmy na tym samym kolegium? – Zniecierpliwiona Rogozińska rozłożyła ręce i spojrzała pytająco w sufit. – Bo jakoś nie jarzysz. Mam zrobić wywiad z jakimś profesorem z Uniwersytetu Ekonomicznego do głównego wydania informacyjnego.

– Dobra, o której chcesz jechać?

– Za godzinę. Pasuje ci?

– Pasuje.

– To dobrze. Przedzwonię jeszcze na uniwersytet i dowiem się, czy kogoś upolujemy o trzynastej.

– Jakoś nie widzę dzisiaj entuzjazmu na twojej twarzy. Przecież lubisz polowania.

– Taaaa. Dzisiaj nie zauważysz na niej niczego. – Machnęła ręką i po raz pierwszy tego dnia roześmiała się głośno. – Jedziemy pogadać z jakimś profesorkiem, który będzie miał słowotok. Bo telewizja, bo możliwość powymądrzania się na cały kraj... A przecież łatwiej byłoby, gdybym dała mu kartkę, z której odczyta słowa, które wydawca chce usłyszeć. Przecież do tego to się sprowadza. Usprawniłoby to naszą pracę. Poza tym takie zadanie powinni dać tej stażystce, a nie mnie...

Dyrektywy towarzyszące zleceniom z centrali ograniczały maksymalnie kreatywność poznańskich dziennikarzy pracujących dla Primo TV. Tylko nowi absolwenci przychodzący na staż zawodowy wierzyli, że przeprowadzając wywiady, będą mogli zabłysnąć inteligencją czy wykazać się oryginalnym podejściem do tematu. Kilka tygodni pracy w branży odbierało im jednak nadzieję. Zadania przychodzące z góry składały się ze szczegółowego opisu efektu końcowego: kto, z jakiej profesji, w jakim otoczeniu i co ma powiedzieć. Dziennikarze mogli jedynie wykazać się kreatywnością w wymyślaniu takich pytań, by jak najszybciej uzyskać prawidłową (czytaj: zamówioną przez centralę Primo TV) odpowiedź.

– Artur?

– Tak?

– A po nagraniu materiału mógłbyś podrzucić mnie do mechanika? Dzwonił, że moje auto jest już gotowe.

– Jasne! Dobra, to ustal, czy może być trzynasta, bo Kaśka też mnie prosiła o pomoc, więc najpierw załatwiłbym ją, potem ciebie, a potem jadę do chaty.

– Dobra, już dzwonię!

Artur kiwnął głową i zostawił Anię samą. Obserwowała go jeszcze przez krótką chwilę. Podeszedł do biurka redakcyjnej nowości – Katarzyny – świeżo upieczonej absolwentki wydziału nauk politycznych i dziennikarstwa Uniwersytetu Adama Mickiewicza. Pełna zapału dziewczyna budziła niechęć żeńskiej części zespołu swoją determinacją oraz pewnym siebie spojrzeniem. Kiedyś może wyrosnąć na mocną konkurencję każdej obecnie pracującej w telewizji dziennikarki, dlatego żadna nie zamierzała jej pomagać.

– Niech uczy się na swoich błędach! – Przelotem rzucały do siebie komentarze. – Mnie nikt nie pomagał. Nie będę szkolić sobie konkurencji.

Anka złapała komórkę i wyszła na korytarz, by w spokoju wykonać telefon. Nie zamierzała jednak dzwonić na uniwersytet. Nie teraz. Rozmowę służbową przełożyła na później. Priorytet nadała prywatnej konwersacji.

– Halo? – Po kilku sygnałach usłyszała w słuchawce głos zniecierpliwionego Rafała

Stochaja.

– Cześć? – Z jego chłodnego tonu wywnioskowała, że zapewne przerwała mu oglądanie jakiejś bestialsko zamordowanej kobiety. Zawiesiła więc głos najłagodniej, jak tylko potrafiła, by nie narazić się na wiązanek przekleństw.

– Witam – odpowiedział służbowo.

– Przeszkadzam?

– A można przeszkodzić komuś w czymś, czego nie lubi?

„Nie lubi?” – powtórzyła w myślach, zamknęła oczy i skupiła się na dochodzących do jej uszu odgłosach. „Czyli nie jest w pracy. Hm, muzyczny bełkot w tle i damskie głosy?”.

– Aaa, czyli chodzisz z nią na zakupy – wydedukowała.

– Chodzisz, nie chodzisz... – Był wyraźnie zniecierpliwiony i zawstydzony. Z zakupów z Anną wymigiwał się zawsze, tłumacząc się ogromną awersją do takiego sposobu spędzania wolnego czasu. – Nie bawmy się w takie gierki. – Gestem ręki pokazał narzeczonej, że musi wyjść ze sklepu. – Czekaj, niech zgadnę. – Gdy uciekł z pola widzenia ukochanej, bez skrępowania zapytał – Stęskniłaś się?

– Tak. – Świadomość przyłapania go na „gorącym uczynku” zmieniania swojego życia pod naciskiem nowej kobiety rozbawiła ją. – Za twoim głosem najbardziej. Uwielbiam, gdy wymawiasz pewne nazwiska... dwa nazwiska...

– Rogozińska i Stochaj? – odpowiedział, obniżając seksownie głos.

– Nie, w twoim wykonaniu lepiej brzmi: Magiel i Konopielski!

– Tak?

– Hm, pewnie nie udało ci się niczego dowiedzieć – stwierdziła fakt zamiast pytać, prowokując go do udzielenia konkretnej odpowiedzi.

– Wiesz, nie mogę teraz za bardzo rozmawiać. Ale co nieco wiem. Z obiadu ze mną się nie wywiniesz!

– Nie masz czasu, więc go nie marnuj. Co wiesz?

– Faceci są czyści. Doktor Krzysztof Magiel był tego dnia na konferencji branżowej. Potwierdzi to przynajmniej piętnastu utytułowanych doktorków.

– A Konopielski?

– Miał wolny dzień.

– Ooo, wolny dzień? Przeznaczony na zlikwidowanie Wolnego...

– I tu się mylisz – wtrącił. – Konopielski cały ten dzień i poprzedzającą go noc spędził z żoną w nadmorskim SPA.

– Co ty mówisz? – Tego się nie spodziewała.

– Byli w Kołobrzegu. Tak więc twoi podejrzani mają alibi.

Rafał Stochaj żałował, że telefon Anny przyłapał go podczas wspólnych zakupów

z narzeczoną, które polegały na tym, że ukochana wybierała, przymierzała i kupowała, a on ciągnął się za nią, pełniąc funkcję bagażowego i średnio zorientowanego doradcy.

Zamiast zaproponować Annie spotkanie, podczas którego swobodnie mogliby omówić zdobyte przez niego informacje oraz jej teorie, czatował przy sklepie z damską odzieżą. Ręka, w której trzymał telefon, zaczęła mu cierpnąć. Nie miał jednak możliwości zmiany, bo w drugiej trzymał torby wypełnione zakupami.

– A mnie to wygląda, jakby oboje dobrze wiedzieli, że muszą zapewnić sobie niepodważalne alibi akurat na ten dzień. – Ania wyszła przed budynek, w którym mieściła się poznańska siedziba Primo TV, i usiadła na schodach.

– Mówiłem już, że masz obsesję?

Zachnęła się, ledwo się powstrzymując od komentarza. Miała całkowitą pewność zupełnie nieobarczoną prawdopodobieństwem pojawienia się niewiadomych. Była pewna, że lekarzy i zamordowanych coś ze sobą łączy.

– Ci faceci nawet nie mieli powodu, by zlikwidować Wolnego – przekonywał policjant. – Nie mamy motywu. Co prawda Wolny ochraniał ich klinikę, ale to nie oni go zatrudniali, nie oni mu płacili. W GEMO nikt nie słyszał o konfliktach. Nie było skarg na denata – ściszył głos, gdy przechodząca obok niego kobieta na dźwięk słowa „denat” złapała dwójkę idących obok niej dzieci za ręce i przeszła na drugą stronę alejki, oglądając się kilkukrotnie za siebie. – Miód, malina. Cycuś glancuś.

– No to kto to zrobił? – Rogozińska miała co prawda alternatywną podejrzaną, ale najpierw chciała poznać punkt widzenia policji.

– Nie wiemy. Może z kimś popił w tym pociągu albo jeszcze wcześniej, zanim do niego wszedł? Pokłócili się, to na pewno, bo znaleźliśmy na ciele denata ślady szarpaniny. Ale wypadł z pociągu raczej sam. Pijany był i nie zauważył, że to jeszcze nie ten moment.

– Weź przestań! Cholera mnie bierze, jak cię słucham! Milion razy jeździł tą trasą i nagle miałby się pomylić?

– A czemu nie? Może chciał się zabić? Wskoczyć z pociągu, popełnić samobójstwo? Tak, Rybeczko? – Niespodziewanie głos Rafała zmienił się nie do poznania. – Już idę. Przepraszam cię, A... – zwrócił się do Anki, w porę jednak ugryzł się w język. Jego narzeczoną właśnie stanęła tuż obok niego. – Muszę już kończyć.

„Nawet nie wypowiedział mojego imienia, tak go wytresowała ta baba”. Rogozińska wstała ze schodów, otrzepała spodnie i wróciła na miejsce pracy. Zadzwoiła do dziekanatu Uniwersytetu Ekonomicznego, uzgodniła, o której godzinie może się pojawić, by porozmawiać z profesorem ekonomii i przekazała informację Arturowi. Jednym słowem, po rozmowie z Rafałem zareagowała automatycznie: skupiła się na pracy.

– Stare przyzwyczajenie – powiedziała cicho, łapiąc się na tej prawidłowości.

W biurze przerzedziło się. Część osób wyjechała w teren. Sekretarka szefa siedziała przy biurku obok i opowiadała o wizycie w nowym klubie muzycznym. Co jakiś czas spoglądała na Anię, szukając zrozumienia, więc ta z grzeczności kiwała głową i udawała, że jej słucha.

Rogozińska chciała jednak uniknąć spojrzenia w oczy sekretarki. Bała się, że kobieta zinterpretuje je jako zainteresowanie opowieścią i zada pytanie, z którym Anka sobie nie poradzi. Postanowiła więc sprawdzić prywatną skrzynkę e-mailową. Po jej otwarciu zauważyła, że czeka na nią miła niespodzianka. W tej samej chwili stanął nad nią Artur.

– Dobra, załatwiłem Kaśkę, możemy jechać.

– Za chwilę. – Nie mogła wyjść z redakcji, nie odczytawszy wiadomości od tajemniczego nadawcy. – Tylko przeczytam i już biegnę.

– Masz trzydzieści sekund!

*

Od: B.K.

Do: Anna Rogozińska

Temat: Kim jestem?

Czy zdrada jest wystarczającym powodem, by odebrać komuś życie?

To intymne pytanie.

Myślisz, że zabijając kogoś, rozpatrujesz sprawę w takich kategoriach?

Masz rację. To nie kochanka. Ona miałaby jeszcze więcej do stracenia.

Zegar tyka... zmarszczek przybywa..., a w tym wieku facet przy boku to skarb. Byle jaki, byleby był.

Zabijanie go byłoby marnotrawstwem i głupotą. Poza tym dobrze wiesz, że kochankę zajmowały zupełnie inne problemy, niezwiązane z mężczyznami (przynajmniej bezpośrednio).

Są jeszcze inne przyczyny zbrodni. Pomyśl!

Kim ty właściwie jesteś? – pytasz.

Nie jest to zbyt zachęcający początek rozmowy. Odpowiem jednak: nie wiem, akurat teraz nie wiem dokładnie. Wiedziałem, kim byłem, kiedy obudziłem się dziś rano, ale od tego czasu chyba się parę razy zmieniłem...

Co właściwie chcesz przez to powiedzieć? – tak zabrzmia zapewne następne Twoje pytanie.

Odpowiem uprzejmie i zgodnie z prawdą. Przykro mi, lecz nie mogę się wytłumaczyć, skoro nie jestem sobą...

Pytasz też, dlaczego chcę Ci pomóc, Aniu? Dlaczego?

Bo zadajesz sobie pytanie, w którą stronę iść, a nie w którą stronę spojrzeć.

Potrzebujesz czegoś na kształt drogowskazu.

Potrzebujesz wskazówki... słupa światła, który wskaże Ci kierunek, byś mogła zabłysnąć inteligencją, wyczuciem, talentem i szóstym zmysłem.

B.K.

*PS Facet, który umarł w hospicjum, cierpiał z powodu natłogowego poczucia winy.
Hazardzista pochodził z Turzyna.*

ROZDZIAŁ XXI

Silnik pracował miarowo, wydając z siebie dźwięki miłe dla ucha kierowcy. Anka Rogozińska przyciskała pedał gazu. Stęskniła się za swoim niewielkim miejskim samochodem. Jeszcze nigdy na tak długo nie musiała się z nim rozstawać. Czerwony Citroën C1, rocznik 2008, stał się jej własnością w dniu, w którym ukończyła studia. Przedtem stanowił jedynie obiekt westchnień i przedmiot użyczeń. A dokładniej rzecz ujmując, wypożyczeń, oczywiście tylko w wyjątkowych sytuacjach. Zawsze za zgodą matki i przy aprobacie ojca.

Zredukowała bieg i zaczęła się uważnie rozglądać. Samochód powoli wytracał prędkość. Wcześniej telefonicznie upewniła się, że o godzinie piętnastej Żanetę Cieplak zastanie w domu. Bez skrępowania wprosiła się na krótką rozmowę, prawie siłą wyciągnęła od niej adres zamieszkania.

– Dzień dobry, pani Żanetko. – Anka ucieszyła się, gdy odnalazła róg Kowalewickiej i Radyńskiej, zaparkowała samochód i po naciśnięciu dzwonnka w drzwiach pojawiła się Cieplakowa. – Ledwo tu trafiłam.

Rogozińska już wcześniej przejeżdżała przez Fabianowo, nawet kilka razy. Nigdy jednak nie zwracała uwagi na panujący tu klimat. Dopiero dziś, poszukując konkretnej ulicy i numeru cztery, musiała przyjrzeć się zabudowie. Ta dzielnica Poznania wyglądała jak bardzo uboga wieś położona gdzieś na wschodzie Polski. Większość zniszczonych budynków mieszkalnych znajdowała się bezpośrednio przy ulicy. Gdyby któryś z mieszkańców usiadł w oknie, mógłby bez problemu podawać przejeżdżającym kierowcom butelki z wodą, frytki czy lody z automatu z polewą czekoladową. Taki swojski McDrive.

Fabianowo jedną decyzją, prawie osiemdziesiąt lat wcześniej, przestało być wsią, a stało się częścią metropolii. Przynajmniej terytorialnie. Mentalność osób, zwłaszcza tych starszych, nie zmieniła się. Aż trudno byłoby dzisiaj uwierzyć, że to właśnie tutaj, w Fabianowie, ponad dwieście lat temu mieszkali światli ludzie, którzy postanowili nieść kaganek oświaty wśród społeczeństwa. To tu z ich inicjatywy powstała pierwsza szkoła podstawowa, co było wydarzeniem bez precedensu w Wielkopolsce.

– A nie mówiłam? – Stojąca w drzwiach Żaneta nigdy nie wydawała się tak bardzo niesympatyczna jak dziś. Twarz miała jakby tę samą, ale usta dziwnie wygięte.

– A ja mówiłam, że trafię. Mogę wejść? – Ania uśmiechała się i starała się skupić uwagę na kobiecie, a nie na budynku, w którym za chwilę miała się znaleźć.

Prawa część bliźniaka zamieszkiwanego przez Żanetę i rodzinę jej męża wyglądała jak nieruchomość przeznaczona do rozbiórki. Brak elewacji, surowe cegły, nabrzmiałe

drewniane okna, prowizoryczne drzwi. Żaneta Cieplak w zniszczonej i gdzieniegdzie podartej sukience idealnie pasowała do otoczenia.

– Niepotrzebnie się pani fatygowała, ja bym do pani przyjechała, jeśli trzeba było.

– To żaden problem. Byłam w okolicy. Wejdziemy?

Anna powtórzyła pytanie, ale kobieta wydawała się nie słyszeć propozycji. Niewzruszona stała w drzwiach i nie miała ochoty przesunąć się ani o milimetr. Tak jakby zapomniała o polskiej gościnności, a przysłowie „czym chata bogata, tym rada” trawestowała na „czym dłużej będziesz trzymać gościa na ganku, tym szybciej odejdzie”.

– Ale ja mam bałagan – jęknęła jedynie.

– Proszę się nie przejmować bałaganem. – Rogozińskiej niewiele trzeba było, by zrozumiała, że nie jest mile widziana, ale udawała, że nie wie, o co chodzi. Musiała porozmawiać z Żanetą o Wolnym. – Nie jestem wrażliwa. Miałam takiego chłopaka, na studiach, żył właściwie w chlewie i w ogóle mu to nie przeszkadzało.

– Może porozmawiamy tu? – Kobieta zrobiła krok do przodu, zamykając za sobą drzwi. – Pogoda ładna, a pani redaktor jest taka blada, dobrze pani zrobi słońko.

– Pogoda może jest i ładna, ale... – Anna zachowała dla siebie resztę tego zdania. Nie mogła przecież powiedzieć gospodyni, że otoczenie jej się nie podoba, że śmierdzi kocim moczem i nie ma gdzie usiąść, nie licząc dwóch zardzewiałych metalowych beczek. – Kochana pani Żanetko, jak pani uważa. Możemy i na dworze. – Uznała, że przyszedł najwyższy czas na atak. – Tylko że tutaj... – rozejrzała się dookoła i dokończyła podniesionym głosem – ...ściany mają uszy, prawda? Moi rodzice też mieszkają na wsi...

„Ściany mają uszy” odbiło się echem o zaśmiecony ogródek. W oknie otynkowanego budynku przylegającego do domu Cieplaków pojawiła się kobieta w średnim wieku. Musiała mieć dobry słuch. Lepszy od jej wyliniałego i milczącego owczarka, który leżał przy budzie, obojętny na pojawienie się obcego. Kobieta otworzyła okno na oścież i położyła na parapecie szarą, grubą poduszkę. Chwilę kręciła się w miejscu, by w końcu usadowić się wygodnie jak kot przy piecu.

– Ale to miasto Poznań przecież! – Żaneta oburzyła się użyciem słowa „wieś”.

– Taaa, Poznań... Chciałam tylko powiedzieć, że w takich miejscach ludzie lubią wszystko wiedzieć o sąsiadach. – Rogozińska znacząco zerknęła w stronę sąsiadki, udającej, że interesują ją jedynie przejeżdżające obok samochody. – A pani, zdaje się, ma swoje tajemnice?

– Tajemnice, co też pani redaktor wymyśliła? – Nerwowy śmiech spowodował, że sąsiadka przestała obserwować tylko ulicę. Wyraźnie przekręciła głowę w stronę ogrodu Cieplaków.

– Piotr Wolny nie żyje, słyszała pani? – Ania nie odpuszczała.

– Jak to nie żyje? – Żaneta zrobiła się biała jak ściana.

– Wypadł z pociągu.

– O Boże, o Święta Panienko! Jak to? – ściszyła głos.

– Pani go znała?

– Tak, to był mój znajomy.

– Dobry znajomy?

– Nie.

– Dziwne, bo ja mam odrobinę inną informację. – Anka wyjęła z torebki komórkę i bez dodatkowych słów pokazała Żanecie zdjęcie, zrobione podczas włamania do mieszkania denata.

Cieplakowa spojrzała najpierw na wyświetlacz telefonu, później prosto w oczy dziennikarki i znowu na wyświetlacz. Po chwili ciszy podeszła do drzwi, otworzyła je i powiedziała łamiącym się głosem.

– Niech pani redaktor wejdzie do środka.

Bałagan przywitał je już w wiatrołapie. Śmierdzące buty, porzrzucone byle jak, utrudniały przejście do kolejnych pomieszczeń. Dalej było jeszcze gorzej. Brudne ściany wąskiego przedpokoju eskortowały wchodzące kobiety do pokoju znajdującego się na wprost drzwi wejściowych. Pełnił zapewne funkcję centralnego miejsca, w którym toczyło się życie rodziny Cieplaków. Świadczył o tym wiszący na ścianie, niczym ołtarzyk reprezentacyjny, telewizor LCD, naprzeciwko którego stała okazała kolekcja talerzy i kubków. Stół uginał się pod stertą brudnych naczyń. Pokój wypełniał intensywny zapach potu. Przy przeciwległej telewizorowi ścianie stała długa meblościanka wypełniona gazetami i bibelotami wątpliwej jakości. Żaneta Cieplak zrzuciła ze starego fotela kota stanowiącego miks wszystkich możliwych ras i wskazała miejsce Rogozińskiej.

– Pani usiądzie!

W sąsiednim pomieszczeniu na chwilę przycichło radio i rozległ się przeraźliwie ochryply krzyk.

– Kto to przyszedł?!

– Nie, nikt, niech matka śpi! – odkrzyknęła głośno Żaneta i wstała, by zamknąć drzwi od pokoju. – Przepraszam, pani redaktor, teściowa jest chora, od lat leży w łóżku. Niby stara jest i głucha..., ale jak czegoś nie ma słyszeć, to właśnie słyszy. Ja już mam tego wszystkiego dość. Przepraszam. Ja już nie ogarniam. Przepraszam. – Pociągnęła nosem, a Anka zobaczyła, że po policzkach kobiety ciurkiem płyną łzy. – Jak to Piotr nie żyje?

– Kochała go pani?

– Nie, ja mam przecież męża, dzieci... – próbowała zaprzeczać. Jednak słowa wypływające z jej ust brzmiały dziwnie. Spojrzenie, gesty, ton głosu i całe ciało

Cieplakowej próbowały odciąć się od kłamliwej wypowiedzi.

– Pani Żaneto... nie jestem głupia.

– Wiem, wiem. – Skapitulowała. – Przecież dlatego się do pani redaktor zgłosiłam.

Pani potrafi dojść do prawdy i udupić całe zło.

– To jak było z Wolnym?

W pokoju obok radio zamilkło. Anna Rogozińska uśmiechnęła się delikatnie i podkurczyła nogi, siadając po turecku. Chciała zlikwidować niepotrzebny dystans. Widziała, że Żaneta stoi na skarpie, walczy jeszcze z resztkami rozsądku, ale za chwilę skoczy w głęboką przepaść, w której chowała tajemnice. W liczbie mnogiej. Jej zmarszczona twarz i ściszony ton świadczyły o tym, że ukrywa ich przynajmniej kilka.

– Z Piotrkim to miał być tylko krótki romans. – Wydawało się, że kobieta wybrała prawdę, jednak gdy usłyszała własne słowa, przeraziła się. Otarła łzy, uniosła się nerwowo i stanęła przy zamkniętych drzwiach, gotowa do opuszczenia pokoju. – Ojej, nie zaproponowałam pani nic do picia? Może herbaty zrobię?

– Yyy... – Anka zawahała się przez chwilę. Wysoka temperatura i duchota potęgowały jej pragnienie, ale obserwując dużą warstwę kurzu przykrywającą wszystko, co ją otaczało, wnioskuje, że może otrzymać równie brudną jak reszta domu szklanekę z herbatą niewiadomego pochodzenia. Odpowiedziała więc niechętnie: – Nie, dziękuję, niech pani opowiada.

– Dobrze, pewnie mnie pani potępi...

– Jestem ostatnią osobą, która może potępić inne kobiety. Pani Żaneto... ważne, żeby pani sama siebie nie oceniała zbyt surowo.

– Chciałam znowu poczuć się kobietą. – Żaneta w końcu odeszła od drzwi i opadła na poplamioną kanapę. Starła się opowiadać ściszym głosem, by wypowiedane słowa nie wpadły przypadkiem w niepowołane uszy. – Poznałam go przypadkiem. Poszłam z nim na kawę, bo był miły. I to było takie inne. Ja jestem żoną od lat. Mąż chce, by było posprzątane, ugotowane. I jego matką mam się opiekować. Być na każde jej zawołanie. I o dzieci zadbać. On tylko wymaga. Jakby był moim szefem. Nie widzi we mnie kobiety od lat. Jestem jedynie miejscem, do którego może się spuścić. A jeszcze jak przy okazji zajdę w ciążę, to urażony chodzi, jakby to była moja wina.

– A Wolny nie wymagał... – szepnęła Ania, przejmując sposób mówienia rozmówczyni.

– On o mnie zabiegał. Był pomocny. I słuchał mnie. Ale nie akceptował moich dzieci. Miał żonę, wie pani? Nie chciał się z nią rozwieść, ale mówił, że jej nie kocha. Nie chciał budować ze mną wspólnej rodziny. Był ochroniarzem w tygodniu, a weekendy spędzał z żoną. Wkurzyłam się. Głupia nie jestem. Po co mi był kolejny bezużyteczny facet? Jestem za stara na takie zabawy. Seks tak, ale zobowiązania nie? Miałam zbyt wiele do

stracenia. Wiedziałam, że jak mąż się dowie, to wyrzuci mnie na bruk. Mógłby to zrobić, gdyby tylko Wolny mnie chciał. Ale nie pragnął mieć mnie na zawsze, więc odeszłam. To był ciężki czas i na dodatek Amanda zachorowała. Zapłakana przyszła do mnie powiedzieć, że umiera na raka. Siłą zaprowadziłam ją do tej prywatnej kliniki polecanej przez ginekologa. Sama nie chciała iść, mówiła, że i tak umrze. Moja młodsza siostrzyczka, zawsze taka była. Histeryczka. Poszłam z nią. Akurat w klinice był Piotr.

– Wolny? Zrządzenie losu?

– Kurewstwo raczej albo chichot diabła. Jakoś miałam wszystko już ułożone w głowie, ale jak go zobaczyłam... Ochraniał ten obiekt. Zamieniliśmy kilka słów. Napięcie było ogromne. Musieliśmy znowu zacząć się spotykać. On miał w sobie to coś. Proszę mnie nie oceniać. Nie jestem lafiryndą ani kurwą. – Żaneta spuściła głowę. Stara Cieplakowa musiała znudzić się podsłuchiwaniami, gdyż ponownie włączyła radio. – Ja tak o sobie myślałam, gdy zostawiałam dzieci w szkole i spotykałam się z nim. Pilnowałam wizyt Amandy w klinice. Jeździłam z nią. Zawsze. Pamiętam pierwszy raz. Siedziałam tam w tej poczekalni i rozmawiałam z Piotrem, flirtowaliśmy, gdy Amanda walczyła o życie w gabinecie u Magla. „Ten doktor jest przemiłym człowiekiem” powiedziała moja młodsza siostrzyczka, gdy wyszła od niego. Uśmiechnięta, uspokojona. Nie do poznania. Podobno wypytała o wszystko. Dał jej dużo nadziei.

– Czyli nie wzbudzał podejrzeń? Dobry lekarz powinien dawać nadzieję, bo ona z kolei daje motywację, co w przypadku walki z rakiem jest bardzo ważne. Dzisiaj łatwiej o takich doktorków, którzy nadzieję zabijają. Bez użycia skalpela.

Radio za ścianą zaczęło zagłuszać rozmowę kobiet. Żaneta poczuła się swobodniej. Rogozińska przestała ściszać głos. Zaczęła się jednak zastanawiać na czym polega fenomen żartów o teściowych. Stara Cieplakowa musiała mieć kłopoty ze słuchem, skoro tak głośno słuchała stacji radiowej, jednak wyłączała ją całkowicie i próbowała nasłuchiwać stłumionych dźwięków dochodzących zza ściany.

– Nadzieja matką głupich, pani redaktor. Amanda chodziła jak na haju. Jakby cieszyła się, że ma raka i może biegać na wizyty do doktora Krzysztofa. Ja cieszyłam się z nią, jeździłam do Gniezna pod pretekstem, że muszę być z siostrą. Tak było przez trzy miesiące. Aż w końcu ona przyznała się, że zaprosił ją na randkę.

– Na randkę? Pacjentkę? – Dziennikarka oburzyła się bardziej niż potrzeba. Chciała wyciągnąć z Żanety jak najwięcej informacji. – Siostra się zgodziła?

– A co miała się nie zgodzić? Pachnący był. Wyczesany. Wyprasowany. A jej mąż ją zdradzał. Poradziłam jej, żeby zdradziła jego też, to od razu lepiej się poczuje. Poza tym takie zainteresowanie doktorka kobietą z naszej rodziny, to no... jak to się mówi... no zaszczyt. On przecież z wyższych sfer był. Studiował. Jadł bułkę przez bibułkę. A my

prości ludzie jesteśmy, z rodziny wielodzietnej i ubogiej. Ja zaszłam najdalej z rodzeństwa. Mieszkam przecież w Poznaniu. Wielkomięjskiego męża mam. Ale widzi pani redaktor, trudno mówić o sukcesie. – Żaneta pokręciła głową, wskazując otaczającą ją sprzęty. – Chyba nie tak mieszka się w dużym mieście? – spytała, ale nie oczekiwała odpowiedzi. Kontynuowała swoją opowieść. – Doktorek Magiel był żonaty, ale przecież Wolny też miał żonę i my obie z siostrą też nie byłyśmy wolne. Przekonałam Amandę, że obrączka na ręce faceta nie ma znaczenia dla mężatki. Przecież nie chodziło o ślub, tylko o zabawę i zemstę. Pani redaktor, pani mnie rozumie?

– Zabawę? – Anna Rogozińska powtórzyła automatycznie.

Nie chciała się odzywać. Bała się, że jakiegokolwiek słowo spłoszy kobietę. Wybije ją z rytmu szczerzej opowieści. Przerazi i zablokuje. Chłonęła więc słowa nieszczęśliwej Żanety i zaniepokojona czekała na dalszy ciąg. To on interesował ją najbardziej. Nie chciała oceniać zachowania kobiety w tej chwili. Wiedziała, że będzie musiała to zrobić, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Cieplakowa mogła zabić kochanka. Czekwała jednak na zakończenie opowieści. Zapomniała nawet o otaczającej ją przybrudzonej rzeczywistości.

– Noo, i była zabawa. Ale tylko dla skurwiela, nie dla mojej małej siostrzyczki. Był bolesny seks zamiast uroczej randki. Od razu, w samochodzie. Do lasu pojechał zamiast na kolację. Amanda myślała, że może był tak napalony, że nie mógł się powstrzymać, że trochę zmienił kolejność, że po „deserze” pojedą na kolację. Ale on po wszystkim odstawił ją w miejsce, z którego ją wziął. Skomentował to jakoś niewybrednie. Nie pamiętam. Coś w stylu „zapomnij kurwo”, ale przez francuską bibułę. Starła się o tym zapomnieć. Obiecywałam jej, że po skoku w bok poczuje się lepiej. Niestety. Amanda czuła się podwójnie upokorzona; za darmo przez męża i za kasę przez doktora. Bo chodziła do niego na wizyty, po leki przecież. A on przestał być miły. Nie zwracał na nią uwagi. Przestał ją zauważać. Jakby zaliczył i zapomniał. Jakby przestała istnieć. A ona, gdy się spotykałyśmy, krzyczała i wyrzucała z siebie złość. Czuła się jak wyżęta szmata, na dodatek oszczana przez bezdomnego pijaka. Obarczała mnie winą, bo to ja jej doradzałam skok w bok. Bo ona sama nigdy by się nie odważyła. Próbowала z nim rozmawiać, ale udawał, że nie wie, o co chodzi.

– Ale dlaczego chciała z nim rozmawiać na ten temat? Co chciała wyjaśnić? Chyba się nie zakochała?

– Pani redaktor! – Żaneta zganiała dziennikarkę wzrokiem. – Czy nam, matkom i żonom, wypada się zakochiwać? W ogóle myśleć o takich uczuciach? Amanda czuła się wykorzystana, a ja wkurwiona. Przeleciał ją i co? Zadowolili swoje chucie i olał? Jakby była zwyczajną kurwą. Olał ją bez słowa. I wtedy zaczął się ten cholerny napad bólu

wyrostka robaczkowego. Skręcała się, pojechała do szpitala. Nie zdążyłam nawet jej odwiedzić, a ona już umarła. Wtedy postanowiłam, że się zemszczę, że ten gnój musi cierpieć.

– Gnój? – dopytywała Rogozińska, nie wiedząc, czy kobieta mówi teraz o lekarzu czy o swoim kochanku.

– Skurwiel jeden, doktorek pieprzony. Myślałam o tym, żeby powiedzieć o seksie jego żonie. Ale to mogłoby nie zabołec skurwysyna. Zresztą kto by mi uwierzył? Amanda nie mogła już powiedzieć ani jednego słowa. A kto wie, skoro z taką łatwością przyszło mu wyruchanie mojej siostry, to pewnie nie był to jego pierwszy raz. Może miał taki układ z żoną, że załatwiał potrzeby poza domem? Przyznaję, chciałam cwaniakowi utrzyć nosa. Chciałam utrudnić mu życie. Pani redaktor mnie rozumie, prawda?

Dziennikarka kiwnęła głową. Nie pojmowała jednak, jak kobieta zdołała wymyślić tak skuteczną intrygę. Gdy poznała Żanetę Cieplak, ta opowiadała jej o winie lekarza, wyciąganiu pieniędzy, fałszywej diagnozie. Przedstawiane przez nią zdarzenia pięknie układały się w aferę szpitalną. Oczywiście, oszczerstwa mogą utrudnić życie niejednemu lekarzowi, jednak determinacja kobiety zadziwiła Rogozińską. Przecież zrozpaczona śmiercią siostry mogła rozpowiadać wszem i wobec o romansie, o braku kompetencji lekarza, mogła wpisywać złe opinie o klinice i Maglu w Internecie.

„Miała kilka możliwości, dlaczego odezwała się do mnie – zastanawiała się – dlaczego opowiedziała tak wiarygodnie wyglądającą historię? Dlaczego nie udało mi się ustalić, że kłamie? Przecież sprawdzałam jej opowieści. Fakt, nigdy nie przedstawiła mi żadnych papierów, dokumentów, recept..., ale to przecież nie wykluczało prawdomówności. Tak działa nasza służba zdrowia”.

– Amanda umarła na stole..., a przecież mieli jej tylko wyciąć wyrostek. – Cieplakowa otarła łzy. Jej twarz zmieniła się. Wyrzuty sumienia i wstyd przykryte zostały przez złość. – Umierała nieszczęśliwa. Pewnie też przeze mnie. Gdybym nie zachęcała jej do chwili zapomnienia... Ech. Szpital po jej śmierci rozpoczął sprawę. Dyrektor placówki złożył zawiadomienie do prokuratury, chyba musiał, tak automatycznie..., bo przecież twierdził, że „nie istniały żadne medyczne przeciwwskazania do zabiegu”. Sąd miał wyjaśnić, czy Amanda umarła z winy lekarzy, czy tak po prostu... bez sensu..., bez celu..., bez powodu... Wezwali mnie na świadka. Przyszłam do sądu. Widziałam Magła, puszył się jak paw przed kamerami. Wypowiadał się w mediach jako ekspert. Kolega tego, który ją operował. Ja też mówiłam do kamery. Puszczali to potem w telewizji. Cała rodzina widziała. Chwalili. Byli ze mnie dumni. Musi pani redaktor wiedzieć, że różne telewizje nawet przyjeżdżały do mojego domu i wypytywały o siostrę. Nie powiem, podobało mi się to. Ale wracając do tego skurwiela, to nie mógł być zbieg okoliczności. On tam pojawił się

nieprzypadkowo. Niby zeznawał na korzyść lekarza usypiającego moją siostrę, ale ja uznałam, że to jest zrządzenie losu. Że to znak. Pani redaktor! Oni mówili, że Amanda była zdrowa. Ja protestowałam, tłumaczyłam, że miała raka i przyjmowała codziennie tabletki. Wyśmiali mnie. Nikt nie potwierdził mojej wersji. Dobrze, rozumiem, Amanda nie powiedziała o chorobie ani mężowi, ani córce. Tylko ja znałam tę tajemnicę. Kazała mi milczeć, więc milczałam. Wysłałam w tym sądzie na idiotkę. Lekarze pukali się w głowę. Nawet sędzia oglądał jakieś pośmiertne wyniki badań. I nie potwierdziły one mojej wersji. Wtedy ułożyłam wszystko w całość. Tę diagnozę u Konopielskiego, leczenie u Magła i orzeczenie lekarza orzecznika, że Amandzia nie przyjmowała żadnych leków i wyszło mi, że ktoś tu oszukuje. Na pewno nie moja siostra. Ona by mnie nigdy nie okłamała. Nie po to oszczędzała i pożyczła po sąsiadkach małe kwoty pieniędzy, żeby mieć na wizyty u Magła, ale żeby nikt się nie domyślał, że chodzi do tego skurwiela. Ktoś musiał wkręcić jej, że jest chora na raka. Przecież nie wyzdrowiała cudownie uleczona jego fiutem!

– Ale może rzeczywiście sekcja wykazała, że pani siostra była czysta, bo może przestała łykać tabletki?

– Niemożliwe. Ona cieszyła się, że działają, że rak nie postępuje. Rzeczywiście, o chorobie nie mówiła nikomu. Ale wie pani redaktor dlaczego? Bo Magiel jej nie kazał. Dostała od niego wskazania, żeby o raku nie mówić. Bo niby organizm usłyszy i w to uwierzy. Miała uwierzyć, że jest zdrowa. Wierzyła jemu. Dlatego nie powiedziała nikomu poza mną. Amanda nie przestałaby łykać pigulek. Miała córkę, ośmioletnią dziewczynkę. Nie opuściłaby jej, tak bezsensownie umierając. Łykała tabletki, bo wierzyła, że jej pomagają. Magiel tak mówił. Po jej śmierci zaczęłam zbierać wszystko do kupy. Przecież lekarze nie dają tabletek, tylko wypisują recepty. Przecież nie ma skutecznego lekarstwa na raka. Są chemie, ale to w szpitalu dają, człowiek się po nich sypie. Włosy, zęby, kości... Ale tabletki? Bez skutków ubocznych? Przywiezione niby z Zachodu? Postawiłam więc wszystko na głowie, znalazłam panią i opowiedziałam pani całą historię. Zgadza się pani redaktor ze mną, prawda?

– No właśnie nie całą, pani Żaneto! Zła jestem na panią. – Anka usłyszała nie siebie, lecz moralizatorską uwagę swojego ojca. Zdziwiła się, bo właśnie ten ton wzbudzał w niej najgorsze wspomnienia. – Ja naprawdę muszę wiedzieć wszystko. Zgadzam się, możliwe, że przez przypadek, ale jednak okazało się, że coś w tej sprawie śmierdzi. Nawet gdyby były to leki przywożone z zagranicy, powinny być zarejestrowane w Polsce, a nie tak nielegalnie wprowadzane w obieg. Poza tym jeśli skutecznie leczyły raka bądź hamowały jego rozwój, powinno być o nich głośno na Zachodzie. A tak nie jest. Dlatego podejrzewam, że albo lek był w fazie testów i Magiel z Konopielskim chcieli się na nim dorobić... albo ma pani rację... raka nie było, a lekarze skutecznie manipulowali pani siostrą. Ale dlaczego,

gdy pojawiła się pani u mnie po raz pierwszy, przemilczała pani te sprawy osobiste?

– Pani redaktor, wiem, wiem, biję się w piersi. Bałam się, że mnie pani oleje, że uzna pani, że to ściema, że nie ma afery, jedynie jest moja chęć zemsty.

Przez chwilę obie milczały. Zza ściany dochodziły odgłosy głośno grającego radiodbiornika. Siostra zakonna podawała przepis na pasztet z marchewki, a jej głos brzmiał tak chwiejnie, jakby musiała wypić kilka kieliszków wódki, by dodać sobie odwagi przed publicznym wystąpieniem, którego tematem było struganie, solenie, pieprzenie i wkładanie do pieca.

– Dlaczego przyjęła pani założenie, że to doktor Magiel oszukał Amandę? – Anna przez chwilę słuchała dziwnego głosu, gdy jednak padło pytanie „czy siostra soli i pieprzy przed czy po?” uznała, że poziom absurdu przekracza wszelkie dozwolone normy. Powinna skupić się na swoim śledztwie. – Może to był zwykły błąd? Pomyłka w wynikach, zła diagnoza i tak to poszło.

– Papiery ze szpitala były czyste, w sądzie je pokazywali. Zrobili sekcję zwłok. Te badania fizyczne krwi...

– Fizykochemiczne – poprawiła Anna.

– Tak, i te markery nowotworowe, bo ja zeznałam w sądzie, że ona miała raka, ale wyniki tego nie potwierdziły. Magiel tam był. Zaprzeczył, że ją leczył na raka. Mówił, że była zdrowa, przyszła jedynie na konsultację. Kłamał w żywe oczy! Pani redaktor, przecież on ją leczył. Gdyby nie było mnie w tej klinice, może mogłabym wątpić, ale byłam i widziałam. Nie raz. Brał kasę i dawał Amandzie tabletki. A potem w sądzie kłamał. I dlatego chciałam go udupić.

– I wtedy mi pani opowiedziała o aferze lekarskiej. Ale skąd wziął się ten Konopielski? Na nim nie chciała się pani mścić?

– No nie, ale pytała pani o wszystko od początku. I tak jakoś wspólnie doszłyśmy do tego, że pierwszy lekarz, ten Konopielski, musiał być zamieszany, skoro skierował Amandę do Magla. Potem coś tam zaczęłam rozpowiadać, po rozmowie z panią. Tu i ówdzie. Bo ludzie dopytywali. Widzieli mnie w telewizji. Mówiłam wtedy, że to wszystko to ściema i że najlepsza polska dziennikarka bada tę sprawę i udupi oszustów. Wtedy właśnie odezwała się do mnie ta baba, co dałam pani redaktor namiary na nią. Konopielski ją zdiagnozował. Magiel ją leczył... przerwała terapię i rak zniknął. Wtedy byłam już pewna, że przypadkiem wpadłam na minę. Głupi ma więcej szczęścia niż rozumu..., tak mówią. Ja się zgadzam. To nie mógł być przypadek. Podobna sprawa, ci sami lekarze... – Przerwała i ośmielona reakcją dziennikarki zapytała wprost. – Jak Piotr umarł?

– Podejrzewam, że został zabity.

– Zabity... – Kobieta zamarła. Przestała mrugać i oddychać.

Anna Rogozińska starała się zarejestrować jak najwięcej szczegółów z zachowania Żanety, pamiętając o tym, że pojawiła się z wizytą w jej domu nie tylko po to, by uzyskać odpowiedzi na kilka pytań, ale przede wszystkim, by zweryfikować podejrzenie, że Wolnego mogła zabić kochanka.

– W oficjalnej wersji wypadł z pociągu.

– Był pijany?

– A mógł być pijany? Nadużywał alkoholu?

– Pani redaktor! Każdy prawdziwy facet korzysta z alkoholu. Nie pił więcej niż mój mąż.

– Pani Żaneto, dlaczego nie powiedziała mi pani całej prawdy? O romansie Amandy, o pracy Wolnego w klinice. Mógł nam pomóc przecież? – dopytywała Rogozińska, chcąc sprawdzić hipotezę o zbieraniu przez Wolnego haków na Magła. – On wiedział o pani podejrzeniach?

– Wspomniałam mu co nieco. Raz. Ale nie był zainteresowany. Chwilę potem się rozstaliśmy. Nie mówiłam o Wolnym, bo to nie miało przecież znaczenia. Chodziło o Amandę. Gdyby nie ten rak, którego nie było, może dzisiaj żyłaby i kłóciła się ze swoim starym? Ona odeszła, a media podchwyciły sprawę jej śmierci, jakby była kimś ważnym... nie tylko dla mnie.

– Wróćmy do Wolnego. Mówiła pani, że wróciliście do siebie. Byliście teraz razem?

– Wróciliśmy, nie wróciliśmy. – Żaneta spojrzała nerwowo na zegarek. – Przepraszam, za pół godziny mąż przyjdzie z pracy, muszę zrobić obiad.

– Rozumiem. Zaraz uciekam. I nie puszcę pary z ust. Proszę tylko powiedzieć, kiedy widziała go pani po raz ostatni.

– Dwa tygodnie temu? Jakoś tak. To nie miało sensu. Dla mnie przestało być zabawne. Chciałam czegoś więcej. A on nie. Zaczęliśmy kłócić się jak małżonkowie. Pojawiły się pretensje, oczekiwania. Nie chciałam tego. To samo mam w domu.

– Zero telefonów? SMS-ów? Maili? Przecież już raz się wcześniej rozstaliście i wróciliście do siebie.

– Zero. Moja teściowa zaczęła coś podejrzewać. Niby wiele nie jarzy, ale jest starą jędzą. Zaczęła pytać, czemu tak często wyjeżdżam do Gniezna. Wolałam się wycofać. Amanda umarła, nie miałam alibi. Ryzykowałabym tylko po to, by po krótkim seksie z Wolnym rozpocząć kłótnie z mężem.

– A co pani robiła wczoraj rano? – Ania zdecydowała, że nie opuści śmierdzącego pokoju, dopóki nie usłyszy odpowiedzi na najważniejsze pytanie.

– Chyba mnie pani nie podejrzewa? – Zdziwiona Żaneta wstała i podeszła do drzwi. Po

raz kolejny wytarła oczy, wydmuchała nos w zużytą materiałową chustkę i schowała ją do kieszeni sukienki. – Byłam z najmłodszym dzieckiem w przychodni, na szczepieniu, na dziewiątą rano. Myśli pani, że mogłabym...? – Nie mogło przejść jej przez usta.

– Nie – odpowiedziała zgodnie z odczuciami – już nie. Tylko pytam. Tak jak mówiłam, podejrzewam, że ktoś go wypchnął.

– Zgadzam się z panią. Niemożliwe, żeby wypadł niechcący. Nie zabiłby się. Gardził samobójcami. Jego ojciec się zabił. Mówił, że nie można zrobić gorszego kurewstwa swoim bliskim..., a zwłaszcza dzieciom. Nawet dorosłym.

– A co mówił o doktorze Maglu?

– Nie chciał o nim gadać. Pani redaktor, pani wie, jacy są faceci. Najchętniej by milczeli. Pomrukują jedynie. A o pracy to w ogóle nic nie mówił.

– A jak komentował śmierć Amandy?

– Mówił, że konowały zawsze coś zepsują. I wcale go ten stan rzeczy nie dziwił.

– Dziwne. Nie chciał pomóc? Sprawdzić czegoś? – Wróciła myślami do swojej hipotezy.

– Znaleźć dowodów, by pani pomóc?

– Powiedział, że nie będzie narażał się dla jakiegoś trupa, nawet jeśli ten trup jest moją siostrą. Bo on pracy stracić nie może. Ma trzy gęby do wyżywienia i kasę musi przynosić do domu. Bo inaczej na wioskę wrócić będzie musiał, a to wstyd i żenada.

– Nie była pani zła?

– Co on tam mógłby się dowiedzieć? Ochroniarz. Byłabym zła, gdyby pani odmówiła mi pomocy, ale pani na szczęście zainteresowała się sprawą. Prawda? Nic się nie zmieniło między nami? Pomoże mi pani?

– No nie wiem, nie wiem...

– Pani redaktor, ja przepraszam, przyrzekam, niczego więcej nie ukrywam.

*

Od: Anna Rogozińska

Do: B.K.

Temat: Re: Kim jestem

Inne przyczyny zbrodni?

Jeśli nie miłość ani seks..., to pieniądze. Człowiek jest jak zwierzę. Ma proste potrzeby.

Poszukuje dla nich wysublimowanych i snobistycznych nazw lub usprawiedliwień, które mogą tylko ukryć przykrą prymitywność motywacji.

Ale to nie zmienia faktu, że w życiu wszystko obraca się wokół seksu, pieniędzy i pragnienia miłości.

One stanowią motor działania..., także zbrodni. Jeśli nie o nich myślisz, to pozostaje już tylko jedna możliwość.

Życiowy pech, czyli znalezienie się w złym miejscu i o złej porze.

Jedna pechowa minuta. Ale nigdy nie uwierzę w to, że Wolny zginął przypadkiem!

Jeśli nie masz innego pomysłu na spędzenie czasu jak pomaganie upartym dziennikarkom, powiedz..., napisz... Czy z tej samej przyczyny co Wolny zginął ktoś jeszcze?

Bo niby co innego może łączyć Wolnego i Biela (zakładając, że nie jest to ani kobieta, ani miejsce pracy).

Byli w różnym wieku, mieszkali w różnych miejscach.

Może nie marnujmy czasu na zagadki, co?

Pozdrawiam

Anka

PS I co oznaczają te dziwne zdania, które umieszczasz w PS?

ROZDZIAŁ XXII

– Kopę lat! Kopę lat!

Kopę lat? Skąd wzięło się tak dziwne powiedzenie? Kopę jaj rozumiem. Jaja można rozbić, ugotować, usmażyć. Jajecznica z sześćdziesięciu jaj byłaby niezłym wyzwaniem. Ale co ma oznaczać kopa lat? To nic innego jak okropne uproszczenie języka. Szczepan powtarza je bezmyślnie, łakomie obserwując, jak podróżne, metalowe kieliszki wypełnia wódka.

– Za nasze niespodziewane spotkanie! Kopę lat, mój drogi!

I znowu to samo. Kopę lat. Może gdyby Szczepan raczył wypowiedzieć swoje myśli pełnym zdaniem, przykładowo: „cieszę się, że jesteś, dawno cię nie widziałem”, poczułby ulgę. Ale nie, musi gadać w kółko to samo. Dwa słowa, które nic nie wnoszą.

– Za spotkanie – powtarza za Szczepanem.

– Wujku – dodaje Szczepan. – Pamiętasz, jak byłeś takim małym szczyłem, mówiłeś mi wujku.

– To może zagryzkę do wódeczki? – dopytuje.

Z dumą wyciąga przygotowane przez siebie specjały: mięso pieczone w domu, pokrojone w poręczne grube plastry, i ogórki konserwowe. Szyńce poświęcił dużo czasu. Dochodziła w piekarniku zamarynowana sposobem, którego nie powstydziliby się żaden tam jakiś Gessler, Scheller, Okrasa czy Pascal. Sposób pozostał mu w spadku po jednej z byłych dziewczyn. Nie sądził, że kiedyś się przyda.

– Skąd masz takie pyszności? – Dawno niewidziany wujek wpycha sobie do ust duży kawał mięsa.

No tak, to nie jest codzienny widok. Specjały, których nie powstydziliby się krakowski masarz, leżące na zużytym siedzeniu w przedziale drugiej klasy. Pociąg kołysze, ale on stara się na tym nie skupiać. Przed nim ważne zadanie. Na szczęście nic go nie rozprasza. Późna pora, ciemność za oknem i zaciągnięte zasłony oddzielają przedział od korytarza.

– Wracam od dziewczyny. Jej matka twierdzi, że jestem za chudy. Za każdym razem, gdy mnie widzi, daje mi taką właśnie wałówkę.

– Skarb, nie kobieta. Przepyszna swojska szyna! A ogóreczki pewnie też własnej roboty?

– Pewnie...

Niewiele mija się z prawdą. Słoik ogórków konserwowych kupił w osiedlowym sklepie, ale doprawił je własnoręcznie. Nigdy nie był drobiazgowy. Szkoda czasu na czepianie się szczegółów.

– Ale to niesamowite, nie uważasz, że po tylu latach się spotykamy? I to w takich

okolicznościach! Polejesz? – Szczepan wyciąga pusty kieliszek.

On nie czeka na ponowne zaproszenie, polewa wódkę. Nie jest to proste. Pociąg mocno kołysze. Trafienie niewielkim strumieniem do małych kieliszków jest wyczynem na skalę czteropunktowego wsadu do kosza. „Jeśli czegoś nie jesteś w stanie zmienić, zaakceptuj to – powtarzała jego matka – i wyciągnij z tego maksimum korzyści”. Tak też robi, podnosząc kieliszek do ust. Pociąg szarpie, a on specjalnie wylewa część zawartości na podłogę.

– Nie spodziewałem się zobaczyć o tak późnej wieczornej porze miłych twarzy. A tu nagle ty wchodzisz do mojego przedziału. Myślałem, że zejdziesz na zawał. Tak urosłeś! Zmężniałeś. Wielki facet z ciebie. Ale twarz została ta sama, te oczy..., pamiętam je. Ile miałeś lat, gdy widziałem cię ostatni raz? Siedem? Osiem? Chodziłeś już do szkoły...

Nie chce mu się słuchać tych łzawych opowieści pseudowujka.

Patrzcie go, jaki miły! Najchętniej odpowiedziałbym, że on zmienił się... jak ja, ale wręcz przeciwnie. Ja urosłem – on zmalął. Ja zmężniałem – on zdziadział. Ile on ma dziś lat? Z siedemdziesiąt pewnie. I nadal jest tym samym sztywnym wujkiem Szczepanem. Kiedyś był wysoko postawiony w hierarchii zawodowej, wszyscy wokół niego skakali, nawet podczas zupełnie prywatnych spotkań. Dziś jest starcem. Sztywnym i zgorzkniałym staruchem. Szczepanem, który dobrze zna zapach ludzkiego lęku.

– Przyznam szczerze, że miałem do ciebie duże pretensje – kontynuował swoją opowieść starszy mężczyzna, jednocześnie regularnie sięgając po mięso i ogórki. – Może przestanę jeść, bo wszystko ci zjem?

– Nie, niech wujek je. – Nietrudno zmusić mu się do sympatycznej odpowiedzi. – Ja się przejadłem, jak byłem u dziewczyny. – Zadziwia go jego elastyczność. Może minął się z powołaniem i powinien zostać aktorem? – Coś mnie kręci w żołądku.

Ooo, ostatnie zdanie jest całkowitą prawdą. W jego żołądku biega stado szczurów. Jak przed randką robią kółka, czekając, co przyniesie czas.

– Ojciec tyle dla ciebie zrobił, tak się poświęcił, a ty zamiast się nim zająć, oddałeś go do domu starców? I nawet na pogrzeb nie przyszedłeś? To była niewdzięczność z twojej strony, wiesz chłopcze? Sam jestem chory. Zdiagnozowano mi raka. Jeżdżę specjalnie do Poznania na wizyty u najlepszego onkologa. W każdą drugą środę miesiąca. I nie wyobrażam sobie, żeby moje dzieci oddały mnie do takiego miejsca...

Boskie są takie teksty. Gdy ktoś obcy usiłuje udowodnić, że dysponuje monopolem wiedzy na temat czyjegoś życia. Osądza, osacza i gada bez sensu, by poczuć się lepiej.

– Był już konduktor? – pyta, przyglądając się Szczepanowi i pozostałościom po szynce. Ubył jej spory kawałek, prawie połowa. Idealna dawka dla sztywnego pseudowujka.

– A co? Nie masz biletu? Jeździsz na gapę, ha, ha, ha.

Bilet to tylko kawałek papieru upoważniający do korzystania z usługi przewozowej. Jemu brakuje czegoś bardziej abstrakcyjnego. Nie ma czasu. Z jego obliczeń wynika, że już coś powinno zacząć się dziać.

– To może jeszcze szyneczki? Nie będę tych resztek brał do domu! – Nie może się oprzeć, by diabelsko nie wodzić Szczepana na pokuszenie.

– Kuisz chłopcze, kuisz. A niech będzie. Zjem, szybciej mi alkohol wywietrzeje. Pamiętam taki jeden dzień. Byłem u twojego ojca, a ty przyszedłeś ze szkoły, taki rozczochrany... Uwielbiam taką swojską szynę, ma smak szynki z dzieciństwa...

Jedź kurwa, jedź, nie krępuj się. Nasyć się na zapas. To twój ostatni wieczorny posiłek.

Użyłby biblijnego sformułowania „ostatnia wieczerza”, jednak w tamtej historii ginął dobry bohater, zupełnie inaczej niż teraz.

– Smaczna, prawda?

A co miałyby w niej nie smakować? Sorbiniany, benzoesany, hydroksybenzoesany, siarczyny, dwusiarczyny, wodorosiarczyny, fenylofenolan, azotyny, octany, askorbiniany, galusany, mleczy, cytryniany – sodu, potasu, wapnia? Tablica Mendelejewa powinna roztrzaskać się w pył ze wstydu, że jest małym pikusiem przy liście E-dodatków do żywności.

– To do lekarza wujek jeździ do Poznania? – pyta kurtuazyjnie.

– Jeżdżę, jeżdżę. W każdą drugą środę miesiąca mam wizytę. Zawsze o tej samej godzinie. Starszy jestem, lubię regularność, dla was młodych to może fanaberia, a mnie zapewnia poczucie bezpieczeństwa i nie obciąża sfatygowanej pamięci.

O tak, lubi taką fanaberię. Dzięki niej łatwiej było mu zaplanować dzisiejszą noc.

– Dobry wieczór. Bileciki do kontroli!

Postać konduktora pojawia się w idealnym momencie. Za chwilę powinna zacząć się akcja. Do tego czasu konduktor musi zostawić ich samych.

– Co to za wódka jest? – Szczepan robi się czerwony.

– Ale w jakim sensie?

– Kurcze, mocna jakaś. W głowie mi się kręci, duszno jakoś się zrobiło. Otworzysz okno?

– Lepiej nie, zawieje nas.

– Otwórz, kurwa, źle się czuję.

I bardzo dobrze. Można znaleźć sprawiedliwość na tym świecie. Zwłaszcza gdy się ją samemu wymierza. W końcu po tylu latach to ty, dupku, źle się czujesz. Nie ktoś inny.

– Moje serce wariuje, wali jak oszalałe. Boli mnie cała klatka piersiowa. Kurwa...

Dziwne, gdyby miała boleć tylko część. Serce umiera, oczywiście w znaczeniu organu pompującego krew, bo przecież serca do ludzi nigdy nie miałeś, ty stary esbeku.

– Pomóż mi, zadzwoń po pogotowie.

Ręka na piersi zaciska się w teatralnym geście. Tonący brzytwy się chwyta, a umierający na zawał uciska pierś, jakby chciał wypełnić dłonią dziurę w sercu. Kto by pomyślał, że tak łatwo zabić człowieka, nie dotykając go. To nie trwa długo. I nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji. Nikt przecież nie będzie w jego ciele szukał śmiertelnej dawki substancji chemicznej, skoro patolog nie będzie miał problemów z ustaleniem przyczyny zgonu. Genialny plan. Szkoda, że nie on go wymyślił. Jedynie odrobinę udoskonalił.

– Słodkich snów, Szczepanie – rzuca w stronę nieruchomego już ciała, wychodząc z przedziału – i miłej podróży do piekła.

*

Od: B.K.

Do: Anna Rogozińska

Temat: Czas

Proponujesz, żebyśmy spędzali czas lepiej, niż tracąc go na zadawanie zagadek?

Gdybyś znała Czas tak dobrze jak ja, nie mówiłabyś o nim „czas”, ale „pan Czas”.

Czas to wielki pan. On nie cierpi, kiedy się go spędza, traci czy bije.

Pokłóciłem się z Czasem swego czasu. Teraz go szanuję i nie zabijam. Go.

„Czas to pieniądz. Czas leczy rany”. Nie znam głupszych zlepków wyrazów.

Marnotrawstwo czasu to grzech główny. Mam nadzieję, że ty swojego nie marnujesz.

Tak dla jasności. Pomagam tylko tym dziennikarkom, które dorównują mi bystrością umysłu, inteligencją oraz szóstym zmysłem.

Bardzo trudno pisać tu o przypadku.

Wierzę, że gdy otworzysz swój umysł, zobaczysz to, czego inni nie widzą.

I pójdziesz w dobrą stronę.

Wracając do czasu, on mija, a pewne schematy się powtarzają.

Kalki czasowe. Słońce wschodzi i zachodzi. Co dzień.

Wolny nie zginął śmiercią wyjątkową. Został wypchnięty z pociągu.

Nie on pierwszy i pewnie nie ostatni. Pytasz o zdania? Dowiesz się wszystkiego w swoim czasie.

B.K.

PS Reporter nałogowo podróżuje.

ROZDZIAŁ XXIII

– Znajdujemy się przed Wielospecjalistycznym Szpitalem Miejskim imienia Józefa Strusia w Poznaniu, w którym trwa ewakuacja. Dokładnie o godzinie jedenastej do placówki dotarł e-mail z informacją o ładunku wybuchowym. Dyrektor szpitala ogłosił alarm. Szesnaście oddziałów zmuszonych zostało do natychmiastowego opuszczenia placówki. Część pacjentów opuściło budynek na własną rękę. Chorzy w stanie wymagającym monitorowania parametrów życia wywożeni są stopniowo do pobliskich szpitali. Policja zabezpieczyła teren. Obecnie budynek opanowali pirotechnicy, którym pomagają psy tropiące.

Ania stała na rogu ulic Szwajcarskiej i Piaseckiego i uśmiechała się do kamery. Za jej plecami widać było rozległy teren zajmowany przez budynki szpitalne. Z gmachów wysypywali się zdenerwowani ludzie, którzy jak mrówki rozglądali się wokoło, szukając zagrożenia i biegli w tylko sobie znanym kierunku, nie zważając na wskazówki policjantów. Bomba bombą, ale każdy z nich zostawił w środku coś swojego, bardziej lub mniej cennego.

– Chodź! – krzyknęła dziennikarka w stronę operatora kamery. – Może uda nam się podejść bliżej.

Nie zastanawiała się, o której godzinie może wybuchnąć bomba. W ogóle nie zdawała sobie sprawy z istnienia zagrożenia życia. Taka sytuacja była dla niej zastrzykiem adrenaliny i możliwością zrobienia świetnego materiału. Wiedziała, że Kowalski siedzący wygodnie na fotelu przed telewizorem z zaciekawieniem obejrzy prawdziwy i poruszający materiał, najlepiej nagrany w technologii 5D, gdzie oprócz trójwymiarowego obrazu poczuje zapach dymu i zostanie opryskany krwią lub potem uciekających przed wybuchem ludzi. Obejrzy, zagryzie chipsami, łyknie piwa i pomyśli: „prawie jakbym tam był”.

– Otrzymałam właśnie potwierdzoną informację, że ewakuacja została zakończona. – Gdy Ania usłyszała, że jeden z policjantów potwierdza odebranie wiadomości o zakończeniu ewakuacji, ponownie ustawiła się przed kamerą i przyjęła poważny wyraz twarzy. – Obecnie czekamy na wiadomości od pirotechników. Czy na terenie szpitala znajduje się bomba, czy jest to tylko fałszywy alarm?

– Pięknie, mamy to. – Artur zdjął kamerę z ramienia.

– Cudnie, nakręć mi jeszcze parę ujęć tych ludzi leżących pod chmurką na szpitalnych łózkach. Im starsi i gorzej wyglądający, tym lepsi. I policyjne koguty..., i jeszcze kogoś biegnącego, trzeba oddać tę gorącą atmosferę.

– Gorącą atmosferę było widać w tle, gdy kręciłem ciebie. – Artur uśmiechnął się filuternie. – Ale oczywiście ty jesteś panią mego sprzętu. Chcesz cierpienie i stres? Proszę

bardzo, nie musisz się o nic martwić...

– Wiem, wiem, gdziebym się miała zamartwiać? W końcu mam do dyspozycji najlepszego filmowca w Poznaniu! – przerwała mu.

– Ba, tak dobrego, że sam nie wie, czemu nadal siedzi w Poznaniu, a nie w Hollywood.

– Jak to nie wie? Mój bystry filmowiec? Przecież w Hollywood nic się nie dzieje. Wieje nudą i smrodem zarozumiałych gwiazd i gwiazdeczek.

– Fakt, za to w Poznaniu nie wiadomo w co ręce włożyć i gdzie zajrzeć kamerą.

*

Gdy Anna Rogozińska przestąpiła próg budynku telewizji, wpadła na Kamila Grabowskiego.

– Dzień dobry, panie dyrektorze. – Dygnęła jak pensjonarka.

Idący za nią Artur kiwnął tylko głową i szybko ją minął, kierując się prosto do biurka. Szef spojrział na dziewczynę mętным wzrokiem, chwilę pomyślał, a później uśmiechnął się szeroko. W tej samej chwili Ania poczuła, że znalazła się w złym miejscu o niewłaściwej porze.

– Pani Aniu, z nieba mi pani spada.

– Tak – stwierdziła zamiast spytać, bo widząc sztuczny uśmiech szefa, wiedziała, że za chwilę zostanie perfidnie wykorzystana.

– Czy planuje pani dziś trochę popracować? – Jego ironiczny ton wiercił dziurę w jej głowie.

– Pan wybaczy, ale jestem w pracy od kilku godzin. – Starła się nie wdać w ostrą wymianę zdań. – Właśnie wracamy z Arturem z terenu. Ewakuacja szpitala, sytuacja dynamiczna, byliśmy w gotowości, by nakręcić wybuch placówki dla naszej stacji. Niestety to był fałszywy alarm.

– Tak, tak, oczywiście. Chyba nieprecyzyjnie się wyraziłem. Czy będzie pani pracowała teraz w biurze? Przez jakieś dwie, trzy godziny?

– Tak. – Najchętniej wymyśliłaby na poczekaniu jakieś zajęcie w terenie, ale dokonała w myślach szybkiego rachunku zysków i strat. Szefowi się nie odmawia, zwłaszcza gdy liczy się na awans. – Mogę w czymś pomóc? – zaoferowała, wychodząc z założenia, że skoro i tak będzie musiała coś zrobić, to lepiej, żeby wyglądała na pomocną, a nie przymuszoną.

– Świetnie. – Dyrektor poznańskiego oddziału telewizji podrapał się po brzuchu rozmiaru piłki do koszykówki i kiwnął na dwie młode studentki, stojące przy automacie z kawą. – W takim razie bardzo proszę wziąć pod swoje skrzydła dwie stażystki. To ich pierwszy dzień. Niech towarzyszą pani w pracy.

Dziewczyny wyglądały jak siostry bliźniaczki, mimo różnego koloru włosów. Obie

ubrane były w eleganckie garsonki o tych samym kroju i barwie, miały białe bluzki z tak samo wywiniętymi mankietami, cieliste rajstopy i czerwone buty na wysokim obcasie. Dokładnie takie same.

– Drogie panie, to jest nasza topowa dziennikarka Anna Rogozińska. Macie niepowtarzalną możliwość uczyć się od najlepszych. Pani Aniu, zostawiam najnowszy narybek w pani rękach. Proszę ich nie połknąć.

Śmiech Grabowskiego towarzyszył kobietom jeszcze chwilę po tym, jak dyrektor zniknął w windzie.

– Ojej, znam panią z tv – odezwała się pierwsza dziewczyna z blond włosami – cieszę się, że będę z panią pracować. – Wyciągnęła rękę. – Beata Robak jestem.

– Pracować... też mi coś – bąknęła Ania pod nosem. – Dobra stażystki, możecie patrzeć, ale nie przeszkadzajcie. Możecie pytać, ale nie wkurwiajcie mnie. Możecie się uczyć, ale ja za rączkę prowadzić was nie będę.

Odwróciła się na pięcie i udała się do swojego biurka w asyście dwóch sklonowanych i rozentuzjasmowanych studentek dziennikarstwa. Dobrze pamiętała swój pierwszy dzień w redakcji. Była podrzucana jak zgniłe jajo. To tu, to tam. W końcu wylądowała w gnieździe Jolki, w tamtejszych czasach gwiazdy poznańskiego oddziału stacji. Usłyszała od niej podobną wiązaną życzeń, którą dziś zaserwowała stażystkom. Pomyślała wtedy, że jeśli uda jej się utrzymać, to będzie przyjazna dla wszystkich nowych osób.

– Długo już pani pracuje w poznańskiej telewizji? – Odważniejsza z dziewczyn przysunęła krzesło do biurka Rogozińskiej i zaczęła zadawać pytania.

„Stanowczo za długo” – odpowiedziała w myślach dziennikarka.

– Nie myślała Pani – wtrąciła druga, nie czekając na odpowiedź – żeby przenieść się do Warszawki, co stolyca, to stolyca, prawda? – Chichotem zaraziła koleżankę.

– A wy oczywiście chcecie pracować w centrali naszej telewizji w Warszawie, prawda? – Ania nie musiała pytać, wiedziała, co jej odpowiedzą klony, nie mogła jednak opanować szyderczej ironii.

– Się wie!

– A kiedy do tej STOLYCY się wybieracie?

– Zaraz po stażu, pewnie od nowego roku?

– Aaa, no tak. Się wie – powtórzyła za odważniejszą z dziewczyn. – To SIĘ też rozczaruje. Praca w telewizji to nie bajka. To ciężka harówka. Ale co ja wam będę mówić – przerwała na chwilę, obserwując miny stażystek. – Wiem, wiem, myślicie sobie, że próbuję was przestraszyć, bo boję się młodszej konkurencji – kontynuowała znudzona. – Praca w telewizji to morderczy maraton. Przetrwają tylko najsilniejsi. Pewnie się cieszyacie, że dostałyście się na staż..., ale nawet nie macie pojęcia, ile osób było tu przed

wami..., ile wymiękło, ile się załamało, ile zmieniło zainteresowania. Bo błyszczyć każdy by chciał..., ale nie każdy ma ochotę i siłę, by zapracować sobie na ten blichtr.

– Ale my mamy siłę i ochotę – zaprotestowały klony jednocześnie.

– Ciekawe tylko, na jak długo wam wystarczy tej ochoty i siły. Nie liczcie, że w najbliższych miesiącach zabłyśniecie kreatywnością czy inteligencją. Wasza praca będzie polegała na nagrywaniu materiałów na zamówienie. Centrala powie, że w materiale profesor psychologii ma mówić, że dzieciobójczynie powinna zostać skazana, więc będziecie szukały profesora, który się zgodzi na rozmowę. Potem będziecie naprowadzały go pytaniami tak, by w końcu powiedział to jedno zdanie, na którym zależy centrali. Bo przecież nie wypada powiedzieć: „weź dziadku powiedz takie i takie zdanie” i będzie po wszystkim. Zaprawdę powiadam wam, można zwątpić w sens tego zawodu, zwłaszcza na początku.

– My nie zwątpimy. – Znów usłyszała chórek.

– Taa – przytaknęła, stwierdzając, że dłuższy monolog nie ma sensu. Ani nie zbawi świata, ani nie wyedukuje studentek. – Artur – zaczęła przechodzącego obok Lipca – nie wiesz, kiedy pójdzie nasz materiał ze szpitala?

– Właśnie kończę go montować i wysyłam. Myślę, że powinien pojawić się w najbliższych wiadomościach. A co to za nowalijki tu masz? – zapytał, łakomie spoglądając na dziewczyny. – Stażystki?

*

Renata Rogozińska krzątała się po kuchni, wyszukując sobie pracę. Starła już blaty, umyła naczynia po obiedzie i obrała stertę truskawek. Kupiła je rano z myślą, że upiecze ciasto drożdżowe z truskawkami. Wróciła jednak do domu, spojrzała na wykrzywioną minę męża, usłyszała niewybredny komentarz na temat zależności jej tuszy od ilości pożeranego ciasta i od razu wszystkiego jej się odechciało.

„Rodzynkowatość potrafi zabić nawet apetyt na owoce sezonowe” – pomyślała. „Szkoda, że wyprowadziliśmy się z miasta. Tam miałam koleżanki. Upiekłabym ciasto i wyszła, uciekłabym od jego wymownych spojrzeń. Z przyjemnością zjadłabym tyle kawałków, ile zmieściłby mój żołądek”.

Dokładnie o piętnastej czterdzieści pięć weszła do salonu, który od rana zajmował Stanisław i włączyła telewizor. Ustawiła odpowiedni kanał i zaczęła śledzić zapowiadane przez spikera wiadomości.

– Nie tak głośno, kobieto, nie widzisz, że czytam?

Stanisław jak zwykle musiał wyrazić veto. Nie lubił, gdy ktoś naruszał jego przestrzeń osobistą. Z racji wykonywanego zawodu mógł przywyknąć do dystansu i chłodu, jednak przebywanie z nim w jednym domu stawało się coraz bardziej uciążliwe. W momencie,

gdy pojawiał się w jakimkolwiek pomieszczeniu, uzurpował sobie do niego całkowite prawo, w takim stopniu, że pozostali domownicy powinni poczekać, aż raczy opuścić ten czy inny pokój. Renata nie mogła jednak czekać. W wiadomościach miał pojawić się materiał przygotowany przez ich córkę.

– No nie! Tak być nie może! – zaprotestowała głośno, gdy zamiast usłyszeć głos córki zobaczyła krótkie migawki z Poznania.

– O co ci znowu chodzi, kobieto? – Stanisław trzasnął książką o podłogę. – Przychodzisz nieproszona i tylko hałas robisz!

– No nie! – powtórzyła, czekając, aż mąż spyta ją, o co chodzi.

Stanisław jednak siedział na fotelu z głową skierowaną w przeciwną stronę. Napięte mięśnie twarzy i szyi jednoznacznie świadczyły o tym, że się obraził.

– Co za chamstwo! – Renata uznała, że się nie doczeka, zaczęła więc opowiadać właściwie sama sobie, nie licząc na to, że którekolwiek słowo dotrze do męża. – Nie pokazali Anusi. A tak się cieszyła z materiału. Co to za kraj? Ktoś pod nią dołki kopie. Widać to na pierwszy rzut oka. – W geście protestu przeciwko bezimiennemu wrogowi ze stacji Primo TV wyłączyła telewizor. – Jak tak można? Najpierw dawać człowiekowi nadzieję, a potem obciąć efekty jego pracy do minimum i nawet nie podać jego nazwiska jako autora? Stasiu, przecież ty jesteś prawnikiem, czy to nie jest czasem złamanie praw autorskich? Stasiu?

– Co? – burknął, nawet nie odwracając głowy.

– Córkę ci okradli, a ty w ogóle niczym się nie przejmujesz, nic cię nie obchodzi!

Kobieta trajkotała, a Stanisław Rogoziński uniósł się nagle z fotela. Nie wyszedł jednak z pokoju. Podszedł do okna i zasłonił zasłony. Później przykucnął przy kredensie i zaczął wyciągać z jednej z szuflad stosy papierów.

Renata nie chciała oglądać tego po raz kolejny. Wróciła do kuchni, znalazła komórkę i wybrała numer córki.

– Witaj, kochanie.

– Cześć, mamuś.

– Co za chamy siedzą w tej Warszawie, co? – Rogozińska nie kryła oburzenia. – Tak się napracowałam, na pewno wypadłam świetnie, a oni cię nie pokazali.

– Nie przejmuj się, mamó – Ania starała się zachować negatywne emocje dla siebie. Nie chciała w tej chwili rozklejać się i rozdrapywać ran z matką żądną krwi wydawcy programu. Wzięła więc duży łyk wina. – Pecha miałam i tyle.

– Ale jakiego pecha?

– Ojej, myślałam, że będę miała hot newsa, bo przecież bomba w szpitalu nie zdarza się co dzień. Byłam pewna, że to będzie główne info we wszystkich wydaniach

wiadomości.

– Ano tak, a tu pech, mówili, że instytucje w całej Polsce otrzymały e-maile informujące o bombie.

– No właśnie! Internetowe bomby pojawiły się wszędzie. Katowice, Warszawa, Kraków... Ech, skupili się więc na relacjach z warszawskich instytucji, które się ewakuowały.

– Ale przynajmniej wspomnieli, że w Poznaniu też. – Matka starała się pocieszyć córkę. – I nawet pokazali jakieś ujęcia pacjentów leżących na szpitalnych łózkach pod chmurką.

– Super, to były właśnie moje ujęcia. Z całego materiału puścili pięć sekund z podpisem „Poznań”. Nie wspomnieli o mnie ani o Arturze, autorze zdjęć.

– Córku, ja wiem, że jest ci przykro – odezwała się czule, jakby ta miała nie więcej niż siedem lat i zgubiła swoją ulubioną zabawkę. – Może przyjedziesz do domu? Zrobię coś dobrego do jedzenia? Na przykład...

– Oj, mamó. – Ania przerwała rodzicielce. – Gdybym miała w zwyczaju zajadać stres, to ważyłabym już pewnie ze sto pięćdziesiąt kilo. Nie martw się o mnie.

– Wiem, że jesteś dzielna i silna, i nie o ciebie się martwię...

– Nie? – Córka zwątpiła. Szept matki zabrzmiał niepokojąco. – A o kogo?

– Przyjedź do nas, proszę.

– Mamó, coś się stało?

– Tak – odpowiedziała automatycznie, po chwili dodając niepewnie – Nie. To znaczy, nie wiem – powiedziała w końcu zupełnie szczerze. – Coś się dzieje. Złego. Z ojcem.

– Pokłóciliście się?

– Nie! – zaprzeczyła, dodając w myślach, że przecież w tym wieku ludzie się już nie kłócą. – Nie o to chodzi. Nie daję sobie już z nim rady. Chyba mu się zaostrzyło. Znowu zachowuje się dziwnie.

– Dziwnie? To chyba nic nowego? – Ania zachichotała.

Rogosińska dyskretnie zajrzała do salonu. Stanisław siedział obłożony starymi dokumentami i kiwał się jak dziecko autystyczne. Prawo, lewo, prawo, lewo. Na chwilę uspokajał się, przekładał papiery z jednej kupki na drugą i znów zaczynał się kiwać.

– Przestań. – Zakryła ręką słuchawkę, by słowa dotarły do córki, nie do męża. – Ja nie żartuję. Przyjedziesz?

– A obiecujesz, że to nie jest kolejny fortel, by ściągnąć mnie do domu i znaleźć mi męża?

– Przysięgam! Tym razem nie chodzi o ciebie, tylko o ojca. Przyjedziesz?

– Przyjadę. Nie wiem jeszcze kiedy, ale jakoś sobie wszystko zorganizuję, żeby się

wyrwać i przyjadę.

– Tylko nie zwlekaj!

– Dobrze, przyjadę jak najszybciej – potwierdziła zaniepokojona córka.

Kobieta wróciła do salonu i patrząc w oczy mężowi, powiedziała głośno.

– Ooo, Stasiu, Ania do nas przyjedzie!

– Co? – Mężczyzna przestał się kiwać i spojrzał na żonę nieobecny wzrokiem.

– No widzisz – kontynuowała rozmowę z córką – mówię do niego, a on mnie nie słyszy.

Patrzy na mnie, ale nie słyszy. Mówię, że Ania przyjedzie do nas.

– Nie! Nie! Nie! – Kategorieczny ton emerytowanego prokuratora rozległ się nie tylko w pokoju, ale i w uchu córki. – Tylko nie pociągiem, tylko nie pociągiem!

– Słyszałaś? – Renata przerażona obserwowała zdenerwowanego męża.

Dobrze wiedziała, że miał swoje dziwactwa, jak każdy mężczyzna w jego wieku. Musiała zaakceptować je lata temu. Nauczyła się z nimi żyć. Właściwie ich nie zauważała. Podobnie jak niezamierzonych i zamierzonych złośliwości wypowiedzianych pod jej adresem. Jednak od kilku dni trudno było obserwować jego zachowanie z obojętnością. Najchętniej wysłałaby go do psychologa. Bała się jednak wyjść z taką propozycją.

– Trudno było nie usłyszeć, mamó. Chyba pół wsi słyszało. Co go ugryzło?

– Nie wiem. Mówiłam ci, że dziwnie się zachowuje. Dziwniej niż zwykle. Teraz wyszedł na ogród. Przyjedź, błagam cię, ale koniecznie samochodem, bo w przeciwnym wypadku on dostanie zawału.

– Dobrze, dobrze. Nie martw się, coś wymyślę. Ten mój gruchot, znaczy twój były samochód chyba jest na wykończeniu. Gaśnie ostatnio, mimo że odebrałam go dopiero co od mechanika. Będę bała się jechać nim sama w trasę. A co ojca znowu naszło z tym pociągiem?

– Nie wiem. Znowu wpadł w fobię. Wyobraź sobie, że jakiś jego znajomy, Bogu ducha winny człowiek, zmarł kilka dni temu w pociągu. – W końcu mogła swobodnie opowiedzieć o wydarzeniach ostatnich dni, nie martwiąc się, że rozmowę podsłucha mąż. – Jak ojciec się o tym dowiedział, to się wszystko zaczęło. Fobie i dziwne zachowania. Boję się, że to jakaś choroba psychiczna, córuś. Ten facet z pociągu przecież był stary, starszy od ojca, podobno zszedł na zawał. Ale nie, ojciec oczywiście ma inną teorię. Jak zwykle spiskową... Wiesz, że zabili faceta tajemniczy „oni”.

– Taaa, tajemniczy oni. Kosmici najpewniej. Mamó, nie martw się, przyjadę i z nim pogadam. Zobaczymy. Ale on zawsze miał takie jazdy. Może to tylko chwilowe? Może jakiś film oglądał?

– Daj znać, kiedy będziesz.

– Dam. Trzymaj się, mamuś.

Ania Rogozińska trzymała komórkę w ręce i biła się z myślami. Matka była bardzo zaniepokojona, głos ojca brzmiał, jakby wydobywał się z za grobu. Postanowiła, że nie będzie zwlekać z kontrolną wizytacją w rodzinnym domu. Co prawda nie miała dziś ochoty opuszczać swojej bezpiecznej przystani. Chciała w samotności, a właściwie w towarzystwie butelki niedrogiego wina, które kupiła, wracając z pracy, przeżyć kolejną porażkę. Przełknąć żal tkwiący gdzieś w połowie gardła, przykryć smak rozczarowania cierpkością półwytrawnego czerwonego trunku.

Sama nie wiedziała, czy porażka jest bardziej zawodowa czy osobista. Tłumaczyła sobie, że nie stało się nic wielkiego. Jednak rano, gdy przemknęła przez jej głowę wizja, że nazwisko Rogozińska staje się rozpoznawalne w całym kraju za sprawą prawdziwej i mocnej relacji z miejsca wybuchu bomby, ucieszyła się ogromnie, rozbudzając w sobie uśpione pokłady nadziei.

Po takim materiale nie musiałyby długo czekać na propozycję przeprowadzki do Warszawy. Rozbudzona nadzieja kazała jej pomyśleć o warszawskim życiu, które czekało na nią od kilku lat, o bliższym kontakcie z Robertem, o adrenalinie i pracy – niby takiej samej, ale jednak innej. Ważniejszej, bardziej docenianej i korzystniej wycenianej.

– Muszę przestać o tym myśleć, muszę wydostać się z mojego bezpiecznego mieszkanka... – powiedziała na głos, stojąc przy balkonie.

Nawet nie zauważyła, kiedy ciała piskląt zamieszkujących gniazdo na balkonie pokryły się piórkami. Zdeterminowana wróblowa mama karmiła właśnie swoje drące się w niebogłoty dzieci, co rusz podfruwając i wpychając im w dzióbki zdobyte specjały. Kobieta i ptaka dzieliły zamknięte szklane drzwi, budowa mózgu, zdolności ruchowe i wiele innych. Było też coś, co je łączyło.

– O rodzinę trzeba dbać, nawet jeśli towarzyszą temu poświęcenia, prawda ptaszyno?

Spojrzała na komórkę i nie zastanawiając się długo, wybrała numer Łukasza. W głębi duszy wiedziała, że może na niego liczyć. Tylko on nadawał się do misji specjalnej – spontanicznego odwiedzenia razem z nią domu rodzinnego. Co prawda po włamaniu do mieszkania Wolnego potraktowała go trochę obcesowo, ale znali się przecież od dawna, lubili i mieli wspólną tajemnicę. Anka uznała, że tym samym upiecze na jednym ogniu kilka pieczeni.

„Matka będzie zadowolona – wyliczała plusy – ja uspokoję się, gdy zobaczę, co się tam dzieje. Pokażę Łukaszowi, że traktuję go jak kumpla, nie jak kandydata na faceta. On ucieszy się, że może służyć pomocą, porozmawiam z nim, będzie czuł się bardziej ze mną związany, dzięki czemu wzrośnie jego motywacja do pracy nad wspólną sprawą. Sprytny plan!” – podsumowała.

– No cześć – przywitała go entuzjastycznie – słuchaj, przejdę od razu do rzeczy. Masz jakieś plany na dzisiejsze popołudnie i wieczór?

– No cześć – Łukasz ociągał się z odpowiedzią.

– Wpadłbyś do mnie? Proszę?

– A w jakim celu? Znowu jakieś włamanie?

– W celu bardzo ważnym. – Jego żart ośmielił ją. – Chciałam prosić cię o przysługę.

Zastanów się po stokroć, zanim odpowiesz. Możesz oczywiście odmówić. Wiesz, wypiałam już kieliszek wina, a okazało się, że muszę koniecznie pojechać do rodziców, do Lednogóry. Pojechałbyś ze mną?

– Wypiłaś jeden kieliszek czy całą butelkę? Bo pytanie zadałaś odważne.

Spodziewała się takiej reakcji. Sama zachowałaby się podobnie, gdyby to jej złożono taką propozycję. Żartem przykryłaby zmieszanie. Podczas kolacji z Łukaszem zauważyła, że mają ze sobą wiele wspólnego, dużo więcej, niż można by przypuszczać.

– Wiem, wiem, uprzedzam, że to jest niemałe wyzwanie. Moja mama jest miła, ale wiesz, usilnie mnie swata. Ale ty twardy jesteś, przeżyjesz. Nie dasz sobie mnie wepchnąć w ramiona na chama, co? A przy okazji spędzimy trochę czasu tylko we dwoje. Musimy chyba pogadać. – Dwuznaczność ostatniego zdania przeraziła ją, więc dodała szybko – W sprawach śledztwa, oczywiście.

– Oczywiście. Dobrze, pojedę. Nie musisz się obawiać, nie wezmę do siebie tekstów twojej mamy. Poza tym chętnie zobaczę, jak będziesz wyglądać na starość. Powiniennem się jakoś specjalnie ubrać?

– Łuki, wyluzuj, nie jedziesz tam udawać mojego narzeczonego. Bądź sobą i tyle, wstydu mi nie przyniesiesz.

– Oj, Aneczko, chyba zaszalałaś z tym winem, skoro komplementujesz mnie, zwykłego pismaka. Dobra, będę po ciebie za pół godziny. Wypij kawę i umyj zęby, żeby matka nie wyczuła od ciebie alkoholu.

– Łukasz? – Nagle śmiałość Ani zniknęła.

– Tak?

– Dziękuję.

Kilkadziesiąt minut później siedzieli w samochodzie zmierzającym w kierunku Lednogóry – wsi, która od kilkunastu lat systematycznie rozrastała się i zmieniała swój charakter. Coraz trudniej było w niej znaleźć rolnika z prawdziwego zdarzenia: właściciela ciągnika i kilku krów lub świń. Coraz częściej trzeba było uciekać z drogi przed szybko mknącymi samochodami napływowej ludności, powracającej z pracy w mieście do swoich zagospodarowanych i zunifikowanych małych kawałków ziemi.

Kiedy skończyli omawiać pogodę, wydarzenia dnia dzisiejszego i charakterystyczne dla

Lednogóry miejsca, zapadła niezręczna cisza. Powietrze zagęściło się. Wisiał nad nimi temat, który każde z nich chciało poruszyć i jednocześnie przemilczeć.

– Przyznaj się – odezwała się Ania, hołdując zasadzie, że łatwiej jest atakować niż się bronić – ściemniasz jeszcze tę pielęgniarkę z Gniezna?

Samochód mknął krajową piątką, co chwilę wyprzedzając wolniej poruszające się pojazdy. W ocenie Anny, Łukasz minął się z powołaniem. Zamiast zajmować się przygotowaniem pisemnych relacji z codziennych wydarzeń, powinien siedzieć za kierownicą auta rajdowego i zdobywać wszelkie możliwe trofea. Mimo zawrotnego tempa jazdy, dziewczyna czuła się bezpieczna. Łukasz wiedział, co robi. Każda podejmowana przez niego decyzja była poprzedzona szybką analizą sytuacji i możliwości samochodu.

– Jaką pielęgniarkę? – próbował ukryć prawdę, ale spojrzał na nią i wiedział, że nie jest w stanie kłamać w żywe oczy. Zwłaszcza piękne oczy Anny Rogozińskiej.

– Jaką? Jaką? Śmiaką. Ściemniasz...

– No dobra, nie ściemniam. Wiem jaką.

– Ściemniasz ją?

– Niech będzie, tu mnie masz. Tak. To włamanie mnie wciągnęło, a ta pielęgniarka jest dobrym źródłem informacji.

– Dobrym źródłem i ma piękne młode ciało. – Udawiała, że się naśmiewa z Łukasza.

– A ty odpuściłaś „afere lekarską”? Nie wierzę!

– Nie, cały czas pracuję nad sprawą. W każdej wolnej chwili.

– Widzisz, a ta pielęgniarka może nam pomoże? Ona ma dostęp do archiwum.

– Nam?

Rogozińska podczas rozmowy przez cały czas patrzyła na drogę. Tyle razy pokonywała ją jako kierowca, że nie mogła pozbyć się przymusu kontrolowania sytuacji.

– Mieliśmy przecież pracować razem. Team. Ty i ja. Pamiętasz? – Łukasz zerknął szybko na towarzyszkę, po czym wrócił do obserwowania ulicy.

– Pamiętam – przytaknęła niechętnie i przyglądając się jego reakcji, wyznała. – Wiesz, ja też mam źródło informacji. Bardzo nietypowe i anonimowe.

– Kurwa – syknął kierowca.

Przez ułamek sekundy Ania spodziewała się nieplanowanego wybuchu zazdrości. Po chwili jednak spojrzała przed siebie i jak na biernego kierowcę przystało, wbiła prawą nogę w przedni dywanik. Dokładnie to samo chwilę wcześniej zrobił Łukasz, z tym że jego noga trafiła na hamulec. Dwupasmowa droga, którą przemierzali, stała się nagle zbyt wąska. Audi jadące z przeciwnego kierunku, wyprzedzające właśnie toyotę, kierowało się prosto na kadetta Zawodnego. Ewidentnie nie miało szans wpaść ponownie na swój pas jazdy przed spotkaniem z rozpędzoną maską opla. Kierowca audi jednak ostro parł do

przodu, jakby wiara w moc swojego samochodu miała nie tylko przenosić góry, ale też przyspieszać jednych, opóźniając innych.

Łukasz w milczeniu hamował, zredukował biegi i ocenił szerokość pobocza. Życie nie zostawiło mu w tej chwili zbyt dużego wyboru. Mógł albo zderzyć się z pędzącym audi, albo wytracić maksimum szybkości i zjechać na wąskie pobocze, licząc na szczęście. Tego ostatniego potrzebował, by nie stracić panowania nad pojazdem w chwili zetknięcia się kół ze skrajem drogi. Chciał uniknąć dachowania lub spotkania z jednym ze stojących przy poboczu drzew.

– Trzymaj się! – krzyknął i mocno trzymając kierownicę, skierował samochód na przydrożny pas zieleni.

Audi w ostatnim ułamku sekundy rozpoczęło manewr powrotu na swój pas.

– Co za skurwiel! – odezwała się Ania dopiero, gdy minęli zagrożenie. – Widziałeś? Dopiero teraz całkiem wjechał na swój pas. No kuźwa, powinni mu odebrać prawko! Przecież taki bezmózg to zagrożenie na drodze.

– Fiut i tyle.

– No, no, kurde, zaimponowałeś mi, wiesz? – dodała po chwili, gdy uspokoiła emocje.

– Dobra, dobra, nie zmieniaj tematu. Mówiłaś coś o swoim informatorze z pięknym i młodym ciałem? – prowokował.

– Oj, nie wiem, jakie ma ciało. Moje źródło kontaktuje się ze mną tylko mailowo. Ale jest dziwne i intrygujące. I chyba to mężczyzna.

– Maile od nieznanego? Pokażesz?

– Tak, ale pod jednym warunkiem.

– Zgodzę się na wszystkie twoje warunki, bo masz piękne ciało – zażartował – ale oczywiście wszystko na rozsądnych zasadach, nie jesteś już taka młoda, żeby brać w ciemno.

– Tylko ciało ci w głowie...

– Dobra, dobra, nie tylko ciało. Jakie stawiasz warunki?

– Sprawdzisz, a dokładniej ta twoja pielęgniarka sprawdzi nazwiska kobiet, które ci podam, ok?

– Obiecuję. Babeczka już je mi z ręki.

– Tylko nie przesadzaj z poświęceniem dla sprawy...

– A co? Będiesz zazdrosna?

– Ja? Nigdy!

*

Gdy Renata Rogozińska zobaczyła w drzwiach swojego domu córkę w towarzystwie miłego dla oka mężczyzny, weszła momentalnie na najwyższe obroty. Nie posiadała się

z radości, rozpieszczały ją energia i entuzjazm. Ten ostatni rósł z kwadransa na kwadrans, gdyż mężczyzna zaskakiwał ją coraz to nowszymi zaletami. Okazał się nie tylko miły, ale również inteligentny i sympatyczny. Spoglądał na Anię takim wzrokiem, że Renata nie miała wątpliwości. Dziewczyna musiała mu się podobać.

Kobieta zaprosiła gości do salonu i wyjęła z kredensu porcelanowy serwis, z którego korzystała tylko podczas bardzo ważnych spotkań rodzinnych. Błyskawicznie nakryła stół, przygotowała herbatę i wystawiła talerz z ciepłym jeszcze ciastem.

– Panie Łukaszu, może zrobię jeszcze jedną herbatę? – zaproponowała, gdy po kilkunastu minutach biesiady zauważyła, że gość odstawia na spodek pustą filiżankę.

– Nie, serdecznie dziękuję, proszę sobie nie robić problemu – próbował protestować.

– A jaki to problem? Zrobię. – Renata energicznie wstała od stołu i obdarzając gościa promienistym uśmiechem, pobiegła do kuchni.

– Oj, mam, usiądź, proszę! – krzyknęła Ania w stronę kuchni. – Przecież Łukasz nie chce kolejnej herbaty. Chcesz? – zwróciła się do Łukasza.

– Nie, nie, dziękuję – odpowiedział głośno i na pokaz. – Nie zmieszczę w sobie już nic więcej. To ciasto było przepyszne.

Stanisław Rogoziński siedział przy tym samym stole, jednak entuzjazm żony, krzyki córki i obcy mężczyzna zupełnie go nie interesowały. Nie silił się nawet na uśmiech. Patrzył na talerz z ciastem. Łyżeczką odrywał kolejne kawałeczki, rozdrabniał je z namaszczeniem, a następnie wkładał do buzi. Gryzł bardzo powoli, przełykał i zaczynał wszystko od początku: oglądanie ciasta i podejmowanie decyzji, z której strony zaatakować je łyżeczką, odrywanie, rozdrabnianie, ładowanie, gryzienie, przełykanie.

– Oo, teraz nikomu nie zabraknie herbaty. – Matka Ani wróciła z kuchni z imbrykiem. – Proszę jeść i się nie krępować. Prawdziwy mężczyzna musi mieć z czego czerpać energię. Mój Stasiu kiedyś zajadał się ciastami. Nie nadążałam z pieczeniem. Wyjmowałam drożdżowe z piekarnika, a on już stał gotowy z nożykiem i talerzykiem. Ale co ja będę opowiadać, chyba mój mąż wygląda na dobrze odżywnego, prawda?

– Kobieto, przestań! – Krzyk Stanisława zdziwił Anię.

Owszem, krzyk to była standardowa reakcja ojca na beznadziejny słowotok matki. Jednak nigdy w takiej sytuacji. W rodzinie Rogozińskich panowała zasada trzymania emocji na wodzy w obecności gości. Renata nie przejęła się reakcją męża, wręcz uśmiechnęła się pod nosem. Ucieszyła się, że w ogóle zareagował. Obserwowała go od kilku dni i odnosiła wrażenie, że Stanisław stracił kontakt z rzeczywistością. Odgrodził się od niej niewidzialnymi i dźwiękoszczelnymi ścianami z pleksi, tworząc w ten sposób swój świat.

– To ciasto to chyba też świeże było, prawda? – Łukasz postanowił udać, że nie

zauważył niczego dziwnego.

– No, no, ależ Aniu sobie kawalera wzięłaś. – Matka pogłaskała córkę po głowie, jakby nadal była małą dziewczynką. – W dzisiejszych czasach rzadko się zdarza, by facet miał takie podniebienie.

– Mamo! – Irytacja Ani powoli osiągała masę krytyczną. – Przecież tłumaczyłam już, że Łukasz nie jest moim narzeczonym, prawda?

– Potwierdzam, nie jestem. – Łukasz roześmiał się, chcąc uspokoić dziennikarkę.

– Jesteśmy kolegami.

– Potwierdzam.

Uśmiech, zachowanie i pytania padające z ust matki ewidentnie obnażały jej myśli. Uznała Łukasza za idealnego partnera dla córki i zrobiłaby wszystko, by tych dwoje wepchnąć sobie w objęcia. Zawodny reagował na zachowanie kobiety z dystansem i uśmiechem. Nie miałby nic przeciwko temu, by zostać chłopakiem Anki. Dziewczyna jednak albo się rumieniła, albo wybuchała krzykiem, chcąc wyraźnie zaprzeczyć insynuacjom matki.

– Ale nie ma pan dziewczyny? – dopytywała Renata.

– Mamo!!!

– Kobieto! – Znowzabrzmiął lodowaty głos Rogozińskiego.

– Nie.

– No właśnie.

– Co no właśnie, co no właśnie? Mamo, proszę cię, nie strasz mi tu kolegi, bo jeszcze ucieknie.

– A skąd się znacie?

– Poznaliśmy się podczas studiów – tłumaczył Łukasz rozbawiony całą sytuacją. – Potem straciliśmy siebie z oczu, ale niedawno spotkaliśmy się przypadkiem.

– A tak, tak, takie przypadki są najbardziej romantyczne. – Matka była zachwycona. – Mieszka pan sam?

– Mamo! Jesteś gorsza niż najgorszy prokurator.

– Co prokurator? – odezwał się ponownie Rogoziński.

– Matka przesłuchuje mojego kolegę, tato pomóż. – Zdesperowana Ania złożyła ręce w błagalnym geście.

– A jeździ pan ostrożnie? – Pytanie ojca rozluźniło atmosferę. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Widzisz, jakich mam rodziców?

– Spokojnie, bez stresu, przecież mogę odpowiedzieć na pytania rodziców mojej KOLEŻANKI. Jeżdżę ostrożnie, jestem singlem, mieszkam sam. Mam samochód, pracę

i ambicje.

– Jeśli pan jeszcze powie, że sam gotuje, to zacznę namawiać Anię na zmianę statusu waszej znajomości. – Matka nie odpuszczała.

– Owszem, bywa, że gotuję.

– Zobacz córeczko, to idealny facet dla ciebie. Gotuje, a ty ciągle wykręcasz się brakiem czasu. A pan Łukasz mimo pracy znajduje czas na pichcenie.

– No wie pani, czas już dawno temu przestał mnie słuchać. Ciągle pędzi, a pora obiadowa mija niepostrzeżenie. Pokłóciłem się z czasem swojego czasu. Teraz go szanuję.

Ania przyjrzała się uważnie koledze. Zabrzmiał dziwnie znajomo.

– Musimy się już zbierać – postanowiła.

Matka i Łukasz gaworzyli sobie, zupełnie nie zwracając uwagi na jej protesty. Bawili się na tyle dobrze, że dziennikarka musiała to przerwać.

– Dobrze, w takim razie zapakuję wam ciasto na drogę. – Kobieta zerwała się z miejsca.

– W dwie osobne paczuszki, proszę, bo nie jesteśmy parą! – podkreśliła Ania.

Gdy tylko matka opuściła salon, dziewczyna przysunęła się do ojca.

– Jak się czujesz tato? – spytała z troską.

Obserwowała go od momentu wejścia do domu. Zachowywał się dziwnie. Zupełnie inaczej niż zwykle. Był bardziej zamknięty, wyciszony, nieobecny. Na bladej twarzy uwagę zwracały większe niż zwykle sińce pod oczami.

– Normalnie, a co?

– Normalnie? – Wiedziała, że nie będzie łatwo szczerze rozmawiać z ojcem. Zawsze lekceważył swój stan zdrowia, nie mówił o tym, co go boli. Ale zazwyczaj chętnie opowiadał o swoich fobiach.

– Normalnie, jak człowiek w moim wieku. Jakbym zaczął mówić o tym, co mnie boli i gdzie mnie strzyka, to zasnęlibyście oboje. Ty i twój kolega.

– Skorzystam z toalety, ok? – Łukasz mrugnął porozumiewawczo do Ani i zostawił ją samą z ojcem.

– Słyszałam, że umarł jakiś twój znajomy. – Nie miała czasu na zadawanie pytań pomocniczych, uderzyła więc w sedno.

– Hm.

W domu Rogozińskich panowała idealna równowaga. Renata mówiła, co jej ślina przyniosła na język i nie tylko, a jej mąż Stanisław dla odmiany uważnie ważył słowa i większości z nich nawet nie wypowiadał.

– Ale to jakiś dobry znajomy?

– Normalny. – Prokurator zgniatał łyżeczką kolejny kawałek ciasta.

W myślach przywołała synonimy słowa normalny: pospolity, prosty, typowy, przeciętny, zwyczajny, stereotypowy, trywialny, tuzinkowy, codzienny. Wszystkie, bez wyjątku, brzmiały w takich okolicznościach uderzająco kontrowersyjnie. Nic nie było normalne.

– Ale znajomy czy przyjaciel?

– A jakie to ma znaczenie? Faceta już nie ma wśród żywych. Pochowali go.

– Czyli już po pogrzebie?

Ojciec skrzywił się, ale nie zdążył udzielić odpowiedzi. W salonie pojawiła się Renata, która niczym matka trzylatka, czuła się w obowiązku zareagować szybciej niż pytany.

– Tak, pogrzeb był wczoraj.

– I jak? – Z ust Anki wydobyło się niezręczne pytanie. Gdy usłyszała samą siebie i zobaczyła minę ojca, poprawiła się: – Byłeś u niego na pogrzebie, tak?

– A co wy się wszyscy tak uczepiliście pogrzebów. – Stanisław rzucił łyżeczkę na stół.

– Oj, no przepraszam, nie denerwuj się, myślałam tylko, że skoro to znajomy...

– No właśnie. Skoro znajomy, to powinienem pójść? Bo co? I po co? Żeby wszyscy wiedzieli, że się znaliśmy. Cmentarz to niebezpieczne miejsce. Zamknięte i łatwe do obserwacji. Co zmieniałaby moja obecność?! – wykrzykiwał wzburzony. – No co?

– Tato, nie denerwuj się, ja tylko spytałam.

Mężczyzna nie słuchał już córki. Podminowany opuścił salon, pokrzykując coś niezrozumiałego pod nosem i trącając niechcący wracającego z toalety Łukasza. W holu zatrzymał się jednak. Uspokoił się i wrócił do salonu.

– Córuś. – Złapał Anię za rękę i szepnął konspiracyjnym tonem: – Obiecuj mi na życie matki i moje, że nigdy, przenigdy nie będziesz jeździć pociągiem.

Oczy ojca były lodowate, a twarz płonęła. Wielokrotnie prosił swoich bliskich, błagał, a nawet kazał przysięgać, że nie będą korzystać z Polskich Kolei Państwowych. Jednak nigdy wcześniej nie wyglądał tak przerażająco. Jak morderca omamiony żądzą pozbawienia życia. Gdy córka spełniła jego prośbę, wyszedł z domu, głośno trzaskając drzwiami.

Zmieszana Ania pragnęła zapaść się pod ziemię. Łukasz siedział na krześle i wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknął Stanisław, jakby obawiał się, że to nie koniec tragicznego przedstawienia. Czuł się, jakby brał udział w konflikcie zbrojnym. Najpierw dzielnie zniósł ostrzeliwanie. Kilka serii wścibskich pytań zostało skierowanych w jego kierunku. Kiedy myślał, że nic już go bardziej nie zaskoczy, poczuł uderzenie barkiem. Później obserwował, jak dywersant wbija cienki sztylet w kochające go kobiety, Anię i jej matkę, pozbawiając je uśmiechu i godności.

– Najmocniej was przepraszam. – Entuzjazm Renaty został zastąpiony przez wstyd. –

Mówiłam ci Aniu, że z ojcem dzieje się coś niedobrego. Wszystko było normalnie aż do dnia, kiedy odebrał telefon od żony tego zmarłego. Nie wiem, co ona mu powiedziała.

– A co się stało temu znajomemu i kto to był?

– Kolega z pracy. Wracał pociągiem z Poznania i umarł, to znaczy lekarz stwierdził, że miał zawał serca. Dokładnie nie wiadomo, kiedy zmarł, na pewno podczas jazdy pociągiem. Nie wysiadł na swojej stacji, tylko pojechał dalej. Wyglądał, jakby spał, nikt go nie budził. Było już późno, ludzi nie dziwiło to, że facet śpi. Dopiero na stacji końcowej konduktor próbował go dobudzić. Okazało się, że nie żyje. Przyjechała policja, karetka, a lekarz stwierdził zgon bez udziału osób trzecich. Sekcja wykazała zawał serca. Wiem, bo rozmawiałam z panią Kalinką, ona była na pogrzebie i rozmawiała ze starą Iwanicką, a ona wie wszystko o wszystkich.

ROZDZIAŁ XXIV

Po raz kolejny światła samochodu, w którym siedzieli Rogozińska i Zawodny, rozcinały ciemność. Zbliżali się do Poznania z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Blaski tłące się w oknach mijanych domów migają niczym gwiazdy wiszące przy drodze.

– Anka, o co właściwie chodzi z tym pociągiem? Twój ojciec wyglądał na szczerze przestraszonego, gdy prosił cię, byś nie jeździła koleją.

– Oj, przepraszam cię, że musiałeś być świadkiem tego wszystkiego. Nie dość, że moja matka była nachalna...

– Zwyczajnie podekscytowana wizytą zięcia... przyszłego zięcia.

– Zwyczajnie? No weź. Za matkę to mogę cię przeprosić, ale zachowanie ojca? Sama jestem przerażona. Rzeczywiście coś się z nim dzieje. Coś bardzo niedobrego.

– Ale co? On się boi, że też podczas jazdy pociągiem stanie ci serce, podobnie jak jego znajomemu? Widzi jakąś korelację między stukotem kół dotykających szyn a brakiem tętna w twoich żyłach?

– Łatwo ci żartować. Też kiedyś śmiałam się z jego obaw. Wydawało mi się, że coś sobie ubzdurał. Ale teraz widzę, że wkręcił się w to tak, że stracił kontakt z nami... z całą rzeczywistością. Tak naprawdę to chodzi o coś zupełnie innego.

– O co? – spytał automatycznie.

Anka nie odpowiedziała. Nie widząc jej twarzy, trudno było stwierdzić, czy zlekceważyła pytanie, czy może nie wie, jak na nie odpowiedzieć.

– Może nie powinienem dociekać? To pewnie jakaś tajemnica rodzinna. OK, nie było pytania.

– Tak, to tajemnica rodzinna. – Zakryła twarz rękoma. – Albo inaczej ujmując, ogromnie bolesne rodzinne tabu.

– OK, to nie mów mi, nie miałem wycucia, przepraszam. Nie nalegam. Nie musimy o tym rozmawiać.

Dzisiejsza wizyta w rodzinnym domu dziennikarki sprawiła, że chcąc nie chcąc stał się świadkiem scen, których oglądać nie powinien. Nie powinien też o nie pytać. Zapomniał, że przysługa, którą wyświadczał Ani, miała polegać jedynie na zawiezieniu jej do Lednogóry, wypiciu herbaty z rodzicami i bezpiecznym odstawieniu dziewczyny do mieszkania.

– Nie, nie ma sprawy. – Zdecydowała, że obdarzy go zaufaniem, skoro tyle widział. Wyłączyła radio, by nie rozpraszało jej myśli. Poza tym wieczorny blok muzyki rozrywkowej nijak nie pasował do opowieści, którą chciała zaserwować Łukaszowi. – Wiesz, kiedyś, gdy byłam bardzo małą dziewczynką, byliśmy na wakacjach nad morzem.

Wracaliśmy do domu pociągiem. Ja i ojciec, bo matka wtedy musiała pojechać do chorej siostry. Wtedy jeszcze mieszkaliśmy w Toruniu. Ja tego w ogóle nie pamiętam, miałam chyba dwa lata. Znam to z opowieści matki. Wróciła do domu, a ojciec poinformował ją o swojej schizie. Nigdy nie rozmawiał ze mną o tym konkretnie. Po prostu od zawsze mamy zakaz korzystania z kolei. Nie wiem dlaczego. Nie wiem, co się wtedy stało. Może się czegoś przestraszył? Może coś sobie wymyślił?

– A jakie jest twoje zdanie na ten temat?

– Staram się nie denerwować byka. Czasem korzystam z PKP, nie mówiąc o tym ojcu.

Ale rzadko.

– Aha.

– Myślisz, że on jest chory psychicznie? – spytała całkiem poważnie.

Łukasz wysłuchał Ani i pomógł jej pozbierać myśli. Nigdy wcześniej nie rozmawiali w taki sposób. Szczerze i bez ogródek. O lękach, obawach, przeszłości i przyszłości. Ania po raz pierwszy tak naprawdę pozbyła się pancerza ochronnego i przedstawiła Łukaszowi małą, słodką i wrażliwą dziewczynkę ukrywającą się w jej wnętrzu. Chciał zapamiętać tę chwilę, uwiecznić ją, uczcić lub zatrzymać czas.

Gdy podjechali pod blok, mała Ania zniknęła. Duża Anna naciągnęła pancerz i uśmiechnęła się jak zwykle – odważnie i prowokująco.

– Dziękuję bardzo.

– Ależ proszę. Ten wieczór był chyba jeszcze mocniej wypełniony emocjami niż noc włamania. Aż włosy mi się jeżą na głowie, gdy pomyślę, co może się dziać podczas kolejnego wspólnego wieczoru.

– No, no, miej się na baczności. A teraz życzę ci miłej nocy.

– Hm – odchrząknął znacząco. – Może mnie zaprosisz? Chwila odpoczynku po tak stresującym popołudniu i wieczorze będzie jak balsam na moją duszę.

– Zmęczona jestem. Łukaszkule, nie dziś.

– Nie dziś... – powtórzył.

– Nie dziś, ale jutro, dobrze? Przyjdiesz do mnie jutro? – Wyszła z samochodu, trzaskając drzwiami. Echo odbiło głuchy dźwięk. Obeszła auto i stanęła przy oknie kierowcy. Otworzył je, a ona dodała: – Pokażę ci maile od mojego anonimowego źródła.

– Jutro? A o której? Nie wiem, czy znajdę czas...

– Hm, ale właśnie, à propos czasu. Powiedziałaś coś śmiesznego mojej mamie, hm, co to było? Że ścigasz się z czasem?

– Pokłóciłem się z czasem swojego czasu. Teraz go szanuję i nie zabijam – powtórzył dokładnie tak, jak to zapamiętała. – To z *Alicji w Krainie Czarów*.

– Z *Alicji*? – zamyśliła się.

– Uwielbiam ją, to najważniejsza książka w moim życiu.

– Coś ty? Ta bajka dla dzieci, napisana przez zeschizowanego faceta?

Nadinterpretowana przez tłumy?

– Dlaczego zeschizowanego?

– A czy zdrowy mógłby wymyślać takie postacie? Kota z dziwnym uśmiechem, ukoronowaną babę tkwiącą w totalnej depresji, królika z ADHD parującego w ciuchach z opery.

Nigdy nie przepadała za tą historią. Poziom abstrakcji przekraczał akceptowaną przez nią normę. Nie rozumiała, czym zachwycają się tłumy wielbicieli *Alicji*.

– *Alicja w Krainie Czarów* jest absurdalnie logiczna. Do bólu. Opowiem ci o tym kiedyś. Jeśli będziesz chciała – dodał po chwili.

Dziennikarka zamyśliła się. Nigdy nie miała wystarczająco dużo cierpliwości, by wytrwać do końca bajki. Nie obejrzała też w całości ostatniej ekranizacji, którą wiele osób się zachwycało. W tej chwili zapragnęła jednak usiąść z książką i zatopić się w lekturze.

„Absurdalnie logiczna – powtórzyła w myślach słowa Łukasza – czyli absurdy układające się w logiczne ciągi zagadek”. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ostatnio na jej skrzynkę e-mailową przychodziły wiadomości absurdalne i logiczne jednocześnie. Przy pierwszym czytaniu sprawiały wrażenie nic nieznaczącego bełkotu, jednak przy drugim słowa zyskiwały tajemniczy blask sprawiający, że ich znaczenia trzeba było szukać gdzieś między literami, spacjami i wersami. Jakby pisane były jakimś szyfrem, którego nie jest w stanie złamać osoba niepowołana.

– Oczywiście, że będę chciała. – Uznała, że z przewodnikiem będzie jej łatwiej zwiedzać Krainę Czarów. – Jutro o osiemnastej? Dobrze?

– Dobrze.

– A masz *Alicję* w domu, możesz przynieść jutro? Możesz mi ją pożyczyć?

– Mogę. Słodkich snów, Anno.

Patrzyła na niego podekscytowana. Nie mógł tego nie zauważyć. Była bardzo blisko. Nagle zbliżyła się jeszcze bardziej. Oparła łokcie o otwarte okno w drzwiach kierowcy. Łukasz nie musiał wykonywać żadnego ruchu. Poczul jej usta na swoich.

*

Od: Anna Rogozińska

Do: B.K.

Temat: Re: Czas

Myślałam o Tobie...

Zastanawiałam się nad Tobą i Twoimi listami... Dziś w końcu mnie oświeciło.

Cytujesz „Alicję w Krainie Czarów”. Korzystasz z niej, kopiujesz?

Dlaczego? Czy to Twoja ulubiona książka?

Jest już późno, ale ja nie śpię, szukam odpowiedzi. Dlaczego? Zaintrygowales mnie.

Nie jestem jednak pewna, czy moje poszukiwania mają sens.

Może nie jesteś wybitnie inteligentny tylko zwyczajnie stuknięty?

Piszesz o kalce. Kalka... powieła, odbija.

Jeśli to ma być wskazówka, proszę bardzo: ktoś zginął wcześniej w taki sam sposób jak

Wolny.

Wypchnięty z pociągu.

Google podaje, że...

Tu Ania zatrzymała się. Przeniosła się z laptopem do łóżka. Zamiast położyć się spać, usiadła wygodnie i połączyła się z Internetem. Rozsądek podpowiadał jej, że powinna zasypiać, by następnego dnia rano jakoś wyglądać. Jednak nie czuła się senna. Była zbyt podekscytowana. Najpierw szansa i porażka z relacją ze szpitala, później wizyta w domu rodzinnym, a na koniec rozmowa z Łukaszem. Nie chciała skupiać się teraz na niepokojącym zachowaniu ojca. O wiele bardziej wciągnęła ją *Alicja w Krainie Czarów*. Dzięki Łukaszowi odkryła, że powinna traktować swojego anonimowego informatora o wiele poważniej niż dotychczas.

„To nie jest zabawa – pomyślała, czekając na otwarcie strony z wyszukiwarką internetową – to jest egzamin. Bystrości, umiejętności kojarzenia faktów i inteligencji. Ten facet musi wiedzieć dużo więcej, niż mi się zdaje, ale nie jest pewien, czy powinien podzielić się ze mną wiedzą. Sprawdza mnie, czuję to. Pieprzony fan Alicji. Ale ja cię jeszcze zaskoczę analitycznym podejściem i wiedzą. Nie myśl, że jesteś inteligentniejszy i bardziej cwany niż ja” – groźbę wypowiedziała w stronę ekranu komputera, na którym tkwił otwarty e-mail od B.K.

Zwinęła skrzynkę odbiorczą na pasek zadań i wpisała w okno wyszukiwarki hasło, które tajemniczy B.K. podał jej jak na tacy w ostatnim mailu: „wypchnięty z pociągu”. Po kilku sekundach ujrzała wyselekcjonowane linki. Prawie dwadzieścia osiem tysięcy. Nagłówki krzyczały jeden przez drugi. Nie żyje mężczyzna, który wypadł z pociągu. Zginął pod kołami pociągu. Pociąg do śmierci. Tragedia na torach. Wypadł z pociągu podczas jazdy. Pijany wypadł z pociągu. Wypchnięty z pociągu. Piętnastolatek... siedemnastolatek... mężczyzna... kobieta.

– Aż tyle? – zdziwiła się i zaczęła sprawdzać wszystkie po kolei, aż znalazła to, co interesowało ją najbardziej.

Google podaje: czterdziestosześcioletni Eugeniusz R. wypadł z pociągu relacji Białystok–Kraków i poniósł śmierć na miejscu. Najprawdopodobniej był pijany. Jednak przyczyny wypadku badane są obecnie przez funkcjonariuszy policji.

Dobrze, przyjmijmy, że ta śmierć jest podobna do śmierci Wolnego.

Mamy więc wskazaną przez Ciebie kalkę czy kopię, nazywaj to jak chcesz.

Tylko co to ma wspólnego ze śmiercią doktora Biela? Jak mam iść w dobrą stronę, skoro drepczę w miejscu?

W którą stronę powinnam się udać według Ciebie? Jak szukać?

Ania

ROZDZIAŁ XXV

– Nie! Proszę, nie odchodź!

Ania obudziła się z krzykiem. Dziewczyna momentalnie usiadła na łóżku i starając się nie patrzeć w okno, zbierała myśli. W pokoju zaczynało jaśnieć. Chciała nadal śnić swój sen, bo przed chwilą w bardzo realnej scenerii prowadziła rozmowę z tajemniczym B.K. Mężczyzna siedział na ławce w parku. Mogłaby dokładnie opisać każdy element jego sylwetki, oczywiście oprócz twarzy, którą zasłaniał cień stojącego nieopodal dębu. Rozmawiali o trupach, mordercy i motywie. Słuchała go jak zaczarowana, myśląc, że właśnie rozwiązuje niesamowitą zagadkę. Podzielenie się nią z widzami może zagwarantować jej rozgłos, sukces zawodowy i awans.

– W takim razie kto zamordował tych mężczyzn?

– Nie słuchasz mnie, Anno Rogozińska, nie słyszysz tego, co do ciebie mówię! – Głos rozmówcy stał się nagle lodowaty.

– Słucham!

– Tak ci się tylko wydaje. Wyłączyłaś umysł. Nie myślisz. Nie słyszysz tego, co mówię między wierszami. To błąd. Myślałem, że dorównujesz mi inteligencją... – Mężczyzna wstał, a Anna nadal siedziała na ławce. Spuściła głowę jak mała dziewczynka cierpliwie wysłuchująca reprymendy ojca. Bała się spojrzeć mu w oczy, które przecież w tej chwili musiały spoglądać na nią złowrogo. – To był błąd. Nie powinienem z tobą rozmawiać. Jesteś głupia! Przeciętna i głupia!

W końcu odważyła się spojrzeć na niego, ale było już za późno. Mężczyzna oddalał się od dębu. Szedł wybrukowaną uliczką w stronę słońca.

– Nie! Proszę, nie odchodź! – krzyknęła w momencie, w którym ostry promień słońca uderzył ją w prawe oko.

– To tylko sen – uspokajała oddech. – Jestem w swoim pokoju. Zupełnie nieprzeciętna i całkiem niegłupia.

Dodała sobie otuchy i wstała z łóżka. Mimo wczesnej pory postanowiła rozpocząć swój dzień.

– Kto wcześniej wstaje, temu Pan Bóg daje... na tacy odpowiedzi na pytania.

W takie poranki jak dziś, gdy metafizyka i emocje brały górę nad jej chłodnym rozsądkiem, lubiła rozmawiać ze sobą na głos. Próbowwała dźwiękiem wypełnić pustkę. Wprawić samotność w pozytywne drgania. Działała według utartego schematu. Poranna toaleta i pierwsza kawa. Głośna muzyka i gimnastyka przed szafą (gimnastyka wyłącznie intelektualna, polegająca na znalezieniu odpowiedniego zestawu ciuchów). Ubranie się, szybki makijaż, całus wysłany w kierunku lustrzanego odbicia i bieg do redakcji. W pracy

zapominała o samotności.

Zapamiętana postać tajemniczego B.K. towarzyszyła jej tego dnia nawet pod prysznicem, dlatego gdy wyszła z łazienki, zamiast udać się do kuchni, poszła do sypialni. Wyciągnęła spod łóżka laptopa, uruchomiła go i wróciła z nim do kuchni. Przygotowała sobie kanapkę z serem i wrzuciła ją do piekarnika, by pod wpływem dwustu dwudziestu stopni Celsjusza ser smakowicie zmienił stan skupienia.

Po kilku kliknięciach myszką mogła już odczytać mail od mężczyzny, z którym przed chwilą rozmawiała we śnie.

Od: B.K.

Do: Anna Rogozińska

Temat: W którą stronę?

– Czy mógłbyś mi uprzejmie powiedzieć, w którą stronę powinnam pójść?

– Zależy dokąd chciałabyś dojść – odpowiedział Kot.

– Wszystko mi jedno...

– Wobec tego nie ma znaczenia, w którą stronę pójdziesz – odparł Kot.

– ...bylebym tylko dokądś doszła – dokończyła Alicja.

– To ci się na pewno uda – odpowiedział Kot – jeśli tylko będziesz szła wystarczająco długo.

My tu wszyscy jesteśmy stuknięci. Ja jestem stuknięty. Ty jesteś stuknięta.

Dlaczego „Alicja w Krainie Czarów”?

Alicja to nie tylko twór niezwykłego umysłu... To książka, która nie jest tym, czym się wydaje.

Jakby wyjęto ją z Krainy Czarów. Takiej prawdziwej, istniejącej gdzieś po drugiej stronie lustra.

Do której wchodzisz i kreujesz ją swoją wyobraźnią... Taka, w której to, co niespodziewane, zaskoczy Cię swoją logiczną przewidywalnością.

Wiesz, że właśnie w „Alicji w Krainie Czarów” znajdziesz odpowiedź na każde Twoje pytanie?

A zwłaszcza te dotyczące Wolnego i Biela...

Wolny zginął dokładnie tak samo jak Eugeniusz R. Wypadł z pociągu..., a może został wypchnięty.

Kropka, nie znak zapytania. Nawet taki szczegół jak interpunkcja ma ogromne znaczenie.

Nudno tak ginąć śmiercią pospolitą, prawda?

A Biel? Szanowny pan doktor? Może też nie zasłużył na oryginalną śmierć?

Może jego śmierć też jest kopią.

B.K.

PS Właściciel wywiadowni gospodarczej urodził się w Warszawie.

*

– Który z wymienionych władców nie był koronowany na króla... – Głos Tadeusza Sznuka zagłuszony został przez urządzenie elektryczne służące do zasysania okruchów, pyłu i niewidocznego kurzu.

Dźwięki zaczęły wnikać do gabinetu Stanisława, perfidnie pokonując zamknięte drzwi. Nieproszone osiadały na cząsteczkach ciszy, jak kolonizatorzy na Czarnym Łądzie, wypełniając sobą naturalne piękno. Stanisław zaczął oddychać rytmicznie i głęboko, licząc oddechy. Chciał uspokoić umysł i osiągnąć zen.

Jakie urządzenie wydaje dźwięki najbardziej nieakceptowane przez ucho ludzkie? – gdyby padło takie pytanie podczas teleturnieju „Jeden z dziesięciu”, odpowiedziałby bez wahania: odkurzacz.

Fale akustyczne, wytwarzane przez ulubiony sprzęt domowy jego żony, od zawsze drażniły jego słuch. Gdy po ślubie zamieszkali razem i każdego dnia widywał ukochaną z odkurzaczem w ręku, żywił gorącą nadzieję, że się przyzwyczai. Niestety z roku na rok jego wrażliwość na ten dźwięk rosła, wprost proporcjonalnie do częstotliwości jego używania przez Renatę. Próbował więc odzwyczaić damę swego serca od takiego sposobu aktywności. Bezskutecznie.

Wściekły warkot, zwany przez niektórych miłym szumem, był jedynym dźwiękiem, z którym nie radził sobie jego prokuratorowski aparat słuchu. Tak jakby nie potrafił go przetworzyć, prawidłowo zarejestrować jego ciśnienia w funkcji czasu, wydzielić tonu podstawowego i innych składowych harmonicznym decydujących o barwie.

Stanisław wyłączył mały kanciasty telewizor pamiętający jeszcze komunistyczne czasy i podszedł do regału z płytami. Potrzebował relaksu i chwili zapomnienia. Koniecznie chciał uciec z tego domu, Lednogóry i zaszyć się w tropikalnych lasach, gdzieś na drugim krańcu świata. Gdzieś, gdzie nikt go nie odnajdzie. I gdzieś, gdzie kobiety nie będą biegały z odkurzaczami.

Chwilę trwało, zanim wybrał cel wycieczki. Wyciągnął plastikowe opakowanie, a srebrny krążek lśniący w jego środku przełożył do projektora swojego intymnego świata. Uszy przykrył słuchawkami, nacisnął „play” i wygodnie rozsiadł się w swoim fotelu.

Warkot wściekłego, wypełnionego spienioną śliną odkurzacza zaczęły przykrywać tony będące balsamem na jego obolałe uszy. Początkowo dźwięki wydobywające się ze słuchawek wydawały się krążyć wokół jego głowy niczym pszczoły gotowe na wszystko, byleby tylko wbić żądło w przeciwnika. Stanisław jednak nie zamierzał się od nich odganiać. Położył ręce na słuchawkach, przyciskając je tym samym mocniej do uszu,

jakby bał się, że uрони choćby jedną kroplę cennej muzycznej opowieści. Odkurzacz zszedł na dalszy plan, a wokół Rogozińskiego nuty formowały już bojowe szyki, by marszowym krokiem powędrować w dal.

– Uszanowanie, panie Wagner! – Stanisław zasalutował. – Do boju!!! Do ostatniej krwi!!! Walküre!

*

Ciemna butelka wina, którą Łukasz Zawodny wręczył gospodyni, przekraczając próg jej mieszkania, błyskawicznie znalazła się na kuchennym blacie. Bez zwłoki, bez grzecznościowych słów typu: cześć, dzień dobry, miło, że wpadłeś, dziękuję, przekazał dziewczynie prezent, nad wyborem którego długo się zastanawiał, rozważając, czy przyjscie z winem do niezależnej Anny Rogozińskiej nie zostanie przez nią zinterpretowane jako zagrożenie jej wolności i cnoty, w wyniku czego mógłby zostać wyrzucony za drzwi. Miał przygotowane na wszelki wypadek tłumaczenie, że przecież to nie randka, nie przynosi jej kwiatów, tylko alkohol, który nieraz podczas studiów pili w swoim towarzystwie, nie widząc w tym niczego zdrożnego.

Stres, który złapał go na klatce schodowej, sparaliżował myśli. Próbuując go jednak odgonić, zapukał odważnie i głośno cztery razy. Nie musiał długo czekać. Drzwi otworzyły się, a Ania spojrzała na niego i rozchyliła usta w półuśmiechu. Zrobił więc szybko pół kroku do przodu, marząc o tym, by stres nie zdążył się zorientować i został za drzwiami. Wyciągnął przed siebie rękę trzymającą butelkę z zawiązaną na szyjce kokardką, dla bezpieczeństwa w kolorze niebieskim. Czerwona wstążka mogłaby sugerować miłość i pożądanie, które kobieta w nim budziła. Nie chciał zastanawiać się nad umiejscowieniem tego uczucia. W tej chwili nie miało to większego znaczenia, czy to było serce, lędźwie czy umysł.

Dziewczyna złapała wino, dodając do gestu drugą połowę uśmiechu i odwróciła się na pięcie. Jakby czekała tylko na nią i nie mogła stracić ani setnej sekundy. Jakby biegła w sztafecie olimpijskiej, a butelka zastępować miała pałeczkę. Łukasz pokonał już swój dystans czterystu metrów, a teraz ona skoncentrowana ruszała w ośmiusetmetrową podróż, nie tracąc czasu nawet na mrugnięcie okiem.

Łukasz, zamiast wyhamować, podążył za gospodynią i w taki też sposób znalazł się w kuchni obok blatu, na którym została postawiona butelka. Bez słowa, bez dopingu, bez oklasków. Kuchnia miała być metą wyimaginowanej sztafety, w której uczestniczyli.

Ania nie zwracając uwagi na gościa, zabrała się za poszukiwanie korkociągu, otwierając i głośno zamykając kolejne szuflady. Gdy w końcu trafiła na właściwą, wyjęła upragniony sprzęt i pchnęła ją biodrem w geście zadowolenia z samej siebie.

– Dzięki, że znalazłeś czas i wpadłeś. – Gospodyni zreflektowała się.

– Nie ma za co. – Obojętnie wzruszył ramionami i od razu poczuł się pewniej. – Wczoraj wyszłaś z samochodu jak oparzona... – Łukasz przyglądał się, jak Ania walczy z upartym korkiem, broniącym wstępu do zawartości butelki. – Daj, może ja spróbuję.

– Poradzę sobie – burknęła, po raz kolejny próbując wkręcić korkociąg jeszcze głębiej. – Jestem gospodarzem, ja otwieram wino. – Tym razem próba zakończyła się sukcesem. Korek skapitulował, a Ania mogła zbliżyć nos do butelki. – Nie wiem, czy to zbieg okoliczności czy może czytasz w moich myślach...

– Oczywiście to drugie. – Jego śmiech był na tyle głośny, by przykryć zmieszanie.

Kobieta jego marzeń stała dwa kroki od niego i otwierała butelkę wina. Ten widok był obiecujący i pobudzał wyobraźnię Łukasza. Gdyby miał ze sobą aparat fotograficzny, to uwieczniłby tę chwilę.

– ...miałam dziś ochotę na tak przyjemnie sfermentowaną rozkosz. – Udała, że nie słyszała jego słów.

Wyjęła z szafki wiszącej nad zlewem dwa kieliszki, postawiła je na blacie i wypełniła czerwonym winem. Jeden przesunęła w stronę Łukasza opierającego się o framugę drzwiową, a drugi zatrzymała przy sobie.

Chwilę poczekała, aż tafla napoju znieruchomieje. Powąchała ją. Następnie pokręciła ręką w lewą stronę, by wprawić w ruch zawartość kieliszka i poczuć cięższe aromaty wina. Uderzył ją aksamitny zapach owoców – mocno dojrzałych wiśni i jeżyn. Nie mogła już dłużej odwlekać tej miłej chwili. Zanurzyła usta i poczuła cierpkość wina i słodki smak owoców, których część już wcześniej wyczuł jej nos. Wiśnię i jeżynę uzupełniała soczysta śliwka, a ich urok wzbogacały dodatki migdałów, orzechów i karmelu.

– Przyniosłem też *Alicję*. – Łukasz podał jej książkę w twardej okładce. – Nikomu jej nigdy nie pożyczałem..., ale dla ciebie zrobię wyjątek, tylko bardzo cię proszę, uważaj na nią.

– Oczywiście. Chodź, przejdziemy do salonu – zaproponowała i nie czekając na jego reakcję, wyszła z kuchni.

Poczuł powiew powietrza wymieszany z jej zapachem. Złapał kieliszek i podążył w kierunku jasnego pokoju. Gdy wszedł do środka, Ania właśnie usiadła na sofie, znalazł więc sobie miejsce w bezpiecznej odległości i kątem oka rejestrując wystrój pokoju, czekał na jej reakcję.

– Bardzo ci dziękuję za to, że pamiętałeś o *Alicji* i za to, że mi ją pożyczasz. Jak tylko przeczytam, to ci ją oddam. – Rogozińska odstawiła kieliszek i zaczęła wertować książkę. – O, jaka jest wyczytana. Widać, że często do niej wracasz. No właśnie, Łukaszkule, miałeś podszkolić mnie w temacie *Alicji*. – Odłożyła opowieść na stolik i spojrzała na niego skupiona i poważna. – Dlaczego ja widzę w niej denną bajkę dla dzieci, a ty swoją biblię?

– Bo może ty nie wiesz, jak na nią patrzeć?

Zaintrygowana tonem jego wypowiedzi patrzyła na niego jak zahipnotyzowana. Analizowała jego mimikę i zmarszczki, które zaczęły pojawiać się na twarzy. Chwilami intrygowało ją jego zachowanie. Raz był nieśmiały, miękki jak przejrzały pomidor, a innym razem twardy i pewny siebie jak wojownik ninja. Potrafił ją zaskoczyć, a to sprawiało, że musiała na bieżąco dostosowywać się do niego. Czasem musiała przejmować dowodzenie, a czasem skulić napuszony ogon i słuchać samczej siły.

Doskonale знаła wnętrze swojego mieszkania, sama je urządziła, dbając o każdy szczegół. Planowała je tygodniami, mając przed oczami wyobraźni efekt końcowy. Skomponowała przestrzeń mającą być odbiciem jej wnętrza. Zbudowała jaskinię, w której czuła się bezpiecznie. Pomieszczenie, w którym lodowata biel przecinana była ognistymi akcentami i zaskakującymi nowoczesnością formami. Znała też twarz Łukasza. Jednak nigdy wcześniej te obrazy nie nakładały się na siebie. Zawodny, poczciwy kolega ze studiów, siedział po turecku na fotelu w jej salonie. Jego twarz była zrelaksowana. Nawet nie zauważyła, kiedy stracił nieśmiałość, którą zawsze ją rozbawiał. „Czy przegoniłam ją wczorajszym nieplanowanym pocałunkiem?” – przez głowę przemknęła jej myśl. „Ciekawe, co może uruchomić kolejny niewinny buziak”.

Nigdy nie podejrzewałaby, że tak bardzo polubi Łukasza i że będzie mogła opierać się na jego wiedzy. Musiała uczciwie przyznać, że Łuki-student, który przed laty zawstydzony spoglądał na nią łakomym wzrokiem, wydorósł. Stał się inteligentnym mężczyzną. Dobrym partnerem do rozmowy. I dodatkowo wyrósł na przystojniaka.

– Naucz mnie, mistrzu!

Głos Rogozińskiej zabrzmiał prowokacyjnie. Łakomie pite wino zaczęło szumieć jej w głowie, paraliżując ośrodek odpowiadający za utrzymanie dystansu. Po raz pierwszy na poważnie spojrzała na kolegę jak na ewentualnego kandydata na partnera, a wręcz jak na potencjalnego ojca jej dzieci.

„Cholera”. – To, co zauważyła, zaczęło ją przerażać. „Chłopak ma idealne wnętrze, wykazuje się odpowiednim poziomem empatii, ma wysokie IQ, jest bystry, potrafi żartować z siebie, jest cierpliwy, spokojny. Nie pije, nie pali... i mnie rozumie! I moją pracę też! To bardzo rzadkie. Jeśli dodać do tego jego spojrzenie i ten tatuaż... robi się cholernie niebezpieczna mieszanka. Chodzący ideał? Nie – zaprzeczyła szybko – przecież ideały nie istnieją. Stochaj też miał być ideałem”.

– Wiesz, *Alicja w Krainie Czarów* jest dziwna i trudna. Ta opowieść to takie *wash and go*. Dwa w jednym. – Łukasz wstał, nie mogąc dłużej znieść jej wzroku na sobie. Opowiadając, chodził po pokoju, jak lew po klatce, odbijając się od ścian i emanując niesamowitą energią. – Dwie książki w jednej, rozumiesz? Jedna jest dla dzieci, druga dla

dorosłych. Obie składają się z tych samych słów, zdań i rozdziałów, ale mają różną treść. Jeśli tylko czytając *Alicję*, otworzysz na nią swoje serce, zauważysz treść przeznaczoną dla dorosłych. Jesteś wystarczająco mądra i błyskotliwa, by odnaleźć drugie dno. Jestem pewny, że ci się to uda. Tekst powieści zawiera niezliczoną ilość aluzji, zwłaszcza do osób znanych autorowi, ale też elementy matematyki i logiki matematycznej. To jest fascynujące! W głowie się nie mieści, jak on to tworzył... Mam na myśli Lewisa Carrolla, autora. On był pisarzem i matematykiem, poetą i fotografem. Najzabawniejsze jest to, że mimo iż za chwilę minie sto pięćdziesiąt lat od pierwszej publikacji *Alicji w Krainie Czarów*, to znakomita większość myśli filozoficznych jest aktualna współcześnie, że w ogóle nie wspomnę o celnych uwagach: ironii, szyderstwie, zabawie słowami, znaczeniami, formami. *Alicja w Krainie Czarów* jest genialna, podobnie jak jej autor, który zaprezentował w niej w mistrzowski sposób ucieczkę przed sztywnymi definicjami i szablonami.

Ania patrzyła na Łukasza jak uczennica na wykładowcę, mężczyznę mówiącego niezrozumiale dla niej rzeczy, zafascynowana, zdziwiona i pełna podziwu. Spijała każde słowo z jego ust. Wpatrywała się w jego wargi. Wyglądał na niezdrowo podnieconego i to nie z powodu jej obecności. O książce, na której okładce ilustracje sugerowały baśniową opowieść, opowiadał z takim zapalem, wiarą i przekonaniem, że budził w niej lęk. Bała się, że nawet jeśli raz przeczyta tę bajkę dla dzieci, to i tak nie zauważy w niej tego wszystkiego, co widzą inni.

„Inni...” – Spojrzała na książkę otwartą na spisie treści. „Ciekawe, jak wyglądają inni wielbiący *Alicję w Krainie Czarów*? Jak wygląda B.K.? Czy tak jak Łukasz płonie na myśl o geniuszu tej książki?”

– Nie bardzo wiem – odezwała się najdelikatniej, jak tylko potrafiła – gdzie ty to wszystko widzisz. W tej małej książce? Może brak mi jakieś klepki? Piątej, szóstej czy dziesiątej? Może nie jestem w stanie tego zauważyć?

– Spokojnie.

Łukasz widząc niepewną minę Ani, zapragnął ją przytulić. Zwiesiła głowę jak mała dziewczynka, wątpiąca, czy uda jej się odrobić zadanie domowe. Nie wykonał jednak żadnego gestu. Nie chciał jej spłoszyć. Nie wiedział, w jaki sposób interpretować wczorajszy pocałunek. Czy jako zachętę, znak, czy coś zupełnie spontanicznego, o czym dziewczyna chciałaby zapomnieć. Nauczony doświadczeniem pragnął unikać wszystkich sytuacji, w których Ania mogłaby odebrać jego działanie jako narzucanie się. Wiedział, że efektem byłaby zasłona milczenia, chłodu i wycofania.

– Przeczytaj ją – powiedział więc tylko. Usiadł na ziemi, blisko jej stóp. – Zasmakuj każdego rozdziału powoli, bez pośpiechu. Celebryzuj każde zdanie oraz to, co jest między

słowami. Połóż się spać i myśl o tym, co przeczytałaś, ale nie literalnie, tylko abstrakcyjnie. Przepuść te słowa przez siebie. Wtedy zobaczysz coś, czego nie widzisz teraz. Przecież to niesamowite, że pod pozorem absurdałnych konwersacji autor podważa chociażby normalność. Bo czymże ona jest, jak nieodbieganiem od przyjętych norm. Tylko kto ustala te normy? Czy normalność jest wartością constans? Czy zmienia się, a jeśli tak, to od czego zależy? Uważasz siebie za normalną kobietę?

– Normalną? Hm, chyba tak... Może jestem odrobinę szalona, trochę inna niż przeciętne babeczki, ale nie jestem nienormalna.

– No właśnie, bo co to znaczy być normalnym? Używamy pewnych słów, zupełnie nie zastanawiając się nad ich znaczeniem. Wydaje się nam, dorosłym, że oswajamy świat, nazywając go. W rzeczywistości całe te frazeologie, pojęcia, teorie mają nam tylko pomóc w tym, byśmy czuli się bezpieczniej. Byśmy mieli złudzenie, że panujemy... nad swoim życiem czy nad światem. Nazwij to, jak chcesz. Ale zauważ – jeśli jesteś normalna i wejdiesz w grupę nienormalną, w której dziwne zachowanie będzie normą, to czy nadal będziesz normalna?

– Słucham? Nie nadążam. – Ania opróżniła butelkę, rozlewając resztki wina i bez wahania wypila wszystko, co znalazło się w jej kieliszku.

Łukasz tłumaczył jej coś, czego nie rozumiała i przez cały czas miała wrażenie, że nawet nie jest w stanie pojąć jego tłumaczeń. Słowa brzmiały jak masło maślane i łatwo rozsmarowywały się, tracąc wcześniejszą formę. Jej słuch ślizgał się po kolejnych zdaniach i wychwytywał jedynie nieliczne informacje: normalna, norma, nienormalna. Nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad rzeczami normalnymi. Na pewno nie badała ich normalności na tyle głęboko, by dokopać się do odchyleń od normy. Bo przecież normalność jest i powinna być normalna. A nienormalność – dziwna, chora, niewytłumaczalna.

– To posłużę się może przykładem, ok? Czy to, że będąc trzydziestopięcioletnią kobietą pracujesz zamiast siedzieć w domu, jest normalne?

– Tak, wszystkie moje znajome pracują.

– O właśnie, czyli wśród nich jesteś uważana za normalną kobietę. Ale gdybyś przeniosła się do środowiska, w którym trzydziestokilkulatki mają już gromadkę dzieci i poświęcają rodzinie cały swój czas, uznałyby ciebie za szaloną karierowiczkę, a nie za normalną kobietę.

– W sumie... – zwątpiła.

– Zobacz. – Zabrał jej książkę i zaczął ją wertować. – Tu jest gdzieś taki fragment o psie.

– A co ma pies do mojego macierzyństwa? – Poczwała się zaatakowana. I to

w najslabszy punkt.

Łukasz Zawodny dopytywał o posiadanie dzieci. Nie po raz pierwszy. Gdy wracali ze spotkania w ohydnej męskiej jadłodajni, pytał o to samo, jednak innymi słowy. Jak każdy człowiek, Rogozińska miała temat tabu. Anka-kobieta chciała mieć rodzinę, kochającego męża, gromadkę dzieci i merdającego ogonem psa. Anna-dziennikarka telewizyjna była w połowie drogi do swojego celu, nie mogła pozwolić sobie na obciążenia, przerwy w pracy, pieluchy i wojnę priorytetów.

– Nie chodzi o macierzyństwo, tylko o bycie normalnym. Możesz potwierdzić, że pies, szczekający czworonóg, nie jest zwariowany, prawda? Psy są normalne, tak?

– Zależy jaki pies, ale generalnie przypuśćmy, że normalny pies nie jest zwariowany. – Abstrakcyjność tej rozmowy zaczynała ją bawić.

– No właśnie. – Łukasz znalazł odpowiedni fragment i zaczął czytać.

– *Zacznijmy od początku – powiedział Znikot. – Pies nie jest zwariowany. Zgodzisz się ze mną, prawda?*

– *Myślę, że tak – odpowiedziała Alicja.*

– *No to zastanów się – ciągnął Kot. – Widzisz, że pies warczy, kiedy jest zły, i macha ogonem, kiedy jest zadowolony.*

– Logiczne? – Podniósł głowę znad książki.

– No tak. – Ania zaciekawiona chłonęła każde jego słowo.

– A kot mówi dalej – Łukasz wrócił do tekstu z książki. – *Tymczasem ja warczę, kiedy jestem zadowolony, a macham ogonem, kiedy jestem zły. Wobec tego jestem zwariowany.*

Proste i logiczne rozumowanie zero-jedynkowe. Jeśli nie jesteś taki jak norma, to jesteś nienormalny, zwariowany, szalony – nazwij to jak chcesz.

– No, niby tak, to jest logiczne, ale zawiera też pewne uproszczenie. Przecież kot nie warczy, tylko mruczy.

– I o to chodzi. Możesz nazywać to, jak chcesz, to tylko słowa określające zachowanie. Wiesz, masz coś wspólnego z Alicją. Ona zareagowała podobnie. Bronisz się przed czystym logicznym rozumowaniem, mimo że nie można ci odmówić analitycznych umiejętności rejestrowania świata.

– Przyznam, że zaciekawieś mnie *Alicją w Krainie Czarów*. Podejrzewam, że mój tajemniczy informator kocha ją podobnie jak ty.

– A właśnie, ja cię tu pewnie zanudzam opowieściami o *Alicji*, a ty miałaś mi dziś pokazać maile od niego, tego twojego anonimowego przystojniaka.

– Zobacz. – Ania wyszła do przedpokoju i wyjęła z torby wydrukowany plik wiadomości, które otrzymała od B.K. – Wydrukowałam je dziś w pracy, żeby móc na nie spojrzeć.

Łukasz złapał kartki, odłożył kieliszek wina i podszedł do stołu. Rozłożył na nim wiadomości, układając je po kolei, zgodnie z terminem otrzymania. Stół zapełnił się pięcioma arkuszami rozmiaru A4. Na górze każdej z nich widniały informacje: kto wysłał wiadomość, do kogo i jak ją zatytułował.

– Masz pomysł, kto może je przysyłać?

– Nie wiem. Adres mojego maila jest ogólnie dostępny. To może być każdy. Podpisuje się B.K. Nadawcą też jest B.K. Może to jego inicjały? Bartosz Kowalski?

– Białoszewski Krzysztof, Bronisław Komorowski...

– Tak, to jak szukanie igły w stogu siana. Prezydenta chyba możemy wykluczyć. – Roześmiali się niemalże jednocześnie. – Fakt, te dwie litery nic nam nie mówią. Sprawdzałam adres mailowy nadawcy, licząc, że znajdę gdzieś ślady jego bytności... No wiesz, jakaś dyskusja na forum, może Facebook, jakaś aukcja na Allegro albo sprzedaż kanapy na tablicy ogłoszeń.

– I?

– A jak myślisz?

– Dupa?

– Dupa, zero śladów. Tak jakby ten ktoś pojawił się w Internecie dopiero przed chwilą.

– Albo założył nowy adres specjalnie, by przysyłać ci wiadomości, utrudniając identyfikację. – Łukasz pokiwał głową, wpatrując się w powstały mailowy obrus.

– Ty tak byś zrobił?

– Tak. Masz rację, ten ktoś jest wielbicielem *Alicji w Krainie Czarów*. To widać na pierwszy rzut oka. Spójrz. Tematy są jakby żywcem ściągnięte z powieści. Wypij mnie, zjedz mnie, kim jestem, czas, w którą stronę. Pierwszy mail zatytułowany jest *Wypij mnie...* Alicja wypija zawartość tajemniczej buteleczki i zmniejsza się. Je ciasteczko. Zastanawia się, kim jest. Trafia na zwariowane spotkanie przy herbatce u królika w miejscu, w którym czas oszalał... Zachowana jest chronologia powieści. Teraz czas na partię krokietu u Królowej. No i treść wiadomości. Każda zawiera cytaty z *Alicji*, czasem strawestowany, ale już na pierwszy rzut oka widać, że to motyw z książki.

– Cholera. – Uderzyła dłonią w czoło. – Że też wcześniej na to nie wpadłam. Treść wydawała mi się zupełnie niejasna. *Alicja w Krainie Czarów* jest najdziwniejszą książką, o jakiej słyszałam. Ale co? Cała wiadomość jest cytatem z książki?

– Nie! Tylko część. Mogę, jeśli chcesz, zakreślić markerem fragmenty, które pochodzą z bajki.

– Dobra, zaznacz, a ja je później na spokojnie odnajdę. – Wskazała na książkę, którą przyniósł ze sobą.

Ania podała mu różowy marker. Pracował w ciszy. Odczytywał wiadomości

i błyskawicznie odszukiwał odpowiadające im fragmenty książki, jakby sam je umieścił w mailach. W tym czasie gospodyni sprzątnęła ze stolika puste kieliszki i butelkę po winie, a na ich miejscu postawiła szklanki i dzbanek z sokiem pomarańczowym.

– OK, pamiętaj jednak, że zdania mogą nieznacznie się różnić. Nie wiadomo z jakiego tłumaczenia *Alicji w Krainie Czarów* korzystał ten twój B.K. – Po kilku minutach Łukasz odłożył flamaster. – On pisze, że jakiś facet uwielbiał kobiety, wiesz, o kogo chodzi?

– Tak. To znaczy jak dostałam tę wiadomość – odpowiedziała i wskazała palcem odpowiednią kartkę papieru – to jeszcze nie wiedziałam. Skojarzyłam fakty chwilę później. Myślę, że chodzi o Wolnego. On zdradzał żonę. Sprawdziłam, znalazłam dowody. Wiesz z kim?

– Z kim?

– Z panią Żanetką, moim źródłem donoszącym o aferze lekarskiej.

– Ciekawy zbieg okoliczności. No właśnie, à propos początku afery. Prosiłaś, żebym sprawdził parę nazwisk. Kobieta, która niby miała być leczona na raka, ta Amanda Wąs, była zdrowa. Tak przynajmniej wynika z jej kartoteki z przychodni.

– Widziałeś na własne oczy czy tylko tak ci powiedziała ta zarywana pielęgniarka?

– Widziałem i misję z pielęgniarką uważam za zamkniętą. Przejrzałem całą kartotekę, zrobiłem zdjęcia komórką, zobacz. Ta druga kobieta, której nazwisko mi podałaś, w ogóle nie istnieje. Nie ma ani kartoteki, ani śladu, że leczyła się u Konopielskiego.

Ania przysiadła przy stole i z uwagą obejrzała zdjęcia.

– Cholera, ani śladu raka. Nic nie można udowodnić tym skurwielom. Zrzucę sobie te fotki na laptopa, dobrze? – Nie czekając na odpowiedź, zniknęła w drugim pokoju.

– A jesteś pewna, że cokolwiek było na rzeczy? – Łukasz uniósł głos, tak by koleżanka go słyszała. – Kartoteka jest czysta, kobieta nie żyje, umarła na coś innego, badania potwierdzają, że nie był to rak. Może ta twoja Żaneta ściemnia?

– Zastanawiam się nad tym! – odkrzyknęła. – Przydusiłam ją. Okazało się, że miała osobiste powody, by pomścić siostrę. Tylko że opisywana przez nią procedura leczenia tego raka w klinice wydaje się realna i prosta do realizacji. Nie oskarżałaby lekarzy z zemsty bez chociażby szczątkowej wersji, nie miałyby interesu, żeby kłamać?

– No, nie wiem, może spodobało jej się występowanie w mediach przy okazji śmierci siostry? Może chciała przedłużyć kilka minut sławy?

– Łukasz, brałam to pod uwagę. – Ania wróciła do salonu i podała mu telefon. – Ale to zupełnie nie pasuje. To prosta babeczka. Jak miałyby wymyślić całą tę aferę lekarską? Jak zwalić winę na lekarzy? Nie dałaby rady!

– Wiesz, że na ocenianiu ludzi można się przejechać? Ważniejsze są dowody. A tych jakoś znaleźć nie można.

– Niby nie, ale zobacz. Doktor Biel miał mi opowiedzieć o kilku rzeczach, których mogliby się wstydzić ten cały Konopielski i Magiel. Zginał, zanim się ze mną spotkał.

– Może to przypadek?

– Może, nie zaprzeczam. Ale chwilę później z pociągu wypadł ochroniarz firmy Konopielskiego. Tajemniczy B.K. twierdzi nawet, że Wolny został wypchnięty. Kolejny przypadek?

– Być może...

– A ja nie wierzę w przypadki, zwłaszcza te, które się powtarzają. I zobacz jeszcze te maile. Zaczęły przychodzić, gdy wgryzłam się w sprawę. One jakby utwierdzają mnie w przekonaniu, że idę dobrą drogą.

– Wolnego łączy coś z Bielem – odczytał fragment jednej z wydrukowanych wiadomości – ale nie jest to ani kobieta, ani kitel.

– Właśnie, skoro nie kitel lekarski, czyli nie Magiel i Konopielski, to co? I skąd B.K. wie o tych trupach?

– On sugeruje, że śmierć Biela też jest kopią?

– Miałam to sprawdzić, poczekaj. – Zniknęła, by po chwili pojawić się ze swoim laptopem. Położyła go na stole, zakrywając część kartek. – Wpisuję w Google: „śmierć w pociągu”.

– Chyba raczej przy domu, facet zginał gdzieś przy domu, był tam gdzieś pociąg?

– Policja ustaliła, że Biel wracał z pociągu do domu, czekaj, zaraz zmienię hasło wyszukiwania, ale zobacz, co mi tu wyskoczyło.

Patrzyła w monitor jak zaczarowana. Mały laptop Rogozińskiej ustawiony został pod takim kątem, że Łukasz ze swojego miejsca mógł zobaczyć jedynie odbijające się okno i lampę. Przysunął się do Anki, by móc odczytać zawartość wyświetlaną na ekranie. Niestety niewiele to dało. W końcu wstał i stanął dokładnie za nią. Nachylił się i zobaczył podane przez wyszukiwarkę informacje.

– Zobacz, ile ludzi ginie w pociągach. Trup w toalecie – odczytywała na głos nagłówki poszczególnych linków. – Makabryczne odkrycie. Pociąg relacji Warszawa–Szczecin, Warszawa–Radom, Wrocław–Rawicz. Kurde, mnóstwo tego. Ooo, zobacz! – Ręka na touchpadzie działała równie szybko jak jej mózg. Łukasz nie zdążył spojrzeć tam, gdzie powinien, a już zmieniła się zawartość ekranu. Ania kliknęła w tytuł, który ją zaintrygował i zaczęła czytać – Konduktor wszedł do przedziału, żeby skontrolować bilety i zauważył mężczyznę. Początkowo myślał, że pasażer śpi. Jednak po chwili okazało się, że czterdziestoletni mężczyzna nie żyje. Gdy pociąg zatrzymał się na stacji, do pracy przystąpił prokurator i policjanci. Przyczyną zgonu mógł być zawał serca.

– Kiedy opublikowano tę wiadomość? Brzmi znajomo.

– Dwa lata temu. Ale facet umarł dokładnie tak samo, jak ten znajomy ojca.

– Bystra jesteś, żałuję, że nie mogę pracować z tobą na co dzień.

Gdy słowa Łukasza wybrzmiały, Ania uśmiechnęła się, a on jej zachowanie potraktował jako zachętę. Stał tak blisko, że nie musiał właściwie wykonywać żadnych dodatkowych ruchów. Prawdopodobnie właśnie dlatego zdecydował się spojrzeć w jej oczy i pozwolić odnaleźć swoim ustom jej wargi. Pocałunek trwał dłuższą chwilę. O wiele dłuższą niż ostatnio. Smakowali siebie i wypite wino. Jego ręce zaczęły błądzić po jej ciele. Gdy ona zmieniając pozycję, przesunęła niechęć laptopa, odskoczyła jak oparzona.

– Wiesz, miałem pytać cię już wcześniej. – Zdecydował się poruszyć temat, który od dawna go interesował. – Jakies dwa lata temu spotkałem twójego byłego, no wiesz, z którym chodziłaś przez całe studia. Zapytałem go o ciebie, myśląc, że już od dawna macie gromadkę dzieci, kredyt hipoteczny i domek na wsi. Wspominał coś, że zostawiłaś go dla jakiegoś starego policjanta.

– No i? – Nagle biel ścian i lodowaty głos gospodyni zmroził obecnych w pokoju. Ją samą również.

– No nic, zdawało mi się, że jesteście dla siebie stworzeni...

– Mnie też się tak zdawało. Niestety do czasu. I jeśli już mnie osądzasz, to musisz wiedzieć, że to nie było do końca tak, jak ci powiedział. Ani ja go nie zostawiłam, biednego i samotnego misia, ani mój nowy facet wcale nie był stary... po prostu odrobinę starszy. Nieważne.

– Ale z policjantem też nie wyszło?

– Idź już. – Uniosła się od stołu, głośno i zdecydowanie jak biznesmen kończący negocjacje.

– Już? – zaprotestował. – Przecież jest miło.

– No właśnie, było miło, zepsułeś to. Idź już.

*

Od: Anna Rogozińska

Do: B.K.

Temat: Re: W którą stronę?

Zarzucaś mnie tematami, które muszę przetrwać. Alicja to nie tylko twór niezwykłego umysłu?

Czuję Twoją fascynację Lewisem. Nie Levisem od dzinsów, lecz Lewisem Carrollem.

Powoli wczuwam się w „Alicję w Krainie Czarów”.

Może uda mi się ją zrozumieć w taki sposób, jak ty to robisz.

Mnie nie jest wszystko jedno.

Piszesz, że śmierć Biela też jest kopia. Może. Skreślmy to „może”. Widzę już to, co chcesz

mi przekazać.

Lekarz Adam Biel zginął w drodze do domu, gdzieś między dworcem PKP a zabudowaniami mieszkalnymi. Google pokazuje, że tak samo, jak Andrzej K.

Chcę dowiedzieć się, dlaczego umarli akurat ci mężczyźni: Biel i Wolny. Czuję, że ich coś łączy.

I niestety to nie jest to, o czym początkowo myślałam.

Czy sugerujesz, że tych dwóch facetów zabił jeden... morderca kopiujący zabójstwa z przeszłości?

Możesz mi powiedzieć, czy kopii jest / będzie więcej?

Dzisiaj zupełnie niechcący dopatrzyłam się jeszcze jednego, powiedziałabym nawet, że świeżego trupa, którego śmierć wygląda jak kopia czegoś sprzed lat.

Pozdrawiam

Ania

PS Rozpoczęłam swoją przygodę z tekstem „Alicji w Krainie Czarów”. Potrafię już rozszyfrować Twoje inicjały, Bezdenny Kapeluszniku. Pochwalisz mnie? Może już nadszedł czas, byśmy się spotkali i porozmawiali?

ROZDZIAŁ XXVI

Biurko zajmowane przez Annę Rogozińską znacznie różniło się od stanowisk pozostałych dziennikarzy. Na powierzchni niecałych dwóch metrów kwadratowych znajdujących się w jej władaniu panował idealny porządek. Dokładnie poukładane kartki papieru. Długopisy ułożone były w szarym pojemniku, zamknięciami do dołu. Notesy przylegały do ściany dłuższymi bokami. Cienki ekran komputera osłaniający dziennikarkę od osoby siedzącej naprzeciwko nigdy nie miał możliwości zaprzyjaźnić się z drobinkami kurzu.

Gdy Ania zbierała materiały, przygotowując się do rozmowy czy wywiadu, blat jej biurka zmieniał się w składnicę makulatury. Okładała się wtedy książkami, wydrukami, zdjęciami i w twórczym nieładzie odnajdywała istotę sprawy, nad którą pracowała. Niezależnie od tego każdego dnia przed wyjściem z pracy porządkowała biurko, jakby następnego dnia wybierała się na dwumiesięczny urlop.

Na stanowisku pracy Ani próżno było szukać rzeczy stawianych ochoczo na biurkach przez innych pracowników Primo TV – bibelotów mających oswajać należącą do nich przestrzeń i nadawać jej indywidualny charakter; zabawnej ramki z fotografią ubrudzonego dziecka, porcelanowego słonika z podniesioną trąbą przywiezionego z wakacyjnej podróży, drewnianej figurki mającej odstraszać złe duchy, zdjęcia ukochanej czy ukochanego. Rogozińska nie rozumiała, dlaczego inni próbują iluzorycznie łączyć pracę z życiem osobistym. Nie widziała sensu przynoszenia do redakcji osobistych i wiele znaczących przedmiotów, by je w służbowym miejscu zostawić i wrócić bez nich do domu. To tak, jakby zostawić w firmie ukochanego psa i kazać mu na siebie czekać przez całą noc, tylko po to, by wrócić do pracy rano i zobaczyć, jak zwierzak z radości merda ogonem.

– Anka. – Głos Artura Lipca obudził ją z letargu. – Siedzę nad twoim materiałem, chodź na chwilę.

Zerwała się na równe nogi, by po chwili z uwagą śledzić każdy ruch montażysty. Lubiła czuć moc sprawczą. Mogłaby sama ciąć swoje materiały, sklejać i znowu ciąć, by uzyskać jak największą ekspresję.

– Zobacz, tutaj mi coś nie pasuje, wytnę to. – Lipiec zatrzymał nagranie w miejscu, w którym rozmówca Anny zaczął pocierać czoło rękoma. – To nie wygląda dobrze.

– Nie, tego nie możesz usunąć, to najważniejsza część wypowiedzi – zaprotestowała. – Faktycznie, facet rusza się beznadziejnie, ale przynajmniej widać jego zdenerwowanie. To zostawiamy!

– Dobra, ale potem muszę ciąć, bo nie zmieścimy się czasowo.

– Nie ma sprawy, ale na koniec musisz dać ostatnie jego zdanie. To rewelacyjna puenta, lepiej sama bym nie wymyśliła.

– Się robi! – Zasalutował. – Aaa, miałem się zapytać. – Ściszył głos, mimo że byli sami w pomieszczeniu. – Co z tą aferą lekarską? Jesteś nadal na tropie?

– Nie. – Machnęła ręką, zaniepokojona jego ciekawością. – Opuściłam. Nic tam się kupy nie trzymało.

– Aha.

– No...

– I żadnych śladów, żadnej pomocy, nowych informatorów? Nic nie masz?

– E tam, to wszystko już mnie nie interesuje – zawiesiła głos, akcentując ostatni wyraz, parodiując reklamę telewizyjną sieci komórkowej oferującej telefony bez abonamentu dla spontanicznych, młodych ludzi.

Rzeczywiście po rozmowie z Żanetą, informacji o braku dowodów oszustwa i wymianie wiadomości z Bezdennym Kapelusznikiem ustaliła, że powinna skupić się na zamordowanych, nie na lekarzach.

„Bez dowodów nie mam materiału. Narażam siebie, swoją reputację i wiem, że i tak nikt nie wyemituje efektu mojej pracy” – uzasadniała swoją decyzję w myślach. „Żaneta straciła wiarygodność, gdy jej kłamstwo wyszło na jaw. Konopielski i Magiel nawet jeśli oszukują pacjentki, to dbają o pozory, alibi i brak dowodów”.

– Anka! – Do montażowni wpadła podekscytowana asystentka prezesa Grabowskiego. – Dobrze, że jesteś!

Rozwichrzone włosy i czerwone policzki dodawały kobiecie kabaretowego wyglądu. Radość malująca się na jej twarzy w momencie zauważenia Rogozińskiej była tak wielka, jakby zanim dotarła na miejsce swego przeznaczenia, musiała przebyć kilkadziesiąt kilometrów i pokonać w bezpośredniej walce mitologiczną hydrę.

– Puka się! – warknął Artur, próbując wyegzekwować od współpracowników przestrzeganie zasad obowiązujących w jego jaskini.

– Ta, wiem. – Asystentka prezesa należała do grona osób, które swoją codzienną, przemiłą łagodność odreagowują raz na jakiś czas, wypuszczając z siebie nagromadzony jad. – Wiem, że pukasz tu prawie wszystkie stażystki i że wchodząc bez uprzedzenia, narażam się na widok twojego nagiego, owłosionego i otłuszczonego tyłka. Ale sorry, są sprawy ważniejsze niż stukanie. Anka, szef cię szuka. Na gwałt! Że tak się frywolnie wyrażę.

– Już lecę. – Ania zestresowała się. – Ale co? Coś się stało? Chyba nie chce mnie zwolnić?

– Nie, nie, nic nie wiem. Wypadł wkurzony z biura i krzyknął mi w ucho –

odpowiedziała miło, gdy obie w pośpiechu opuściły montażownię – że zacytuję, jeśli pozwolisz: dawać mi tu Rogozińską, w trymiga!

Dziennikarka, po nagłym zastrzyku adrenaliny, stanęła w biurze prezesa, czujnie obserwując jego zachowanie. Zanim otworzył usta, zdążyła ustalić, że na jego biurku nie leżą żadne akta osobowe ani pisma przygotowane przez kadry, tak więc nie chodzi o zwolnienie z pracy.

– Pani Aniu. – Głos szefa był nerwowy, ale pełen nadgorliwej uprzejmości. – Mam coś specjalnie dla pani. Sytuacja idealnie przygotowana pod pani umiejętności, jakby pod panią szyta. Ma pani możliwość wykazania się. – Tłusty Grabowski dumnie rozpostarty na fotelu podkreślał w każdym zdaniu słowo „pani”, jakby chciał przekazać pracownicy wyrazy szacunku. – Nie tylko zaplusowania w oczach moich, ale też moich przełożonych z Warszawy.

– To znaczy?

– No tak, co ja tu będę zaczynał od wstępów, jak pani jest konkretną babką i to w pani cenię sobie szczególnie. Więc tak. Sytuacja... – Grabowski nie bardzo wiedział, jak przekazać zadanie, by nie straciło ono na atrakcyjności. Gdy kilka minut temu odebrał telefon z Warszawy, pierwsze, o czym pomyślał, to: „niemożliwe”. Oblał się zimnym potem i zaczął poszukiwanie wymówek. Jego bezpośredni przełożony poinformował go, że pilnie potrzebuje materiał. Przynajmniej kilkadziesiąt sekund.

– Dzwoniła do mnie Warszawa. Potrzebują... pilnie... właściwie materiał ma najwyższy priorytet. Wie pani, czerwony pasek podczas wiadomości. Przed chwilą w Poznaniu odbywała się konferencja prasowa, wypowiadający się na niej prokurator strzelił sobie w twarz.

– Aha. – Słuchała, nie wiedząc, o co szef ją poprosi. – Skoro konferencja prasowa, to pełno jest tam dziennikarzy, nasi też są?

– No są, oczywiście, tyle tylko, że z Primo TV wysłali tam jakąś panienkę żółtodziobkę, bo nikt się nie spodziewał, że będzie tam coś się działo. Miała tylko nagrać komunikat prokuratury. Panienczka przyjechała z Warszawy. Nie wiem, czyja to dupa, o przepraszam. – Grabowski wstał i podszedł do dziennikarki. – Nie chciałem w pani obecności obrażać kobiet, ale sama pani wie, że w naszym biznesie bywa różnie z profesjonalizmem. W każdym razie teraz stolica prosi nas o szybki materiał, mamy zrobić hot newsa, dowiedzieć się, czy prokurator żyje, jeśli tak, to może powie chociaż słowo do kamery. A jak nie on, to kolega z pracy lub żona. Musimy pokazać widzom, dlaczego targnął się na swoje życie, czy to planował, czy można było to przewidzieć. Pani Aniu, ja wiem, że to nie będzie łatwe, ale komu innemu miałyby się to udać, jeśli nie pani? Pani jest najlepsza. Pani jest naszym skarbem i ostatnią deską ratunku, którą możemy

pokonać konkurencję. Do roboty!

*

Od: B.K.

Do: Anna Rogozińska

Temat: Zagadka

Pochwalam.

Widzę, że odrobiłaś lekcje. Czmychanie, piskanie, podawanie, obejmowanie, grożenie i dzielenie.

Histeria Starożytna. Historia. Przeszłość. To słowa klucze. Dalej kopia. Istotne jest też miejsce. Pociąg. Przyczyna kilku potężnych tragedii.

Brawo! Masz już trzy trupy. To prawie zakończenie. Musisz znaleźć początek.

Teraz czas na przerwę. Porozmawiajmy o czymś innym.

Kapelusznik? Tak mnie widzisz?

A stąd morał. Bądź, kim się zdajesz lub, jeśli wolisz prościej: nie myśl sobie, że nie jesteś kimś innym, niż mogłoby się wydawać innym, że będąc, kim jesteś lub mogłabyś być, nie byłabyś kimś innym, niż byłabyś, gdybyś wydawała im się kimś innym.

Wiesz, dlaczego Kapelusznik był tak bezdenny?

Bo kiedyś przy produkcji filców do kapeluszy używano rtęci.

Kapelusznik więc podtruwał się rtęcią codziennie i przez to oszalał. Ale na świecie nie istnieją rzeczy jednoznacznie złe lub jednoznacznie dobre. Rtęć pozwoliła Kapelusznikowi widzieć więcej.

Tobie też może pomóc.

Nie rtęć oczywiście (pewnie nawet nie masz w domu termometru rtęciowego, hołdujesz przecież nowoczesnym formom i technikom).

Proponujesz spotkanie? OK, ale jeszcze nie teraz.

Mam dla ciebie jeszcze jedną zagadkę. Z innej beczki.

*Co **Charles Lutwidge Dodgson** ma wspólnego z Alicją?*

Bezdenny Kapelusznik

PS Bydgoszczanin z urodzenia sąsiaduje ze Szczepanem.

*

Gdy Ania po podrzuceniu do firmy wykonanego zadania specjalnego weszła na komendę policji, bez zastanowienia skorzystała ze starych znajomości, pamiętających jeszcze wspólne życie Rogozińskiej i Stochaja. Policjant siedzący w dyżurce, zapytany o zdrowie dzieci i żony, zapewniony przez Ankę o tym, że Rafał na nią czeka, a ona jest już spóźniona, bez mrugnięcia okiem wpuścił ją do środka, dodając komentarz: „myślałem, że będę bawić się na waszym weselu”. Westchnęła więc ciężko i pobiegła po schodach.

– Co ty tu robisz? – Rafał Stochaj, policjant pracoholik przestraszył się, gdy w drzwiach pokoju, w którym pracował, zobaczył Rogozińską.

– Stoję i pozwalam ci na siebie patrzeć.

– Kurwa bardzo śmieszne! Dlaczego przychodzisz do mnie do pracy? – Jego nerwowa reakcja była zrozumiała.

Komenda była ostatnim miejscem, w którym spodziewałby się ją zobaczyć. Poza tym od kilkudziesięciu godzin unikał rozmowy z usiłującą dodzwonić się do niego dziennikarką, odwołując konieczność wymyślenia odpowiedniej wymówki. Obawiał się awantury i to w miejscu publicznym, a nade wszystko bał się, że w tym samym momencie na pomysł spontanicznego odwiedzenia go może wpaść jego aktualna narzeczona. Takie spotkanie przypominać mogłoby teksańską masakrę piłą tarczową.

– Myślałam, że lubisz takie emocje. Ostatnio rozmawialiśmy, gdy byłeś na zakupach ze swoją narzeczoną. Lubisz ten dreszczyk, co?

– O co ci chodzi? – warczał jak pies zagoniony w kozi róg, wciągnął ją do środka pokoju i zamknął drzwi.

– Dobra Rafał, wyluzuj, nie jesteśmy już parą, nie musimy się kłócić.

– To fakt. Nie jesteśmy. Dlatego nie powinnaś do mnie tu tak przychodzić. – Rafał postanowił zapanować nad emocjami.

– A ty nie powinienesz mnie tak trzymać, jak swojej niewolnicy. Jestem znajomą, przechodziłam obok i pomyślałam, że wpadnę. Dopytam, czy nie trzeba ci pomocy przy organizacji ślubu...

– Usiądziesz? – Jego głos stał się cieplejszy, mniej służbowy i pozbawiony agresji.

– Chętnie.

– Dobra, ustaliliśmy już, że się za mną stęskniłaś. Ale co jeszcze cię sprowadza w moje skromne policyjne progi?

– Mam sprawę, ale nie na telefon. Zwłaszcza że chyba masz popsuty aparat, dzwonię i dzwonię, a ty nie odbierasz.

– Oo, czyli coś poważnego. – Postanowił zlekceważyć ironiczny ton jej wypowiedzi.

– Tak, facet zmarły w pociągu relacji Poznań–Gniezno, na pewno dysponujesz o nim kompletem informacji.

– Może...

– Jak się nazywał? Słyszałam, że miał na imię Szczepan. Jak umarł, co wykazała sekcja zwłok? Wykluczyliście udział osób trzecich? Na pewno to był zawał? Masz stuprocentową pewność?

– Powoli, nie tak prędko. Jak zwykle narzucasz zbyt szybkie tempo...

– Pijesz do naszego niedoszętego ślubu?

– Nie piję, nie palę... – zażartował całkowicie już rozluźniony. – Nie wykluczono jeszcze udziału osób trzecich. Nie podam ci jego nazwiska. Wiesz przecież, że nie mogę z tobą rozmawiać.

– A ty wiesz, że ja mogę z tobą nie rozmawiać.

Jej słowa wybrzmiały i przez chwilę obijały się od ścian. Nie wiedziała, czy wypowiedziała je najbardziej kokieteryjnie, jak tylko umiała, z przyzwyczajenia do takiego sposobu zdobywania informacji, czy chciała po raz kolejny zobaczyć w jego intrygujących oczach ten błysk, pojawiający się zawsze, gdy miał na coś ochotę. Lub na kogoś. Dokładniej na nią.

– Dobra – skapitulował – widzimy się w knajpie za rogiem. – Spojrzał na zegarek. – Za dziesięć minut.

– Czekam.

– Zamów mi kawę. Słodką i białą – dodał, gdy drzwi wprawione w ruch przez wychodzącą dziennikarkę uderzyły głośno o futrynę.

Kwadrans później siedzieli przy małym stoliku w ruchliwej kawiarni. Panujący w niej hałas nie sprzyjał intymnym rozmowom. Było to idealne miejsce, by wpaść na krótką rozmowę z koleżanką z pracy i zmyć się z niej równie szybko, jak dało się na nią namówić.

– Ile wiszę ci za kawę? – spytał Stochaj.

– Daruj sobie, stać mnie jeszcze, żeby staremu policjantowi postawić kawę za dziewięćdziesiąt.

– Czyli przyjmuję teraz korzyść majątkową w wysokości dziesięciu złotych bez dziesięciu groszy.

– Przecież rozmawiamy prywatnie, o jakich korzyściach mówisz?

– Prywatnie? To może jakieś prywatne korzyści? A tak w ogóle, co u ciebie słychać prywatnie, masz kogoś?

– Wybacz, ale to nie jest aż tak prywatne spotkanie. Ja nie wypytuję cię o twoją kobietę, ty nie wypytuj mnie o moich facetów.

– Ooo, użyłaś liczby mnogiej!

– Tak, specjalnie, ku twojej uciechu. Opowiadaj, bo nie mam zbyt dużo czasu. – Zniecierpliwiona zaczęła rozglądać się wokoło. – Muszę wracać do firmy.

Zajmowali stolik niedaleko baru. Co chwilę ludzie przepychający się w stronę kawopojów uderzali jej torebkę, wiszącą na brzegu krzesła. Ania przesuwiała się odrobinę w bok, by zejść z drogi uzależnionej armii żądnej kofeiny. Nie przynosiło to poprawy, gdyż bez zbędnej zwłoki tłum zagospodarowywał odrobinę uwolnionej przestrzeni, by poszerzonym kanałem płynąć w tym samym kierunku, po chwili – tak samo niezauważenie dla

przepychających się ludzi i denerwująco dla Rogozińskiej – znów uderzając w jej torebkę.

– Pamiętaj. To, co powiem, jest ściśle tajne i zdradzam ci to wyłącznie anonimowo.

Właściwie to nie ja ci to mówię, tylko... jakiś anonimowy dupek!

– Dupek? To mi się podoba. Ma się rozumieć! – Złożyła ręce jak do przysięgi. Nie skomentowała jednak słowa „anonimowo”, które w tym miejscu i przy takim natężeniu ruchu brzmiało groteskowo. – Tajemnica. Wiesz dobrze, że umiem jej dochować.

– Wiem i dlatego z tobą rozmawiam. Facet znaleziony w pociągu to Szczepan Baranowski. Miał prawie osiemdziesiąt lat i chore serce, dlatego też prawdopodobieństwo śmierci naturalnej jest duże. Na ciele nie znaleziono żadnych obrażeń. Czekamy jeszcze na ostateczny raport patologa. Wiemy, że serce denata stanęło.

– A co, jeśli to nie zawał? Jeśli patolog nie wykluczy udziału osób trzecich?

– To zacznie się niezła zabawa.

– Dlaczego?

Przez dłuższą chwilę Stochaj milczał, bawiąc się papierowym opakowaniem po cukrze. Zastanawiał się, czy opowiedzieć Annie całą historię, czy tylko jej skrawki. Pełna opowieść pochłonęłaby jednak więcej czasu, którego oboje nie mieli, wrywając się z pracy na krótką chwilę.

– Poszukiwania sprawcy mogą być długie i ciężkie. – Zdecydował się na skondensowaną wersję.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że facet w przeszłości zasiadał na bardzo specyficznym stanowisku...

– Czyli? Podejrzewacie już kogoś? – spytała zaaferowana.

– Facet mógł mieć mnóstwo wrogów. Jeśli okaże się, że ktoś go zabił, będziemy mieli pełne ręce roboty. Za dużo będzie podejrzanych..., a może nawet i za mało, bo w sumie większość z nich zapewne będzie dość stara.

– O czym ty mówisz? – Na chwilę zapomniała o łączących ich kiedyś bliższych stosunkach, kłótniach i złych emocjach. Ciekawość zawodowa wygrała z życiem osobistym.

– W czasach PRL Baranowski piał się po szczeblach kariery w strukturach Służby Bezpieczeństwa. Skutecznie się piał, aż się zapiął lub też wypiał na innych. Oczywiście wtedy, gdy zdobył już szczyt. Prowadził poznański oddział Służby Bezpieczeństwa. Mogę sobie wyobrazić, że setki osób życzyły mu śmierci.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? Wiesz, jak musiał być skuteczny w tym, co robił, aby zająć tak wysoko? – Stochaj również poczuł się w swoim żywiole i zapomniał, że siedzi przy stoliku z atrakcyjną i zupełnie obojętną na jego względy kobietą. Zapomniał, że powinien robić na

niej wrażenie, zrezygnował z powściągliwości i rozpoczął długi monolog, nie zważając na mijających ich ludzi. – Jak wiesz, SB miało zapewniać porządek publiczny, bezpieczeństwo wewnętrzne w znaczeniu poszanowania władzy, jako jedynej światłej, wszechwiedzącej i nieomyłnej. To była ogromna struktura. Taka polityczna policja. Siatka tajnych współpracowników, wieczna inwigilacja, szukanie haków i załatwianie spraw na swój sposób. Oni byli nad milicją, nad prokuraturą. Mogli udupić każdego. Szantaż, teczki, przemoc, areszty, więzienia, działanie ponad prawem, tortury. Mieli w rękach wszystkie narzędzia. Nasz denat to warszawiak z urodzenia. Pracował na początku w stolicy. Najwięcej sukcesów przyniosła mu praca w pionie trzecim, czyli w walce z działalnością antypaństwową w kraju. W latach 1977–1981 nadzorował działania przeciwko opozycji. Po udanych akcjach i kumulujących się zasługach w 1982 roku otrzymał awans. Objął samodzielne stanowisko – szefa poznańskiego SB. Po zmianie systemu Baranowski spadł na cztery łapy. Otworzył wywiadownię gospodarczą i korzystając ze starych kontaktów, zarabiał całkiem niezłe pieniądze.

*

Anna siedziała na środku łóżka i wpatrywała się w tabelę ofiar, do której wpisała również Szczepana Baranowskiego. Na łóżku, zamiast kapy, pościel przykrywały wydrukowane maile i kartki z luźnymi notatkami. Chciała mieć je pod ręką. Nijak nie potrafiła odnaleźć związków między trzema zabitymi mężczyznami. Owszem, potrafiła połączyć denatów w pary w różnych konfiguracjach. Biela z Wolnym łączył doktor Konopielski, Wolnego z Baranowskim to samo województwo zamieszkania, a Baranowskiego z Bielem to, że oboje kiedyś pełnili ważne funkcje społeczne. Biel jako ordynator trząśł całym szpitalem, a Baranowski będąc szefem lokalnego oddziału SB, budził lęk poznaniaków.

– Bezdenny Kapelusznik pisze, że Wolnego z Bielem łączy coś, co nie jest ani kobietą, ani białym kitem. – Upewniła się, po raz kolejny spoglądając na odpowiedni e-mail. – Czyli powinnam wykluczyć Żanetę i lekarza. Szkoda, bo na moje oko wygląda na to, że tych dwóch facetów łączy Konopielski.

Na początku śledztwa dziennikarka próbowała rozmawiać z Konopielskim i jego kolegą, doktorem Maglem. Na próżno. Oboje gorliwie odganiaли się od mediów, jak od natrętnych much. Machali rękoma, odwracali się na pięcie i znikali. Takie zachowanie zadziało na nią jak płachta na byka. Zaczęła przyglądać się im jeszcze uważniej niż wcześniej, rozpytywała dookoła i zbierała informacje. Ustaliła, że oboje studiowali na tej samej uczelni. Podobno właśnie wtedy, między przyswajaniem informacji na temat anatomii człowieka, pasożytów mogących żyć w jego ciele i mechanizmów odpornościowych, zrodziła się ich przyjaźń. Prawdziwa. Męska, chwilami szorstka

przyjaźń. Po studiach oboje trafili do tego samego miejsca pracy.

Szpital Wojewódzki w Toruniu przyjął ich z otwartymi rękoma. Obecny ordynator oddziału, na którym rozpoczynali praktykę, pamiętał Magla i Konopielskiego. Nie był jednak zbyt chętny do rozmowy z dziennikarką, nawet gdy ta zapewniała go, że wszystko pozostanie tylko między nimi. Ordynator stwierdził jedynie, że pamięta tych zabawowych chłopców dość mgliście, bo kiedy on pojawił się w toruńskim szpitalu, oni kończyli w nim swoją burzliwą karierę. Zasugerował też, że o wyczynach doktorków mógłby zapewne opowiedzieć ówczesny ordynator, dziś profesor Adam Biel.

W ten sposób Anna trafiła na mężczyznę oznaczonego w tabeli numerem jeden. Gdy rozmawiała z nim przez telefon po raz pierwszy, zauważyła, że po wybrzmieniu w słuchawce nazwisk „Konopielski i Magiel” rozmówca zamilkł, a później skończył rozmowę, nie zważając na zasady *savoir-vivre*. Po dwóch dniach zadzwonił do niej, paralizując ją słowami: „Mam dość tego środowiska... Jego zakłamania. Etyki, pożał się Boże, lekarskiej. Tego obsesyjnego mycia rąk. Ręka rękę myje. Sterylność odmienia się przez wszystkie przypadki. Przypadki zaniechania, zapomnienia, lekkomyślności, zachłanności”. Słowa Biela roznieciły światło w tunelu.

– A Magiel i Konopielski? – dopytywała wtedy. – Pamięta ich pan?

– Tak, tak. Jeden kochał pieniądze. Drugi wiedział, jak je zarabiać. Idealny duet.

Profesor nie powiedział nic więcej. Uznał, że to nie jest rozmowa na telefon. Narzucił dziennikarce czas i miejsce spotkania. Kilka minut przed ustaloną godziną wizyty, w miejscu oddalonym od jego domu o kilkanaście metrów, Rogozińska mogła zobaczyć jedynie czarny worek z ciałem informatora, który miał ruszyć jej dziennikarskie śledztwo z miejsca.

– Skojarzenie śmierci Biela z Konopielskim nie było nadużyciem. Ludzie nie giną przypadkiem kilka godzin przed zdradzeniem sekretów innych – dedukowała głośno. Brakowało jej Watsona, z którym mogłaby żywo dyskutować, poszukując rozwiązania spraw kryminalnych. – Później pojawił się Wolny. A raczej jego ciało. Pracownik firmy ochraniającej przychodnię Konopielskiego. Podejrzany zbieg okoliczności. Nie mogę uwolnić się od tego przeczucia, ale skoro Bezdenny Kapelusznik każe mi poszukiwać innego związku...

Rogozińska wpatrywała się w tabelę, odczuwając natężające się znużenie.

– Co może ich łączyć? – pytała siebie, próbując odgonić senność. Zegarek wskazywał dwudziestą trzecią, godzinę, w której zazwyczaj jej organizm udawał się na spoczynek. – Co was łączy? Jeśli nie wiek, miejsce zamieszkania, nie sposób, w jaki zostaliście zabici, o ile Szczepana naprawdę ktoś zabił... Wiem! – Ucieszyła się, dokonując odkrycia. – Każdy z tych facetów zostawił żonę. Biel odszedł od swojej, gdy zatopił się w hazardzie,

Wolny swoją zdradzał, a Szczepan? Nie sędzę, żeby prawie osiemdziesięcioletni dziadek bawił się w romanse. Matka chyba wspominała, że miał żonę i to od niej ojciec się dowiedział o śmierci kolegi.

Jej zmęczony wzrok padł na e-mail z tytułem „Zjedz mnie”. Ostatnie słowa brzmiały „ale nie jest to kobieta...”.

– Cholera, jeśli to nie jest kobieta, to co? Według mnie tych facetów łączy tylko to, że nie łączy ich nic. Albo łączy ich jedynie okrutny zbieg okoliczności. Biela zabiła pewnie mafia lub inny ochotniczy punkt udzielania szybkich pożyczek, Wolny wypadł z pociągu, a Baranowski? Baranowski pewnie umarł na zawał. A ja siedzę jak idiotka i doszukuję się jakichś powiązań, bo anonimowy typ kontaktujący się ze mną przez Internet tak mi każe. To głupie!

Dziennikarka zebrała z łóżka rozłożone materiały i schowała je do niebieskiej teczki. Postanowiła przed snem wypić kakao. Przebrała się więc w pidżamę, z racji zmęczenia darowała sobie mycie. W kuchni podgrzała mleko i po chwili wróciła do sypialni z parującym kubkiem. Włączyła laptopa z chęcią zwymyślenia mężczyzny mającego czelność przesyłania maili wprowadzających zamęt w jej życiu.

Otworzyła skrzynkę odbiorczą, odnalazła ostatnią wiadomość od B.K. i kliknęła na ikonę „odpowiedz”. Kątem oka zauważyła wytłuszczone zdanie w treści wiadomości, na którą zamierzała odpisać. *Co **Charles Lutwidge Dodgson** ma wspólnego z Alicją?*

– A kim jest w ogóle ten Dodgson? – Pytanie zadała najpierw sobie, a później swojemu największemu przyjacielowi – wyszukiwarce Google.

*

Od: Anna Rogozińska

Do: B.K.

Temat: Re: Zagadka

Odpowiadając na Twoje, nietrudne zresztą pytanie – Dodgson jest autorem „Alicji w Krainie Czarów”.

Lewis Carroll to jego pseudonim. Alicja to jego dzieło. Najbardziej znane. Dzieło. Twór. Dziecko.

Chcesz mi powiedzieć, że powinnam łączyć tych trzech facetów i dziecko?

Biel i Wolny mieli wspólnego ojca? Szczepana?

No nie, to chyba niemożliwe. Szczepan jest tylko siedemnaście lat starszy od Biela.

To mało na bycie ojcem, prawda?

Wiem, pewnie kręcisz głową, chcąc przekonać mnie, że siedemnastolatek może zostać ojcem.

To fakt, przekonałeś mnie. Szczepan musiałby mieć dwadzieścia osiem lat, gdy urodził

się Wolny.

Tylko dlaczego każdy z nich nazywa się inaczej? To chyba zbyt naciągana teoria.

Jestem już zmęczona. Idę spać.

Na koniec napiszę, że po głowie chodzi mi jeszcze jedna myśl. Śpiąca i być może pomyłona.

Oto mój najnowszy ciąg skojarzeń.

Ciągle piszesz o Alicji.

Alicja w Krainie Czarów. Alicja po drugiej stronie lustra. Lustra. Dzieci. Co widzą dzieci w lustrach? Siebie. Portrety dziecięce. Zdjęcia dzieci?

Moje skojarzenia kończą się na pedofilii.

Dobrej nocy.

Anka

ROZDZIAŁ XXVII

Ania otworzyła jedno oko i kontrolnie spojrzała na zegarek. Czuła się wyspana, ale budzik jeszcze nie zadzwonił. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że po wczorajszym pracowitym piątku nastąpiła wolna sobota. Fakt ten nie nastrajał jej optymistycznie. Walcząc ze sprzecznymi uczuciami, opuściła łóżko i udała się do łazienki. Z jednej strony cieszyły ją spontaniczność, niezależność i nieograniczona wolność, ale z drugiej – w dni wolne od pracy najmocniej doskwierała jej samotność.

Z łazienkowego lustra zerkała na nią kobieta z artystycznym nieładem na głowie. Nie wyglądała na przyjaźnie nastawioną. Ania uśmiechnęła się do swojego odbicia i pomyślała o drugiej części przygód *Alicji w Krainie Czarów*.

– Gdybyś to ty była prawdziwa, a nie ja? – Zmarszczyła czoło. – Gdybym to ja była lustrzanym odbiciem? Ciekawe co byś o mnie myślała? Ciekawe, jak byś żyła? Tak jak ja?

Przez chwilę czekała na reakcję swojego odbicia, później wzruszyła ramionami i związała włosy w kucyk. Idąc do kuchni, wstąpiła do salonu. Z balkonu dochodził donośny krzyk piskląt czekających na kolejny posiłek. Włączyła radio, by wypełnić otaczającą ją pustkę i postanowiła zjeść coś ciepłego na śniadanie.

W lodówce znalazła tylko dwa jajka, co ułatwiło jej podjęcie decyzji, z ilu jaj zrobić jajecznicę. Podsmażyła je z pomidorami, posypała szczypiorkiem i zjadła całość prosto z patelni.

– Ha, mieszkam sama i dzięki temu nie muszę brudzić talerzy. – Starła się zagłuszyć dołujące myśli dopadające ją w weekendy. – Same plusy!

Wrzuciła patelnię do zlewu i uruchomiła ekspres do kawy. Gdy filiżanka wypełniła się aromatycznym płynem, usiadła przy laptopie, by sprawdzić, co dzieje się w Poznaniu. Nie mogła sobie pozwolić na dwudniowe odcięcie się od informacji. Nie chciała przeoczyć ważnych medialnie wydarzeń. Przejrzała nagłówki serwisów informacyjnych, wydarzenia lokalne i internetowe wydania gazet.

W chwili, w której chciała wyłączyć system, usłyszała charakterystyczny dźwięk informujący o pojawieniu się nowego maila w skrzynce odbiorczej. Sprawdziła, kto jest nadawcą wiadomości.

– Kapelusznik? – Komputerowy zegarek pokazywał 11:40. – Czyli facet siedzi przy komputerze, zamiast sprzątać, pracować, robić zakupy, wychodzić z psem, bawić się z dziećmi. Może też jest singlem? – Już miała zacząć go sobie wizualizować: artystyczny nieład na głowie, bystre oczy, męska sylwetka, gdy dotarło do niej, że zupełnie niezrozumiale przyjęła założenie, że piszący do niej mężczyzna jest młody. – Pewnie jest wdowcem. Otyłym emerytem, któremu z nosa wystają włosy, bleee.

Od: B.K.

Do: Anna Rogozińska

Temat: Re: Re: Zagadka

Skojarzenia, hm... pokazują nam, że wyobraźnia to nieograniczone perspektywy, ale i cholerne przekleństwo.

Czy ktoś Ciebie molestował w dzieciństwie? Zbyt łatwo przeszłaś od opowieści o Alicji do pedofilii.

Ojciec. To bardzo ciekawy trop.

Jesteś bardzo blisko rozwiązania, ale patrzysz na nie jakoś zupełnie nie z tej strony.

To tak, jakbyś stała przed skarbem, ale spoglądała na stojące przed nim drzewo i zastanawiała się, czy przypadkiem ktoś nie wywiódł Cię w pole.

Wróćmy do „Alicji w Krainie Czarów”. Nie była ona jedynym dzieckiem Dodgsona.

Inne zostało mu odebrane. Dziecku odebrano ojca. Bez pozwolenia, bez słowa wytłumaczenia, bez powodu.

Zupełnie inny gość został okrzyknięty ojcem dziecka Dodgsona... nawet nie ojczymem, tylko ojcem.

Ojcostwo czasem jest bardziej WZGLEĐNE, niż się wydaje.

Wiedza o tym, gdzie znaleźć informacje i jak ich używać – to tajemnica sukcesu, którą poznać może tylko trzy procent populacji ludzkiej. To rozwiązanie ZAGADKI.

Aha, ciekawe, czy ojciec Szczepana, nadając mu takie imię, wiedział, że inicjały syna idealnie będą pasowały do instytucji, w której będzie pracował.

B.K.

PS Obok właściciela wywiadowni gospodarczej leży fotka Jana.

– Ojcostwo czasem jest bardziej WZGLEĐNE niż się wydaje – powtórzyła i zamknęła laptopa. – Co za czubek! Nie kumam, o co mu chodzi. Czasami pisze w miarę logicznie, ale dziś? Kretyn. Szkoda czasu.

Odłączyła zasilanie od komputera, zostawiła go na kuchennym blacie i ogarnęła mieszkanie wzrokiem. Powinna zatroszczyć się o swój bezpieczny azyl. Meble wołały o uwolnienie z widocznej warstwy kurzu, podłoga prosiła przynajmniej o odkurzenie, grzecznościowo udając, że nawet nie marzy o pieszczocie mokrym mopem. Pralka pękała w szwach, wypluwając otworem wsadowym zużyte skarpetki.

Rogozińska korzystając z wrodzonych umiejętności menedżerskich, nadała zadaniom domowym odpowiedni priorytet. Uznała, że od nadmiaru kurzu jeszcze nikt nie umarł.

– Meble i podłoga mogą poczekać na lepsze czasy – zdecydowała. – Najpotrzebniejsze jest pranie, bo mam na sobie ostatnią parę czystych majtek.

W ekspresowym tempie wyrzuciła na środek łazienki zawartość bębna pralki,

posegregowała ubrania według klucza kolorystycznego, po czym największą górę zapakowała z powrotem do środka, ustawiając odpowiedni program prania.

– Pralka zaliczona. Teraz czas na wypełnienie lodówki. Lecę do spożywczaka.

Kolejność wykonywanych zadań w pełni odzwierciedlała hierarchię potrzeb dziewczyny. Musiała mieć w co się ubrać, by jakoś wyglądać w pracy i czuła się w obowiązku przynajmniej raz dziennie najeść się do syta. Praca wymagała od niej energii, której źródłem były pożywienie i odpowiedni stan umysłu. Doraźnie potrafiła radzić sobie z głodem, przetrwać go lub ogłuszyć, gdy pojawiał się w najmniej oczekiwanym momencie, np. podczas niespodziewanego wywiadu. Wieczorem jednak zawsze musiała zjeść coś ciepłego, dobrego i to w dużej ilości. Cieszyła się, że mimo skończenia trzydziestki jej organizm radził sobie z nieregularnym sposobem żywienia, spalając nadwyżki kalorii i czekoladowe batony, które połykała w chwilach podwyższonego stresu. A tego ostatniego w jej pracy nie brakowało.

*

Przy rozpakowywaniu siatek wypełnionych artykułami spożywczymi w głowie dziennikarki zaświtała pewna myśl.

– Dwa wyrazy w mailu Kapelusznika wyróżniały się od innych. Napisał je wielkimi literami. Może to była wskazówka? – Gdy przez chwilę przestała myśleć o trzech trupach i lekarzach, którym nijak nie może udowodnić udziału w lekarskim przekręcie, zaczęła zauważać sens odebranej po przebudzeniu wiadomości. – Może jak znajdę coś, co zostało stworzone przez Carrolla, ale autorstwo przypisuje się komuś innemu, będę w domu?

Włączyła ponownie komputer, ganiąc się w myślach, że w ogóle nie powinna go uruchamiać. Kiedy na ekranie wyświetliła się strona z wyszukiwarką, zaczęła tropić kolejne skojarzenia. Rozpoczęła od wyszczególnionych wielkimi literami wyrazów: „względne zagadki”. Przeglądała poszczególne linki z odpowiedziami, klikając na te, które zdawały się interesujące i w jakikolwiek sposób związane ze sprawą. Szukała połączeń z trzema zabójstwami, Konopielskim, Maglem, *Alicją w Krainie Czarów* i Lewisem Carrollem.

Z tekstu *Kto był prawdziwym twórcą teorii względności*, otagowanego poszukiwanymi przez nią wyrazami, dowiedziała się, że na pewno nie Einstein. Miał on być jedynie plagiatorem. Jednak nie znalazła wzmianki na temat okradzonego Carrolla, więc szukała dalej. Gdy zagłębiła się w biografię Dodgsona, z przerażeniem przeczytała, że doszukiwano się kiedyś przesłanek na potwierdzenie hipotezy, że mógł być Kubą Rozpruwaczem. Następnie trafiła na hasło „Tożsamość Lewisa Carrolla”. Ale i tam nie znalazła poszukiwanych informacji.

Po godzinie spędzonej przed ekranem komputera, tracąc nadzieję, wpisała

w wyszukiwarce trzy słowa, które wydały jej się najmocniej podkreślone w ostatnim mailu. „Ojciec” + „względna” + „zagadka”. Na pierwszym miejscu wyświetlił się Albert Einstein. Zrezygnowana, bo przecież widziała jego nazwisko już przy innym wyszukiwaniu i nie przyniosło ono żadnych odpowiedzi, przystąpiła do lektury życiorysu niemieckiego fizyka. Ciekawa, czy przy haśle „Einstein” znajdzie potwierdzenie lub chociaż wyraźną wątpliwość dotyczącą plagiatu teorii względności, zapoznawała się z kolejnymi akapitami. Dalsze poszukiwania, jak nić Ariadny, poprowadziły ją w stronę wyjścia z labiryntu nadpodaży informacji. Na stronie o Einsteinie trafiła na jego zagadkę, która znana była w kilku różnych wersjach. Autorstwo tradycja przypisuje Albertowi Einsteinowi. Miał on powiedzieć, że jest w stanie ją rozwiązać jedynie trzy procent populacji świata! – Tak, tak, tak! – krzyknęła z radości. – Mam cię i wiem, o co chodzi! – Przy blacie kuchennym, przy którym siedziała, wykonała taniec radości, po czym wróciła do czytania. – Czasami za jej twórcę uważa się Lewisa Carrolla. To on był jej ojcem. Einstein mu ją odebrał i sprzedał jako swoją, dlatego nazwa tej zagadki nosi jego nazwisko, tak jakby to on był jej ojcem.

Dumna szybko otworzyła program pocztowy, by pochwalić się odkryciem tajemniczemu Kapelusznikowi.

Od: Anna Rogozińska

Do: B.K.

Temat: Zagadka Einsteina

Masz niesamowitą umiejętność utrudniania prostych rzeczy.

Nie łatwiej byłoby poinformować mnie wprost o tym, że Einstein ukradł Carrollowi, jeśli można wierzyć internetowym informacjom, zagadkę i użył jej swoje nazwisko?

Może nie potrafisz komunikować się wprost?

Nie wiem tylko, co to ma wspólnego z moją sprawą?

Nie baw się ze mną w zagadki. Nie mam na to czasu. Mam trzy trupy.

Wiem też, że Szczepan Baranowski był esbekiem.

Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem.

Nie mam czasu na zabawę w kotka i myszkę.

Jeśli wiesz coś konkretnego – podziel się informacjami.

Jeśli nie – zamilknij.

Przestało mnie to bawić.

Kto i dlaczego zabił tych facetów?

Kim jesteś?

Pozdrawiam

Anka

ROZDZIAŁ XXVIII

„Nie baw się ze mną w zagadki, przestało mnie to bawić” – ale sobie poleciała. Typowa baba. Najpierw cieszy się, że facet jest tajemniczy, uśmiecha się i kokietuje, a potem nagle pstryk i już tajemnic nie lubi, facet ją nudzi, wszystko jest nie tak.

Rogozińska chce wiedzieć, kim on jest. W sumie się jej nie dziwi. Ile można gadać z kimś bez twarzy i bez imienia?

Chyba przyszedł czas, by rozprawił się z ostatnią osobą z jego listy. Czuje, że nie ma na co dłużej czekać. To będzie najbardziej przemyślana, wysublimowana i medialna zbrodnia.

Cholernie żałuje, że nie zobaczy miny Anki Rogozińskiej, gdy dowie się, że rozmawia z mordercą. Chociaż nie, chyba nie powinien pisać, że jest mordercą? To nie brzmi dobrze. On mordercą? Przecież nie jest jakimś tam Tedem Bundym^[1] czy Davidem Berkowitzem^[2]. Dobra, zabił trzech facetów, ale czy można nazwać go mordercą? Seryjnym, szalonym, działającym na zlecenie? Nie, nie, nie.

W każdym razie ma nadzieję, że Anka łyknie haczyk i wszystko potoczy się po jego myśli.

*

– Witaj kochanie, co słyhać?

– Wszystko dobrze mamuś.

– To dobrze. – Renata dawno nie rozmawiała z córką, ucieszyła się, że Ania w końcu odebrała telefon. – U nas też jakoś się dzieje. Powoli i spokojnie. Pogoda dopisuje. Siedzę sobie na ogródku i zażywam kąpieli słonecznych, wiesz? Tobie też by się trochę przydało. Zarumieniłabyś się. Błada jesteś, twarz masz ziemistą, jakby chorą. Opalenizna dodaje lat, to fakt, ale odrobina słonecznego brązu jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

– Mhmm...

– Ojciec też szaleje w ogrodzie. Wiesz, jaki on jest. Lata przy tych swoich tujach, jakby były całym jego życiem. Przycina gałązki, podsypuje nawozem, podlewa. Nie wiem, czy czasem z nimi nie rozmawia. Troszczy się o nie lepiej niż o mnie. Mnie właściwie nie zauważa. – Renata była bardzo zadowolona, że w końcu może otworzyć usta i na głos wypowiedzieć swoje myśli, wątpliwości i uwagi. – Ale nie, nic nie mów, uprzedzę twój komentarz, nie odzywam się, nie marudzę, nie zwracam mu uwagi. Niech sobie żyje w tym swoim świecie. Patrzą na niego i widzę, że funkcjonuje gdzieś na innej galaktyce, zielonej i zadrzewionej. Ale wydaje się spokojniejszy. Powoli przekonuję sama siebie, że będzie dobrze. Powoli wszystko się ułoży.

– Mhmmm.

– Właśnie kochanie, jakie masz plany na weekend? Spędzasz go z tym uroczym kolegą, którego gościliśmy w domu? Może znowu wpadniecie do nas na obiad?

– Mhmm.

– Ale co mi tak mruczysz do słuchawki? – Czułość matki obudził brak głośnego weta ze strony córki. Zawsze była oburzona insynuacjami matki dotyczącymi mężczyzn. Głośno pokazywała swoje niezadowolenie. Tym razem tak się nie stało. – Pytam, czy przyjedziesz ze swoim chłopakiem do nas na obiad?

– Nie.

– Nie? – Nie bardzo wiedziała, jak zareagować. Spytała więc delikatnie: – Macie inne plany?

– Nie mamy planów. Siedzę w domu sama.

Anka nie protestowała, nie chcąc przedłużać rozmowy na temat Łukasza, bo potrwałaby ona przynajmniej kilkanaście minut. Matka specjalnie nazwała go jej chłopakiem, by sprowokować ją do dyskusji. Ewidentnie chciała pociągnąć córkę za język. Znała matkę bardzo dobrze. Nie miała ochoty po raz kolejny odpowiadać na wymyślone przez nią pytania. Zwłaszcza, że przesłuchanie nigdy nie miało końca. Dziennikarka chciała skończyć rozmowę i odłożyć telefon. Siedziała wpatrzona w ekran swojego komputera, na którym wyświetlił się właśnie najnowszy mail przesłany przez Bezdenego Kapelusznika.

– Pokłóciliście się? – spytała Renata i nie czekając na reakcję córki, sama odpowiedziała. – Tak bywa. Pogodzicie się na pewno. Tymczasem wpadnij do nas sama, na cały weekend. – Brak większej reakcji ze strony córki nie przerażał Renaty, kontynuowała monolog. – Pogadamy. Ja tu nie mam do kogo buzi otworzyć. Ojciec mnie unika, sąsiedzi też. Kiedyś jeszcze mogłam porozmawiać sobie z tą kobietą, co mieszka obok, ale ojciec w końcu wszystkich obraził. Przyjedź, pogadamy sobie.

– Nie, dzięki.

– To może chociaż przyjedziesz na obiad?

– Nie.

– To na kawę?

– Nie.

– Dobra, nie dopytuję, czemu jesteś dziś taka tajemnicza i milcząca. Po prostu powiedz, że masz inne plany z przystojniakiem i tyle.

– Wykorzystaj swój potencjał...

– Słucham?

Po obu stronach słuchawki zapanowała cisza. Całkowity brak dźwięków mogących wytworzyć wrażenia słuchowe intencjonalnie miał zatrzymać czas. Anka zdała sobie

sprawę z tego, że przeczytała na głos fragment maila. Zupełnie nie miała jednak pojęcia, które słowa wypowiedziała... Co też mogła usłyszeć jej matka?

Renata natomiast otrząsnęła się przerażona. Spojrzała na wyświetlacz komórki, by upewnić się, czy na pewno rozmawia z córką. Przyzwyczała się do tego, że to Stanisław jej nie słucha, że mówi do siebie i funkcjonuje w innym, równoległym wymiarze, ale Ania?

– Mamus – odezwała się dziennikarka, chcąc uprzedzić pytania matki – trochę jestem zajęta. Pracuję. Zadzwoń później, dobrze?

– W sobotę? Córuś! Ale przyjedziesz na obiad?

– Nie, raczej nie.

– A na kawę?

W odpowiedzi Renata usłyszała sygnał przerwane połączenia. Westchnęła tak głośno, że Stanisław, stojący jakieś dwa metry dalej, odwrócił głowę od rosłego żywotnika zachodniego i spojrzał na żonę.

Kobieta wciągała kolejne porcje powietrza i wypuszczała je nozdrzami jak byk, przed oczami którego torreador macha właśnie czerwoną płachtą. Chwilami jej córka zachowywała się jak klon Stanisława. Była równie mocno zafascynowana pracą, życiem, wyzwaniem i sukcesami. Oczywiście po czterykroć swoimi. Renata bała się, że Anka, podobnie jak ojciec, nigdy nie zrezygnuje z pracy. Ciągle będzie wyznaczała sobie nowe cele, a po ich osiągnięciu i krótkotrwałej radości z sukcesu znów będzie parła do przodu...

*

Od: B.K.

Do: Anna Rogozińska

Temat: Re: Zagadka Einsteina

Chcesz otrzymać rozwiązanie zagadki podane na złotej tacy czy wolisz sama ją rozwiązać?

Co bardziej Cię motywuje: sukces czy porażka?

Nie wiem, czy nazywanie tego „zabawą” nie można uznać za nadużycie.

Masz trzy trupy. Dobrze domyślasz się, że coś łączy tych mężczyzn.

Jesteś bystrzejsza niż cała policja razem wzięta.

Wykorzystaj swój potencjał, zamiast dreptać w miejscu, idź do przodu. Nie czekaj.

To już ostatni mój mail do Ciebie. Za chwilę będziesz w posiadaniu kompletu potrzebnych informacji. Dotyczą one śmierci siedemdziesięciu osób.

Rozwiąż zagadkę Einsteina, a będziesz w posiadaniu tajemnicy, dzięki której zdobędziesz wszystko, czego pragniesz.

Sławę, uznanie i pieniądze. Bo domyślam się, że z mężczyznami nie masz kłopotu.

Zagadka, którą rozwiążesz, dotyczy pewnej afery... wydarzenia, które wszystko

rozpoczęło.

Mam na swoim biurku pięć zdjęć. Każde z nich ma swój numer. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć.

Z fotografii spogląda na mnie pięciu mężczyzn – dupków winnych masakrze, mających na sumieniu ludzkie istnienia.

Wiele ich różni – sposób zakończenia ich życia, nałogi, praca, miejsce urodzenia i imiona.

Odpowiedz na pytanie: gdzie skończyło się życie Marcina?

Wtedy spotkam się z Tobą i odpowiem na wszystkie pytania.

Informacje potrzebne do rozwiązania zagadki odnajdziesz w naszych mailach.

Mam nadzieję, że jeszcze ich nie usunęłaś.

Rozpocznij od początku..., a później czytaj, póki nie dotrzesz do końca, wtedy przestań czytać.

Aha, to ja jestem mordercą.

Pozdrawiam

Bezdenny Kapelusznik

PS Otłoczyn był punktem końcowym dla mężczyzny urodzonego w Łodzi.

Pierwsze zdjęcie przedstawia mężczyznę, którego życie zakończyło się w pociągu.

Marcin leży zaraz po lewej stronie podobizny lekarza.

Twarz faceta, który umarł w pociągu, leży obok tego z agencji detektywistycznej.

Fotka mężczyzny z Bydgoszczy sąsiaduje z nałogowym palaczem.

[1] Theodore Robert Bundy – amerykański seryjny morderca, przyznał się do ponad 30 zabójstw (liczbę zabitych przez niego kobiet szacuje się na 100), skazany na śmierć i stracony na krześle elektrycznym.

[2] David Richard Berkowitz (właściwie Richard David Falco) – amerykański seryjny morderca, przyznał się do zabicia 6 osób, skazany na 364 lata więzienia.

ROZDZIAŁ XXIX

Po zakończeniu rozmowy z matką i kilkukrotnym odczytaniu wiadomości Bezdennego Kapelusznika, podeksycytowana Anka wybrała numer Łukasza.

– To on jest mordercą – zaczęła z grubej rury.

– Witaj Aniu – odpowiedział spokojnie, prawie szeptem. – Kto?

– Ten psychol od *Alicji z Krainy Czarów*. Ten od maili, kurwa mać. – Nie potrafiła ochłodzić kipiących uczuć.

– Aha, a skąd wiesz? – Głos Zawodnego był nienaturalnie stłumiony.

– Skąd wiem, skąd wiem? Przyznał się właśnie. Cholera jasna, Łukasz, czy mógłbyś do mnie przyjechać? Teraz?

– Nie mogę, przepraszam.

Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że lakoniczność oraz ton jego wypowiedzi wskazują na nieodpowiedni moment, miejsce lub czas.

– Przeszkadzam? – Chciała upewnić się, że ma rację.

Milczał przez chwilę w tak niezręczny sposób, że pomyślała o tym, że być może przerwała mu randkę z jakąś biuściatą blondynką.

– Tak – odpowiedział, wyjątkowo starannie dobierając słowa. – Wiesz, jesteś dla mnie kimś wyjątkowym. Może to nie jest rozmowa na telefon, ale muszę w końcu to powiedzieć. Ludzie zbyt szybko odchodzą. Twoje pocałunki były dla mnie ważne. Ty jesteś ważna. Zrobiłbym dla ciebie wszystko. Ale nie dzisiaj. Dziś muszę uporać się z innymi problemami.

– Mogę ci jakoś pomóc? – Zareagowała odruchowo, bagatelizując jego wyznanie.

– Nie, dziękuję. Jestem w szpitalu. Moja mama jest umierająca. Wybacz, ale muszę z nią zostać.

– Oczywiście. Nie ma sprawy. Poradzę sobie – zapewniła energicznie. – Pamiętaj, że ja ciebie też lubię.

Zdziwiła się wypowiedzianymi przez siebie słowami. Nie zaskoczyła jej ich treść. Od dawna czuła, że rodzi się w niej coś stojącego na rozdrożu przyjaźni i miłości. Ogarnęły ją dziwne emocje, gdy szczerze wypowiedziała uczucia na głos. Jakby w ferworze działania zapomniała o lęku i wyuczonej ostrożności. Naraziła się na cios, odsłaniając miejsce, na którym nie nosi pancerza ochronnego – serce.

– OK, to ja nie przeszkadzam. Mną się nie przejmuj. Mam nadzieję... – Chciała powiedzieć coś na temat chorej matki Łukasza, ale nie znalazła niczego odpowiedniego. Skoro kobieta umierała, to co miała rzec? Wszystko będzie dobrze? Trzymaj się? – No. Na razie.

Tym razem Łukasz nie odpowiedział. Odłożył słuchawkę, tak jak Anka kilka minut wcześniej. Dziewczyna wyłączyła komórkę, wyjmując z niej baterię. Nie chciała, by ktoś jej przeszkadzał.

– Ja się zastanawiam, co to za czubek? – Wróciła do sprawy, która podniosła jej ciśnienie krwi. – Koresponduję z nim, daję się wciągnąć w zabawę, a on okazuje się mordercą? To zupełnie niemożliwe.

Najpierw po raz kolejny przejrzała materiały zebrane na temat zagadki Einsteina. Zatrzymała się przy jednym z popularnych wariantów jej treści:

Pięciu ludzi różnych narodowości zamieszkuje pięć domów w pięciu różnych kolorach. Wszyscy palą papierosy pięciu różnych marek i piją pięć różnych napojów. Hodują zwierzęta pięciu różnych gatunków. Który z nich hoduje rybki?

Norweg zamieszkuje pierwszy dom.

Anglik mieszka w czerwonym domu.

Zielony dom znajduje się bezpośrednio po lewej stronie domu białego.

Duńczyk pija herbatkę.

Palacz papierosów light mieszka obok hodowcy kotów.

Mieszkaniec żółtego domu pali cygara.

Niemiec pali fajkę.

Mieszkaniec środkowego domu pija mleko.

Palacz papierosów light ma sąsiada, który pija wodę.

Palacz papierosów bez filtra hoduje ptaki.

Szwed hoduje psy.

Norweg mieszka obok niebieskiego domu.

Hodowca koni mieszka obok żółtego domu.

Palacz mentolowych pija piwo.

W zielonym domu pija się kawę.

Zakłada się, że domy ustawione są w jednej linii (1–2–3–4–5), a określenie „po lewej stronie” w punkcie 3 dotyczy lewej strony z perspektywy naprzeciw tych domów (tj. dom o numerze „n” jest bezpośrednio po lewej stronie domu „n”+1).

Bez trudu znalazła informację, że zagadkę Einsteina można rozwiązać, myśląc logicznie lub korzystając z odpowiednio zaprogramowanego algorytmu i pomocy komputera. Niewiele wiedziała o programowaniu i algorytmach. Sprawdzenie jednak, czy jest na tyle bystra, by rozwiązać zagadkę i znaleźć się we wspomnianych przez Bezdennego Kapelusznika trzech procentach populacji, stało się dla niej wyzwaniem.

– Pięciu facetów, pięć domów, pięć kolorów, pięć zwierząt, pięć marek papierosów i pięć napojów. Pięciu mężczyzn i pięć zmiennych. Piętnaście faktów.

Ustaliła, korzystając z zaprzyjaźnionej wyszukiwarki, że rozwiązaniem tak sformułowanej zagadki Einsteina jest odpowiedź: „Niemiec hoduje rybki”. Potrzebowała skupienia, by dojść do rozwiązania, analizując fakty. Musiała poznać ścieżkę rozumowania, by rozwiązać zagadkę zadaną przez Kapelusznika.

– Rozpocznij od początku, a potem czytaj, dopóki nie dojdiesz do końca – odczytała na głos fragment ostatniego otrzymanego od niego e-maila.

Jako że zdań z informacjami powinno być piętnaście, a w ostatniej wiadomości od Bezdennego Kapelusznika widniało ich tylko pięć, wróciła do pierwszych maili. Część z nich miała wydrukowanych, resztę odczytywała z komputera. Szybko ustaliła, że zdania widniejące na końcu każdej wiadomości w PS zbliżone są formą do zdań z pierwotnej zagadki Einsteina. Przepisała więc je wszystkie na osobną kartkę.

Adam umarł w drodze do domu.

Facet z fotki leżącej na środku mojego biurka uwielbiał kobiety.

Piotr urodził się w Gnieźnie.

Życie ochroniarza skończyło się na torach.

Facet, który umarł w hospicjum, cierpiał z powodu nałogowego poczucia winy.

Hazardzista pochodził z Turzna.

Reporter nałogowo podróżuje.

Właściciel wywiadowni gospodarczej urodził się w Warszawie.

Bydgoszczanin z urodzenia sąsiaduje ze Szczepanem.

Obok właściciela wywiadowni gospodarczej leży fotka Jana.

Otłoczyn był punktem końcowym dla mężczyzny urodzonego w Łodzi.

Pierwsze zdjęcie przedstawia mężczyznę, którego życie zakończyło się w pociągu.

Marcin leży zaraz po lewej stronie podobizny lekarza.

Twarz faceta, który umarł w pociągu, leży obok tego z agencji detektywistycznej.

Fotka mężczyzny z Bydgoszczy sąsiaduje z nałogowym palaczem.

Dopisała do tego wybraną treść ostatniego e-maila Kapelusznika zbliżoną do treści zagadki Einsteina.

Mam na swoim biurku pięć zdjęć. Każde z nich ma swój numer. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć. Z fotografii spogląda na mnie pięciu mężczyzn – winnych masakrze dupków mających na sumieniu ludzkie istnienia.

Wiele ich różni – sposób zakończenia ich życia, nałogi, praca, miejsce urodzenia i imiona.

Odpowiedz na pytanie: Gdzie skończyło się życie Marcina?

– Oto zagadka Bezdennego Kapelusznika. Wystarczy odpowiedzieć na pytanie, gdzie skończyło się życie Marcina, by rozbić bank! Do dzieła.

Rozłożyła przed sobą czystą kartkę formatu A4 dłuższą krawędzią do dołu. Na samej górze wpisała cyfry i oddzieliła je pionowymi liniami, tworząc tabelę danych. Wers zawierający liczby zatytułowała „kolejność ramek ze zdjęciami”. Tytuły następnych wersji spisała z wiadomości Kapelusznika: „koniec życia”, „nałóg”, „praca”, „urodzony w” oraz „imię”.

– Dobrze, jakie mamy konkrety? – Przeszukała piętnaście spisanych odręcznie zdań. – Pierwsze zdjęcie przedstawia mężczyznę, którego życie zakończyło się w pociągu – odczytała wskazówkę. – Od tego zacznę.

W pierwszej rubryce na zbiegu kolumny numer 1 i wersu „koniec życia” wpisała: w pociągu. Wykreśliła z listy zdanie numer dwanaście i zaczęła poszukiwać kolejnego punktu zaczepienia.

– Twarz faceta, który umarł w pociągu leży obok tego z agencji detektywistycznej – odczytała czternaste zdanie. – Dobra, czyli w drugiej kolumnie wpisuję: agencja detektywistyczna. Tam musiał pracować facet numer dwa. Co dalej?

Kolejne wskazówki wpisała do środkowej kolumny. Facet z fotki leżącej pod numerem trzecim uwielbiał kobiety. Założyła, że takie zainteresowanie płcią przeciwną można nazwać nałogiem, nie pracą. Przyjrzała się świecącej pustką tabeli. Postanowiła połączyć informację o tym, że Piotr urodził się w Gnieźnie z wiedzą na temat Wolnego, który zdradzał żonę. Wykreśliła kolejne zdanie z długiej listy.

– To było łatwe. – Jej podejrzenia potwierdziło kolejne zdanie Kapelusznika. – Piotr Wolny; ochroniarz urodzony i nawet mieszkający ostatnio w Gnieźnie, uwielbiający kobiety, umarł na torach.

Zdanie „Adam umarł w drodze do domu” także brzmiało wyjątkowo znajomo. Domyśliła się, że chodzi o doktora Biela, nie wiedziała jednak, w którą rubrykę go wpisać. Numer dwa, cztery czy pięć. Wykluczyła drugą kolumnę, uznając, że podczas badania życia Biela, nie trafiła nigdy na informację o pracy w agencji detektywistycznej. Jako że w tej chwili dysponowała dwoma wariantami odpowiedzi, wyjęła z szuflady kolejną kartkę papieru, na której odtworzyła obecny stan tabeli. Następnie w jednej z nich wpisała Adama w rubryce czwartej, a w drugiej – w piątej.

– Adam mieszkał w Turznie, tam przebywali jego rodzice, tam się pewnie urodził, był lekarzem, hazardystą i umarł w drodze do domu. – Skorzystała z posiadanej wiedzy, sprawdzając jedynie, czy taki tok rozumowania potwierdzają zagadkowe frazy.

Wykreśliła zdania z maili, które umieściła w tabeli. Dopisała te, na które znalazła odpowiednie miejsce. Wskazówka numer trzynaście ostatecznie podważyła sens funkcjonowania spisu, w którym Adam wpisany został w kolumnie czwartej. To Marcin miał znajdować się zaraz po lewej stronie lekarza. Rogozińska pogmiotła kartkę z błędną

tabelą i rzuciła ją na podłogę.

Do wypełnienia została jej jeszcze połowa zestawienia, a wskazówki brzmiały zupełnie nielogicznie.

W ostatnim wersie brakowało imion dwóch mężczyzn – Jana i Szczepana.

– Tak, Szczepan zginął w pociągu. To musi być ten stary esbek. – Uzupełniła brakujące nazwiska, a dzięki nim także kilka pozostałych informacji. – Chyba jednak jestem w tych trzech procentach populacji.

Mijały kolejne kwadransy wolnej soboty, a dziennikarka ani razu nie spojrzała na zegarek. Dopiero przenikający przez kratki wentylacyjne zapach obiadu przygotowywanego przez sąsiadów przypomniał jej o tym, że jest wściekle głodna. Wyjęła więc z lodówki dwie frankfurterki i zjadła je na zimno, zagryzając bułką. Nie chciała tracić czasu na podgrzewanie ich w garnku. Czowała, że nie spocznie, póki nie rozwiąże zagadki.

Zadowolona spoglądała na coraz bardziej wypełnioną tabelę, połykając jednocześnie piknikową wersję sobotniego obiadu. Pozornie nielogiczne i niezwiązane ze sobą zdania nagle zaczęły tworzyć jedność.

– Matka miała rację! Łatwiej myśli się z pełnym żołądkiem.

Bez problemu wykreślała kolejne wskazówki do czasu, gdy zapełniła wszystkie pola w tabeli. Gdy skończyła, oderwała zmęczony wzrok od kartki papieru i odeszła od stołu.

	1	2	3	4	5
kwartał zginia	w pociągu	w kufajniku	na torach	w Ofiarności	w drodze do domu
wzrost	popierszy	prezencje innych	kwadratowy	podnie	Warszawa
praca	współpraca główna	agencja de- tektystyczna	wiel- war	reporter	lekarka
wzrost i	Warszawa	Bydgoszcz	Gniezno	Łódź	Turów
imię	Szczepan	Jan	Piotr	Marek	Adam

Powiesiła pranie, które prawie już wyschło w pralce. Zapomniała o nim, oddając się rozwiązywaniu zagadki. Zapakowała do bębna kolejną porcję brudów. Przygotowała sobie gorące kakao, a z szafki ze słodkościami wyciągnęła czekoladowy baton, mający być nagrodą za wysiłek intelektualny i pracę w sobotę. Niecodziennie pozwalała sobie na energetyczne bomby. W końcu wróciła do komputera i postanowiła napisać do Kapelusznika.

Od: Anna Rogozińska

Do: B.K.

Temat: Dlaczego?

Dziękuję za zapewnienie mi rozrywki intelektualnej.

Zagadka Kapelusznika rozwiązana.

Życie Marcina skończyło się w Otłoczynie.

Nadal nie rozumiem. Wytłumacz mi, proszę.

Kim są ci mężczyźni? Jan, Szczepan, Adam, Piotr i Marcin?

Wszystkich ich zabiłeś? I jakie znaczenie ma Otłoczyn?

Proszę, odezwiw się!

Ania

*

Nigdy wcześniej oczekiwanie na odpowiedź nie kosztowało jej tyle stresu. Wysyłając swój mail, liczyła na to, że Kapelusznik siedzi przy komputerze i czeka na jej odpowiedź, a gdy ją otrzyma, odezwie się. Szybciej niż niezwłocznie. Niestety. Posprzątała pokoje, by zająć czymś ręce. Umyła łazienkę, by skrócić czas oczekiwania. Chciała też zabrać się za prasowanie, ale ostatecznie zrezygnowała. Usiadła na balkonie i zaczęła się przyglądać toczącemu się wokół życiu. Ludzie spacerowali z psami i z dziećmi. Młodzież siedziała na ławkach. Z sąsiadujących okien dochodziły odgłosy rodzinnej sielanki. Co chwilę spoglądała na ekran komputera, by nie przeoczyć momentu, w którym pojawi się oczekiwana wiadomość. Pocieszała się, że korzystając z szybkości Internetu, oszczędza czas.

– Gdybym tak dostawała od niego anonimy tradycyjną pocztą? Złożone z wyciętych z gazet liter? Dopiero wydłużyłoby to proces komunikacji. Musiałabym mu odpisać. Pójść na pocztę. Trzy dni. On odebrałby list. Odpisał. Wysłał. Kolejne trzy dni. Masakra. Najpóźniej jutro... no, może założmy wariant najbardziej pesymistyczny – w poniedziałek powinien się odezwać. No chyba, że się nie odezwie? – pocieszała się i po chwili wątpiła, aż w końcu w jej skrzynce mailowej pojawiła się nowa wiadomość.

Od: B.K.

Do: Anna Rogozińska

Temat: Brawo!

Brawo. W tej chwili powinny zabrzmieć fanfary.

Nie poddałaś się. Zebrałaś fakty.

Gratuluję.

To ja zamordowałem Biela, Wolnego i Baranowskiego.

Nie jestem psycholem. Miałem powód. Bardzo poważny.

Chętnie odpowiem na każde Twoje pytanie. Przyznam się, pokażę dowody.

Jestem gotowy ponieść karę.

Pod jednym jednak warunkiem. Zrobimy to przed kamerami.

Na żywo. Tylko Ty i ja.

Anna Rogozińska rozmawia z mordercą.

Brzmi interesująco, prawda?

Opowiem Ci o zamordowanych, a także o Janie, Marcinie i jeszcze jednym palancie.

W załączeniu przesyłam fotkę doktorka, zrobioną zaraz po tym, jak upadł.

Widać jak krew odpływa z jego twarzy, jak duch opuszcza jego ciało.

Tak na wypadek, gdyby Twój szefowie potrzebowali namacalnego dowodu.

Daję Ci 24 godziny na zorganizowanie wywiadu.

Niedziela godzina 19.30 jestem do Twojej dyspozycji.

Pozdrawiam

Bezdeny i bezduszny Kapelusznik daleki od skruchy

PS Pytasz o Otłoczyn? Rok 1980. Wiem wszystko o największej katastrofie w powojennej Polsce. Na żywo zdradzę tajemnice, które sprawią, że wszystko stanie na głowie. Przy życiu pozostaje jeszcze ktoś ściśle związany z tragedią w Otłoczynie. Albo zrobimy wywiad na żywo i wspólnie oddamy go pod ocenę sądu i społeczeństwa... albo sam wymierzę mu sprawiedliwość, a potem zniknę, a Ty będziesz żyła ze świadomością, że przez Ciebie umarł jeden człowiek, a morderca pije gdzieś drinka z parasolką i zastanawia się, czy nie zabawić się też z Tobą.

ROZDZIAŁ XXX

Anna Rogozińska biła się z myślami. Chodziła po pokoju, niemal objając się od ścian. Musiała podjąć jedną z najważniejszych decyzji zawodowych w swoim życiu. Stała przed szansą obarczoną ryzykiem. Mogła zaufać facetowi, z którym od kilku tygodni była w kontakcie mailowym. Chciała pokazać się kilkumilionowej publiczności w programie na żywo. Nie potrzebowała zbyt rozwiniętej wyobraźni, by wiedzieć, że taki temat może być hot newsem kilku kolejnych dni. Z drugiej jednak strony nigdy wcześniej nie prowadziła programu na żywo.

Rozważyła na chłodno wszelkie za i przeciw i sięgnęła po telefon. W książce telefonicznej znalazła numer szefa poznańskiego oddziału Primo TV. Nie zatrzymała się przy nim na dłużej niż sekundę. Szukała numeru telefonu Roberta Zielińskiego. Wiedziała, że w sobotę jego firmowa komórka będzie wyłączona. Na jednym z intymnych spotkań podał jej swój prywatny numer z zastrzeżeniem, żeby korzystać z niego w bardzo, bardzo ważnych sprawach. A najlepiej wcale nie korzystać. Wprost rozmawiali o tym, że jego żona nie ma prawa dowiedzieć się o ich „stosunkach zawodowych” – jak zwykły nazywać swoje wizyty u Anki.

– Dzień dobry, panie prezesie – rozpoczęła bardzo oficjalnie w razie, gdyby to żona odebrała telefon. – Przepraszam, że dzwonię. Ale mam bardzo pilną sprawę firmową.

– Tak? Chwileczkę – odpowiedział oficjalnie, po czym oddalił się od rodziny i dodał odmienionym, bardziej seksownym głosem. – Witaj, coś się stało?

– Nie zawracałabym ci głowy, gdyby się nie stało.

– Słucham.

– Dzwonię w sprawie firmowej.

– W firmowej? – zdziwił się szczerze. – Myślałem, że może przyjechałaś do Warszawy.

– W firmowej – potwierdziła. Gdy jego zrelaksowany głos pieścił jej ucho, zdecydowała się na wyznanie. – Możesz rozmawiać?

– Tak, rodzinka ogląda właśnie lwy na wybiegu, a ja oddaliłem się na bezpieczną odległość. Jesteśmy w ZOO.

– OK, w takim razie już mówię, o co chodzi. Mam prośbę. Chodzi o wywiad.

– Aneczko, ale przecież wiesz, że to nie jest dobra ścieżka. Masz swojego szefa. Ja nie będę się wtrącał. Pamiętasz, ustalaliśmy przecież zasady...

– Pamiętam. Nie będziesz się za mną wstawiał, bo wyjdzie na jaw, że ty i ja... Pamiętam. Jednak sytuacja jest wyjątkowa. Pilna. Niepowtarzalna. Musisz mnie wysłuchać. Znaczący, bardzo cię proszę! Wysłuchaj mnie. A potem sam zdecydujesz.

– W sprawach firmowych rozmawiaj z Grabowskim.

Tym razem zabrzmiał tak zasadniczo, że gdyby nie znała go prywatnie, nie odważyłaby się kontynuować. Miała jednak zbyt wiele do stracenia, by bać się zadawać pytania.

– Słuchaj, Grabowski to mała płotka, nie ma takiej siły przebicia jak ty. A ja potrzebuję wsparcia wielkiej ryby, a nie lokalnego szefa trzęsącego portkami przed kontaktami z centralą i swoimi przełożonymi. Proszę cię, daj mi trzy minuty. Po starej i chyba miłej znajomości...

– Oj mała, nie przeginaj... – Uczucia, z którymi zmagał się smakosz gorącej kawy, zmieniały się jak w kalejdoskopie.

– Zawiodłam cię kiedyś, no powiedz? – Rogozińska starała się przyjąć pozycję dominującą. – Zawiodłam? Naraziłam na śmieszność? Zdradziłam tajemnice?

– Nie. Dobra, masz dwie minuty. Muszę wracać do rodziny. Wiesz, że w weekendy nie pracuję.

– Dobra. Słuchaj uważnie. Mam faceta, to znaczy mam anonimowego informatora. To seryjny morderca.

– Skąd wiesz?

– Wiem, musisz mi uwierzyć. Współpracuję z nim od dłuższego czasu. Mam też mały dowód – fotkę pewnego denata zrobioną w chwilę po jego śmierci. Podeślę ci, jeśli chcesz.

– No i?

– Facet chce się przyznać do morderstw. Do trzech trupów, których policja nawet nie potrafi połączyć ze sobą.

– To niech się przyzna, co to mnie obchodzi?

– Kurwa, Robert skup się. Facet chce przyznać się u nas, na antenie Primo TV do popełnionych zbrodni. Ma przynieść ze sobą dowody. Ma dwa warunki. Transmisja na żywo i ja jako prowadząca wywiad. Czujesz to, czujesz? – Nie potrafiła opanować ekscytacji. – To będzie przełom medialny. Do lamusa przejdą rozmowy z mordercami nagrywane po ich skazaniu, gdzieś w więziennych celach. Primo TV pokaże, że życie toczy się tu i teraz. Że ktoś zabija, policja śpi, a my docieramy do mordercy i jeszcze nakłaniamy go do wywiadu. Skruszony przyznaje się do winy dzięki naszej pomocy. Robert, to będzie hit dnia, tygodnia i roku. Czujesz to?

– Nie bardzo. Dlaczego facet chce się przyznać? Dlaczego właśnie u nas? Dlaczego na żywo? To żart?

– Bo jest popierdolony. Od tygodni z nim koresponduję. Bez niego nie dotarłabym do tych morderstw. Myślałam, że rozpracowuję aferę lekarską, ale trafiłam na seryjnego mordercę. Dlaczego chce rozmawiać ze mną? Bo jestem fajna, ale o tym chyba sam wiesz. Poza tym nawiązała się między nami więź. On mnie lubi. Wydaje mi się, że ma mnie za

odpowiedniego sobie przeciwnika. W sensie intelektualnym.

– No nie wiem...

– Powiedział, że da nam dowody. Poza tym to nie tylko jakiś mordujący psychol. To facet, któremu chodzi o coś więcej. Pamiętasz największą katastrofę kolejową w Polsce? W 1980 roku w Otłoczynie. On ją przeżył. Podobno zna fakty rzucające na sprawę zupełnie inne światło. I chce o nich opowiedzieć. To będzie hit. I moja wielka szansa. Może za coś takiego w końcu dostanę awans.

– Dobra, daj mi chwilę i prześlij tę fotkę. – Jego rezygnacja mieszała się z entuzjazmem. – Pogadam z kim trzeba.

Odłożyła komórkę na stół. Była gorąca. Albo rozgrzała się podczas rozmowy, albo przejęła niczym termometr podwyższoną temperaturę Anki. Po raz kolejny tego samego dnia zmuszona była do oczekiwania, odmierzania sekund, minut i kwadransów. Nie miała nic przeciwko czekaniu, jeśli tylko określony był jego termin. Bezterminowe nastawienie na odbiór pilnej informacji odrętwiało jej ciało. Wpatrywała się w telefon. Niestety żadna ze stosowanych przez nią min nie działała na bezduszne urządzenie telekomunikacyjne. Nawet ta najgroźniejsza.

Przez głowę przemknęła jej myśl, że powinna była powiedzieć Robertowi o Łukaszu. A może raczej o konieczności zakończenia ich upojnych spotkań. Jeśli jej relacje z Zawodnym miały zmienić się w coś więcej niż przyjaźń, musiała być wobec niego uczciwa. Robert Zieliński był bardzo atrakcyjnym mężczyzną, jednak związek z nim był bez przyszłości. Anna chciała kiedyś w końcu pomyśleć o tym, co nadejdzie. Z Łukaszem było to możliwe.

Po dłuższej chwili, którą dziennikarka nazwałaby wiecznością, wybrzmiała znajoma melodia zwiastująca oczekiwane połączenie.

– Halo. – Złapała komórkę łapczywie, jakby była przysłowiową brzytwą.

– Dobra, bierzemy to! – Robert Zieliński podczas trwania wieczności musiał nie tylko porozmawiać z odpowiednimi ludźmi, ale również skalkulować przedsięwzięcie. Jego entuzjazm wzrósł znacząco.

– O ja pierdołę, jesteś wielki, wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć! – Rogozińska jak mała dziewczynka zaczęła biegać po pokoju i podskakiwać z radości.

– Aniu?

– Tak? – Nie mogła opanować podniecenia i ekscytacji.

– Wiesz, że grasz o najwyższą stawkę? – Ojcowska troska na chwilę zgasiła entuzjazm. – Jeśli to nie wypali... nie zapanujesz nad facetem albo okaże się to głupim żartem, to nie dość, że wylecisz z telewizji na zbity pysk, to jeszcze nigdzie nie znajdziesz pracy. Nigdzie, w żadnych mediach. Mnie też wyrzucą.

– Wiem.

– Ryzykuję jak kretyn, podkładając za ciebie kark. Nie zawieźdź mnie, proszę. Powiedziałem, że to pewne, bo wydaje mi się, że znam ciebie i twoje podejście do pracy. Jeśli w trakcie organizacji przez ułamek sekundy pomyślisz, że to ściema, wycofuj się!

– Wiem, że ryzykujemy. I ty, i ja. Zaufaj mi. Gdybym nie miała stu procentowego przecucia i pewności – dodała, by uprzedzić kolejne pytania – nie dzwoniłabym. Pomyśl. W żadnej telewizji nie było jeszcze seryjnego mordercy, który by się przyznał. Dzięki naszym wysiłkom oczywiście. Przy okazji będą dokumenty.

– A jak nie będzie?

– Będą. Jeśli ich nie przyniesie, nie puścimy materiału. Pamiętasz, jak długo byliśmy na fali, gdy podawaliśmy informacje o dzieciobójczyni?

– Ludzie lubią takie historie.

– Ta sprawa będzie jeszcze bardziej dochodowa.

– Pamiętaj, musimy mieć dowód, że to on zabija.

– Będziemy mieli, śpij spokojnie.

– OK. Aneczko, proszę, uważaj na siebie. Pogadam z policją, ktoś musi cię ochraniać i zgarnąć faceta po przyznaniu się, ale bądź ostrożna. Będiesz siedziała obok seryjnego zabójcy. Chwila nieuwagi i...

– Nie strasz mnie. Będzie dobrze. Przygotujcie większe tabele, bo słupki oglądalności skoczą... Robert? Ja załatwię sprawę z policją. Mam tam... – zawahała się nad słowem, którym powinna określić Stochaja – znajomości. Nie martw się. Jeszcze raz dziękuję za zaufanie i pomoc.

ROZDZIAŁ XXXI

Anna Rogozińska z uznaniem spojrzała w lustro. Dawno nie wyglądała tak dobrze. Jej twarz była idealnie przygotowana do występu przed kamerami. Atuty zostały mocno zarysowane, ułomności zakamuflowane. Oczywiście z tak grubą tapetą nigdy nie wyszłaby na dwór, ale w telewizji obowiązywały inne zasady. Królowała moda na perfekcyjny look, nawet jeśli medialny wizerunek znacznie odbiegał od codziennego.

Dziennikarka wyszła z charakteryzatorni, a facet z ekipy podpiął jej mikrofon. Zdenerwowana rozglądała się, poszukując swojego rozmówcy. Ciekawość skręcała jej wnętrzności, wprawiała w drzenie dłonie i budziła stado motyli, które podejrzewała już o zapadnięcie w wieloletni sen. Chciała jak najszybciej zobaczyć Bezdennego Kapelusznika. Pragnęła porównać swoje wyobrażenie o intrygującym mordercy z rzeczywistością.

– Powinien już być – odpowiedziała na nerwowe pytanie realizatorki. – Umawialiśmy się, że będzie o dziewiętnastej.

Minęła dwóch funkcjonariuszy policji w ubraniach cywilnych i udała się do studia. Musiała przyznać, że w sytuacji kryzysowej prawie idealni mężczyźni jej życia spisali się na medal. Dopiero teraz zauważyła, że uciekając przed jednym, wpadła w objęcia drugiego, niemalże identycznego jak pierwszy. Z tą jednak różnicą, że przy pierwszym wierzyła jeszcze w miłość, a przy drugim już nie.

Robert Zieliński nie dość, że przekonał najważniejsze osobistości Primo TV do jej wizji, to jeszcze w krótkim czasie zorganizował wolne studio, czas antenowy i transmisję na żywo z Poznania. Natomiast Rafał Stochaj bez szemrania zatroszczył się o jej bezpieczeństwo. Wiedziała, że jeśli wywiad z mordercą ma dojść do skutku, to musi zadziałać nieoficjalnie. W przeciwnym razie policja zatrzyma Bezdennego Kapelusznika przed wejściem do studia i przewiezie go na komendę, gdzie pytania zadawał będzie jakiś mundurowy, a nie ona.

Stochaj na wieść o przygotowywanej akcji oraz prośby o nieoficjalne potraktowanie sprawy zareagował zgodnie z oczekiwaniami Anki. Niezdrowo podekscytował się. Zauważył swoją szansę na lans i obiecał, że wszystkiego dopilnuje. W dniu nagrania pojawił się w studiu z trójką, jak ich przedstawił, „zaufanych współpracowników” i zabezpieczył teren. Sam poprosił o gadzety dźwiękowca: słuchawki, mikroporty i kable. Zaczął kręcić się po studiu, w którym miała mieć miejsce rozmowa.

Rogozińska weszła do pomieszczenia i usiadła na czerwonym fotelu obrotowym. Niemalże co minutę spoglądała na zegarek. Czas płynął okropnie wolno. Zdenerwowana zaczęła po raz kolejny przeglądać notatki. Wypełniona tabela z zagadką Kapelusznika,

najciekawsze fakty z katastrofy kolejowej w Otłoczynie, nazwiska Biela, Wolnego i Baranowskiego zakreślone na różowo z adnotacjami dopisanymi drobnym maczkiem. To miał być jej pierwszy wywiad. Pierwszy raz na żywo. Pierwszy dłuższy niż pięć minut. Miała nadzieję, że da radę.

– Witaj Anno!

Znajomy męski głos oderwał ją od notatek. Dopiero teraz zauważyła, że w studiu zapanowała cisza. Do redakcji musiał w końcu dotrzeć Bezdenny Kapelusznik. Uniosła głowę. Nad nią stał mężczyzna. Atrakcyjny... i wyglądający dość znajomo.

– Witaj. – Wstała i podała mu rękę, starając się ukryć emocje. – Bezdenny Kapelusznik?

– Tak, to ja – potwierdził, spokojnie czekając na zaproszenie do zajęcia miejsca siedzącego.

Po chwili ludzie pracujący w studiu wrócili do swoich zadań. Wbrew ich oczekiwaniom przybyły morderca nie rzucił się na dziennikarkę z nożem.

– My się chyba znamy – dodała po chwili namysłu. – To znaczy widzieliśmy się już wcześniej.

– Zgadza się. Nawet nie raz.

– Usiądź. – Wskazała mu ręką wolny fotel. Dla bezpieczeństwa złapała swoje notatki i przyciągnęła je do serca. Nie chciała, by chłopak, z którym swojego czasu prowadziła interesującą rozmowę w kawiarni, zapoznał się z pytaniami. – Na rozmowę mamy maksymalnie trzydzieści minut.

– Spokojnie. Mnie wystarczy. – Uśmiechnął się i zajął miejsce, stawiając obok fotela skórzaną teczkę.

Promieniująca z niego pewność siebie była imponująca. Siedział w pozycji otwartej. Jego ciało wręcz krzychało, że nie ma nic do ukrycia.

– Masz dla mnie jakieś konkrety, dowody twoich... dokonań? – Słowo „morderstw” nie mogło w tej chwili przejść jej przez usta.

– Gdybym nie miał, nie ruszałbym się z domu. – Jego spokój zadziwiał i przerażał dziennikarkę.

Rozmówca sięgnął do torby, by po chwili pokazać jej aparat fotograficzny i zdjęcia trzech znanych jej z nazwiska mężczyzn, po czym wyjął kartę pamięci i położył na stole. – To dla ciebie, a właściwie dla twoich przełożonych i policji.

Siedziała naprzeciw mężczyzny, który przyznał się w mailu do zabicia trzech osób. Nie bała się jednak o swoje życie. Obawiała się o przyszłość. Tę najbliższą. O to, jak wypadnie w programie telewizyjnym. Czy zapanuje nad rozmówcą? Czy skłoni go do sensacyjnych wyznań? Czy może polegnie na całej linii?

– Anka. – W słuchawce ukrytej w lewym, niekadrowanym przez kamery uchu usłyszała głos producenta. – Za chwilę zaczynamy.

– Jak mam cię przedstawić? – spytała przytomnie.

– Nie pamiętasz, jak mam na imię? – prowokował lub tylko jej się tak wydawało. Na jego twarzy cały czas tkwił mały uśmiech.

– Pamiętam. Łukasz w kawiarni przedstawił cię jako Marcin, ale czy to twoje prawdziwe imię?

– Prawdziwe. Jestem Marcin. Marcin Nowak.

Przyglądała się mu zdziwiona. Jak ten przystojny i inteligentny facet mógł zabić człowieka? – ta myśl nie dawała jej spokoju. W jednej chwili misterny plan spotkania legł w gruzach. Nie spodziewała się prowadzić dialogu z kimś, z kim wcześniej już rozmawiała.

Myślała, że w studiu pojawi się jakiś zwariowany starszy mężczyzna. Potargany i ubrany mimo upału w rozciągnięty sweter. Zamiast tego obok niej siedział kolega Łukasza z akademika. Atrakcyjny facet sownie nagrodzony za zdjęcie. Po poznaniu go w kawiarni odnalazła w Internecie fotografię uhonorowaną nagrodą, o której wspominał Łukasz. W tak cudowny sposób wyrażała emocje, że nie mogła oderwać od niej oczu. Wzruszona wrażliwością fotografa ciekawa była, kiedy znowu będzie mogła z nim porozmawiać. Zaintrygował ją. Nigdy nie powiedziała, że tak przystojny i obyty facet może być tak wrażliwy.

W tej chwili w głowie pojawiły się pytania, które chciała zadać Marcinowi. Dokładnie teraz. Bez zbędnej zwłoki. Wiele dałaby za możliwość chociaż piętnastominutowej rozmowy. Sam na sam. Niestety. Za chwilę ich zaskakujące tête-à-tête miało pojawić się na ekranach telewizorów w milionach polskich domów.

– Wchodzisz za trzydzieści sekund. – Producent zabrzmiał w jej uchu.

Pomyślała, że zapewne w tej chwili prezenter kończący wieczorne wydanie wiadomości uprzedza widzów, by nie odchodzili od odbiorników telewizyjnych. Odwróciła się w stronę zawieszzonego na ścianie ekranu, na którym można było oglądać Primo TV.

– To wszystko na dziś, ale proszę jeszcze nas nie opuszczać. – Kątem oka zobaczyła, że Jarek kończący wieczorny serwis w warszawskim studiu uśmiechał się do kamery. – W Poznaniu czeka na państwa Anna Rogozińska z bardzo ciekawym gościem. Aniu, oddaję ci głos, a państwu życzę spokojnego wieczoru.

Jednocześnie w jej uchu rozbrzmiewały kolejno cyfry. Dziesięć. Dziewięć. Osiem. Siedem. Sześć. Pięć. Głęboki wdech. Cztery. Trzy. Głęboki wydech. Dwa. Szeroki uśmiech. Jeden.

– Dziękuję Jarku! Dobry wieczór. Witam Państwa bardzo serdecznie. Jest ze mną

w studiu Marcin Nowak, z którym porozmawiam o motywacji do działania, o przeszłości, największej w dziejach Polski katastrofie kolejowej oraz o trzech zabitych mężczyznach. Witam cię, Marcinie.

Zamilkła, ciesząc się z profesjonalnego otwarcia programu. Głos nie zadrżał jej ani przez sekundę. Uśmiechała się, czekając na odpowiedź i skupiając się na kolejnym pytaniu. – Witaj Anno. – Jej gość zabrzmiał tak pewnie, jakby od dziecka występował przed kamerą.

– Dokładnie dwadzieścia cztery godziny temu przyznałeś mi się do zamordowania trzech osób.

Przygotowując się do programu, zastanawiała się, w jaki sposób powinna opowiedzieć historię Kapelusznika. Czy najlepiej byłoby zacząć od początku, tj. od motywacji i długiej opowieści o tym, jak doszło do kolejnych zabójstw, czy od końca? Dla niej najbardziej interesujący wydawał się początek. Jednak medialne doświadczenie kazało zacząć program z grubej rury. Tylko taka metoda mogła zagwarantować dobrą oglądalność. Dlaczego ktokolwiek miałby po wieczornych wiadomościach oglądać rozmowę z nikomu nieznanym Marcinem Nowakiem? Kto miałby wystarczająco dużo cierpliwości, by doczekać do wyznania, które jakiegoś tam Marcina zmienia w mordercę?

Musiała jak najszybciej użyć słowa „morderca”. Tak szybko, by zainteresować widzów, ale jednocześnie na tyle późno, by nie spłoszyć rozmówcy. Nie chciała, by po pierwszym jej zdaniu mężczyzna odpiął mikroport i wyszedł ze studia. Byłaby spalona w branży. Dlatego też musiała zrezygnować z zapowiedzi typu: „dobry wieczór państwu, a ze mną w studiu znajduje się już morderca zwany Bezdennym Kapelusznikiem”. Przed wejściem na antenę rozmawiała z realizatorami programu i wiedziała, że to oni wesprą ją w działaniach skupiających uwagę widzów, dodając do rejestrowanego przez kamery obrazu odpowiedni podpis: Bezdenny Kapelusznik – przyznał się do zamordowania trzech osób.

– Zgadza się.

– Kto był twoją pierwszą ofiarą? Opowiedz nam o pierwszym morderstwie. – Pytanie odczytała z kartki, walcząc z narastającym uczuciem paniki.

Nie bała się jednak o swoje życie. Kątem oka odnajdywała poruszającą się postać Stochaja. Wiedziała, że jest dobry w tym, co robi. W tej chwili zdała sobie sprawę z tego, że przecież mogła paść ofiarą zмовy dwóch mężczyzn. Łukasza Zawodnego i Marcina Nowaka. Łukasz dużo wiedział o „aferze lekarskiej”, nad którą pracowała. W którymś momencie odezwał się do niej Marcin, ukrywający się pod pseudonimem B.K. Chłopacy znali się. Mieli razem pracować w nowej gazecie dla mężczyzn.

„Może wymyślili to wspólnie? Marcin mnie podkreślił, Łukasz dostarczał mu informacji.

Może Łukasz chciał się zemścić za to, że tak długo go olewałam” – analizowała fakty. „Może dlatego tak się gimnastykował, żeby zdobyć moje zaufanie. Cholera. A może wymyślili sobie sprytny sposób na reklamę gazety, w której mają pracować. Może mnie zniszczą? Boże, co ja zrobiłam?”.

Było jednak za późno na ucieczkę.

– Pierwsza ofiara to Adam Biel. Ten facet był lekarzem. Szanowanym... kiedyś. Jechałem z nim pociągiem. Wsiadłem na stacji w Turznie Kujawskim – opowiadał swoją historię tonem tak obojętnym, jakby dziennikarka zapytała go o banalne czynności dnia wczorajszego. – Szedłem za nim tak długo, aż zostaliśmy tylko ja i on. Nikt nie mógł nas zobaczyć. Uderzyłem jego głową o swoje kolano, by go ogłuszyć, a następny cios skierowałem w punkt vitalny zwany Wit Mok. Nie musiałem długo czekać na jego śmierć. Gdy leżał na ziemi, zrobiłem mu zdjęcie. Krew jeszcze przez chwilę wypływała z jego nosa.

– Dlaczego go zabiłeś?

– O tym opowiem za chwilę...

– A druga ofiara? – Kiwnęła głową, zgadzając się na jego warunek. Bez zwłoki przystąpiła jednak do ataku słownego. Chciała wytrącić rozmówcę z równowagi, pokazać emocje i uzmysłwić widzom, że rozmawiają o prawdziwych morderstwach. – Policja utrzymuje, że denat zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Może wcale go nie zabiłeś, tylko przypisujesz sobie zasługi...

– Policji trzeba wierzyć. – Marcin przerwał jej i roześmiał się przerażająco. Głośno, jakby chcąc ukryć nerwowość. – W większości przypadków, ale nie w tym. Mężczyzna numer dwa to Piotr Wolny. Pracował jako ochroniarz. Zabiłem go, ale upozorowałem wypadek. Widać zrobiłem to na tyle dobrze, że policja uwierzyła. – Rozpierała go autentyczna duma. – Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że poznam ciebie, droga Anno, i że będę musiał przyznać się do zbrodni.

– Jak to upozorowałaś? – dopytywała, ciesząc się, że gruba warstwa makijażu ukrywa fakt, że się czerwieni.

– Zwyczajnie. – Wzruszył ramionami.

– To znaczy? – zapytała, chcąc zagłuszyć głos krzyczący do jej lewego ucha „konkrety, kurwa, konkrety”.

Zgadzała się z producentem. Potrzebowała wyjaśnień, dowodów, skruchy albo łez. Musiała zatrzymać widza przy telewizorze. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że po raz pierwszy w karierze trafiła na przeciwnika godnego siebie. Mężczyzna próbował manipulować jej emocjami, by osiągnąć zamierzony efekt. Lekceważył ją, próbował spieszyć, udawał obojętność i znudzenie. Przyniekła sobie, że to ona wyjdzie z tej rozmowy

obronną ręką.

– Najpierw upiłem Wolnego. Wiedziałem, że lubi alkohol. Potem uderzyłem go parę razy, tak by ani jedna kropla krwi nie wypłynęła z jego śmierdzącego ciała. Wszystko działo się podczas jazdy pociągiem. W odpowiednim miejscu otworzyłem drzwi i wyrzuciłem go na tory. Odpowiednią fotografię pokazałem ci przed wejściem na antenę.

– Tak, widziałam ciało Wolnego sfotografowane z oddalającego się pociągu. Dlaczego nie było świadków? Jak to zrobiłeś? Nikt cię nie widział?

– Nie, nie o tej godzinie, nie w tym miejscu. Do każdego zabójstwa przygotowywałem się starannie. Właśnie po to, by nikt mnie nie zobaczył.

*

– Jest, jest! Ania! Na żywo! Chodź tutaj! – Podekscytowana Renata Rogozińska usiadła przed telewizorem i starała się pospieszyć męża. – No szybko, chodź. Już trwa. Podobno to ma być wywiad. Całe trzydzieści minut, rozumiesz? Nie myślałam, że puszczą to zaraz po wiadomościach. To ma być coś ekstra.

– Co znowu? – Obojętny ton Stanisława sprawił, że żona spojrzała na niego z ogromnym wyrzutem.

– Siadaj! – Przestała nad sobą panować. – Nie gadaj! Ciągłe marudzisz. Mam tego dość. To nasza córka. Nasza Ania.

– E tam, pierdoły... – Stanisław machnął ręką. – Chcesz herbatę? Albo coś zimnego na ostudzenie twoich wybujałych oczekiwań? – warknął i nie czekając na odpowiedź żony, wyszedł do kuchni.

Kobieta krzyczała jeszcze przez chwilę, ale nie miał ochoty jej słuchać. Zaparzył sobie mocną herbatę i postanowił schować się w swoim gabinecie. Ostatnimi dniami tylko tam czuł się w miarę bezpiecznie. Odtwarzana w kółko przez jego sprzęt grająca muzyka klasyczna łagodziła jego emocje lepiej niż pigułki zapisywane przez lekarzy.

– Stasiu, zobacz, teraz nie możesz powiedzieć, że nikt nie widzi twojego nazwiska. – Renata nie odpuszczała. Tym razem agresja ustąpiła miejsca wystudiowanej słodkości. – Pięknie wygląda, prawda? – Żona niczym bańka mydlana nabierała powietrza i rosła.

Wracając z kuchni, zajrzał do salonu, by po raz ostatni zerknąć na telewizor. Rzeczywiście Ania prezentowała się wyjątkowo dobrze. Jasna scenografia kontrastowała z jej czarną i elegancką marynarką. Na dole ekranu widniał podpis: „Anna Rogozińska”.

– Prawda – odpowiedział i odwrócił się, chcąc opuścić salon.

– A twoja trzecia ofiara? – Głos dziennikarki wypełnił dom Rogozińskich dokładnie w chwili, kiedy na ekranie telewizora ukazał się młody i przystojny chłopak.

– Trzeci był Szczepan Baranowski.

Słowa te sparaliżowały Stanisława. Nie był pewien, czy dotarły do niego z głośników

telewizyjnych, czy ze środka świadomości. Sparaliżowany strachem odwrócił się i zauważył, że w miejscu, w którym kilka sekund wcześniej widniał napis „Anna Rogozińska”, obecnie znajdowały się zupełnie inne litery.

– Marcin Nowak przyznał się właśnie do zamordowania trzech mężczyzn – odczytał je na głos i opadł bezwładnie na znajdujący się najbliżej fotel.

*

– Szczepan Baranowski zmarł na zawał serca. Ty go wywołałeś?

– Tak, proszę, tu jest zdjęcie pocziwego Szczepana. Tak wyglądał, gdy wychodziłem z jego przedziału.

Marcin Nowak jednym ruchem wyciągnął z teczki zdjęcie formatu A4 i podał je dziennikarce. Operator kamery stojący najbliżej skadrował przedmiot. Zatrzymał się na nim przez dłuższą chwilę. Fotografia była nie tylko dowodem zbrodni. Była arcydziełem. Przez zastosowanie obiektywu zwanego „rybim okiem” uzyskano bardzo szerokie pole widzenia w tak małym pomieszczeniu, jakim jest przedział kolejowy. Mężczyzna, który znajdował się na środku fotografii, wyglądał na śpiącego. Beczkowate zniekształcenia obrazu dodawały mu magiczności. Linia prosta metalowej półki na bagaż była idealnie wygięta. Na siedzeniu leżało mięsiwo, obok stały ogórki w słoiku, butelka wódki i dwa metalowe kieliszki.

– W jaki sposób?

– Skoro jakaś prosta kobieta otruła męża, stosując taką metodę, że początkowo policja uznała, iż umarł na zawał serca, dlaczego mnie miało się nie udać? Podczas wymierzania sprawiedliwości zawsze wzorowałem się na wcześniejszych zbrodniach. Po co wyłamywać otwarte drzwi? Skoro ktoś przed laty zabił i uniknął kary, to czemu ja nie mam tego zrobić właśnie w taki sposób? Odpowiednie stężenie konserwantów wywołuje taką, a nie inną reakcję mięśnia sercowego. Sprytne, prawda? I nie do wykrycia. Kto będzie doszukiwał się zwiększonej dawki konserwantów?

– Podczas wymierzania sprawiedliwości – powtórzyła zdziwiona. – A co takiego zrobili Wolny, Biel i Baranowski? Napisałeś mi ostatnio – skojarzyła – że „życie Marcina skończyło się pod Otłoczynem”. Miałeś na myśli siebie.

– Widzę, że dochodzimy do sedna. Otłoczyn.

– Przypomnijmy, bo nie wiem, czy wszyscy nasi widzowie pamiętają. Przed trzydziestu trzema laty pod Otłoczynem miała miejsce największa katastrofa w powojennej historii polskiej kolei – odczytała z kartki, dumna, że jest przygotowana do rozmowy. – Zginęło w niej około sześćdziesięciu pięciu osób, a prawie siedemdziesiąt zostało rannych.

– Tak, ta katastrofa to idealny punkt wyjścia do naszej rozmowy. Daruj sobie jednak przytaczanie ogólnodostępnych informacji. – Zirytowany rozmówca zaczął nerwowo kręcić

się na fotelu. – I liczb, które nikomu nic nie mówią.

Rozmowa o mężczyznach, których zabił, nie wywołała w nim żadnych uczuć, ale chwilę po wspomnieniu o katastrofie kolejowej zaczął się widocznie denerwować. Założył nogę na nogę, a dłonie schował pod udami. Rogozińska wiedziała już, że doszli do sedna rozmowy.

– Przyduś go. – Nerwowy głos w słuchawce przypominał jej o tym, że dialogowi przysłuchują się nie tylko ludzie zgromadzeni w studiu, ale również Polacy w liczbie na ten moment nieokreślonej. Na pewno dużej.

– Co ma Otłoczyn do twoich zabójstw?

– A co ma pociąg do Otłoczyna? – Roześmiał się sztucznie, nerwowo machając stopą. Pierwszy raz podczas tego wywiadu można było zauważyć, że z trudem panuje nad emocjami. Na jego czole pojawiły się krople potu. – Rzecz w tym, że nie nazywam się Nowak. Moje prawdziwe nazwisko to Kaczmarek. Nowak to nazwisko rodziny, która mnie adoptowała.

– Marcin Kaczmarek? – powtórzyła.

– Dokładnie. Miałem pięć lat, gdy rodzice zabrali mnie na wakacje nad morze. To były cudowne dwa tygodnie w Kołobrzegu. Pamiętam, że było słonecznie, ale chłodno. Rodzice nie pozwalali mi się kąpać w morzu. Jedynie zamoczyć nogi. Do naszego domu w Łodzi wracaliśmy pociągiem. Moja mama Barbara, tata Józef i ja. Byliśmy opaleni, zadowoleni i wypoczęci. W wagonie panował tłok. – W miarę opowiadania twarz Marcina zmieniała się. Najpierw rozpogodziła się maksymalnie, jakby doznał ulgi, że może zrzucić z serca ogromny ciężar. – Mieliśmy szczęście. Tata znalazł miejsce siedzące w przedziale. Spałem u mamy na kolanach. Gdy obudziłem się nad ranem, w przedziale byli już tylko moi rodzice, ja i pewien sztywny facet z malutką córeczką. Dziewczynka miała wystające znamię na szyi. Dokładnie takie, jak ty kiedyś.

– Ja? – To, co usłyszała, sparaliżowało jej zmysły.

Nagle poczuła na sobie siłę tych wszystkich lamp, które świeciły w studiu. Kilkanaście źródeł światła mających zapewnić idealny wygląd transmitowanego obrazu, likwidujących cienie i oddających z siebie energię cieplną, skupiło się na niej i na brodawce, którą nie tak dawno usunęła.

– Tak, nie wiedziałaś, że jechałaś pociągiem, który się rozbił? Jestem pewien. To byłaś ty. Ty i twój ojciec. Wysiedliście na stacji Toruń Główny. Nie masz pojęcia, jak bardzo mnie to ucieszyło. Moi rodzice przesiedli się na wasze miejsca. Dla mnie zostało wolne całe czteroosobowe siedzenie. Mogłem ułożyć się wygodnie. Pociąg ruszył, a ja zasnąłem, patrząc na objętych rodziców. Oni tak bardzo się kochali. Byłem szczęśliwy. Naiwnie myślałem, że ten stan trwać będzie zawsze. Chwilę później, mniej więcej piętnaście

kilometrów dalej, około godziny 4:30 nasz pociąg zderzył się czołowo z innym – towarowym.

*

– Stanisławie, o czym on mówi? – Szeroko otwarte oczy Renaty nie były w stanie poradzić sobie z rejestrowaniem rzeczywistości.

Jej mąż był blady jak ściana. Siedział na boku fotela i z przerażeniem wsłuchiwał się w słowa wypowiedane przez młodego mężczyznę zamkniętego w jednym pomieszczeniu z ich córką.

– Czy on...? – Kobieta wzięła głęboki oddech i pokazała ręką na telewizor. – Czy ten facet...

Bała się dokończyć pytanie. Zostawiła je otwarte. Nagle po ponad trzydziestu latach wszystko zaczęło do niej docierać. Pogubione puzzle składały się w jeden przerażający obraz. Ania była małą dziewczynką, kiedy Stanisława zaczęła prześladować fobia dotycząca jazdy pociągiem. Nagle z dnia na dzień, bez wyjaśnienia, zakazał rodzinie podróżować PKP.

– Jechaliście tym pociągiem – oznajmiła.

Stanisław kiwał głową, nie odwracając wzroku od ekranu, nie chcąc uronić ani słowa. Starł z czoła pot, który zaczął pojawiać się, nie wiadomo skąd. Był zimny i lepki. Słowa mordercy przyniosły Rogozińskiemu chwilowe ukojenie. Podejrzewał, że Szczepan Baranowski został zabity. Żona powtarzała, że sobie to wymyślił, a jednak miał rację. On.

Gdy dotarła do niego świadomość, że jego zawodowo dociekliwa córka rozmawia z mordercą, poczuł wszechogarniającą panikę. Lęk przed śmiercią. Uczucie to nie było mu obce, jednak nigdy wcześniej nie doznawał go w takim nasyceniu. Potrójnie ekstra esencjonalnie.

– Uciekliśmy przeznaczeniu – wydusił z siebie, z trudem łapiąc powietrze.

Przez trzy dekady próbował wyprzeć wspomnienie tamtego dnia, gdy dowiedział się o katastrofie.

– Tak niewiele brakowało. Widziałem ten pociąg później, po wypadku. Nasz przedział... zginęlibyśmy na miejscu! I ja, i Ania.

Dla Renaty czas się zatrzymał. Patrzyła na telewizor. Obraz poruszał się klatka po klatce, jakby ktoś włączył maksymalne zwolnienie. Klatka po klatce. Dłoń jej córki unosiła się skokowo. Klatka po klatce. Gdy dotarła do twarzy, odgarnęła włosy. Powoli. Klatka po klatce.

– Aaa!

Krzyk męża pojawił się nagle. Był krótki. Poczula, że robi jej się słabo. Rzeczywistość rozdziwiła się dla niej. Obraz nadal był powolny, a fonia doznała niesamowitego

przyspieszenia. Kobieta stała między jednym a drugim światem. Spojrzała na Stanisława. Miała ochotę go zabić. Jak mógł ukrywać coś takiego! Tyle lat – emocje w niej dudniły, objając się o ściany, z których latami nie mogły wyjść.

Mąż trzymał się obiema rękami za klatkę piersiową i zwijał się z bólu. Powoli. Klatka po klatce. Przerażony otwierał usta, próbując złapać oddech, jak karp leżący w foliowej torbie.

– Re – na – tko...

– Stasiu! Stasiu! – Nagle jej świadomość przyspieszyła, doganiając rzeczywistość. – Co się dzieje?

– Boli – jęknął i stracił przytomność.

*

– Było bardzo zimno. Miejscami nad torami unosiła się mgła. Gdy ustąpił huk, zapanowała cisza. Nie wiem, jak długo mogła trwać. Dla mnie całą wieczność. Dopiero później zaczęły się krzyki. Jak w rzeźni. Krzyki przerażenia, załamania, żałoby. I jęki. Jęki były najgorsze, dochodziły do mnie z każdej strony i mimo że byłem jeszcze szczeniakiem, wiedziałem, że stało się coś okropnego. Wjechaliśmy do piekła. – W głosie Marcina słyhać było rozpacz i ból. – Moi rodzice nie ruszali się. Chciałem ich obudzić. W którymś momencie przy oknie stanął jakiś mężczyzna. Krew leciała mu z ramienia. Chciał mnie wyciągnąć z przedziału. Mówił, że jedzie następny pociąg i zaraz w nas uderzy. Że jak nie wyjdę, to mnie zabije. To kolejne uderzenie.

– Nie chciałeś wyjść? – zapytała trzeźwo, ledwo panując nad emocjami.

Wyraz twarzy Marcina mówił sam za siebie. Mężczyzna po raz kolejny przeżywał to, co go spotkało ponad trzydzieści lat wcześniej. Mimo upływu czasu emocje nie straciły na intensywności. Nadal były boleśnie żywe.

Operator kamery starał się uchwycić to jak najstaranniej. Kadrował opowiadającego tak, by każdy oglądający program mógł na ekranie swojego telewizora policzyć zmarszczki tkwiące na twarzy mordercy lub zauważyć drzenie poszczególnych mięśni mimicznych.

– Nie. Chciałem umrzeć, tak jak mama i tata. – Na chwilę twarz Marcina skryła się za jego rękoma. – Ktoś błagał o pomoc, ktoś pomagał, ktoś lamentował. Tak sobie wyobrażam piekło. W jednej chwili straciłem rodziców. Zresztą nie tylko ja. Trafiłem do pogotowia opiekuńczego. Nie miałem dziadków, cioć, wujków. Któregoś dnia zjawił się facet w garniturze. Jan Nowak. Zabrał mnie, podając się za moją rodzinę. Adoptował.

– Jan, który umarł w hospicjum? – skojarzyła fakty. – Twój wybawiciel z wyrzutami sumienia. Jego też zabiłeś?

– Wybawiciel? – Śmiech Marcina zabrzmiał dziwnie. – Nie znałem go, nie byliśmy

spokrewnieni, skłamał, by się mną zaopiekować. Na początku nawet się cieszyłem, że ktoś mnie zabrał z bidula. Potem okazało się, że jest dziwny... ten Jan i jego żona. Nie utrzymywali kontaktu z nikim, nawet z rodziną. Jan na moje pytania „dlaczego” odpowiedział tylko raz. Raz, ale konkretnie. Powiedział, że tego wymaga od niego jego praca. Nie ma znajomych ani rodziny. Że jego żona nie może mieć dzieci. Że dadzą mi wszystko. Faktycznie, starali się zaspokajać wszystkie moje potrzeby materialne. Pieniądzy im nie brakowało. Żona Jana kochała go o wiele mocniej niż siebie. Dość szybko umarła. On miał w sobie odpychający dystans emocjonalny. Wiedziałem, że coś nie gra. Gdy czasem ktoś pytał, skąd się wziąłem, odpowiadał krótko: „to syn mojej zmarłej siostry”. A mnie dopowiadał: „nie będziemy obcych wtajemniczać w nasze sprawy, po co im tłumaczyć, przez co przeszedłeś?. Jeszcze zaczną patrzeć na ciebie dziwnie albo wytykać cię palcami”.

– Dlaczego zabiłeś Wolnego, Biela i Baranowskiego? – Przerwała jego opowieść, bo czas antenowy płynął nieubłaganie. – Co oni ci zrobili?

– Gdy Jan Nowak był umierający, zadzwonił do mnie. Wiesz, szybko się usamodzielniałem i raczej nie utrzymywaliśmy kontaktu. Aż w końcu on zadzwonił, powiedział, że jest w gnieźnieńskim hospicjum i że mam przyjechać, bo przed śmiercią musi zrzucić kamień z serca. Pojechałem. Trudno było mi słuchać tego, co mówił. Każde słowo bolało... Powiedział: „To moja wina, że straciłeś rodziców, źle to rozegrałem”. Wtedy też dowiedziałem się, że ta cała katastrofa pod Otłoczynem to nie był, tak jak sobie tłumaczyłem, wybitny pech, błąd człowieka czy niefortunny przypadek. To była zaplanowana akcja. Akcja pod kryptonimem „Pociąg”.

– Pociąg? Zaplanowana? Przez kogo?

– Przez Służbę Bezpieczeństwa. Nowak wyznał mi, że pracował w SB. Gdy w sierpniu 1980 roku zaczęły się strajki, dostał z góry zadanie, by nastraszyć kilku ważnych organizatorów tych demonstracji. Wiedział, że tym pociągiem wracać będą z wakacji nad morzem rodziny jego „obiektów”. Zaplanował zderzenie pociągów. Podobno miało być małe. Z dużą liczbą rannych. To on wszystko zorganizował. Pieprzona akcja „Pociąg”. Najpierw zaszantażował maszynistę. Nazywał się Wolny.

– Ale to nie był zamordowany przez ciebie Piotr Wolny, bo przecież on w tym czasie siedział w więzieniu.

– Nie, maszynistą był Stanisław, ojciec Piotra. Początkowo nie chciał się zgodzić, mimo że od dawna był kapusiem SB, ale gdy Nowak kazał milicji zgarnąć jego syna, facet zmiękł. Za obietnicę wypuszczenia synalka z więzienia i odrobinę kasy miał powoli wjechać w pociąg osobowy. Nowak żałował, że dał mu wtedy tę kasę przed robotą. Stary Wolny podobno utrzymywał, że musi mieć pieniądze, by zapłacić za podrobione

dokumenty, jakieś karty czasu pracy, czy nie... jak to się nazywało? Wykaz pracy pojazdów i drużyn trakcyjnych. Inaczej przełożony nie wpuściłby go na lokomotywę. Sprawa wymknęła się spod kontroli. Wolny wymienił kasę na alkohol i spił się w trupa. Może go to przerosło, ta cała akcja „Pociąg”, a może... nieważne. Gdyby nie synalek, nie zrobiłby tego, nie zgodziłby się, nie stworzyłby takiego wielkiego zagrożenia. Stary Wolny zginął na miejscu. Nawet nie próbował uciekać. Maszynista pociągu osobowego wiedząc, że nie jest w stanie nic zrobić, rzucił się do ucieczki na tył pociągu. Dzięki temu przeżył. Gdy trafił do szpitala, zaczął opowiadać o zdarzeniu lekarzowi. Lekarz był bystry. Zamiast rozpowiadać plotki mogące zostać uznane za szkodliwe dla systemu, przekazał je prokuratorowi. I tak podejrzewania dotyczące „dziwnie wyglądającego wypadku” trafiły do Jana Nowaka, który, że tak powiem, nadzorował tamtejszą prokuraturę. Tłumacząc się oddaniem krajowi i innymi pierdołami, dogadał się z lekarzem i prokuratorem. Maszynista pociągu osobowego został uciszony, doktorek i prokurator nagle awansowali. Tu masz dokumenty. – Marcin podał Ance zżółkniętą teczkę. – Jan trzymał je w sejfie. Znajdziesz tu zdjęcia i ciekawe informacje dotyczące tych facetów. Piotra Wolnego, który nawet nie wiedział, że posłużył jako karta przetargowa w takiej sprawie. Stoczył się, kradł, by w końcu udawać ochroniarza. Może gdyby wiedział, jak bardzo poświęcił się jego ojciec, by Piotruś mógł żyć na wolności, lepiej wykorzystałby swoje życie. Adama Biela, który po wyciszeniu sprawy awansował do szpitala wojewódzkiego w Toruniu i trafił na najlepszy oddział, w nagrodę za swoje zasługi dla SB. Wreszcie Szczepana Baranowskiego, przełożonego między innymi mojego ojczyma.

– W zagadce, którą mi zadałeś, widniało pięciu mężczyzn mających na sumieniu życie innych. Podałeś przed chwilą tylko trzy nazwiska.

– Czwartym jest mój adopcyjny ojciec Jan Nowak, a piątym jestem ja sam. Mam na sumieniu trzy... no może już cztery istnienia ludzkie.

Rafał Stochaj dał znak koledze, by nie spuszczał z oka mężczyzny rozmawiającego z Anką. Obawiał się nagłych ruchów, zwłaszcza że sformułowanie „już cztery istnienia ludzkie” mogło sugerować, że za chwilę zrobi coś dziennikarce. Sam podszedł maksymalnie blisko, by w razie czego rzucić się na mordercę, ale na tyle daleko, by nie wejść w kadr operatorowi kamery.

– Zbliżamy się do końca rozmowy, podsumujmy więc. Twierdzisz, że zabiłeś Adama Biela, Piotra Wolnego i Szczepana Baranowskiego. – Rogozińska czuła, że chwila, którą teraz przeżywa, na zawsze pozostanie w jej pamięci. Pamiętała słowa Rafała, by uzyskać od mężczyzny dowody silniejsze od przyznania się na wizji. Słowa zawsze pozostawały tylko chwilowym stanem umysłu i łatwo można było się z nich wycofać. Namacalne dowody otwierały drzwi prokuratury, sądów i więzień. Tych ostatnich nawet zamykały na

długie miesiące i lata. – Trzech mężczyzn, którzy w twojej ocenie winni są katastrofie kolejowej i twojej osobistej tragedii. Ale co zawinił ci lekarz ukręcający łeb całej sprawie?

– Toku wydarzeń nie można cofnąć. Moi rodzice zostali zabici. Nic im nie przywróci życia. Jednak najbardziej wkurzające jest to, że winni katastrofy nie zostali osądzeni, nie ponieśli kary. Wręcz przeciwnie, zostali nagrodzeni, podobnie jak Nowak za udaną akcję i dalej toczyli swoje plugawe życia. Jan Nowak umarł, dławiąc się wyrzutami sumienia. Pewnie musiał nienawidzić i siebie, i mnie. Siebie za chwilę słabości, gdy zdecydował się mnie adoptować..., a mnie za to, że codziennie mój widok przypominał mu o katastrofie pod Otłoczynem. Jest jeszcze jeden facet, który o wszystkim wiedział. Prokurator, który ukręcił łeb sprawie, awansował i przez całe życie ściśle współpracował z Baranowskim.

– Prokurator?

Anna Rogozińska zadała to pytanie automatycznie, bez zastanowienia. Gdyby kręciła teraz materiał z ulubionym operatorem, powiedziała by „stop” i wyciąłby je podczas montażu. Program na żywo oferował pracującym przy jego produkcji ludziom największy poziom adrenaliny. Do dziennikarki dotarło, że musi nauczyć się jeszcze opóźnić wypowiedzanie myśli chociaż o pół sekundy, by mieć szansę nad nimi zapanować.

– Tak. Prokurator Stanisław Rogoziński... – Bezdenny Kapelusznik zawiesił głos.

Gardło Anki zostało ściśnięte. Obawiała się, że ciąg dalszy wypowiedzi rozmówcy zabrzmiał: „twój ojciec”. Wstydziła się i nie potrafiła ogarnąć wszystkich emocji związanych z pracą, bolesną historią Marcina, trupami i swoim ojcem.

„Mój ojciec współpracował z SB”? – To pytanie cisnęło się na usta, jednak nie potrafiła go wypowiedzieć.

– Anka, zapytaj, dlaczego to zrobił. – Głos w słuchawce próbował wyrwać ją z szoku. – Odezwij się!

– Prokurator Stanisław Rogoziński. – Z pomocą przyszedł jej Marcin Nowak i chętnie wypełnił ciszę złowrogim tonem. – Niech państwo prześledzą ścieżkę jego awansu, niech ktoś przyjrzy się prowadzonym przez niego sprawom. Niech stanie się jasne, czemu zamontował przed swoim domem monitoring. Miał się czego bać...

Nie chciała dłużej tego słuchać. Zdała sobie sprawę, że zapewne ten program, jak każdy wcześniejszy, ogląda jej matka. Sama lub z ojcem, którego na siłę przyciągnęła przed telewizor. Słowa Marcina padają w ich domu dokładnie w tej samej chwili, co u niej w studiu. Nie chciała, by w taki sposób dowiedział się, że na jaw wyszły jego zawodowe sekrety. Nie miała wątpliwości, że jej rodzony ojciec był winny. „Przecież znał Szczepana” – analizowała fakty. „Dlatego po jego śmierci zaczął się tak dziwnie zachowywać. Gonili go duchy z przeszłości. Ojciec musiał wiedzieć o tragedii, o tym, że uszliśmy z życiem, że zginęło tylu ludzi tylko dlatego, że ktoś kogoś chciał nastraszyć”.

– Dlaczego ich zabiłeś? – Gdy padało to pytanie, reżyser uprzedził ją, że zostały już tylko dwie minuty programu. – Czujesz potrzebę panowania nad ofiarami?

– Nie. Nie czułem patologicznej żądy. Zwyczajnie musiałem wymierzyć sprawiedliwość.

– Zdajesz sobie sprawę, że resztę swojego życia spędzisz w więzieniu?

– Nie jestem psycholem. Zrobiłem coś złego, nieakceptowanego przez społeczeństwo, jestem gotów ponieść karę. Może w końcu w więzieniu poczuję się wolny? Bo przecież nie ma znaczenia, gdzie jesteśmy... ważne jest to, co czujemy. Zaspokajanie moich materialnych zachcianek nie przynosiło niczego poza chwilową satysfakcją ani mnie, ani mężczyźnie, który się mną zajął.

*

Gdy Anka dostała z reżyserki sygnał, że zakończyła się emisja programu, zrzuciła z twarzy profesjonalną maskę i pozwoliła sobie poczuć emocje. Najpierw spojrzała na telefon. Miała trzy nieodebrane połączenia. Dwa od matki i jedno od Roberta Zielińskiego. Światła zgasły, a w studiu zapanowała cisza.

– Jest mi bardzo przykro z powodu tego, co cię spotkało, to musiało być okropnie trudne, stracić oboje rodziców... – odezwała się, wstając z fotela. To był umówiony znak dla Stochaja, który tylko czekał, by założyć mordercy kajdanki, przewieźć na komendę, zadać dodatkowe pytania i rzucić okiem na przekazane przez niego dokumenty. – Jednak nie pochwalam samodzielnego wymierzania sprawiedliwości. Mówiłeś o tych facetach, których obarczasz odpowiedzialnością za tragedię..., ale jednak nie zabiłeś wszystkich. Dlaczego nie zamordowałeś mojego ojca?

– A może właśnie go zabiłem..., a na pewno zniszczyłem... – Marcin o kilka centymetrów przewyższał Stochaja zakuwającego go w kajdanki. Uśmiechał się zuchwale. Był zadowolony z siebie. – Z twoją pomocą.

Stochaj agresywnie popchnął mordercę w kierunku wyjścia, jednak Ania złapała policjanta za rękę.

– Poczekaj jeszcze chwilę – rzuciła w jego stronę.

Mężczyzna zatrzymał się i bez słowa odwrócił głowę. Jego mina mówiła sama za siebie. Nie chciał dłużej przebywać w studiu telewizyjnym. Wolał zamknąć się w pokoju przesłuchań z mordercą, zdobyć podpis pod zeznaniami i opić sukces zawodowy.

– Z moją pomocą? – Pełna obaw dziennikarka spojrzała prosto w oczy mordercy.

– O tak. Tatuś na pewno oglądał twój program... Musiał bardzo ucieszyć się z faktu, że jego esbeckie tajemnice wyszły na jaw w tak profesjonalnej i medialnej oprawie.

– Dlaczego ja? Po co te wszystkie maile? Dlaczego ze mną chciałeś rozmawiać?

– Na to pytanie nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć. – Wzruszył ramionami.

Patrzył na nią w taki sposób, że nie miała wątpliwości. Mówił prawdę. – Najpierw chciałem cię ukarać. Przez twojego ojca i ciebie straciłem swoich rodziców. Gdybyście nie wysiedli na tamtej stacji, oni by żyli..., ale później... – Zawahał się. – Tak interesująco się z tobą korespondowało.

Stochaj po raz kolejny szarpnął przystojniakiem. Nie miał zamiaru przedłużać rozmowy. Mężczyzna, który przyznał się do zamordowania trzech osób, stał z rękami skrupowanymi kajdankami. Najpierw błyszczał na telewizyjnym ekranie w setkach tysięcy domów, a teraz bez skrupowania podrywał Ankę Rogozińską. Zazdrosny policjant pchnął zatrzymanego ku wyjściu. Anka szła jednak za nimi, jakby nie mogła rozstać się z przestępcą.

– Mnie też chciałeś zabić? W taki sposób planowałeś sobie ulżyć?

– Przez chwilę tak. Ale potem pomyślałem, że śmierć nie jest wyjściem. Dla człowieka uginającego się pod ciężarem win i lat śmierć jest wybawieniem. Mój prawdziwy ojciec umarł. Adopcyjny całe życie tonął w wyrzutach sumienia. Chciałem, żeby to samo spotkało ciebie. Gdy tylko spojrzysz w lustro, przypomnisz sobie, że decyzja o tym programie należała do ciebie. Wybrałaś karierę. Tak jak twój ojciec. Jesteś taka sama jak on.

EPILOG

Ostatnie słowa wybrzmiały chwilę po tym, jak Marcin w towarzystwie policji opuścił studio. Do Anki powoli docierała rzeczywistość. Nie miała czasu, by analizować ją na żywo. Piekące łzy zaczęły ściekać po policzkach. Uciekła do toalety, chcąc ukryć się przed spojrzeniami wścibskiej ekipy. Wyjęła telefon i wybrała numer matki. Bała się zadzwonić bezpośrednio do ojca.

- Mamo? – odezwała się, próbując zachować spokój.
- Kochanie, ojciec miał zawał serca. Właśnie przyjechało pogotowie.
- O Boże!
- Zabierają go do szpitala w Gnieźnie, przyjedziesz?
- Tak. Będę za czterdzieści pięć minut. Już wsiadam do auta.

Zakończyła rozmowę i stanęła przed lustrem. Z wściekłością zaczęła trzeć twarz papierowymi ręcznikami, nie zważając na to, że robi to zbyt energicznie, a skóra nabiera czerwonego koloru. Chciała jak najszybciej zmyć z siebie profesjonalny makijaż będący kwintesencją jej zawodu. Silikonowa baza, korektor, podkład, puder, róż. Tyle warstw potrzebnych było, by ukryć jej prawdziwą, nie zawsze doskonałą twarz. By zmienić ją w najbardziej zbliżoną do nieskazitelnego ideału. Wizerunku, który przekłada się na oglądalność i sympatię widzów. Po chwili wszystkie warstwy kosmetyków wylądowały razem ze zgniecionymi ręcznikami w koszu. Bez makijażu wyglądała na nagą, ubogą, ale prawdziwą.

Wychodząc z łazienki, odebrała SMS. Odczytała go kątem oka. Nadawcą był Robert Zieliński.

„Wyszło zajebiście. Wszyscy są zachwyceni. Dopięłaś swego. Szykuj się na przeprowadzkę do Warszawy”.

Gdy policja wraz z mordercą opuściła studio nagraniowe, pracujący w nim ludzie ożywili się. Zaczęli głośno komentować wydarzenia ostatniej godziny. Dźwiękowiec zrobił sobie kawę. Operatorzy kamer śmiali się i przekrzykiwali. Producent zaczął świętować sukces. Anna Rogozińska wymknęła się z toalety i korzystając z panującego wokół rozprężenia, przebiegła niezauważona przez korytarz tak szybko, jakby gonił ją gepard.

– Dopięłam swego – powtórzyła na głos słowa Zielińskiego, gdy siedziała już w samochodzie gotowa do drogi. – Tylko jakim kosztem?

Chcąc zagłuszyć myśli, włączyła radio. Ciężkie rockowe brzmienie gitar idealnie oddawało stan jej umysłu. Perkusja wybijała rytm jej serca. Czowała rosnącą agresję. Znała ten utwór w oryginalnej elektronicznej wersji z lat osiemdziesiątych.

– *Everybody's looking for something. Some of them want to use you.* – Starła się

przekrzyczeć pełen jadu wokal Marilyną Mansoną. – *Some of them want to get used by you.*

Pozwoliła muzyce przepływać przez ciało, w ten sposób uwalniając nagromadzone w mięśniach emocje. Ostro nacisnęła na pedał gazu, a Manson kontynuował wyznanie:

– *Sweet dreams are made of this...*

OD AUTORKI

Droga Czytelniczko/Drogi Czytelniku,

jeśli zaczynasz *Słodkich snów, Anno* od tego miejsca, lepiej zatrzymaj się i wróć do początku powieści. W przeciwnym razie zepsujesz sobie zabawę. Jeśli natomiast przeczytałeś już całość, to *Słowo od autora* przeznaczone jest dla Ciebie.

Przyznaję szczerze, że dopiero podczas pisania *Słodkich snów, Anno* zrozumiałam fenomen *Alicji w Krainie Czarów* Lewisa Carrolla. Korzystałam z wydań w przekładzie Jolanty Kozak (Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, 2010) oraz z tłumaczeń Elżbiety Tabakowskiej (Wydawnictwo Bona, 2012).

W moim tekście można znaleźć kilka cytatów pochodzących z *Alicji w Krainie Czarów*, choć niektóre słowa zostały nieznacznie zmienione. Nie są one wyróżnione w tekście. Ciekawa jestem, w którym momencie dotarło do Ciebie, że nadawca maili cytuje *Alicję*...

Ta książka nie powstałaby, gdyby nie mój mąż i to nie byle jaki! Mam szczęście posiadać najwspanialszego mężczyznę na świecie. Takiego, który pozwala mi regularnie zamykać się w literackim świecie. Który wspiera mnie, pomaga, a czasem też utrudnia szukając logicznych dziur w moich powieściach. Dziękuję, Kochanie!

Chcę podziękować również policjantowi z wydziału kryminalnego – Krzysztofowi G. – za wyczerpujące konsultacje. Jestem wdzięczna wszystkim, którzy choćby nawet w najmniejszym stopniu przyczynili się do powstania tej książki. Dziękuję!

Słodkich snów Anno

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

MOTTO

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

ROZDZIAŁ X

ROZDZIAŁ XI

ROZDZIAŁ XII

ROZDZIAŁ XIII

ROZDZIAŁ XIV

ROZDZIAŁ XV

ROZDZIAŁ XVI

ROZDZIAŁ XVII

ROZDZIAŁ XVIII

ROZDZIAŁ XIX

ROZDZIAŁ XX

ROZDZIAŁ XXI

ROZDZIAŁ XXII

ROZDZIAŁ XXIII

ROZDZIAŁ XXIV

ROZDZIAŁ XXV

ROZDZIAŁ XXVI

ROZDZIAŁ XXVII

ROZDZIAŁ XXVIII

ROZDZIAŁ XXIX

ROZDZIAŁ XXX

ROZDZIAŁ XXXI

EPILOG

OD AUTORKI

Karta redakcyjna

Copyright © by Joanna Opiat-Bojarska, 2013
Copyright © by Wydawnictwo Termedia, 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania z a pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Termedia, Poznań 2014

Projekt okładki: Olga Reszelska

Zdjęcie na okładce: © [iStockphoto.com/Goodluz](https://www.iStockphoto.com/Goodluz)

Redakcja: Natalia Musiał

Korekta: Karolina Kaczmarek, Editio

eISBN 978-83-7988-135-2



Wydawnictwo Filia

grupa Termedia sp. z o.o.

ul. Kleeberga 8

61-615 Poznań

www.wydawnictwofilia.pl

Wszelkie pytania prosimy kierować na adres: czytelnicy@wydawnictwofilia.pl



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl

